

Sebastian Fitzek

PASJONAT OCZU

Mojemu ojcu, Freimutowi.

Zobaczymy się w następną niedzielę o 10.00, jak zawsze.

Ostrzeżenie

Ostrzeżenie na samym wstępie? No, no! Przecież Fitzek nigdy tego nie robił?

To prawda, lecz uspokójcie się. Wiem, że niektórym czytelnikom przeszkadzają prologi, w tym wypadku też nie chcę denerwować was długą przedmową.

Ale kilka zdań jest przecież niezbędnych, a słowo „ostrzeżenie” nie znalazło się w nagłówku po to, aby obudzić w was ciekawość, tylko po to, by na samym początku, jeszcze przed lekturą, poinformować o ważnym fakcie: Pasjonat oczu jest drugą powieścią z serii (o której sam nie wiem, jak będzie długa).

To nie znaczy, że koniecznie musieliście przeczytać Kolekcjonera oczu, aby zrozumieć, o co chodzi w tym tomie. Ten thriller jest niezależną historią i w najmniejszym stopniu nie wymaga znajomości poprzedniej książki. Ale oczywiście drugi tom często odwołuje się do pierwszego. Byłoby nienaturalne, gdyby tak się nie działo, ponieważ wydarzenia opisane w Kolekcjonerze oczu, co rozumiałe, bardzo dały się we znaki protagonistom Alinie oraz Zorbachowi i odcisnęły się silnym piętnem na ich życiu, jeśli nie... Nie, nie chcę zdradzać niczego więcej. Powiem tylko tyle, że jeśli zaczniecie lekturę od Pasjonata oczu, to później Kolekcjoner oczu nie będzie już tak trzymał w napięciu. Tego niestety nie da się uniknąć.

No tak, teraz na pewno popatrzyście na mnie z pobłażaniem, domyślając się, dlaczego zamieszczam ten „post”, jak to się dzisiaj nazywa, już na samym wstępie. Ale, jak mi Bóg miły, to nie jest zachęta do kupowania moich kolejnych książek. Wszystkim, którym jest całkowicie obojętne, co wydarzyło się w pierwszym tomie, powtarzam jeszcze raz: ta książka przedstawia zupełnie odrębną historię. Po prostu nie chcę dostawać później maili w rodzaju: „Dlaczego pan mnie nie ostrzegł?”. Czynię więc to od razu na wstępie. Jeszcze nie jest za późno. Jeszcze możecie zamknąć książkę, odłożyć ją na półkę albo zwrócić.

Ale wtedy przegapicie to, co się wydarzy na następnych stronach. Czy naprawdę tego chcecie?

Serdeczne pozdrowienia i do następnej lektury Wasz

Sebastian Fitzek

Berlin, kwiecień 2011

Wstrząsający zwrot w sprawie kolekcjonera oczu

Dzieci uwolnione, sprawca ustalony. Ale morderstwa nie ustały.

Przez ostatnie miesiące bawił się w śmiertelną grę w chowanego, teraz tożsamość kolekcjonera oczu jest już znana: bestialskich morderstw czterech kobiet i trojga dzieci dokonał dwudziestotrzyletni wolontariusz zatrudniony w dużej berlińskiej gazecie, Frank Lohmann.

Lahmann popełniał przestępstwa według ohydneho, skrupulatnie przygotowanego planu: najpierw zabijał matkę, potem wprowadzał dzieci i stawiał ich ojcu ultimatum, czterdzieści pięć godzin i siedem minut na znalezienie miejsca ich ukrycia. Po upływie tego terminu ofiary dusiły się w swojej kryjówce. Mordercy nadano taki okrutny przydomek, ponieważ w każdym z odnalezionych później ciał dzieci brakowało lewego oka.

Psycholodzy kryminalni sądzą, że - jak się to często zdarza - również u kolekcjonera oczu przyczyn tego postępowania, które świadczy o chorych emocjach sprawcy, należy szukać w jego dzieciństwie. Z pierwszych ustaleń wynikało, że Lahmann dorastał w bardzo trudnych warunkach. Matka zostawiła rodzinę, a dla ojca dzieci były tylko ciężarem, przede wszystkim chory na raka brat Lohmanna, któremu nowotwór zaatakował lewe oko.

Któregoś dnia obaj bracia ukryli się w wyrzuconej przez kogoś zamrażarce, wierząc, że ojciec będzie się o nich martwił i zacznie ich szukać. Nie doczekali się jednak tak upragnionego dowodu ojcowskiej miłości. Kiedy nieświadomy niczego ojciec włóczył się po knajpach, bracia, którzy nie byli w stanie uwolnić się bez pomocy z zewnątrz, walczyli w zamrażarce ze śmiercią przez uduszenie. Tylko przypadkiem zostali znalezieni przez robotnika leśnego, ale było za późno. Po czterdziestu pięciu godzinach i siedmiu minutach młodszy brat Franka Lohmanna już nie żył.

Właśnie w tej traumie psychologowie dopatrują się przyczyny dokonanych przez kolekcjonera oczu późniejszych morderstw. Lahmann sam się przyznał w mailu do redaktora naczelnego gazety, która go zatrudniła: „Oczywiście nie ukrywam faktu, że zawsze stwarzam warunki ramowe, jakie wtedy były dane mnie i mojemu bratu. Matka, która dla nas umarła, i dlatego już na samym początku musiałem usunąć ją z pola gry. Ojciec, który zaniedbuje swoje dziecko. Kryjówka,

w której wystarczało powietrza na czterdzieści pięć godzin i siedem minut, i zwłoki, którym, tak jak mojemu bratu, brakuje lewego oka".

Tylko dzięki zaangażowaniu dziennikarza śledczego Alexandra Zorbacha dosłownie w ostatniej chwili udało się wczoraj udaremnić czwartą „rundę gry” kolekcjonera oczu. Dzięki determinacji Zorbacha odnaleziono uprowadzone bliźnięta. Ale za ich uratowanie dziennikarz musiał zapłacić wysoką cenę. Bo gdy on uwalniał uwięzionych w szybie windy dziewczynkę i chłopca, Frank Lahmann szukał następnej ofiary: syna Zorbacha, Juliana, którego uprowadził, zabijając wcześniej jego matkę, Nicci Zorbach.

Do tej pory nikt nie wpadł na ślad Franka Lohmanna. A termin nowego ultimatum, z którym teraz musi zmierzyć się Alexander Zorbach, jeśli chce ujrzeć syna żywego, upływa za kilka godzin...

Jeżeli zaś ona poniesie jakąś szkodę,
wówczas on odda życie za życie,
oko za oko, ząb za ząb, rękę za rękę, nogę za nogę,
oparzenie za oparzenie, ranę za ranę, sinięć za sinięć.
Księga Wyjścia 21, 23 - 25

Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko i ząb za ząb!
A ja wam powiadam: Nie stawiajcie oporu złemu:
lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek,
nadstaw mu i drugi!
Mateusz 5, 38 - 39 (Biblia Tysiąclecia, Pallottinum)

Johanna Strom

Rozdział 1

Łagodne trzynaście stopni, lekko zachmurzone niebo, słaby wrześnieowy wiatr. Johanna Strom uwielbiała taką pogodę. Idealną, aby umrzeć.

Mężczyzna siedzący obok niej na parkowej ławce zdawał się wyczuwać jej skryte pragnienie, chociaż dzisiaj jeszcze nie zamienił z nią nawet słowa. Zresztą w ogóle nie był rozmowny. Raz dziennie, dwie godziny po obiedzie, wolno jej było wyjść do ogrodzonego parku przy hamburskiej klinice, żeby „rozprostować nogi”, jak mawiała przełożona pielęgniarek. W istocie na nierównych ścieżkach, które wiły się wśród drzew rosnących na terenie zakładu psychiatrycznego, trzeba cholernie uważać, gdzie się stawia nogę. Nie dalej jak wczoraj stary Wischnewski potknął się o ukryty pod pierwszymi jesiennymi liśćmi korzeń i zbił sobie biodro. „Byłoby lepiej, gdyby uderzył się w głowę - usłyszała głosy pielęgniarzy, szydzących z chorego na demencję. - Przynajmniej już nigdy więcej nie zrobiłby sobie krzywdy”.

Jak prawie każdy pacjent kliniki Sankt Pfarrenhopp (nazywanej przez okolicznych mieszkańców „Sankt Pfeil im Kopp”) Johanna Strom czuła się tu całkowicie nie na miejscu. Nie żeby była zdrowa, o nie, Bogiem a prawdą to nie to, ale dlatego, że nie zależało jej na powrocie do zdrowia. Gdyby chodziło tylko o alkoholizm, który najpierw odebrał jej godność, a na końcu zrujnował zdrowie, być może pewnego dnia zebrałaby się w sobie, aby okiełznać demony, które próbowały utopić ją w gorzale kupowanej na stacji benzynowej w kartonach tetrapak. Gdyby uzyskała profesjonalną pomoc, być może broniłaby się, kiedy jej mąż znów chciałby ją związać, aby zaspokoić swoje perwersyjne pragnienia. Na początku ich związku akceptowała ten rodzaj zabawy, skoro sprawiało to frajdę jej partnerowi.

W łóżku pozwalała wymyślać sobie od klaczy nadstawiającej trzy otwory, kurwy i obleśnej brudnej pizdy, i na początku, musiała przyznać to z zażenowaniem, istotnie w jakiś sposób podniecało ją, kiedy postępował z nią bardziej obcesowo. Klaps w pupę, dłoń na gardle, jak na razie wszystko w porządku. Widziała, że to go podnieca, i na nią też to działało; a ponieważ zdawała sobie sprawę, że Christian wpadnie we wściekłość, jeśli nie zgodzi się klęknąć przed nim, zanim jej kochanek dostanie orgazmu, nie sprzeciwiała się jego pomysłom.

Gdzieś w tyle głowy, w głębokich zakamarkach świadomości, zaświtała myśl, że być może jest już za późno. Ze przegapiła ostatnie rozwidlenie na drodze swojego życia, kiedy naprawienie wszystkiego było jeszcze możliwe, nim życie zupełnie wymknie się spod kontroli. Dawniej zbyt często pozwalała się poniżać, za rzadko protestowała. Gdyby po latach małżeństwa nagle przyznała się Christianowi, że nigdy nie podzielała jego upodobań, okazałoby się, że cały czas go oszukiwała, czym (jak słusznie uważała) dotkliwie by go zraniła. A więc nadal milczała i długo wmawiała sobie, że ma nad wszystkim kontrolę.

Ta nadzieja umarła pewnego parnego letniego sierpniowego dnia, kiedy Christian, spocony, wrócił do domu z zakupami na weekend. Ich córka Nicola była na szkolnej wycieczce nad morzem i Johanna cieszyła się na spokojny piątkowy wieczór z pizzą i DVD (Harry Angel z Mickeyem Rourke, którego jej mąż jeszcze nie widział; wygrzebała go w markecie z kosza z filmami po trzy euro) i poczuła się rozczarowana, kiedy ujrzała niezapowiedzianych gości w salonie. Christian i jego dwaj koledzy z kancelarii siedzieli rozparci na kanapie. Najwidoczniej opróżnili już kilka butelek wina. Johanna nie spodziewała się całusa na powitanie, Christian już od dawna robił to niechętnie. Kiedy wracała do domu, przeważnie dawał jej lekkiego klapsa w siedzenie albo, co zdarzało się od niedawna, szczypał delikatnie w brodawkę piersi. Tego dnia posunął się jeszcze krok dalej.

Nie potrafiła przypomnieć sobie wszystkich wydarzeń tego wieczoru, wiele z nich podświadomość łaskawie przechowywała w zamknięciu, ale to, co pamiętała, wystarczało, aby jeszcze dziś budzić się z krzykiem.

Christian wstał i otwartą dłonią uderzył ją w twarz.

- Długo każesz na siebie czekać, ty mała zołzo - powiedział z udawanym wyrzutem i odwrócił się do kolegów. - Jak uważacie, czy powinniśmy ukarać tę dziwkę?

Johanna wykrzywiła twarz, bezsensownie próbując odpowiedzieć uśmiechem na wybuch przemocy męża, który chciała potraktować jako niewinny żart. Koledzy prawnicy (obaj byli dobrze ubrani, w krawatach i garniturach z chusteczkami w kieszonkach marynarek; obaj mieli na palcach obrączki) śmiali się sprośnie. Dopiero teraz zauważyła film

porno, który szedł z wyłączonym dźwiękiem w telewizorze. Właśnie nagiej kobiecie nałożono na głowę skórzany kaptur.

- Coś wam przynieść? - zapytała Johanna drżącym głosem i do dzisiaj nie wiedziała, czy to nie był błąd. Czy Christian nie zrozumiał tego pytania jako przyzwolenia na rodzaj gry z podziałem na role.

Pokaz. Eufemizm Christiana na określenie przemocy domowej. W łóżku często szeptał jej do ucha, że chciałby w lesie przywiązać ją naga do drzewa, niczym łup dla przypadkowo przebiegających joggerów. Czasem jego fantazje bywały śmieszne (kiedyś chciał, żeby pracowała jako dziwka w burdelu), ale nigdy na serio się nie martwiła, że mogłby je urzeczywistnić. W ten letni wieczór zrozumiała swój błąd.

Następnego dnia zaczęła pić. Żeby się odurzyć. Żeby zapomnieć. O dniu jak dotąd jej największego cierpienia, które stało się przyczyną skierowania jej do Sankt Pfarrenhopp - cztery lata później, kiedy straciła już pracę, znajomych i znaczną część chęci do życia, a Christian przy stole kuchennym oznajmił jej, że chce się rozwieść. Zakochał się w kobiecie młodszej, ładniejszej i inteligentniejszej, studentce, która nigdy by się tak nie zapuściła. I oczywiście zabiera ze sobą Nicolę, ich córkę w wieku dojrzewania. Nie może przecież zostawić jej ze zdemoralizowaną pijaczką, która rzuca się na szyję pierwszemu lepszemu mężczyźnie jak tania dziwka.

Łzy popłynęły jej z oczu, ręce drżały tym razem wyjątkowo nie z powodu opadającego poziomu alkoholu we krwi. „Nie możesz tego zrobić - chciała wykrzyknąć mu w twarz. Nie możesz pozbyć się mnie jak zdartej wycieraczki i ukraść mi córki". Ale z jej ust wydobył się tylko zdławiony krzyk.

Christian potrząsnął głową w geście sprzeciwu, w jego oczach widniała pogarda. Wiedział, że wygrał bitwę, zanim się ona zaczęła. On był prawnikiem, ona psychicznie załamana pijaczką. Nagrywane przez niego filmy wideo, na których musiała oddawać się przyjacielom, znajomym i zupełnie obcym mężczyznom, przeciągnęłyby na stronę mężczyzny nawet najbardziej wyemancypowaną sędzię sądu rodzinnego. W filmach tych jedynie Johannie nie wolno było włożyć maski.

Pierwszy raz spróbowała odebrać sobie życie dwa miesiące po wyprowadzce Nicoli i Christiana, krótko po tym, jak jej córka zniknęła

bez śladu. Po trzeciej nieudanej próbie, w dniu, kiedy policja zaprzestała poszukiwania Nicoli, Johannę odwieziono do szpitala.

Przebywała tu już pół roku i dzięki kuracji odwykowej przynajmniej z głową powoli było coraz lepiej. Zęby istna ruina, wyniki badań wątroby ciągle katastrofalne, a ból przy oddawaniu moczu z dnia na dzień coraz bardziej znośny. Nie pociła się już tak mocno i odkąd łatwiej udawało się jej rozczesywać szczotką włosy, odważyła się wychodzić na dwór. Ale jej psychika była niezmiennie rozdarta, dalej czuła się szumowiną.

Szumowina w szlafroku, która samotnic włóczy się po parku na terenie kliniki.

Wydawało się, że jej wyniszczona postać nie przeszkadzała starszemu mężczyźnie na ławce, który na jej widok zawsze przyjaźnie się kłaniał i bez słowa zapraszał, żeby usiadła obok niego. Dzięki długiemu pobytowi w klinice Johanna czuła się częścią jej inwentarza.

Znała większość pensjonariuszy, przynajmniej z nazwiska, ale do tej pory nie wiedziała, z jakiego powodu skierowano tu jej milczącego sąsiada z ławki. Jeszcze nigdy nie widziała go w budynku kliniki ani przypadkowo na korytarzach, ani z innymi w jadalni przy wydawaniu posiłków. Ale zawsze kiedy rozprostowywała kości w parku, był tam sprawiający staromodne wrażenie mężczyzna. Wyprostowany jak świeca, z porządnie przystrzyżonymi jasnymi włosami, z tak ostro zaczesanym przedziałkiem jak kanty jego szarych flanelowych spodni, rzucał okruchy chleba gołębiom, sikorkom, szpakom i wróblom, które kłębiły się u jego stóp. Czasem posyłał Johannie szelmowski uśmiech i wkładał sobie do ust jeden okruch.

W tych nielicznych momentach ich niemego komunikowania się ledwie mogła oderwać wzrok od jego oczu, które wydawały się dużo młodsze, bardziej ożywione i zagadkowe niż on sam. Z trudem mogła oszacować wiek mężczyzny, mniej więcej niewiele przed sześćdziesiątką.

Dzisiaj zagadnęła go, kiedy tak przez chwilę siedzieli obok siebie, jak zwykle milcząc, i wsłuchiwali się w daleki szum autostrady.

- Czy mogę pana o coś zapytać? - Oczywiście.

Jego głos brzmiał przyjaźnie i przypominał jej dawno nieżyjącego korepetytora z matematyki, który nie tracił do niej cierpliwości, powtarzając jedno i to samo nawet dwadzieścia razy.

- Z jakiego powodu pan się tu znalazł?

Odwrócił się do niej, jego niezwykle oczy patrzyły prosto na nią.

- Z powodu pani.

Roześmiała się i oczekiwała, że zaraz to odwoła i obróci wszystko w żart. Ale mężczyzna pozostał poważny

- Jak mam to rozumieć?

- Nie jestem pacjentem. Jestem gościem.

- I przychodzi pan w odwiedziny... - zawahała się - przychodzi pan w odwiedziny do mnie?

- W istocie.

- Dlaczego?

- Żeby coś pani pokazać.

- Co?

- Dowód, że jak do tej pory życie bardzo dobrze się z panią obchodziło.

Nagle głos mężczyzny przestał być tak przyjazny, a on sam nie wyglądał już jak rencista, który karmi w parku gołębice, ponieważ nie ma nic lepszego do roboty w ciągu dnia.

- Proszę się dobrze temu przyjrzeć.

Podał jej fotografię. Johannie rozszerzyły się źrenice, kiedy jej wzrok padł na zdjęcie, na którym widać było wyraźnie twarz młodej dziewczyny.

Trwało to przerażająco długą chwilę, zanim w pełni pojęła okrucieństwo i brutalność obrazu, ponieważ umysł Johannya w odruchu samoobrony wzbraniał się przed rozpoznaniem rzeczy niemożliwej do wyobrażenia.

- Może ją pani zatrzymać powiedział mężczyzna i wcisnął jej do ręki polaroid. - Niech pani potraktuje to jako karę za winę, którą pani popełniła.

Wstał, poprawił marynarkę i sprawdził suwak przy rozporoku flanelowych spodni.

- A teraz proszę mi wybaczyć, obowiązki wzywają. Jak sama pani widzi, jeszcze nie skończyłem z pani córką.

Potem, zanim Johanna wybuchnęła krzykiem i zastygła jak sparaliżowana, gość się oddalił. Lekkim, sprężystym i energicznym krokiem. Krokiem szczęśliwego, zadowolonego człowieka, pogodzonego ze sobą i swoim światem.

Pięć miesięcy później

Obecnie

Rozdział 2

Alexander Zorbach (ja)

Niepożądana wigilancja. Najstraszniejszym horrorom często nadaje się całkiem niewinne tytuły. W dawnych czasach, kiedy miałem jeszcze coś takiego jak życie, przeprowadzałem wywiad z kobietą będącą w całkowitym szoku. Chociaż przytrafiło jej się to - niepożądana wigilancja - już lata temu, ciągle ulegała atakom paniki. O ile przedtem Lara Weitzmann nie miała problemu z małymi pomieszczeniami, o tyle potem nie wytrzymała nawet w przestronnym pokoju biurowym mojej gazety. Po dwukrotnych nieudanych próbach zrobienia wywiadu, podczas których nie przebrnęliśmy przez pierwsze pytanie dotyczące jej niewyobrażalnego bólu, musieliśmy przerwać i przenieść się do bardziej rozległego miejsca. I tak dopiero w ogrodzie zoologicznym w promieniach słońca wysłuchałem koszarnej opowieści młodej kobiety

- To była zwykła torbiel na jajniku - zaczęła cicho Lara Weitzmann i jeszcze dotąd przechodzą mnie dreszcze, kiedy przypomnę sobie jej łamiący się głos nagrany na taśmie dyktafonu. Głos, który tak dobrze pasował do wyglądu zewnętrznego Lary, jakby reżyser specjalnie dobrał go do tego słabego ciała. Trauma głęboko wryła się w jej psychikę i można to było dostrzec przy bliższym przyjrzeniu się. Lara była taka chuda, jej skóra tak biała i pergaminowa - obawiałem się, że promienie słońca przenikną przez jej ciało, gdy tylko stanęła w jego świetle.

- Nie wiedziałam, że coś takiego w ogóle istnieje - powiedziała Lara i potrząsnęła głową, jakby wciąż nie mogła w to uwierzyć.

Jej chirurg miał już na koncie tysiące takich rutynowych zabiegów i także u niej na początku nie wystąpiły komplikacje godne wzmianki. Przynajmniej takie, które miałyby związek z usunięciem torbieli.

Jak przy niezliczonych operacjach wszystko odbywało się standardowo. Tylko z jedną różnicą: Lara Weitzmann nie była nieprzytomna. Do dzisiaj nie wiadomo, czy podano jej złą dawkę narkozy, czy też cierpiała na jedną z rzadkich anomalii, przy których organizm zupełnie nie reaguje na anestezję. Zostały sparaliżowane wyłącznie jej zdolności motoryczne. Lara była przytomna, ale nie mogła zwrócić na siebie uwagi lekarzy. Nie mogła pokazać, że wszystko czuje: skalpel, który rozpruł ścianę jamy brzusznej. Stalowe klamry, które wprowadzono do jej ciała, aby przytrzymać otwartą ranę operacyjną, oraz ukłucia igłą, którą po niecałej godzinie zszyto ranę. Chciała

wykrzyczeć swój ból lekarzom i pielęgniarkom, którzy w czasie zabiegu rozmawiali o trudnościach ze znalezieniem w Berlinie przedszkola, do którego nie uczęszczałyby dzieci imigrantów. Daremnie. Nikt nie mógł usłyszeć wewnętrznego krzyku, który jeszcze dziś w niej wzbiera.

Niepożądana wigilancja. Pacjenci, którzy budzą się podczas opernej i z pełną świadomością bólu i nie mogą tego okazać.

Statystycznie zdarza się to tak rzadko, że potrzebujemy liczby z zerem przed i po przecinku, aby to zobrazować. 0,03 procent. Bywa tak nieprawdopodobne jak uderzenie pioruna w słoneczny dzień. Brzmi uspokajająco, przynajmniej dopóki człowiek jest świadomy tego, że mogą to być trzy przypadki na dziesięć tysięcy Trzydzieści osób na wypełnionym do ostatniego miejsca stadionie olimpijskim. Rzadko, ale nie niewyobrażalnie rzadko.

Odkąd stałem się zabawką w rękach kolekcjonera oczu, człowieka, który pozbawił życia moją żonę i uprowadził mi syna, wiem, jak Lara Weitzmann musiała się wtedy czuć na stole operacyjnym. Kiedy została na żywca rozkrojona, a zaaplikowane jej środki przeciwbólowe były tak skuteczne jak plaster na złamany kręgosłup.

Jakże często próbujemy mamić się statystykami, które umniejszają ryzyko utraty życia. Zawsze ktoś jest smutnym przypadkiem odpowiedzialnym za przecinek po zerze. I czasem sami się nim stajemy. Wtedy widzimy na własne oczy, jak uderza piorun, chociaż świeci słońce, tak jak dzisiaj w ten lodowaty grudniowy dzień, kiedy w końcu stoję przed kryjówką, w której kolekcjoner oczu uwięził mojego syna. Dał mi czterdzieści pięć godzin i siedem minut, żebym go znalazł. Gdybym przyszedł za późno, choćby kilka minut, Julian udusiłby się w swoim lochu. Takie są reguły gry Perwersyjne i nieodwołalne. Dlatego wiem, co mnie czeka, kiedy otworzę gródź i wejdę w ciemność.

Siedem minut po upływie ultimatum.

Rozdział 3

- Cholera - mówi za moimi plecami mężczyzna z latarką w ręku. Przez krótką chwilę czuję neodparte pragnienie, aby się odwrócić i z całej siły walnąć go pięścią w twarz. Nie chcę dłużej tłumić w sobie rozpacz, a Stoya, mimo pistoletu w prawej dłoni, wydaje się w moich oczach piorunochronem. Przynajmniej przez chwilę, nie dłuższą niż mrugnięcie powieką, ale wtedy stożek światła latarki trzymanej przez niego w lewej ręce prześlizgnął się po małym pudełku na metalowej podłodze. Zamarłem w bezruchu.

- Wycofać się - słyszę głos komisarza, który mówi do krótkofalówki. - I przyślijcie ekipę. Coś tu leży.

Tak, coś tu leży. I nie jest to mój syn.

Klękam na podłodze i opieram się rękami na kracie, kiedy słyszę za sobą buciory oddziału specjalnego wbiegającego po stalowych schodach.

Radę, aby szukać Juliana na tym wycofanym z użycia gazowcu, dał nam strażnik hamburskiej stoczni. Wczesny emeryt miał strzec uwięzionej w suchym doku barki przed plądrowaniem przez zbieraczy złomu. Podczas obchodu ładowni wydało mu się, że słyszy płacz dziecka, i zgłosił to przełożonym.

Nabieram powietrza w płuca. Tu, głęboko w brzuchu starego statku, czuć zapach oleju, smaru i potu. Kurzu, moczu i strachu. Ale najgorsze jest to, że czuć Juliana.

Jego ciepłą skórę i mokre włosy, które zawsze przyklejają mu się do czoła, kiedy stoi bez tchu w sieni, ponieważ znów stracił poczucie czasu i biegł całą drogę z boiska do domu, żeby nie spóźnić się na kolację. Słodkawy wyrazisty zapach dziesięciolatka, tak uwielbiany u własnej latorośli, ale u obcych dzieci szybko uznawany za nie do zniesienia, kiedy człowiek jest wystawiony na jego skoncentrowane działanie, na przykład po zajęciach sportowych w szatni piątej klasy.

- Źle pan słyszy? - pyta stojący obok mnie Stoya. Sprawia niesamowite wrażenie w bladym świetle, które odbija się od metalowych ścian. Widać, że brakuje mu snu, zapadła twarz wydaje się składać już tylko ze zmarszczek i woreczków łzowych i pod tym względem jest prawdopodobnie bardzo podobna do mojej.

- Tu na dole nie ma nic prócz pudełka. Przypuszczalnie jest to bomba, która może wybuchnąć nam prosto w twarz.

Nabieram głęboko powietrza, wentyluję płuca przez nos i czuję: pomiędzy wyziewami strachu i bólu, unoszącymi się w tej mrocznej kryjówce tak samo jak zapach lakieru, środków czyszczących i starego diesla, w powietrzu wisi słaba, ale mimo to ewidentna esencja Juliana. Wiem, że mój syn był tutaj. Tu, w ładowni statku, przez ostatnie czterdzieści pięć godzin czekał na swojego ojca, w szponach potwora, który zamordował jego matkę. Lewy dalszy róg, tam, gdzie leży zerwana lina kotwiczna, wybrał na miejsce załatwiania potrzeb fizjologicznych. W ciemności prawdopodobnie tępo drapał paznokciami po metalowych ścianach, żeby znaleźć wyjście z tego lochu.

- Okay, okay. Już idę - mówię i unoszę ręce. - Jeszcze mi życie miłe - dalej kłamię.

Stoya kiwa głową zadowolony i popełnia poważny błąd. Trochę niezdarnie kładzie rękę na moim ramieniu, żeby okazać mi współczucie. W drodze do Hamburga opowiadał mi o swojej rodzinie. O półtorarocznej bratanicy, która zawsze mówi pam zamiast pan, chociaż w innych słowach wymowa głoski m przychodzi jej z łatwością.

Stoya chce dać mi do zrozumienia, że jest człowiekiem kochającym rodzinę, a nie tylko szefem wydziału zabójstw. Że potrafi zrozumieć, co czuję. Być może naprawdę to rozumie, kto wie? Ale myli się, jeśli sądzi, że strach przed bombą mógłby odciągnąć mnie chociaż o milimetr. Jestem tu. Tu, w ostatnim miejscu, które widział mój syn. I jestem, w każdym znaczeniu tego słowa, u celu swoich koszmarów. Nie ma innego miejsca na świecie, dokąd mógłbym pójść. Znajduję się w podobnym stanie jak Lara Weitzmann. Środkiem znieczulającym jest szok, nie dość silny, żeby całkiem odebrać mi świadomość, ale wystarczający, aby nie móc się dłużej bronić przed kolekcjonerem oczu. Cierpię na niepożądaną wigilancję. Tylko że w moim wypadku, w przeciwieństwie do Lary Weitzmann, operacja ciągle trwa.

Stoya nie rozumie tego wszystkiego, niczego nie przeczuwa. Dlatego nie jest przygotowany, kiedy klękam i od dołu uderzam go głową w podbródek. Wydaje jęk, potyka się, ale najpierw wypada na zewnątrz przez otwarte stalowe drzwi, gdy wyrywam mu z ręki latarkę i wymierzam kopniaka w brzuch.

Nie trwa to nawet trzech sekund, kiedy zamykam gródź od środka i odcinam drogę policjantom. W tym momencie dzwoni moja komórka.

Rozdział 4

Wyświetlacz pokazuje, że tu na dole jest bardzo słaby zasięg, za to tym wyraźniejsze jest nazwisko potwora odpowiedzialnego za moje wszystkie męki: Frank Lahmann. Kolekcjoner oczu, który przydomek zawdzięcza temu, że wszystkim uprowadzonym przez siebie ofiarom usuwa po śmierci lewe oko.

Odbieram połączenie i przyciskam telefon do ucha.

- Halo, Alex - mówi Frank. Tysiąc razy witał się tak ze mną przez telefon oraz w redakcji. Głos brzmi obojętnie, rzeczowo i nie słychać w nim emocji. Jakbyśmy byli tylko kolegami z redakcji i mieli do omówienia wspólnie przygotowywany artykuł, który za godzinę trzeba oddać do druku. Jakby nie złamał karku mojej żonie i nie uprowadził mi syna.

„Znajdę cię - chcę wrzasnąć. Znajdę cię, nawet jeśli zajmie mi to resztę życia. I lepiej dla ciebie, jeśli stanie się to wcześniej niż później. Bo im dłużej będę cię szukał, tym będę miał więcej czasu, żeby wymyślić metodę tortur, która cię zabije”.

Ale mój stan niepożądanego nadzoru nie pozwala na taką apodyktyczność, chrypię więc do słuchawki jedno jedyne słowo:

- Gdzie?

Gdzie jest Julian? Gdzie przeniosłeś jego ciało?

To kolejna charakterystyczna cecha jego modus operandi: kolekcjoner oczu nigdy nie zostawia ciał w kryjówkach, lecz porzuca je pod gołym niebem. W zalesionej okolicy, podobnej do tej, gdzie wtedy stała zamrażarka.

- Przychodzisz za późno - mówi. Za moimi plecami Stoya łomocze jak szalony w zamknięte stalowe drzwi, dlatego ledwie mogę zrozumieć Franka. - Ale wybaczam ci.

- Ty mi wybaczasz?

- Tak. Chociaż źle zinterpretowałeś wszystkie znaki, Alex. Chociaż marnowałeś czas na ściganie mnie i pisanie jeden za drugim artykułów na mój temat, zamiast świętować jedenaste urodziny syna. Chociaż nie jesteś lepszy od wszystkich ojców, którzy marnują życie na pracę, zamiast poświęcić się swoim dzieciom, to jednak szanuję szczególną więź między nami.

Szczególna więź. Robi mi się tak niedobrze, że aż mnie zatyka. Frank był moim asystentem. Wykształciłem go w brukowcu, w którym

pracowałem. Zatrudniłem go i zawsze wstawiałem się za nim u szefa redakcji, ponieważ sądziłem, że w jego przemyślanej osobie i zapale do pracy rozpoznaję część samego siebie. Wiem, że pomysł znalezienia na własną rękę i wspierania mordercy mojej rodziny kiedyś, kiedy już wszystko się skończy, wpędzi mnie w obłąd.

- Nigdy nie chciałem, żebyśmy zostali przeciwnikami. Alex. Naprawdę byłeś dla mnie wzorem. Zrobiłem to wszystko dlatego, żebyś trzymał się z daleka od mojego pola gry. Jednak ty nie chcesz słuchać. Ale jak powiedziałem, nie jestem okrutny. Naprawdę cię lubię. Być może kieruje mną głupi sentyment, jednak ze względu na naszą przeszłość chcę dać ci drugą szansę uratowania Juliana.

Uratowania?

W tej sekundzie zrozumiałem, dlaczego ludzie wierzą. Modłę się do każdego znanego mi boga, aby sadyzm Franka nie zaszedł tak daleko, żeby robić mi nieuzasadnioną nadzieję.

- Czy Julian żyje?

- Tak. Ale, jak wiesz, ten stan jest zmienny.

- Co mam zrobić? - pytam i staram się ignorować krzyki dochodzące zza stalowych drzwi. Stoya nie jest już sam i grozi, że ewakuuje statek i mnie tu zostawi, jeśli natychmiast nie wyjdę.

W stanie wzburzenia, w jakim trwam, nagle nie jestem pewny, czy w ogóle zadałem ostatnie pytanie, czy tylko pomyślałem, pytam więc jeszcze raz:

- Co mam zrobić, żebyś go uwolnił?

Odpowiedź Franka jest zarówno zwięzła, jak i niezrozumiała.

- Trzyście. Dziesięć. Siedemdziesiąt jeden.

- Co to jest?

- Liczby.

- Do czego ich potrzebuję?

- Do otwarcia pudła.

Uniesienie lewej ręki przyplaciłem niewiarygodnym wysiłkiem. Kiedy w końcu mi się udało, snop światła latarki objął przedmiot, który stał u moich stóp, dokładnie na środku kwadratowej ładowni.

Drewniana skrzynka z zaśnieżonymi mosiężnymi okuciami przypomina starą szkatułkę na biżuterię. Nicci miała podobną, tylko mniejszą, do dzisiaj stoi ona na półce nad naszym łóżkiem, chociaż nigdy nie przechowywaliśmy w niej ani jednej sztuki biżuterii. Moja

żona wypatrzyła tę pękatą, wyłożoną aksamitem szkatułkę na pchlim targu przy Strasse des 17. Juni i podobnie jak wiele bezużytecznych przedmiotów przydźwigała do naszego domu przy Rudower Dorferblick. Wspomnienie, jakie teraz wywołało we mnie to pudełko, sprawiło, że łzy napłynęły mi do oczu. Co bym dał, żeby móc pokłócić się z Nicci o bezużyteczny przedmiot w sypialni, na którym tylko zbiera się kurz. Frank na zawsze odebrał mi tę możliwość.

Znasz powiedzenie „Kocham cię nad życie”? - słyszę jego pytanie. Ucho, do którego przyciskam telefon, pali jak ogień. Klękam i sięgam ręką do zamka numerycznego, który zabezpiecza pudełko.

- Nie słyszę cię, Alex.

- Tak. Tak, znam to powiedzenie - odpowiadam i kręcę ciężko obracającymi się pierścieniami, na których widnieją liczby.

Trzydzieści. Dziesięć. Siedemdziesiąt jeden. - I jak? Zrobisz to? - Co?

Ostatnia cyfra i zamek odskakuje z niespodziewaną siłą, uwalnia się od rygla i spada na ziemię. Otwieram skrzynkę i znajduję w niej właśnie to, czego się spodziewałem. - Czy kochasz Juliana nad życie? - Tak.

- W takim razie udowodnij to.

- Mam się zastrzelić? - pytam i wyjmuję pistolet z pudełka. Broń wydaje się lekka jak zabawka, ale z mojego dawno zakończonego życia policjanta wiem, jaki niszczycielski efekt może wywołać celny strzał. W mojej dłoni spoczywa taki sum model, z jakiego przed laty zastrzeliłem chorą psychicznie kobietę, która chciała zamordować swoje dziecko.

- Tak. Ale musisz zrobić to w konkretny sposób. W konkretny sposób?

- Co to znaczy?

- Słyszysz ten dźwięk?

Jeszcze mocniej przyciskam słuchawkę do ucha i tykanie stopera staje się głośniejsze. Muszę się opanować, żeby nie wrzasnąć na Franka.

Porzuć swoje chore gierki. Oddaj mi Juliana. A potem ukryj się lepiej, niż ukryłeś każdą z twoich ofiar. Bo ja, albo ktoś inny, znajdę cię i...

- Masz jeszcze cztery minuty i sześć sekund - mówi Frank i tykanie zegara przycicha. - Przyłóż lufę pistoletu do lewego oka i naciśnij spust. Kiedy zobaczę w „Wiadomościach” twoje zwłoki, uwolnię Juliana. Ale

jeśli będziesz za długo zwlekał, stracisz jedyny atut, a ja uduszę Juliana i wydłubię mu lewe oko.

Jak wcześniej wszystkim innym dzieciom.

- Aha, i jeszcze jedno: jeśli coś wzbudzi moje choćby najmniejsze podejrzenia, że blefujesz... Frank robi krótką przerwę. - ...jeśli z jakiegoś powodu zwątpię w twoją śmierć, wykonam wyrok na Julianie, a ty nigdy nie znajdziesz jego ciała. Wtedy nie będziesz szukał syna, lecz jego szczątków, i nie znajdziesz niczego, co mógłbyś pochować. Ryba jeszcze trzepocze się w mojej sieci. Jeszcze mogę przekazać policji wskazówki, jak znaleźć Juliana. Wskazówki, które uratują mu życie. Zrozumiałeś?

- Tak - chrypię.

- To dlaczego wciąż słyszę twój głos? Na twoim miejscu użyłbym wreszcie tej choleralnej broni tak, jak ci powiedziałem! Czas ci ucieka!

Wciąż klęczę przed szkatułką. Latarkę położyłem na ziemi, żeby w jednej ręce móc trzymać telefon, a w drugiej pistolet. Teraz powoli wstaję. Za stalowymi drzwiami zrobiło się cicho, z czego można wnioskować, że Stoya spełnił groźbę i wycofał się.

- Chcę z nim porozmawiać - mówię zadziwiająco twardym głosem i czuję, że między łopatkami spływa mi zimny pot. Ciężko oddycham. - Z moim synem. Daj mi go.

- To mnie obraża, Alex. Czy już nie masz do mnie odrobiny zaufania? Chociaż tak często udowadniałem ci, że trzymam się zasad fair play?

Na linii rozlega się buczenie i na jego ostatnie słowa nakłada się szmer jakby z drugiego planu. Brzmi to tak, jakby Frank włączył maszynkę do golenia. Ale prawdopodobnie tylko zmienił stanowisko i podszedł bliżej do jakiegoś urządzenia technicznego. Wykorzystuję przerwę, aby rzutem oka na komórkę upewnić się, że włączyłem dyktafon i nasza rozmowa się nagrywa.

- Kto przekazał ci decydującą informację, która doprowadziła do uratowania bliźniaków? - pyta dalej. - Mogłem wcześniej wyprowadzić dzieci z kryjówki, zanim je znalazłeś, ale ja trzymałem się reguł gry.

- Ja. Chcę. Mówić. Julian - wydusiłem z siebie. Wydawało mi się, że każdy oddech coraz silniej naciska na moje płuca. Wiem, że narastająca panika zabiera mi cenny czas. Zaraz dostanę szoku tlenowego.

Przez jakiś czas nic się nie dzieje, tylko szum w tle na drugim końcu połączenia staje się głośniejszy. Potem rozlegają się trzaski i słychać westchnienie Franka.

- No dobrze, robię to dla ciebie, Alex. Ale krótko. Masz jeszcze czterdzieści sekund.

Buczenie ustaje i przez krótką chwilę obawiam się, że połączenie się zerwało, lecz wtedy słyszę jedno wyszeptane słowo, które sprawia, że w oczach stają mi łzy.

- Tata?

- O Boże, Julian.

Głos mojego syna, który brzmi dużo bardziej dziecinnie, niż pamiętam, jest jednocześnie solą i balsamem na psychiczne rany, które rozdrapał mi Frank.

Nogi uginają się pode mną i znów klękam, zanim stracę równowagę. Przez ostatnie dni w ogóle nie spałem, byłem torturowany i o mało co utopiłbym się podczas ratowania dwójki dzieci. Trzymałem w ramionach swoją zamordowaną żonę i wszelkimi sposobami ścigałem tego psychopata - ale nie jestem u kresu. Jestem na początku. Po wszystkich trudach, po upływie terminu ultimatum, które mi postawiono, w końcu jednak mi się udało. Już tak niewiele brakuje, żebym uratował jedenastoletnie życie Juliana. Wymianę, którą proponuje mi Frank, odczuwam w tej chwili jako zbawienny prezent.

- Kiedy przyjdiesz? - pyta Julian. Po głosie wnioskuję, że jest zmęczony i przestraszony, jak kiedyś, kiedy zapukał do drzwi naszej sypialni, ponieważ burza wyrwała go ze snu.

- Nie wiem, kochany - szepczę i przykładam broń.

- Jeszcze dziesięć sekund - słyszę w tle wołanie psychopaty. Julian zaczyna płakać.

- Kocham cię, tato.

- Ja ciebie też. Na zawsze.

Nabieram głęboko powietrza i wstrzymuję oddech. Jednocześnie przyciskam lufę pistoletu do lewego oka. Kiedy chcę odruchowo odetchnąć, bo moim płucom grozi rozerwanie, naciskam spust.

Rozlega się przeraźliwa eksplozja i następujący po niej huk, który w szczytowym punkcie, zaraz po tym jak pocisk przewiercił mi czaszkę, nagle się urywa - i wtedy wszystko znika: ładownia, pistolet w mojej dłoni, światło i wybuch. A potem...

Czerń.

Świat, w którym zmarnowałem ostatnie lata swojego życia i wszystko straciłem, przestaje istnieć.

Siedem tygodni później

Rozdział 5

Alina Gregoriev

- Czy mam się rozebrać?

Głos Zarina Sukera był jakby stworzony do tego, aby przekazywać złe wieści. Miękki, ciepły i empatyczny. Jeśli wierzyć ludziom, którzy znali go bliżej, był to głos mistrza sali operacyjnej, wielokrotnie wyróżnianego członka towarzystwa akademickiego.

Głos gwałciciela i mordercy.

„Według naszych akt Suker zalicza się do grona najbardziej doświadczonych chirurgów ocznych na świecie - tak wyraził się o nim nadkomisarz Phillip Stoya w pierwszej rozmowie o Sukerze, którą przeprowadzili w jego biurze. - Specjalista od najbardziej skomplikowanych operacji ludzkiego narządu wzroku. Najmłodszy i najlepszy absolwent na swoim roku. Ukończone cztery uniwersytety. Właściciel patentów na liczne urządzenia medyczne między innymi skalpel noszący jego imię. Nóż Sukera. Wynalazł go, aby można było dokładniej przeprowadzać korekcję nerwu wzrokowego. Miał wtedy dwadzieścia trzy lata”.

- Proszę odsłonić górną część ciała - odpowiedziała Alina swojemu budzącemu grozę pacjentowi.

Dzisiaj po raz setny przeklęła Stoyę, który nakłonił ją do tego szalonego przedsięwzięcia.

„Proszę, niech pani wyświadczy mi przysługę” - błagał i zachowywał się przy tym tak, jakby to nie w jego ręku znajdowały się wszystkie atuty. Jakby komisarz nie dysponował informacjami, którymi była szantażowana. Informacjami, dla których zrobiłaby wszystko.

Przeklęty dupek, to przez niego teraz tu jestem.

Tu, w tej norze na zamkniętym oddziale szpitala więziennego, gdzie śmierdziało środkami dezynfekcyjnymi i gumową wykładziną, gdzie jej słowa uderzały o gołe ściany i gdzie nie miała nic do stracenia.

- Mam nadzieję, że jest pani ostrożna - powiedział Suker. - I nie sprawi mi pani bólu. - Do uszu Aliny doszedł nieprzyjemny, prawie sprośny odgłos, kiedy wysoka i chuda postać oparła się na pryczy pokrytej sztuczną skórą.

Żadna z ofiar Sukera nie zginęła bezpośrednio z jego rąk. Kobiety wytrzymały tortury cielesne, ale nie wytrzymały ran psychicznych, które zadawał im podczas trwających wiele dni tortur i które

przyczyniły się do popełnienia przez nie samobójstwa. Dwie kobiety się powiesiły, jedna wykrwawiła się w wannie napełnionej ciepłą wodą. Ostatnia i zarazem najmłodsza rzuciła się pod tramwaj w Friedrichshain.

- Proszę, żeby usiadł pan prosto - powiedziała Alina.

Początkowo lekarz szpitalny upierał się, aby asystować podczas badania więźnia, lecz nadkomisarz Stoya, który nie życzył sobie świadków w tej nietypowej terapii, zignorował to życzenie i teraz Alina znajdowała się sama z potworem w gabinecie zabiegowym szpitala więziennego. Sama z bestią, której będzie musiała zaraz dotykać.

Pomieszczenie zostało naszpikowane ukrytymi mikrofonami, a przed drzwiami ustawiono dwóch uzbrojonych strażników, którzy na cień podejrzenia w ciągu sekundy wpadliby do środka i stanęli przy niej. Mimo to Alina myślała o wszystkim, tylko nie o tym, że jest zamknięta z psychopatą, który nie ma na sobie kaftana bezpieczeństwa ani kajdanek, chociaż wiedziała, że Suker jeszcze nigdy spontanicznie nie zabił nikogo gołymi rękami.

Zarin Suker. Już samo nazwisko było jak przyznanie się do winy. Brzmiało strachem, bólem i mękami. Oczywiście miała świadomość, że tak je odbiera pod wpływem nagłówków w brukowej prasie, które już wydały wyrok na pięćdziesięcioośmioletniego okulistę: gwałciciela i bestialskiego oprawcę kobiet.

Alina przejechała dłonią po laminowanym blacie stołu, na którym postawiła plecak. Przypominał jej blat szkolnej ławki, za który musiała się wciskać, będąc dzieckiem. Zdziwiła się, skąd wzięły się na powierzchni tak głębokie rowki i zadrapania.

- Co się stało z pani oczami? - zapytał nagle Suker. Spodziewała się tego pytania, ponieważ włożyła okulary przeciwsłoneczne, jak zawsze, kiedy spotykała się z ludźmi, których nie cierpiała, na przykład z niesympatycznymi pacjentami. Podczas tego rodzaju spotkań traktowała okulary jak przyłbicę, która chroniła ją przed natrętnymi spojrzeniami.

- Moje oczy nie mają tu nic do rzeczy - odpowiedziała i wywołała z pamięci rzut poziomy kwadratowego pomieszczenia. Przyszła godzinę wcześniej i nauczyła się go, zanim dwaj strażnicy wprowadzili Sukera. Nauczyła się na pamięć odstępów pomiędzy stołem, pryczą i krzesłami. Badała nawet rękami ściany, aż dosłownie na ślepo orientowała się w pomieszczeniu.

W dobrze znanym otoczeniu zawsze poruszała się bardzo pewnie, do tego stopnia, że wiele osób dopiero po chwili zauważało jej wadę wzroku, co w znacznym stopniu miało związek z jej ekstrawaganckim wyglądem. Alina nie widziała, a mimo to była „człowiekiem optycznym”. Nie musiała widzieć świata, w którym żyła, własnymi oczami, aby wiedzieć, że jego formy zewnętrzne były ważniejsze od wartości wewnętrznych. Opakowanie definiowało zawartość. Tylko głupek mógł negować tę banalną mądrość życiową.

Kiedy pokazywała się publicznie w ulubionych ciuchach (skórzanych džinsach z dziurami na kolanach, jaskrawozielonych martensach i swetrze Abercrombie), nigdy nie traktowano jej szczególnie uprzejmie. Gdy wkładała kostium bizneswoman, pantofle Manolo Blahnika i stanik z push upem pod obcisłą bluzkę, nie mijało nawet trzydzieści sekund, a już ktoś proponował jej kawę, obojętnie, czy wchodziła do butik, czy do banku. Uwagę większości najpierw przyciągała jej niezwykła prezencja, a przede wszystkim rzucały się w oczy włosy. Zależnie od aktualnego nastroju były raz krótkie, raz długie, raz mocno związane, raz ondulowane, uczesane w sztywną grzywkę, innym razem w warkoczyki rasta, a nierzadko zmieniały kolor nawet kilka razy dziennie. Zdolność przeobrażania się była możliwa dzięki niemal niewyczerpalnemu zapasowi peruk z prawdziwych włosów, w które inwestowała dużą część zarobków fizjoterapeutki.

Dzisiaj w związku z zaistniałą sytuacją zdecydowała się na skromną kombinację białych džinsów, zimowych butów na płaskim obcasie i szarego golfa. Długie, czarne, rozpuszczone włosy. Był weekend, w ostatnich miesiącach przeszła piekło i miała ochotę na coś ekstrawaganckiego. Na przykład kamuflujące ubranie w maskujących kolorach, w którym przypominała wojowniczkę z plemienia Amazonek, zwłaszcza kiedy rezygnowała ze sztucznych fryzur i paradowała przed światem z ogoloną na łyso głową. Abstrahując od tego, że przy syberyjskich lutowych temperaturach pomysł mógł nie wyjść jej na zdrowie, ten styl i tak raczej nie wzbudziłby zaufania Sukera; dlatego dzisiaj zjawiała się przed bramą zakładu karnego w przyzwoitym ubraniu, co Stoya przyjął z ulgą.

- Nie chciałem podchodzić do pani zbyt blisko - powiedział okulista. - Ale zsunęły się pani okulary przeciwsłoneczne i zauważyłem

charakterystyczne zmętnienie, które według mnie wskazuje na to, że nie jest pani niewidoma od urodzenia, czy mam rację?

Alina przytaknęła i w tej samej chwili ogarnęła ją złość na swoją reakcję. Od wypadku minęło już dwadzieścia trzy lata, a mimo to żadne z jej wspomnień nie było bardziej wyraźne od tego z chwili eksplozji, która odebrała jej wzrok.

- Chce pan, żeby zrobić panu masaż, czy nie? - zapytała więźnia trochę bardziej szorstko, niż zamierzała.

- Dlaczego tak niesympatycznie, moje dziecko? - Suker potrząsnął głową z uśmiechem.

Niesympatycznie? Nie byłoby niesympatycznie, gdyby posiać ci kulkę w łeb za to, co zrobiłeś tym kobietom. I jeśli jeszcze raz powiesz do mnie „moje dziecko”, plunę ci w twarz.

- No dobrze. - Wzięła ze stołu butelkę z olejkiem do masażu, którą przyniosła ze sobą, i z powrotem włożyła ją do plecaka.

- Co pani robi?

- A jak pan myśli? Wychodzę.

Zasunęła zamek błyskawiczny i zarzuciła torbę na ramię.

- Powiedziano mi, że podczas gimnastyki w celi naciągnął pan ścięgno i potrzebuje profesjonalnej pomocy, ale wygląda na to, że tylko marnuję tu czas.

„Idiota naciągnął sobie coś w okolicy kręgu lędźwiowego podczas ćwiczeń mięśni brzucha. Niech pani zdobędzie jego zaufanie i namówi go do wzięcia serii masażu. Kiedy pani go dotknie, być może...” - Podczas wstępnej rozmowy Stoya po prostu przerwał w tym miejscu, prawdopodobnie dlatego, że zorientował się, jak głupio by zabrzmiało, gdyby dokończył zdanie.

- Co ma znaczyć ta gra, Alino? - ni stąd, ni zowąd zapytał Suker.

Zamarła, kiedy usłyszała swoje imię z jego ust. Przedstawiła mu się przecież jako Sabine Schneider.

Do diabła. Mogłam się domyślić.

Teraz nastąpiło dokładnie to, czego się obawiała.

„Rozpozna mnie. Moje zdjęcie było prawie we wszystkich gazetach, a nazwisko w każdym czasopiśmie”.

Stoya rozprawił się z jej protestem za pomocą kilku słów.

„Suker od prawie dwóch miesięcy siedzi w pojedynczej celi. Nie ma telewizora, internetu ani dostępu do żadnych mediów. Ponieważ według

opinii psychologa stanowi zagrożenie dla współwięźniów, zakazano mu wszelkich kontaktów. Sam przebywa na spacerunku i nie ma nawet sąsiada za ścianą, z którym mógłby się komunikować. Pani, Alino, jest sławna dopiero od kilku tygodni. Dla niego jest pani tylko niewidomą fizykoterapeutką. Myślę, że możemy podjąć ryzyko".

- Czy naprawdę myśli pani, że nie wiem, kim pani jest? - zaśmiał się Suker. Usłyszała, jak powoli wstaje z pryczy. - Pani pełne nazwisko brzmi Alina Gregoriev, dwadzieścia sześć lat, niewidoma od trzeciego roku życia. - Chirurg recytował informacje, jakby nauczył się ich na pamięć. - Córka przedsiębiorcy budowlanego i gospodyni domowej, wychowywała się w Kalifornii, od dawna miewa zaburzenia zachowania. Kiedy urzędnicy chcieli posłać panią do szkoły dla niepełnosprawnych, wywalczyła pani w sądzie prawo do uczęszczania do publicznego gimnazjum. A kiedy odrzucono pani podanie o pracę jako osoba przeprowadzająca uczniów przez ulicę, znów odwołała się pani do sądu administracyjnego. I znów odniosła sukces.

Słyszysz to, Stoya? To tyle, jeśli chodzi o twoja tezę, że Suker nie ma w kiciu dostępu do informacji. Super. Niezłe kino.

Alina podniosła obie ręce, jakby się poddała, ale nie udało jej się przerwać potoku słów lekarza.

- W wieku siedemnastu lat ujęta przez policję, kiedy samochodem odwoziła pani do domu pijanego przyjaciela. Dwa lata później zajęła pani trzecie miejsce w zawodach windsurfingowych, będąc jedyną niewidomą wśród dwóch setek widzących. Po ukończeniu nauki na kierunku fizykoterapii przez rok podróżowała pani po świecie, w Chinach nauczyła się pani techniki shiatsu i okrężną drogą przez Afrykę Południową, Indie, Nową Zelandię i Amerykę Południową w końcu dotarła pani do Berlina, osiadła tam i otworzyła gabinet przy Brunnenstrasse.

- Brawo! - Alina bardzo powoli zaklaskała w dłonie. - Czy ma pan przy sobie swoje zeszyty szkolne albo coś w tym rodzaju, gdzie mogłabym przykleić gwiazdkę, ponieważ tak dobrze odrobił pan pracę domową?

- Czyli to, co o pani napisano, jest prawdą? - Głos Sukera stracił pryncypialny ton. - Mówi się, że jest pani medium i potrafi widzieć przeszłość, czy to prawda? Czy naprawdę leczyła pani w swoim gabinecie kolekcjonera oczu i podczas masażu zobaczyła, co ten zbrodniarz robił biednym dzieciom? To znaczy, że tylko dzięki pani informacjom Alexandrowi Zorbachowi udało się uwolnić bliźniaki ze szponów Franka Lahmanna.

Suker zaśmiał się śmiechem człowieka, który nie zna radości. Alina najchętniej by go spoliczkowała, kiedy w następnym pytaniu trafił w sedno:

- A teraz ma pani powtórzyć ten cud i znaleźć dowód, który uniemożliwi wypuszczenie mnie na wolność, czy tak? Ma pani mnie dotknąć i zobaczyć moją przeszłość. - Usłyszała jego zadowolony chichot. - Przecież tego się od pani oczekuje. Że zrobi mi pani masaż, a potem zaprowadzi śledczych do ukrytego przeze mnie skalpela, którym bez znieczulenia obcinałem kobietom powieki...

Rozdział 6

Kiedy wydawało się, że pytanie Sukera zawisło w powietrzu, Alina pomyślała o pierwszej rozmowie sprzed tygodnia, kiedy Stoya przekonał ją do tego szalonego przedsięwzięcia.

- Mam tutaj ekspertyzę psychologiczną, która poświadcza bardzo ciężkie zaburzenia socjopatyczne Zarina Sukera i zaleca natychmiastowe umieszczenie go w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym, gdy tylko zostanie skazany - zaczął swój monolog komisarz. - I ta ekspertyza nie została opracowana na zlecenie prokuratury, lecz obrony. Podrzucili mi tę sprawę, ponieważ nawet adwokat Sukera usiłował coś zrobić, aby ta bestia nie znalazła się znów na wolności. Najchętniej pokazałbym pani zdjęcia jego ofiar, ale to przecież niemożliwe. Myślę jednak, że na podstawie tego wyrobi sobie pani całkiem niezłą opinię.

Alina usłyszała najpierw buczenie, a potem szum, jakie znała z kaset magnetofonowych, które kiedyś jej ojciec puszczał w samochodzie. Potem szum został przerwany przez hałas, który nią wstrząsnął. Dźwięki wydobywające się z magnetofonu Stoi najbardziej przypominały krzyk. Najmniej żyjącą istotę.

Rzęzące wycie zaczynało się na wysokich częstotliwościach, tuż powyżej granicy słyszalności. Po krótkim trwaniu na tym poziomie głoś, okropnie fałszując, zaczął ześlizgiwać się w dół do niskich dźwięków gamy, przy czym z każdym kolejnym tonem zwierzęce wycie stawało się coraz głębsze i donośniejsze, aż w końcu, już na samym dole gamy, przeszło w pierwotny krzyk, który zdawał się czerpać siłę z najstraszniejszych koszmarów. Dopiero kiedy krzyk przeszedł w przeciągłe skrzeczenie, Alina zrozumiała, że kobieta została poddana najokrutniejszym męczarniom.

- Wielki Boże, co on z nią robi?

- W tej chwili? - Stoya znów zatrzymał taśmę. - Zupełnie nic. Ofiary Sukera wydają takie odgłosy, mimo że on już dawno z nimi skończył. Kobieta, którą właśnie słyszeliśmy, nazywa się Tamara Schlier. Jest jego piątą ofiarą. Jak wszystkie wcześniejsze ofiary Suker uprowadził ją i zawiózł do miejsca, którego nie znamy. Wiemy tylko, że z całą pewnością jest wyposażone jak sala operacyjna.

Alina uniosła ręce w geście obronnym, ale Stoya niewzruszenie mówił dalej:

- W ciągu dnia usuwał pacjentom zaćmę, a nocami obcinał powieki swoim ofiarom. Potem je gwałcił. Kiedy miał już dość, porzucał je przed tylnym wejściem do kina porno, burdelu albo w okolicy, gdzie było dużo ulicznych prostytutek. Nic dziwnego, że wszystkie odebrały sobie życie, gdy znów dochodziły do siebie.

- Nie chcę tego słuchać - poprosiła Alina.

- Tamara Schlier miała szczęście, jeśli w tym kontekście w ogóle można mówić o szczęściu. Znalaziono ją, zanim zdążyła wypić środek do czyszczenia rur kanalizacyjnych. Dzisiaj jest naszym świadkiem koronnym. Potrwa tygodnie, aż będzie w stanie złożyć sensowne zeznanie.

Stoya ponownie puścił taśmę. I znów z głośnika dobiegł wibrujący piskliwy krzyk kobiety, i znów z magnetofonu wydobył się dywan dźwięków utkany ze strachu i udręki.

- Tak wyglądało pierwsze przesłuchanie Tamary Schlier - wyjaśnił Stoya i jednocześnie przyciszył krzyki, jakby to była piosenka w radiu. - Suker jest cwany Żadnych odcisków palców, śladów DNA, wszystkich gwałtów dokonywał z użyciem prezerwatywy Po otrzymaniu anonimowej informacji obserwowaliśmy go kilka miesięcy, jednak nie znaleźliśmy niczego, co można by wykorzystać jako dowód w sądzie. Wyłącznie przemawiające przeciwko niemu poszlaki, ale w osobie Tamary mamy wreszcie żyjącego świadka i jesteśmy pewni, że ona zidentyfikuje Sukera.

- Okay, to jest przerażające - powiedziała Alina. - Ale nie rozumiem, dlaczego zostałam wezwana w tej sprawie.

Do tej pory naprawdę nie miała pojęcia. Wtedy Stoya wreszcie zdetonował bombę:

- Za tydzień musimy wypuścić Sukera.

- Co takiego?

- Tamara Schlier zniknęła. Całe oskarżenie opiera się na jej zeznaniach. Bez niej nie mamy dowodu, który uzasadniałby przetrzymywanie Sukera w areszcie śledczym nawet o jeden dzień dłużej. Nasz świadek jakby zapadł się pod ziemię, a bez niego nie dysponujemy żadnymi faktami przeciwko temu łajdakowi.

To wszystko Alina musiała znów sobie przypomnieć, żeby nie odwrócić się na pięcie i nie wyjść natychmiast z gabinetu. Po samobójstwie Zorbacha przyrzekła sobie, że już nigdy więcej nie

wystawi losu na próbę i nie zrobi TEGO, ponieważ sama nie była pewna, czy naprawdę TO posiada. A gdyby jednak, to zdolność bycia medium, którą przypisywała jej prasa, jak dotąd przynosiła więcej szkód niż korzyści: żona Zorbacha została zamordowana, on sam strzelił sobie w głowę, a policja wciąż szuka ciała Juliana. Jeśli w jakiś sposób mogła przyczynić się do tego, żeby niebezpieczny maniak seksualny nie wyszedł za kilka dni na wolność, musiała się przemóc.

- Nie - po długim milczeniu Alina odpowiedziała na pytanie Sukera.

Nie. Nie mogę wejrzeć w pana przeszłość.

Odpowiedź nie była kłamstwem, co najwyżej półprawdą. Mówiąc szczerze, Alina musiałaby przyznać, że sama nie wiedziała, co się mogłoby stać, gdyby zaczęła masować Sukera.

Dawniej, przed spotkaniem kolekcjonera oczu, naprawdę wierzyła, bez wątplenia, że w pewnych okolicznościach może wejrzeć w przeszłość człowieka, kiedy go dotyka. Wizje, które rozbłyskiwały przed jej niewidzącymi oczami jak źle wycięte fragmenty filmu, po raz pierwszy pojawiły się, gdy jako dziecko została potrącona przez pijanego kierowcę. Kiedy mężczyzna ją podniósł i chciała stanąć na zranionej nodze, ból zmieszał się ze strasznym uczuciem, jakby przeniosła się do innego ciała i jeszcze raz przeżywała ostatnie sekundy przed wypadkiem, tyle że tym razem z perspektywy pijanego kierowcy.

W młodości nie było to jedyne niepokojące doświadczenie, którego nie potrafiła wytłumaczyć. Ta nowa, do tej pory nieznaną zdolność, która w wyjątkowych sytuacjach umożliwiała jej „widzenie” oczami innego człowieka, była jakby rekompensatą za utracony wzrok. Ponieważ Alina czuła się już wystarczająco stygmatyzowana jako niewidoma, długi czas milczała o swoim „darze”. Nie mówiła o tym niepojętym CZYMŚ, które zawsze spadało na nią jak grom z jasnego nieba, na pozór bez konkretnego schematu. Dopiero po wielu latach zmusiła sumienie do przerwania milczenia, żeby opowiedzieć Alexandrowi Zorbachowi o strasznych obrazach, które zagnieździły się w jej głowie podczas masażu shiatsu. Były to obrazy zamordowanej matki i uprowadzonego chłopca. Wtedy, dwa miesiące temu, była pewna, że masowała kolekcjonera oczu, i w swoich wizjach zobaczyła ostatnie dokonane przez niego porwanie. I rzeczywiście wskazówki Aliny zaprowadziły najpierw Zorbacha, a później śledczych do

kryjówki uprowadzonych bliźniąt. Chociaż co do swoich umiejętności Alina myliła się w bardzo istotnym punkcie.

Nie mogę wejrzeć w twoją przeszłość, Suker. A jeśli już, to zobaczę twoją straszną przyszłość.

- W gazetach piszą, że jest pani medium - powiedział okulista.

- Skąd pan to wie? Myślałam, że ma pan zakaz kontaktów ze światem zewnętrznym.

- Nie z moim adwokatem.

Alina westchnęła jak ktoś, kto złości się z powodu własnej naiwności.

- Nie powinien pan wierzyć we wszystko, o czym piszą gazety.

Roześmiał się głośno.

- I pani to mówi?

Zesztywniała. Gorzka woń szarego mydła, którym Suker musiał dziś rano umyć twarz, stała się bardziej intensywna. Alinie wydawało się, że lekarz wstał z pryczy i zbliżył się do niej, chociaż nie słyszała jego ruchów.

- Bardzo ciekawe w ustach kogoś, kto w najmniejszym stopniu nie podaje w wątpliwość bezczelnych publikacji na mój temat.

- Kto tak mówi?

- Pani ciało. Każda jego żyłka sygnalizuje mi antypatię, którą pani do mnie żywi. A ponieważ na powitanie nie plunąłem pani w twarz, nie zrobiłem też nic innego, co mogłoby panią sprowokować, ta antypatia prawdopodobnie została wywołana przez oszczerstwa w mediach.

- A więc jest pan niewinny? - zapytała Alina nienaturalnie bezdźwięcznie.

- Niewinny? A kto jest bez winy?

Odwróciła się w kierunku, skąd dochodził głos. Suker znajdował się dokładnie przed nią, musiał stać teraz na prawo od niej, przy samej ścianie.

Albo przy drzwiach?

Alina poczuła, że wzrasta w niej niepokój wewnętrzny, i musiała przyznać, że straciła orientację w małym pomieszczeniu.

- Pięć kobiet - powiedziała, żeby zyskać trochę czasu, aby móc się pozbierać. - Wszystkie zniknęły, kiedy pana praktyka była zamknięta z powodu przerwy urlopowej. Wszystkim obcięto powieki.

- Żyjemy w okrutnych czasach, czyż nie? Teraz Suker stał za nią. - Zgadza się. Żyjemy w świecie, w którym trzeba wypuszczać na wolność psychopatów, ponieważ nagle znika ważny świadek. Zachichotał.

- Myśli pani, że zagroziłem Tamarze Schlier, żeby nie zeznawała przeciwko mnie? Alina wzruszyła ramionami.

- W każdym razie nagle jakby zapadła się pod ziemię.

- W jaki sposób miałbym to zrobić? Od tygodni siedzę w areszcie. Ale niezależnie od tego, zakładając, że faktycznie jestem winny... - Suker głęboko nabrał powietrza. - Zakładając, że uprowadziłem Tamarę i bez znieczulenia usunąłem jej najpierw górne, a potem dolne powieki...

Alina milczała i zastanawiała się, czy nie nadszedł moment, aby wypowiedzieć uzgodnione hasło. Przy słowie „lodówka” Stoya natychmiast wysłałby do środka swoich ludzi i przerwał sesję.

- Zakładając dalej, oczywiście czysto hipotetycznie, że sprowadzam tę nieszczęsną kobietę jako następną ofiarę do wyłożonego lustrami pomieszczenia, żeby spenetrować ją analnie, dlaczego miałbym tak namiętnie i po partacku dokonywać cięć, którymi wcześniej usunąłem jej powieki, jak można wywnioskować z prasy?

Alina przełknęła ślinę.

- Taktyka? Wiedział pan, że właśnie brak logiki wzbudziłby później wątpliwości u sędziów.

- Ach, proszę pani. Międzynarodowy Związek Lekarzy Okulistów trzy razy z rzędu uznał mnie za najlepszego chirurga w Europie. Za moje osiągnięcia Harvard Medical School nagrodziła mnie tytułem honorowego profesora. Nie wiem, jak mam to powiedzieć, żeby nie wyjść na zarozumiałego, ale kiedy Lang Lang się pomyli, jego gra na fortepianie w dalszym ciągu jest doskonała. Moje dziecko, prawdziwego kunsztu nie da się zataić. Jeśli nawet nie spałbym przez tydzień i upił się do nieprzytomności, żeby umyślnie operować w ciemności drżącymi rękoma, i tak można by było sfilmować ten zabieg i pokazywać jako materiał poglądowy.

Kiedy dotknął jej ramienia, wzdrygnęła się.

- Niech pani popatrzy, Alino. Oboje wiemy, po co tu pani jest. Nie ma świadków, nie ma dowodów. Prokurator nie może trzymać mnie dłużej w więzieniu, a śledczy znaleźli się w tak rozpaczliwym położeniu, że chwytają się ostatniej deski ratunku, ostatniej szansy.

Pani! Pani mnie dotknie i dzięki wizjom, które panią rzekomo nawiedzają, dostarczy władzom dowodów, które można by wykorzystać w sądzie.

A gdyby tak było? Czy miałby pan coś przeciwko temu, skoro jest pan niewinny? - Ku swojemu zdziwieniu Alina otrzymała odpowiedź na to retoryczne pytanie.

- Nic. Ma pani rację.

- Czy w takim razie mogę się panem zająć?

- Tak.

- Nie wierzę panu - powiedziała Alina, zdumiona zwrotem, który tak nagle nastąpił w ich rozmowie.

- No, do roboty, proszę mi pomóc, niech mnie pani wymasuje. Niech pani ożywi energią moich meridianów. A potem niech pani szybko pobiegnie do Stoi i opowie mu, co poczuła. Kto wie, być może jestem bardzo złym człowiekiem i zobaczy pani... - wymówił to słowo tak, jakby chciał ująć je w cudzysłów - zobaczy pani drogę do mojej, jak dotąd nieodnalezionej, izby tortur. Podczas przeszukania domu i gabinetu nie znaleziono również skalpela. Być może rozpozna pani deskę w podłodze, pod którą leży

Alina znów usłyszała odgłos przygniataanej sztucznej skóry. Suker wrócił na legowisko i położył się. - Mam tylko jeden warunek.

No jasne. Szatan zawsze proponuje układ.

- To znaczy jaki?

- Proszę zdjąć okulary, moje dziecko. Chcę zobaczyć pani oczy.

Westchnęła. To wszystko nie miało sensu. Ten obłąkany człowiek chciał tylko zabawić się jej kosztem.

- Jest pan aroganckim dupkiem.

- Nie. A jeśli już, to uzdolnionym dupkiem i mógłbym to pani udowodnić. Widzi pani, jestem pewny, że połowę dzieciństwa spędziła pani u okulistów. I każdy z tych tak zwanych specjalistów mówił, że już nigdy nie będzie pani widzieć, ponieważ pacjenci tacy jak pani, z całkowicie zniszczoną rogówką, nie mają szansy na odzyskanie wzroku, chyba się nie mylę?

- A gdyby tak było?

- Wtedy zmarnowałyby pani czas u tych konowałów. Ponieważ ci lekarze się mylą. W rzadkich przypadkach i szczególnych sytuacjach transplantacja może skończyć się sukcesem. Oczywiście zależy to od

materiału dawcy i pewnej ręki chirurga, który podczas dwustopniowej operacji musiałby najpierw przeszczepić rąbek rogówki, a ten ma grubość zaledwie kilku setnych milimetra. Na całym świecie znam nie więcej niż pięciu lekarzy, którzy potrafiliby tego dokonać. Ale tylko jeden z nich może pani zagwarantować, że to się uda.

- Niech zgadnę - zaśmiała się Alina, odrobinę mniej szyderczo, niż zamierzała.

- Tak, ja - potwierdził Suker. - I na szczęście od następnego tygodnia, gdy tylko opuścę te niegościnne progi, znów będę mógł umawiać się z pacjentami na wizyty lekarskie.

Jako wolny człowiek. - Z samozadowoleniem cmoknął językiem. - Czuję, że pani mnie nie cierpi, Alino. Ale mogę pani dać coś, czego pani zawsze pragnęła. Proszę sobie wyobrazić, po dwudziestu trzech latach po raz pierwszy otworzyłaby pani oczy i mogła znów widzieć.

Jego głos brzmiał tak miękko jak na początku rozmowy.

- Odwagi, niech pani się przemoże - krzyknął za Aliną, która w końcu zdecydowała się wyjść. Stała przed drzwiami i zacisnęła prawą dłoń w pięść. - Alino, proszę panią. Niech pani zdejmie okulary i pozwoli mi sprawdzić, czy taki zabieg w ogóle wchodzi w rachubę.

Zachichotał, kiedy załomotała w stalowe drzwi. Strażnicy otworzyli je nie dość szybko, tak że musiała wysłuchać ostatniego wypowiedzianego przez niego zdania.

- Spojrzenie w pani oczy za spojrzenie w moją duszę, Alino, Co pani ma do stracenia?

Rozdział 7

Jeszcze dwadzieścia minut później wciąż słyszała echo propozycji Sukera. Była napełniona wstrętem i jednocześnie zafascynowana, dlatego z trudem udawało się jej skoncentrować na otoczeniu.

„Proszę sobie wyobrazić... Mogłaby pani znowu widzieć...”.

Słowa były jak wpadająca w ucho melodia, która za pierwszym razem wydaje się nie do zniesienia, a mimo to ciągle kołacze się po głowie.

„Co pani ma do stracenia?”.

Alina rozmyślała o miękkim głosie, konspiracyjnym tonie, za pomocą których sadystyczny psychopata próbował zasiać w niej ziarno niemożliwej do spełnienia nadziei. Kiedy pogrążona w myślach wpadła na sygnalizator świetlny na rogu Brunnenstrasse i Bernauer, nagle wydarzyło się jednocześnie kilka rzeczy. Najpierw zawibrowała komórka. Jeszcze zanim wyjęła ją z kieszeni, żeby przeczytać otrzymany SMS, ktoś chwycił ją za ramię. Mężczyzna ciężko oddychał, pachniał tytoniem, którym przesiąkł jego gruby zimowy płaszcz. Alina czuła mocny uchwyt, kiedy wbrew jej woli postanowił zaciągnąć ją na drugą stronę ulicy

O nie, znowu to samo, pomyślała. Taka idiotyczna sytuacja przydarzyła się jej już drugi raz tej zimy. Stała na chodniku, zapaliło się zielone światło i jakiś przechodzień poczuł się w obowiązku przeprowadzić przez ulicę niewidomą kobietę z białą laską.

Berlin przeżywał właśnie okres najsilniejszych mrozów od początku rejestrowania danych pogodowych. W nocy temperatura spadała do minus dwudziestu stopni, co kosztowało życie czterech bezdomnych. Służbie oczyszczania miasta skończyła się sól, przestano posypywać nawet główne ulice, chodniki od tygodni stanowiły konkurencję dla torów łyżwiarskich i wszędzie piętrzyły się góry brudnego śniegu. Codzienna droga do pracy przerodziła się w szkołę przetrwania i dlatego Alina zasadniczo nie miała nic przeciwko pomocnej dłoni. Ale przeciwko uprowadzeniu tak.

W jej kręgu niewidomych znajomych nie było nikogo, kto kiedyś nie stał się „ofiara uprowadzenia”. Być może robiła wrażenie osoby potrzebującej pomocy, kiedy stała na oblodzonej wysepce na środku ulicy i grzebała w plecaku, szukając telefonu. A przechodzień z pewnością nic nie wiedział o ćwiczeniach na orientację, dzięki którym

nawet przy złej pogodzie umiała się poruszać w okolicy. Ale jakie znaki wysyłała, które sygnalizowały widzącym, że można podporządkować ją sobie jak zwierzę? Tylko raz jakieś dziecko grzecznie zapytało ją, czy zabłądziła. Wszyscy inni „pomocnicy” prawdopodobnie sądzili, że była nie tylko ślepa, lecz również głupia, i dlatego tak czy owak niezdolna do rozmowy.

Nie trzeba, bardzo dziękuję. - Alina próbowała uwolnić się z uścisku mężczyzny, który zdecydowanie chciał przeprowadzić ją przez śliskie skrzyżowanie; w każdym razie przynajmniej w dobrą stronę. Nierzadko gorliwość nieproszonych pomocników zwiększała dezorientację niewidomych, którzy po takiej interwencji znajdowali się nagle w miejscu, gdzie wcale nie chcieli się znaleźć.

- Poradzę sobie sama, bardzo dziękuję.

Tak jak się obawiała, jej delikatny protest nie odniósł skutku. Mężczyzna wciąż milczał, za to mocniej ścisnął jej ramię, tak więc zostały jej tylko dwie możliwości: albo ulec i pozwolić nieznajomemu, aby ciągnął ją przez pokrytą lodem i żwirem ulicę jak kapryszą trzylatkę. Albo sytuacja stanie się nieprzyjemna.

Alina zdecydowała się na to ostatecznie i użyła łaski. Mężczyzna natychmiast ją puścił i zawył. A raczej zapiszczał, co wywołało uśmiech na jej twarzy. Cienki pisk brzmiał tak niemęsko i zupełnie nie pasował do typu, którego Alina na podstawie silnego strumienia oddechu i wielkości dłoni oceniła na co najmniej sto kilogramów i mniej więcej metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

- Och, tak mi przykro - obłudnie przeprosiła. A więc tak, jak zamierzała, trafiła go w czułe miejsce między nogami.

Bardzo dobrze.

- Do jasnej cholery, kobieto. Chciałem tylko pomóc! - Poczuli na twarzy jego gorący oddech.

Najwidoczniej odzyskał głos. Cios w jądra jest zawsze skuteczny.

- Ślepa pinda - wydyszał ochryłym głosem, teraz już z odległości metra. Alina posłała mu ręką całusa i uśmiechnęła się w kierunku, skąd ostatecznie go słyszała. Obok niej rozległo się trąbienie, widocznie skończyło się zielone światło, pośpiesznie zeszła więc ze skrzyżowania.

Nie uszła daleko. Nagle ktoś ją umyślnie potrącił i już się bała, że to mężczyzna wrócił i zamierza posunąć się do rękoczynów, ponieważ poczuła na uchu powiew ciepłego powietrza. Następnie usłyszała głos.

Wiedziała, że skądś go zna, ale w tym momencie nie bardzo rozumiała, co mężczyzna chciał jej powiedzieć.

- Trzyście. Dziesięć. Siedemdziesiąt jeden - wyszeptał.

Zniknął tak samo szybko, jak się pojawił, i gdyby Alina nie czuła wilgotnego pieczenia ucha w miejscu, gdzie obcy mężczyzna dotknął jej językiem, machnęłaby ręką na to dziwne wydarzenie, myśląc, że coś się jej przywidziało.

Całkowicie wyprowadzona z równowagi tym przejmującym grozą uczuciem zatrzymała się na ruchliwym skrzyżowaniu, a szmer w jej uchu był głośniejszy od hałasu samochodów, które omijały ją, trąbiąc.

Rozdział 8

Mówi się, że oczy są zwierciadłem duszy. Nawet jeśli czytało się o tym w wielu naiwnych książkach o miłości, Alina uważała, że ten banał jest kiczowaty i jednocześnie fałszywy. A może niewidomi nie posiadają duszy, w głąb której można by wejrzeć, ponieważ ich oczy są zmętniałe i dlatego nieprzejrzyste.

Alina była pewna, że prawdziwe zwierciadło duszy odsłania się wtedy, kiedy człowiek płacze. W jej opinii istniało tyle samo wariantów płaczu, ilu płaczących ludzi na świecie. Konglomerat kwilenia, ryczenia, szlochania, wzdychania, rżenia i miliony innych odgłosów, które podczas oddychania może wydawać zrozpaczone ciało, u każdego człowieka są tak niepowtarzalne jak odcisk palca.

Kobieta w jej salonie również płakała w sposób, jakiego Alina nigdy wcześniej nie słyszała. Cicho, ledwie słyszalnie, niczym mimowolny szmer wydawany przez śpiące niemowlę, tylko nieskończenie bardziej smutno. Alina z większym trudem znosiła jej łagodny cichy szloch, niż gdyby nieproszony gość wybuchnął głośnym lamentem. Ale John ją uprzedzał.

- Fuck, po kiego grzyba wróciłaś do domu? Przecież napisałem ci SMS - a, żebyś najpierw do mnie zadzwoniła. Jeszcze pół godziny i pozbyłbym się tej wariatki.

Ledwie otworzyła drzwi do mieszkania, a jej najlepszy przyjaciel już zasypał ją zarzutami. Cały John, zawsze uciekał do przodu, kiedy popełnił błąd.

- Myślałem, że to pacjentka, która pomyliła drzwi, więc ją wpuściłem, shit.

Alina zajmowała mieszkanie na poddaszu w niewielkiej kamienicy przy Brunnenstrasse, przy czym na niższym piętrze urządziła gabinet masażu. John był u niej, żeby przypilnować TomToma, który ostatnio trochę niedomagał. Poza tym psy nie miały wstępu do zakładu karnego, więc Alina zostawiła swój żywy system nawigacyjny w domu i zdała się na laskę.

- Nie mogłem przewidzieć, że ona nie jest całkiem normalna, baby.

Fuck, shit, baby... John perfekcyjnie znał niemiecki, ale chętnie używał angielskich zwrotów, zwłaszcza kiedy się zdenerwował. Był Amerykaninem i dzięki autentycznemu akcentowi nie grzeszył taką

skrupulatnością jak wielu Niemców, którzy po prostu chcieli tylko być cool, ale wszystkie słowa wymawiali nieprawidłowo.

- Czego ta kobieta chce ode mnie? - zapytała i złożyła przelotnego całusa na jego bliźnię. Nacięcie długości ołówka jak koryto rzeki wilo się od czoła, zaledwie o kilka milimetrów omijało lewe oko i biegło w dół do żuchwy; pamiątka po nożu, zafundowana mu przez grupę młodych ludzi nienawidzących gejów, którzy wcześniej prawie zatłukli go na śmierć w dyskotekowej toalecie.

- Nie mam pojęcia. She's crying, od chwili, kiedy otworzyłem drzwi.

- Wreszcie jakaś nie uległa twojemu czarowi. - John wyglądał jak najbardziej heteroseksualny mężczyzna na świecie i dzięki temu był najlepszym przykładem na to, jak bardzo można się pomylić. Alina przyjaźniła się z nim od przedszkola i przez te wszystkie lata poznała go tak dobrze, że nie musiała już zdawać się na relacje widzących przyjaciółek, które prawie wszystkie bez wyjątku snuły fantazje o romansie z Johnem, nawet te zameżne. Przede wszystkim zameżne!

W domu denerwowały się byle czym, na przykład kiedy ich mężowie nie włożyli brudnych talerzy do zlewu, natomiast nie miały nic przeciwko temu, kiedy John gasił niedopałki papierosów bez filtra na podeszwie swoich ciężkich robociarskich butów. Jej najlepszy przyjaciel nie znosił wody kwiatowej i Barbry Streisand, wolał słuchać Eminema albo 30 Seconds to Mars. I nienawidził Christopher Street Day, radosnej parady, która co roku w lecie przechodzi ulicami Berlina.

- Jak ludzie hetero mają traktować nas poważnie, skoro pokazujemy się im na jarmarcznych samochodach i wyglądamy jak półgłówki w spodniach z wyciętą dziurą na dupie? - za każdym razem komentował telewizyjną relację z pochodu.

Alina miała własną teorię na temat, dlaczego nieokrzesany facet, który zadawał sobie ogromny trud, żeby ukryć charakterystyczną twarz pod kudłatymi włosami i sześciodniowym zarostem, cieszył się tak wielkim powodzeniem u kobiet. Nie widziały w nim zagrożenia. John był jak thriller, który człowiek czyta, żeby przeżyć coś ekscytującego, ale kiedy ma go dosyć, może zamknąć książkę i odłożyć ją na półkę. Nie był typem mężczyzny na kilka nocy, z którym można by bezpiecznie wsiąść na motor, spędzić noc nad jeziorem i po dwóch, trzech orgazmach następnego dnia zamknąć ten rozdział. Kobiety

mogłyby potem wrócić do domu i dalej pilnować, aby ich małżonkowie zakręcali krany podczas mycia zębów. Gdyby, mogłyby, byłyby. Tryb przypuszczający, ponieważ John był bardziej gejowski od burmistrza Berlina. Alina wiedziała to z własnego doświadczenia. Jeden jedyny raz namówiła go, żeby poszedł z nią do łóżka, i wyglądało to tak, jakby dwoje nagich uczniów podstawówki położyło się na sobie i bawiło się w seks. Po trzydziestu sekundach skończyło się to napadem śmiechu i w ten sposób eksperyment umarł raz na zawsze.

Twój gość wygląda na osobę autentycznie chorą - rzucił jeszcze za nią John, kiedy już szła do salonu. Przy czym słowo chora wymówił z lekkim przekąsem. - Włosy jak siano, jeszcze rzadsze od twoich, i zęby jak u gremlina. Dlatego pomyślałem, że potrzebuje pomocy. A potem zaczęła nagle ryczeć, ona jest crazy.

To zaczęło się pięć minut temu i do tej pory kobietę słyszeć było nawet w korytarzu. Teraz, kiedy Alina usiadła naprzeciwko niej na kanapie, potok łez jeszcze nie wysechł, ale towarzyszące łzom dźwięki straciły na intensywności.

- Kim pani jest? - zapytała Alina i upłynęła dłuższa chwila, zanim otrzymała odpowiedź. Kiedy kobieta z pewnością już po raz dziesiąty wytarła nos, w końcu zmięła w dłoniach chusteczkę i powiedziała:

- Nazywam się Johanna Strom.

Rozdział 9

Dziwna nieznajoma mówiła szeptem i tak samo cicho, jak jeszcze przed kilkoma sekundami płakała.

- Czy my się znamy?

- Nie, nie sędzę?

W głosie nieznajomej zabrzmiało pytanie, jakby sama tego nie wiedziała. Alina wyczuła, że ta kupka nieszczęścia zwątpiła w całą swoją egzystencję. Nigdy nie pokazywać prawdziwego oblicza ze strachu przed odrzuceniem. Wydawało się, że tę zasadę wyssała z mlekiem matki.

Wow, co za psychologiczne mistrzowskie osiągnięcie, Alino. Nieznajoma kobieta siedzi na twojej sofie, zalewając się łzami, a ty stawiasz na brak wiary we własne możliwości. Szaleństwo.

- Jak mogę pani pomóc?

- Moja córka, ja... chwileczkę...

Alina usłyszała szelest. Wyglądało na to, że Johanna Strom grzebie w torebce i po chwili znalazła to, czego szukała.

- O, proszę, zawsze mam je w portmonetce, zawsze noszę je przy sobie. Tutaj ma czternaście lat, a więc dwa lata temu. Urodziłam swoją myszkę bardzo młodo, kiedy właśnie robiłam maturę. Nazywa się Nicola i... - Kobieta niespodziewanie przerwała i nerwowo przeprosiła:

- Ach, tak mi przykro, to głupie z mojej strony

- Nic się nie stało. - Alina machnęła ręką.

W rzeczywistości nie robiło to jej różnicy. Istniały gorsze gafy, które można popełnić, niż pokazanie fotografii niewidomej. Na przykład bez zgody zainteresowanej ciągnąć ją przez ulicę.

- To naprawdę głupie - powiedziała jeszcze raz nieznajoma. Alina zastanawiała się, czy kobieta zdaje sobie sprawę z dziwactwa, jakim było kończenie niemal każdego zdania powtórką. Kolejna oznaka braku pewności siebie. Bała się, że zostanie źle zrozumiana albo że rozmówca jej nie usłyszał. - Ale mimo to zostawię pani to zdjęcie. Na odwrocie jest mój adres, może będzie pani mogła coś zrobić i dać mi znać, czy...

- Co się stało z pani córką? - przerwała Alina. Johanna Strom wysmarkała nos, a potem cicho powiedziała:

- Mój mąż Christian i ja jesteśmy w trakcie rozwodu. Zostawił mnie.

- Hmm.

- Nasze małżeństwo było, jak by to powiedzieć, było problematyczne. Tak, problematyczne. To dobre określenie. Bardzo dobre.

- Nie jestem psychologiem. - Alina sądziła, że zaczyna rozumieć nieporozumienie, jakiemu uległa ta kobieta. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy ktoś pomylił fizykoterapię z psychoterapią.

- Zajmuję się kontuzjami sportowymi, naciągniętymi mięśniami, wadami postawy i tak dalej. Oczywiście chodzi w tym również o psychikę, ale moja forma terapii jest manualna. Obawiam się, że potrzebuje pani innego wsparcia, pani Strom.

- Przecież ja to wiem. Dobrze wiem. - Kobieta chrząknęła. - Ale nie chodzi o mnie.

Alina otworzyła przykrywkę zegarka i pomacała cyferblat. Jej pierwszy pacjent przyjdzie za godzinę i musiała jeszcze trochę odpocząć.

- Chodzi o Nicolę.

- Pani córkę?

- Tak. Znikła.

- Znikła? Uciekła z domu?

- Nie. Nie, oni tylko tak mówią. Tylko tak mówią. Ale się mylą.

- Oni, czyli kto?

- Mój mąż. Policja. Po prostu wszyscy. Wszyscy.

Alina się zawahała. Najrozsądniej byłoby zażądać, aby kobieta wyszła. Ale dopóki się nie dowie, w czym tkwi problem, ani nie mogła jej pomóc, ani odmówić. Do tego doszedł wzbudzający współczucie stan kobiety, która znów zaczęła smarkać w chusteczkę. Alina czułaby się podle, gdyby po prostu pokazała jej drzwi.

- Były duże problemy - powiedziała nieznajoma. - Mówiąc dokładniej, ja miałam duże problemy. Przypuszczalnie ciągle je mam. Dlatego się leczę. Leczę się z powodu alkoholizmu. Przykro mi, że zawracam pani tym głowę. Ale nasz terapeuta, to znaczy opiekun naszej grupy w Sankt Pfarrenhopp, ciągle powtarza, że powinniśmy mówić o tym całkiem otwarcie. Otwarcie.

Aha, to stąd wieje wiatr. Alkoholiczka, pomyślała Alina i wciąż nie rozumiała, co ma począć z tym fantem.

- Chociaż mój mąż nie całkiem to akceptuje. Wie pani, tę otwartość? Uważa, że to szkodzi jego reputacji. Reputacja, chyba tak się mówi, prawda? Tak się mówi?

Alina wzruszyła ramionami.

- Powinna pani wiedzieć, że Christian jest prawnikiem. Dobrym prawnikiem. Gdyby pani go zobaczyła, nigdy nie... Och, przepraszam, bardzo mi przykro, mam na myśli to z widzeniem. Przecież pani nie widzi. Przepraszam, to było niegrzeczne, tak mi się tylko wymknęło, ponieważ jestem bardzo zdenerwowana.

- Nie musi pani przepraszać, pani Strom. Z chęcią bym pani pomogła. Ale najpierw musiałaby mi pani powiedzieć, dlaczego pani do mnie przyszła. Bo jeśli chodzi o poradę małżeńską, mogę polecić dobry adres...

- Nie, nie. To bardzo miłe z pani strony, ale nie. Ten punkt programu mamy już za sobą. Nie potrzebuję też wsparcia ani niczego takiego, jeśli to miała pani na myśli. W końcu zabrał Nicole ze sobą i na pewno podjął słuszną decyzję, przecież jest adwokatem. Adwokat musi znać prawo, czyż nie?

- Chyba tak.

Kolejne dotknięcie nadgarstka. 13.33.

- Z Nicolą nigdy nie było łatwo. Zresztą ze mną też nie. Często o tym słyszała. O moich wyskokach. "Wyskoki", Christian zawsze tak to określał, kiedy nie byłam posłuszna. Ale on sam zawsze był w porządku. W każdym razie wobec niej, tak myślę.

Alina pochyliła się do przodu. John wyjaśnił jej, że takie gesty sygnalizują partnerowi w rozmowie niepokój i zniecierpliwienie. Jeśli to była prawda, wydawało się, że Johanna Strom nie wiedziała tego.

- Nicola bardzo lubiła ojca. Pod koniec już się ze mną nie witała, nie patrzyła na mnie, nawet przy jedzeniu, kiedy ugotowałam jej ulubioną potrawę. Zawsze jadła ravioli z ragout z dziczyzny. Boże, co ja mówię. Oczywiście ona je ravioli. Ona ciągle żyje, ciągle żyje.

Tajemnicza nieznajoma mówiła teraz jak nakręcona.

- Któregoś dnia nie wróciła do domu. Zadzwonili do mnie ze szkoły, ponieważ nie zastali Christiana w kancelarii. Mnie zastali. On się wyprowadził, ja zostałam w domu sama. I byłam trzeźwa, całe szczęście. Albo cały pech. Mówi się tak, cały pech? Nieważne. Wiele

rzeczy jest teraz nieważne. Właściwie wszystko. Nic się nie liczy do momentu, aż wreszcie dowiem się, gdzie ona jest. Aż...

- A więc jeśli dobrze panią zrozumiałam, córka zniknęła z domu, po tym jak rozeszła się pani z mężem? - przerwała jej Alina. - To bardzo smutna historia, ale naprawdę nie wiem, jak pani...

- Nie, nie. Ona nie zniknęła. Wolała być z ojcem. Uwielbiała jego mieszkanie, wolność, jaką tam zyskała. Miała dużo większy pokój, jej przyjaciółki mogły tam nocować, on nie był tak surowy i ach... nie. Postaram się jeszcze raz to lepiej wyjaśnić, przepraszam. Głupie, to naprawdę głupie z mojej strony. Gadam głupoty, zabieram pani czas. Ale wszystko, co chcę powiedzieć, jest takie proste. Widzi pani, Nicola nie mogła uciec z domu. Nie bez komórki. Bez komórki nigdy nie wyszłaby z domu, wiem to. Powiedziałam to również policji, ale mi nie wierzą. Nikt mi nie wierzy.

- Nie wierzy w co?

- W to z potworem.

- Potworem? - powtórzyła jak echo Alina, tak głośno, żeby John mógł to usłyszeć w sąsiednim pokoju. John z TomTomem dyskretnie trzymali się na uboczu, ale Alina miała świadomość, że przyjaciel był na miejscu, gdyby rozmowa jeszcze bardziej się zagmatwała i ona być może potrzebowałaby pomocy.

- Wiedziałam to od początku. Już w chwili, kiedy zadzwoniła dyrektorka i powiedziała: „Pani Strom? Johanna Strom? Chodzi o pani córkę”. Kiedy położyła akcent na córce, wiedziałam, że stało się coś złego. Coś gorszego niż zwykła krnąbrność związana z wiekiem dojrzewania. Wcale nie była krnąbrna. Raczej przekorna. Tak, przekorna. Ale ona nie uciekła. I mam na to dowód.

- Dowód?

- Mam problemy, tak, chciałam już się zabić. Kilka razy. Dlatego przebywałam wtedy w szpitalu. Przyznaję to otwarcie, nie tylko dlatego, że tak radzi mój terapeuta. Wie pani, ja nie mam nic do ukrycia. Chyba pani zorientowała się, że nie kłamię. Naprawdę widziałam fotografię. Była na niej ona, tylko ona. Widziałam ją. Moją córkę, leżała nago na tym łóżku i był w niej ten, eee... ten strach. Nie wierzy pani, że matka może widzieć strach swojego dziecka... Och, przepraszam. Znowu to „widzieć”. Nie chciałam.

Alina machnęła ręką. Najchętniej powiedziała by kobiecie, że może korzystać z tylu wizualnych terminów, z ilu chce, aby tylko wreszcie przeszła do rzeczy. Musiała jednak przyznać, że dziwne puzzle ze strzępów zdań, które Johanna Strom rozkładała przed nią, zaczęły powoli budzić jej zainteresowanie. - A więc zobaczyła pani zdjęcie córki?

Zdjęcie, na którym była dręczona?

- Tak, tak. Była na nim data, dwudziesty drugi września. Z pewnością można ją sfalszować, to prawda, ale po co ktoś miałby to robić?

- Czemu przychodzi pani z tym do mnie, a nie pójdzie na policję?

- Przepraszam. Bardzo przepraszam. Nie chciałam marnować pani czasu. To było tylko... no więc przeczytałam, że kiedyś miała pani podobne problemy, czyż nie? Wtedy też nikt pani nie wierzył, kiedy poszła pani na policję, tak?

Alinie powoli zaczynało świtać w głowie, do czego zmierzała ta zakręcona kobieta. Faktycznie zrobiłaś głupstwo, John. Po co ją wpuściłeś?

- Proszę posłuchać, pani Strom. Nie chcę być nieuprzejma, ale nie potrafię pani pomóc. - Cierpliwość Aliny się wyczerpała, lecz tak czy inaczej chciała uniknąć sytuacji, w której ich rozmowa przybrałaby obrót, jakiego się obawiała. Stało się to jednak już przy następnym zdaniu.

- Dużo o pani czytałam, pani Gregoriev. Mówi się, że potrafi pani, no, że potrafi pani to, z czym inni nie dają sobie rady. To z zaginionymi dziećmi.

- Myli się pani. - Alina wstała.

- Ale gazety...

- One też się mylą.

- Myślałam tylko, że przecież pani te bliźniaki...

Wielki Boże.

Przez dwa miesiące schodziła z drogi wszystkim reporterom, mówiła przez drzwi, że nie ma jej w domu, a przez telefon wciąż powtarzała ten sam zwrot: „Bez komentarza”. Zastanawiała się nawet, czy znów nie zmienić nazwiska, tak jak już raz zrobiła, żeby móc dalej żyć w spokoju.

- Coś pani poradzę, pani Strom. Niech pani idzie na policję.

- Już dawno tam byłam. Powiedzieli mi, że prawdopodobnie Nicola uciekła z domu.

Kobieta zakasłała, jakby się zakrztusiła.

- Ale ja w to nie wierzę. Nicola ma szesnaście lat. No dobrze, sądzę, że każde dziecko sprawia kłopoty, kiedy są jakieś problemy, na przykład w domu. A ona była dość grzeczna, przynajmniej przy ojcu. Kiedy Christian powiedział: „Nicola, masz być w domu o północy”, zawsze przychodziła pięć minut wcześniej. I nigdy nie spała z chłopakiem, jest jeszcze dziewicą. Przynajmniej tak myślę, o tych sprawach nigdy ze mną nie...

- Nie pokazała pani jej zdjęcia policji? - przerwała Alina.

- Nie mogłam.

- Dlaczego?

- Już go tam nie ma. Tak, tak. Wiem, jak to brzmi, ale to prawda. To był polaroid, lecz nietrwały. Specjalnie spreparowany, jest na to jakiś trik. Nie znam się na tym. Nie mam smykałki do spraw technicznych, dlatego u nas w domu zawsze zajmował się tym Christian. Obraz na zdjęciu samoistnie zanikł, zaledwie kilka sekund po tym, jak on sobie poszedł.

- On?

Dopiero teraz Alina zorientowała się, że jeszcze nie zapytała, w jaki sposób ten wątpliwy dowód w postaci zdjęcia trafił w ręce kobiety.

- Starszy mężczyzna. Dał mi je w parku przy szpitalu dla nerwowo chorych. Wyglądał bardzo miło, ale nie był miły. Nie był też pacjentem, tylko złym człowiekiem. To potwór, ponieważ znajdował się na tym zdjęciu. Była na nim nie tylko Nicola z klamrami w oczach, bo obok niej stał on, przy łóżku chirurgicznym, do którego była przywiązana. Czy tak się to nazywa? Jak nazywają się łóżka w sali operacyjnej?

Łóżka chirurgiczne? O Boże, myśli pani, że mam nie po kolei w głowie, tak?

- Przykro mi. - Alina wykręciła się od odpowiedzi. - Naprawdę mi przykro, ale właśnie spodziewam się pacjenta.

Sądząc po odgłosach, Johanna Strom również zamierzała wstać, lecz to nie przeszkodziło jej dalej przekonywać Alinę.

- W ogóle nie znałam jego twarzy, kiedy zagadnął mnie w parku, bo niby skąd, w szpitalu prawie nie oglądałam telewizji. Nie czytałam gazet. Ale kiedy kilka miesięcy później został aresztowany,

przypomniałam go sobie. Taki uprzejmy, taki staromodny i miły. „To przecież ten drań!”, krzyknęłam i wskazałam na telewizor w świetlicy. Wtedy wszyscy tylko się roześmiali. Nikt nie uwierzył w historię o mężczyźnie z fotografią w parku. Tą okropną fotografią. On powiedział, że to sprawiedliwa kara za to, co zrobiłam. A ja nie mam zielonego pojęcia, co takiego zrobiłam. Po tym jak pokazał mi to potworne zdjęcie, przeszłam załamanie nerwowe. Załamanie nerwowe.

Alinę ogarnęło niemiłe przeczucie.

- Mężczyzna, który dał pani zdjęcie...

W parku przy szpitalu dla nerwowo chorych. Zdjęcie, które miało się rozłożyć pod wpływem powietrza.

- ... czy nie mówimy o Zarinie Sukerze?

W salonie przez chwilę panowała cisza. Tylko uliczny szum na Brunnenstrasse znajdował drogę do poddasza starego budynku, aż Johanna Strom w końcu odpowiedziała i wybuchnęła niepoohamowanym płaczem.

Rozdział 10

- Bardzo pani dziękuję, moje dziecko.

Ten sam gabinet lekarski, ten sam głos. Tylko mdłości, których Alina dostała, kiedy pomyślała o tym, co zaraz zamierzała zrobić, nasiliły się. Szukała po omacku okularów przeciwsłonecznych, które dziesięć minut temu gwałtownym ruchem zdjęła, i z powrotem je założyła.

Dziwnym trafem Alina nie miała oporów, aby pokazywać się nago obcym ludziom. Natomiast zagłądanie w jej zmętniałe, niewidzące oczy odczuwała jako nad wyraz intymną ingerencję. Na początku Suker wyraził żal, że nie ma ze sobą narzędzi, potem nie powiedział już ani słowa, tylko cicho nucił, kiedy wpatrywał się w jej oczy. Teraz, kiedy wreszcie skończył, Alina czuła się zbrukana i najchętniej wzięłaby prysznic.

- Dlaczego zmieniła pani zdanie, Alino?

Suker nie wiedział, że zadał to samo pytanie, którym dobrą godzinę temu przywitał ją w swoim biurze Stoya. Tylko że szef szóstego wydziału zabójstw nie powiedział tego tak aroganckim i wyniosłym tonem jak aresztowany okulista. Alina od razu przeszła do rzeczy i odpowiedziała Stoi pytaniem na pytanie:

- Jak dalece wiarygodnym świadkiem jest Johanna Strom?

- Strom? - Stoya nie musiał zagłądać do akt ani sprawdzać w komputerze, ani dzwonić po kolegę. Od razu wiedział, o kim była mowa.

- Dlaczego właśnie ona przyszła pani do głowy?

- Odwiedziła mnie wczoraj.

- Rozumiem. Przyszła do pani po pomoc. Nie do końca bym ufał tej biednej kobiecie.

- Co?

- Tyle własnej inicjatywy. Ta Strom jest w dużej depresji, na dodatek to pijaczka i o ile wiem, leczy się psychiatrycznie, w każdym razie leczyła się, kiedy do nas przyszła. Przeżyła załamanie nerwowe i prawie przez całe przesłuchanie płakała. Przepytywałem ją wtedy Scholle, o ile pamiętam, ale to nie ma znaczenia. Przez jakiś czas, chyba przez dwa tygodnie, przychodziła do nas niemal codziennie; na koniec zarzuciła nam, że nic nie zrobiliśmy. Że nie potraktowaliśmy jej poważnie. Ale nawet jej mąż sugerował nam, aby nie słuchać kury

domowej, która pogubiła się w życiu i piciem doprowadziła do ruiny ich małżeństwo.

- I? - Alina zapytała prowokująco.

- I co?

- Szukał pan dziecka?

- Nicole czy Nicol albo jak się tam ona nazywa? Oczywiście. Ale nie w związku z Sukerem. To było zwykłe zaginięcie.

Odkąd takie sprawy są zwykłe?, już miała na końcu języka Alina, ale ta uwaga nic by nie dała. Zapytała więc:

- Z czego pan to wywnioskował?

- Dzieciak miał dopiero piętnaście albo szesnaście lat, w każdym razie była o wiele za młoda. Wszystkie ofiary Sukera są pełnoletnie, przeważnie po trzydziestce. Poza tym okoliczności poprzedzające to zdarzenie są jednoznaczne: rozbite małżeństwo, ojciec się wyprowadził, córka w wieku dojrzewania. Pani nie ma dzieci, Alino, ale przecież wie pani, że są takie równania, w których nie ma niewiadomych. To jest jak reguła trzech: matka pije, ojciec pakuje manatki, dziecko nawiewa z domu. To zdarza się nawet w najlepszych rodzinach.

Stoya wstał zza biurka, robiąc przy tym dużo hałasu, i chodził po pokoju, nie przestając mówić. W świetle wyobrażeń Aliny gestykulował przy tym obiema rękami.

- Do diabła, Alino. Naprawdę mógłbym teraz opowiedzieć pani jakąś bujną tylko po to, żeby wyświadczyła mi pani przysługę i spotkała się z Sukerem, co samo w sobie jest czystym szaleństwem. - Stoya powiedział to tonem, który zadawał kłam słowom. Oczywiście wierzył w niemożliwe. W każdym razie był tak zdesperowany, że chciał w to wierzyć. Za kilka godzin sędzia uchylił nakaz aresztowania Sukera i z powodu braku dowodów wypuścił bestię na wolność. - Prawdopodobnie nic się nie stanie, niczego pani nie zobaczy ani nie poczuje. Ale gdyby. Gdyby zdarzyło się inaczej, na pewno nie pomoże to biednej pani Strom. Jej córka uciekła z domu, niech pani zapyta ojca. Według mnie wybuchła między nimi awantura. Musiałbym to sprawdzić, lecz o ile wiem, poprzedniego wieczoru ojciec i córka się pokłócili, a następnego dnia mała zniknęła. Jeśli może mi pani wyświadczyć przysługę, to bardzo dobrze, cieszę się. Ale niech pani zrobi to z innych powodów. Nie chcę, żeby motywem pani działania było kłamstwo.

Na koniec Alina zaczęła się zastanawiać, czy tak właśnie nie było. Że oszustwo skłoniło ją do ponownego spotkania z Sukerem, i to oszustwo najgorszego gatunku: oszukiwanie samej siebie, dzięki czemu mogłaby naprawić potworny błąd.

- Co pani obiecali, żeby panią przekonać? - zapytał chirurg okulista, jakby odgadł jej myśli. Suker bez zaproszenia podszedł do leżanki służącej do masażu i usiadł na niej, powodując hałas. - Jaką przynętą zwabił panią aparat państwowy?

Przynęta? Gdybyś tylko wiedział, jak jesteś bliski prawdy, pomyślała Alina i jej odraza do tego mężczyzny jeszcze wzrosła.

- Jeśli zajmę się leczeniem tej bestii - zapytała Stoję na pożegnanie - dostanę wreszcie to, co mi pan obiecał?

Czy dasz mi taśmę magnetofonową?

Komisarz przytaknął, zanim dokończyła zdanie.

- Panie Suker, wyjaśnijmy sobie raz na zawsze: pozwoliłam panu obejrzeć moje oczy i to wszystko. Wolałabym darować sobie rozmowę z panem.

- Nie chciałyby pani poznać mojej diagnozy? Przyjrzenie się pani oczom było naprawdę pouczające.

Alina podeszła do łóżka.

- Nie, dziękuję, nie jestem zainteresowana. Przeciągała dłonią po wyściełanym brzegu pryczy, aż dotarła do jej wezglowia. Potem zdjęła but z prawej stopy.

- Nie? Nawet jeśli zaproponuję pani interes? Stop, nie, proszę nic nie mówić, niech pani po prostu mnie wysłucha, dobrze? Słuchanie nie jest rozmową.

Alina westchnęła nerwowo, co Suker widocznie potraktował jako wyrażenie zgody

- Musi pani wiedzieć o mnie jedno, Alino. Obojętnie, co mówi Stoya i co pisze prasa: ja kocham oczy. Nie te szmaragdowe, błyszczące, często porównywane do diamentów albo gwiazd oczy, które patrzą na nas z prospektów reklamowych.

Zdrowy i ładny to przecież synonimy słowa nudny, nie uważa pani? Ja poszukuję prawdziwego piękna. Nadzwyczajnego, unikatowego, rzadkiego. A w naturze wyjątkowość zawsze oznacza anomalię, czy już kiedyś zastanawiała się pani nad tym, moje dziecko?

- To wszystko?

- Teraz, kiedy mogłem przyjrzeć się pani przepięknym, anormalnym oczom, jestem pewny, że u pani jest możliwy zabieg chirurgiczny. Jeśli pani pragnie, Alino, jeśli pani chce znów widzieć, przywrócę pani wzrok, lecz musiałbym przeprowadzić dwie operacje. I nie wystawię za nie wysokiego rachunku. Zrobię to bezpłatnie. A pani jedynie musiałaby zrezygnować, tu i teraz, z układu, który pani zaproponowałem.

- Mam pana nie masować?

Jakże chętnie Alina przystałaby na propozycję, aby tylko go nie dotykać. Ale wtedy Stoya też nie dotrzymałaby części umowy i nigdy by się nie dowiedziała, co właściwie stało się z Zorbachem w ostatnich sekundach na gazowcu. Znałaby tylko, że na darmo całkiem bym się otworzyła przed psychopatą. - Taka jest moja propozycja - wyszeptał nagle Suker. - Propozycja została odrzucona. Proszę usiąść twarzą do ściany Wyprostowany, plecami do mnie. Suker westchnął.

- Jak pani sobie życzy, madame. Sądząc po odgłosach, okulista, jak go nazywała, zrobił to, o co go poprosiła, i dzięki temu mogła włożyć do ust zaciśniętą w pięść lewą dłoń, tak żeby Suker tego nie widział.

- To pani decyzja. Nie mogę pani uszczęśliwić na siłę, mam rację, moje dziecko?

Wstrzymała oddech, wysunęła do tyłu nogę i wykonała nią gwałtowny wymach w przód. Podwinięte palce stopy uderzyły prosto w metalową nogę łóżka. Ból przeszył całą kończynę i przez nieskończenie długą chwilę nie czuła nic innego. Tylko eksplozję w stopie. Fala uderzeniowa rozeszła się po całym ciele; Alina krzyczałaby, ale ręka w ustach pozwoliła tylko na zduszony jęk. Pot wystąpił jej na czoło i zrobiło jej się niedobrze. Potem wzięła się do pracy.

Rozdział 11

Oślepiąca.

Za każdym razem nachodziła ją taka pierwsza, absurdalna myśl, kiedy znów się to zaczynało, i przed jej wewnętrznymi oczami przetaczał się piorun kulisty Błyskawica, która rozjaśniała wszechobecną ciemność, w jakiej żyła, jaskrawym mieniącym się światłem. Przeważnie ten bolesny proces wyzwał łańcuch asocjacji, który zaczynał się wspomnieniem garażu, gdzie jako trzyletnia dziewczynka szukała na regałach pustych słoików, aby razem z rówieśniczką z sąsiedztwa zrobić papkę na zamki z piasku. Od niedawna mieszkali na przedmieściu małego kalifornijskiego miasta. Przeprowadzili się tam, ponieważ ojciec dostał pracę jako inżynier budowlany przy projekcie tamtejszej zapory wodnej i jak dotąd nikomu nie przyszło do głowy, żeby uprzętać garaż. Dlatego nikt nie wiedział o karbidzie w słoikach pozostawionych tam przez poprzedniego właściciela. Karbid głośno wybuchł, kiedy mała Alina naląła do niego wody.

Oślepiąca.

Alina stłumiła naturalny odruch, który kazał jej natychmiast cofnąć ręce od ramion Sukera, zanim światło stało się tak jaskrawe jak to, które w dzieciństwie kompletnie spaliło jej rogówkę.

Było o wiele za wcześnie, aby przerwać zabieg. Jeszcze nie widziała obrazów ani nie słyszała głosów, chociaż wizje akustyczne zawsze pojawiały się na początku, gdy tylko to się zdarzyło. Jeśli w ogóle się zdarzyło.

Dawniej myślała, że dotyczyło to tylko niektórych osób. Ludzi tak naładowanych negatywną, szkodliwą energią, że ta energia samoistnie przenosiła się na nią, kiedy dochodziło do kontaktu fizycznego. Później, podczas koszarnej odysei u boku Zorbacha, nauczyła się, że nawiązanie kontaktu psychicznego z obcym człowiekiem mogło udać się tylko wtedy, kiedy czuła ból.

Dlatego uderzyła się w stopę.

Wprawdzie przez chwilę nie widziała, nie słyszała ani nie czuła niczego oprócz tępego pulsowania w stopie i ostrego światła, w którym stała. Prawie jej ulżyło, ponieważ wszystkie te wrażenia zmysłowe mogła wytłumaczyć zadaniem sobie bólu.

Jestem świadoma, ale nie szalona.

Jakże chętnie by w to uwierzyła. Jakże chętnie spakowałaby rzeczy, pomachała na do widzenia strażnikowi więziennemu i wzruszając ramionami, z żalem powiadomiła Stoyę, że niczego nie „zobaczyła”. Ale to życzenie się nie spełniło. Ponieważ nagle mgła przed jej oczami podniosła się i w tej samej chwili usłyszała...

Słyszę muzykę?

Już po pierwszych taktach rozpoznała wpadającą w ucho melodię.

Let me take you on o trip Around the world and back

Był to jeden z jej ulubionych utworów, a mimo to nie mogła sobie przypomnieć tytułu ani nazwy zespołu, ale nie było w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę wszystko to, co się zdarzyło potem. Najpierw pojawiły się dziury. Niewidzialne ręce rozerwały tapetę światła przed jej oknem wewnętrznym i odsłoniły znajdujące się za nią cienie. Alina nie czuła już, jak jej dłonie powędrowały od obojczyka do kręgosłupa Sukera. Była za bardzo zajęta obserwowaniem obrazów, które nagle jej się ukazały. Jak podczas masowania kolekcjonera oczu, tak samo teraz wydawało się jej, że przeniknęła do świata swojego pacjenta. Świata, który objawiał się jej krok po kroku i którego kontury nabierały coraz wyraźniejszego kształtu, jak fotografia włożona do kuwety z wywoływaczem.

Ściana. Biała. Surowa, pokryta tanim laminatem jak szafa w mojej starej piwnicy. Słyszę muzykę. Prawdziwą, autentyczną muzykę, jak powiedziałby John, nawet jeśli dochodzi z głośników, które na pewno są jeszcze tańsze niż biała preszpanowa ściana, o którą się opieram.

And you won't have to move You just sit still

Przez chwilę widziała strzelające w górę czerwone iskry, jak w kominku, w którym rozpada się kawałek przepalonego drewna, i wtedy Alina jeszcze wyraźniej zobaczyła swoje otoczenie. Później, kiedy zastanawiała się nad tym na spokojnie, jej logiczny racjonalny umysł wzbraniał się przed uwierzeniem w to, że naprawdę mogła wdrzeć się do duszy Sukera i „widzieć” świat jego oczami.

Psychiatra, którego odwiedziła na wiadomość o śmierci Zorbacha, mówił o wizjach i halucynacjach. Ona wolała określenie „sny na jawie” albo „wspomnienia”. Najbardziej odpowiadało jej to ostatnie. Wspomnienia.

W swoich wizjach nie mogła zobaczyć niczego, czego nie zdążyła zanotować w pamięci, a ponieważ oślepla jako trzylatka, było bardzo

niewiele wizualnych wspomnień, które jeszcze nie wyblakły albo nie zanikły. Nigdy nie widziała telefonu komórkowego, gameshow ani wieży Eiffla, ale na pewno pamiętała muszlę klozetową, na której brzegu właśnie balansowała.

Stoję na sedesie i opieram się o białą laminowaną ścianę. Nie, nie opieram się o nią. Chcę zobaczyć, co jest po drugiej stronie. Podciągam się do góry.

Ogarnęło ją przemożne uczucie, że musi zamrugać powiekami.

Moje obie dłonie spoczywają na górnej krawędzi ściany, stopy opierają się o brzeg sedesu i widzę...

Muzyka stała się głośniejsza i w tym samym momencie jej stopy zniknęły...

...nie, nie moje, lecz...

Nogi zniknęły z pola widzenia. Za to zobaczyła... włosy. Rudoblond, naturalnie kręcone włosy.

Jak zawsze były to włosy... mojej matki. Psiakrew.

Po dwudziestu trzech latach niemal całkowitej ślepoty Alina zachowała w pamięci twarze tylko dwojga ludzi. Swojego ojca i swojej matki. Kiedy była nastolatką, miała jeszcze mgliste wyobrażenie tego, jak mógł wyglądać jej brat. Ale z upływem czasu jego obraz rozmył się przed jej okiem wewnętrznym, a jeszcze później całkiem się rozplynął, jak rysunek tuszem, na który spadł deszcz. Nic więc dziwnego, że wszyscy ludzie, których Alina spotykała w wizjach albo wspomnieniach, mieli oblicza jej rodziców. I dlatego wpatrywała się właśnie w głowę matki, kiedy przechyliła się przez ścianę i z góry zajrzała do sąsiedniej kabiny.

To z pewnością jest toaleta publiczna. Suker wypręża się jak struna, żeby sięgnąć do sąsiedniej kabiny damskiej toalety.

Jakby na potwierdzenie zobaczyła poniżej rękę kobiety, sięgającą do podajnika z papierem toaletowym.

Now let your mind do the walking And let my body do the talking

Śpiew urwał się raptownie, zanim zaczął się refren, i Alina o mało co by się zirytowała, gdyby kobieta nagle nie spojrzała w górę na nią...

Na mnie? Nie, na Sukera.

...mniej więcej w tej samej chwili, kiedy prezenter radiowy, który właśnie wyciszył utwór, zaczął mówić: „Dzisiaj jest szesnasty lutego i

obawiam się, że muszę wrzucić niższy bieg i wypić łyk kawy, ponieważ...".

Nie rozumiała nic więcej, ponieważ na słowa prezentera nałożyły się słowa zaskoczonej kobiety. Widocznie była jedną z dawnych pacjentek Sukera, ponieważ jęczała błagalnym tonem: - Nie, proszę już nie... Potem wstała.

Nie. Nie tak. Ona nie wstaje. Jest wyrwana do góry. Druciana pętla nie daje jej wyboru. Pętla, którą trzymam w ręku i zakładam teraz na głowę swojej ofiary, zaciskam i dlatego kobieta zaczyna rzeźić i wierzga nogami, ale jednocześnie nie próbuje opierać się swoim ciężarem, ponieważ wie, że inaczej złamię jej kark. I dlatego jest zdana na mnie, poznaję to po jej oczach. Łagodnych, dobroduszných, szeroko otwartych ze strachu oczach mojej matki, w których widać nie tylko panikę, lecz niezrozumiałą dla mnie w tej sekundzie formę zrozumienia, aż słyszę głos Sukera wydobywający się z moich ust i teraz już wiem, kogo odwiedzi w następnej kolejności, zaraz po wyjściu z więzienia.

Kolejną ofiarą jest była pacjentka, którą Suker już kiedyś musiał mieć w swoich rękach, ponieważ mówi:

- I co, pamiętasz mnie? Najwyższy czas. Wróciłem, żeby dokończyć to, co zacząłem.

Od tego momentu wizja Aliny trwała jeszcze około dwudziestu sekund, a potem przerodziła się w coś wprost nie do zniesienia.

Rozdział 12

Było trzech mężczyzn, którym Alina życzyła, żeby zwała się im na kark ciężka choroba i dożywotnie charłactwo. Pierwszy był lekarzem, który przyczynił się do tego, że jej ojciec przez rok leczył raka żołądka herbatką ziołową, aż zaczął pluć krwią i niedługo później zmarł. Drugi wślizgnął się do jej domu, kiedy spała, położył się w jej łóżku, żeby molestować ją seksualnie. A trzeci stał właśnie na mrozie obok niej na cmentarzu.

- Gdzie jest Stoya? - zapytała Alina.

- Ma pilne spotkanie z prokuratorem, dlatego mnie przysłał.

- Taaak, to ma pan pecha, że całkiem na darmo zrobił pan taki kawał drogi. Rozmawiam tylko ze Stoyą, a nie z jego chłopcami na posyłki.

- Skąd ta wrogość? - zapytał Mike Scholokowsky.

- Hmm, niech pomyślę. - Alina zmarszczyła czoło. - Może stąd, że ostatnim razem, kiedy pana spotkałam, chciał pan przycisnąć twarz mojego dobrego przyjaciela do rozżarzonej płyty grzewczej?

Zdjęła rękawiczkę i pokazała lewą dłoń. Ręka była pokryta jasnoczerwonymi nabrzmiętymi bliznami, jej osobista pamiątka owego dnia sprzed prawie dwóch miesięcy. Na szczęście nie zostały uszkodzone ścięgna i mięśnie, inaczej nie mogłaby dzisiaj wykonywać swojego zawodu.

- To była stresująca sytuacja, Alino. Przykro mi.

- Panu jest przykro?

Według Mike'a Scholokowsky'ego, w komisariacie nazywanego przez wszystkich „Scholle”, w sprawie kolekcjonera oczu od początku istniał tylko jeden podejrzany: Alexander Zorbach. Scholle był tak pewny swego, że chciał torturować Zorbacha w zamkniętej szpitalnej kuchni, aby dowiedzieć się od niego, gdzie są ukryte dzieci.

- Idiota, wcześniej przesłuchał pan Franka Lahmanna. I go pan wypuścił. Pana niekompetencja doprowadziła do tego, że Zorbach nie żyje, a kolekcjoner oczu do dzisiaj przebywa na wolności. Nie mogę pojąć, dlaczego wciąż pozwalają pana tłustej dupie tkwić w komisariacie.

- O Boże, cieszę się, że tak dobrze się rozumiemy - zaśmiał się komisarz. - Już się bałem, że jest pani pamiętliwa.

Lodowaty wiatr zaciął Alinę w dłoń, schowała ją głęboko do kieszeni kurtki. Irytowała się, że nie ma dokładniejszego obrazu Schollego. Od Zorbacha wiedziała, że policjant miał problem ze znalezieniem ciuchów w swoim rozmiarze w tradycyjnych sklepach z odzieżą. „Scholle wygląda jak były bokser wagi ciężkiej, który z dnia na dzień przestał trenować, ale nie zrezygnował z wysokokalorycznej diety, którą musiał stosować, kiedy był czynnym zawodnikiem, aby utrzymać właściwą wagę - powiedział jej kiedyś Zorbach. - Jak napakowany wykidajło w garniturze, którym w istocie jest w głębi swojego porywczego serca. Zyskuje w oczach tych, którzy bez zastrzeżeń chcą wierzyć w schemat, że otyli ludzie są z natury pogodni i dobroduszni. Scholle nie ma nalanej twarzy, nie ma świńskich oczu i nie poci się, kiedy mówi. W rzeczywistości wygląda jak teddy bear. Okrągła głowa, pękaty brzuch, ręce i nogi, które rozdymają jego ubranie, jakby w rękawach i nogawkach hulał wiatr”.

Te opisy nic nie mówiły Alinie, tak samo jak uwaga Zorbacha o podobieństwie Schollego do Obeliksa. Nigdy nie oglądała walki bokserskiej, nie przyglądała się bramkarzom przed wejściem do dyskoteki ani nie przeglądała komiksu pod kołdrą, przyświecając sobie latarką. Jedynym skojarzeniem, które Zorbach mógłby zasiał jej w głowie, było to, którego właściwie chciał uniknąć, skojarzenie z pluszowym misiem, jakiego mogła znać jeszcze z przedszkola.

- Chodźmy już, Alino. Jest cholernie zimno, powoli zaczyna mi zamarzać mocz w pęcherzu. Teraz, kiedy już wymieniliśmy uprzejmości, chętnie bym się dowiedział, czy pani wizyta u Sukera cokolwiek dała.

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie chciał ze mną rozmawiać, albo nie, nic nie dała.

- Nic nie dała? Nawet najmniejszej wskazówki?

- Nie. To znaczy... - Alina stuknęła się w czoło. - Och, dopiero w chwili, kiedy pan o tym wspomniał, zobaczyłam numer telefonu następnej ofiary, czy to ważne?

- Bardzo śmieszne.

Alina zastanawiała się, czy teraz Scholle uważnie patrzy jej w twarz, a jeśli tak, to co w niej widzi. Nigdy nie umiała kłamać. John zawsze stroił sobie żarty, że to jedyna rzecz, która wyszłaby jej gorzej niż zaparkowanie samochodu, i zaraz też poczuła, jak rumieniec

wypływa na jej policzki. Miała nadzieję, że niebo nad jej głową było takie, jakie powinno być podczas wizyty na cmentarzu: szare, zachmurzone, przygnębiające. Być może przy pochmurnej pogodzie Scholle nie zobaczyłby, że się zaczerwieniła.

Alina już tu kiedyś była, ponad pięć tygodni temu na pogrzebie. Nie dostała oficjalnego zaproszenia, nikt go nie dostał. Zresztą od kogo? Kolekcjoner oczu zgładził jądro rodziny, Zorbach był jedynakiem, jego ojciec już nie żył, a matka wegetowała po udarze mózgu w domu starców. Mimo to w dniu pochówku cmentarz Marienfelde był obleżony przez ludzi, którzy dowiedzieli się o pogrzebie z mediów. Gazeta, w której pracował Zorbach, zamieściła na stronie tytułowej nekrolog. Alina zdawała sobie sprawę, że Scholle chciał wymierzyć jej emocjonalny cios poniżej pasa i w tym celu wybrał na rozmowę właśnie to miejsce. To znaczyło, że musiał wiedzieć o układzie, o tym, co Stoya obiecał jej za spotkanie z Sukerem.

- Do diabła! W takim razie ten szaleniec wyjdzie na wolność. - Komisarz westchnął.

- Och, niech pan się uspokoi, Scholle. Kiedyś nawymyślał mi pan od zwariowanych ezoteryczek i żałował, że za wcześnie zaprzestano palenia czarownic na stosach. Nie wmówi mi pan, Scholle, że to właśnie pan coś sobie obiecywał po mojej wizycie u Sukera.

- Szczerze? - usłyszała, jak Scholle przypala papierosa. - Nie. Nie wierzę, że jest pani kimś w rodzaju jasnowidza. Myślę, że to wszystko jest zwykłym oszustwem. To, że przy pani pomocy zdobędziemy kolejne dowody, uważam za równie prawdopodobne jak to, że dziś wieczorem zadzwoni do mnie Heidi Klum i będzie chciała namówić mnie na trój kącik z nią i jej najlepszą przyjaciółką. Ale z jakiegoś powodu, którego nie rozumiem, z kolekcjonerem oczu to zadziało. A ze sprawy z moim synem nauczyłem się jednego: trzeba trzymać się kurczowo każdego źdźbła trawy, bo później człowiek na całe wieki naraża się na zarzut, że nie próbował wszystkiego.

Kilka lat temu Scholle zrobił sobie dłuższą przerwę w pracy w policji, żeby szukać syna. Czteroletni Marcus Scholokowsky został potajemnie uprowadzony przez rosyjską żonę Schollego. Stracił jej trop gdzieś pomiędzy Moskwą a Jarosławiem. Scholle za długo zwlekał. Kiedy przyjechał do Rosji, matka i syn zniknęli na dobre. Scholle już nigdy nie zobaczył Marcusa.

- Chcę zamykać w więzieniu złych ludzi, Alino. Tylko tyle. I żeby to osiągnąć, tak samo jak Stoya nie zawahałbym się użyć czegoś, czego nie ma w podręcznikach.

- Jak na przykład tortur.

- Tak, to też - przyznał bez ogródek. - I co w tym złego? Zadaję pani całkiem proste pytanie, Alino. Niech pani weźmie dwie drużyny piłkarskie. Jedna z nich jest uzbrojona po zęby, nie musi trzymać się żadnych reguł i wolno jej zatłuc, postrzelić, a nawet zabić każdego gracza, który się zbliża. Natomiast drugi zespół jest ciągle pilnowany przez sędziego, wolno mu wyjść na boisko tylko w strojach sportowych i od razu dostaje czerwoną kartkę, kiedy kogoś sfauluje. Jak pani sądzi, która drużyna wygra?

- Dobrzy nie mogą wygrać meczu, kiedy grają fair?

- No właśnie.

- Bullshit. Ale dziękuję, że jest pan ze mną taki szczery. Jeszcze łatwiej mi pana nienawidzić.

I okłamywać.

Bądź co bądź mogłaby wskazać publiczną toaletę jako miejsce, gdzie Suker będzie szukał następnej ofiary, gdy tylko znajdzie się na wolności. A prezenter radiowy zdradził nawet konkretną datę, kiedy okulista znów zaatakuje.

„Dzisiaj jest szesnasty lutego i obawiam się, że muszę zredukować bieg...”. Szesnasty lutego.

A więc jeszcze tylko pięć dni - a już jutro wypuszczą Sukera. Mimo to jest za wcześnie, żeby powiedzieć to policji.

Potrzebowała czasu do namysłu. Od zabiegu w szpitalu więziennym minęła już godzina, i jeśli to, czego się dowiedziała pod sam koniec, rzeczywiście była prawda, rodziła się wątpliwość, czy może podzielić się z kimś tą wiedzą. Patrząc od tej strony, prawdopodobnie mogła mówić o szczęściu, że Stoya przysłał asystenta. Gdyby przyszedł osobiście, Alina mogłaby nakłamać jeszcze bardziej.

- No dobrze.

Alina usłyszała, jak Scholle wkłada dłonie do grubych rękawiczek i rytmicznie klaszcze w ręce.

- Mimo to dziękuję, że przynajmniej pani próbowała. - Sądząc po chrzęście, policjant walnął czubkiem buta w żwir, którym były

wysypane wszystkie alejki na cmentarzu. - Zresztą ktoś go wykopał - powiedział Scholle, czym całkowicie ją zaskoczył.

- Słucham?

- Trumnę Zorbacha. Jacyś bezdomni rozbili ją wczoraj i zabrali część ciała.

- Kpi pan ze mnie?

- No jasne. Uwielbiam to robić. Przy minus stu stopniach wystawać na cmentarzu i żartować sobie z niewidomej kobiety.

Gdzieś poza terenem cmentarza wydawało się istnieć życie, które zwracało na siebie uwagę głośnym koncertem klaksonów, choć tu, przy grobie Zorbacha, Alina czuła się jak na innej planecie.

- Nie wierzę.

- Nie może pani tego zobaczyć, lecz ziemia jest tutaj całkiem świeża, a w miejsce wyrwanych kwiatów jeszcze nie posadzono nowych.

- Ale dlaczego? Przecież to jakiś obłąd. Scholle chrząknął twierdząco.

- Można tak powiedzieć. To wymagało nadludzkiego wysiłku. Ta cholerna ziemia jest głęboko zamarznęta.

W odległości kilku metrów Alina usłyszała kroki dwojga ludzi. Wiedziała, że stali w dość krętym rejonie cmentarza, osłoniętym przed spojrzzeniami przechodniów przez krzaki i liczne drzewa. Kroki oddaliły się, mimo to zniżyła głos.

- Dlaczego? Kto to zrobił?

- A kto obcinał kobietom powieki, zanim je zgwałcił? - Scholle znów kopnął z wściekłością w żwirowe podłoże. - Żyjemy w chorym świecie, Alino. Czasem zastanawiam się, czy jesteśmy w nim lekarzami, czy pacjentami.

Poczuła, jak mróz przedostaje się przez podeszwy martensów, i stanęła na piętach, żeby mógł atakować jak najmniejszą powierzchnię.

Nagle Scholle złapał ją za ramię i wyciągnął jej rękę z kieszeni kurtki.

- Co to jest?

Zimno rzuciło się na jej gołe palce jak drapieżne zwierzę, które czeka na ciepłą zdobycz.

- Układ. Co prawda nie może mi pani pomóc, ale obietnica jest obietnicą.

Alina zaprotestowała:

- Stoya miał mi dać taśmę magnetofonową. Nie wizytówkę.

Zorbach był na tyle przytomny, żeby włączyć funkcję nagrywania w komórce, kiedy rozmawiał z Frankiem Lahmannem. Ostatnia rozmowa z kolekcjonerem oczu, w ogóle jego ostatnia rozmowa, została zarejestrowana słowo po słowie. Od powitania do strzału w głowę. Podobnie jak cała opinia publiczna i prasa także Alina nie mogła jej do tej pory wysłuchać.

- Właściwie dlaczego tak pani zależy na tej taśmie? - zapytał Scholle.

- I tak pan tego nie zrozumie.

- Niech pani spróbuje. Wcale nie jestem taki tępy, na jakiego wyglądam.

Alina westchnęła i potrząsnęła głową, jakby rozmowa i tak do niczego nie prowadziła. Potem zdobyła się na spory wysiłek i postarała, żeby jej głos zbytnio nie przypominał głosu osoby wyczerpanej nerwowo.

- Nie odnaleziono zwłok Juliana?

- Jak do tej pory nie.

- Nie znaleźliście ich w ładowni statku, kiedy byliście tam z Zorbachem?

- Nie. Pozostałych ofiar również nigdy nie znaleźliśmy. Kolekcjoner oczu zawsze przenosił je w inne miejsce.

- Tak, to prawda. Ale przyszliście za późno. O ile minut?

- Termin ultimatum upłynął siedem minut wcześniej.

- Ile czasu, jak pan szacuje, potrzebuje mężczyzna, aby przebiec z ładowni statku na pokład i po trapie w dół do samochodu zaparkowanego przy pirsie?

- Bo ja wiem? Może dwie, trzy minuty.

- A z martwym chłopcem na rękach?

- Rozumiem, do czego pani zmierza, Alino. - Scholle udał dźwięk rozbłyskującej żarówki, znany z filmów rysunkowych. - Obliczyliśmy to wszystko. Frank Lahmann musiał zabrać Juliana z kryjówki jeszcze przed upływem ostatecznego terminu.

- Albo chłopiec nigdy nie opuścił statku.

- Wszystko przeszukaliśmy Proszę mi wierzyć. Franka na pewno nie było na pokładzie, tak samo Frank na pewno nie zamordował Juliana na statku.

- Skąd ta pewność?

- Między innymi z taśmy.

- Tak myślałam. Właśnie dlatego chcę ją mieć.

Alina naciągnęła kaptur kurtki głębiej na czoło. Mimo grubego baraniego futra i czarnej peruki zmarzła, jakby zanurzyła głowę w lodowatej wodzie.

- Dlaczego nie wystarczy pani słowo Stoi? - zapytał Scholle. - Co za różnica, jeśli pani usłyszy to na własne uszy?

- A dlaczego rodzina chce ostatni raz zobaczyć zmarłego? - skontrolowała. - Uwierzę w to, co pan mówi, pod warunkiem, że sama się o tym przekonam.

Mogę pożegnać się z Zorbachem tylko wtedy, kiedy ostatni raz usłyszę jego głos. Ale co ciebie to obchodzi, ty łazęgo.

- Julian nie został zamordowany na statku, kropka. Nie wiem, co miałoby być w tym nadzwyczajnego? - zapytał Scholle.

- To by znaczyło, że moglibyśmy zmienić nasz los.

Alina poczuła, że komisarz chciał skwitować jej ostatnie zdanie nieprzychylnym komentarzem, i zaczęła mówić szybciej.

- W mojej ostatniej wizji, wtedy, na krótko przed uwolnieniem bliźniaków przez Zorbachę, widziałam śmierć Juliana. Widziałam statek. Widziałam ładownię, być może tę, do której wszedł Zorbach. I widziałam, jak Julian się dusił.

- Widocznie się pani pomyliła. Zaśmiała się smutno.

- Dużo bym dała, żeby tak było.

Wtedy Zorbachowi udałoby się przerwać łańcuch zła. Zasada predestynacji przestałaby działać i moglibyśmy zmienić bieg rzeczy. Bo jeśli jest, tak jak jest, to w żadnym razie nie mogę ci opowiedzieć mojej ostatniej wizji, Scholle.

- Proszę dać mi taśmę - zażądała ponownie.

- Nie ma żadnej taśmy, jest pendrive. I pani go nie dostanie, chyba pani to rozumie?

- Nie, nie rozumiem. Mam umowę ze Stoją.

- Ach tak, ma pani umowę? - Scholle zaśmiał się ironicznie. - Być może mój szef jest odrobinę naiwny, ale mnie pani nie zmyli, skarbie. Czy naprawdę pani sądzi, że nie widzę, że coś pani przede mną ukrywa?

Cholera. Alina poczuła, że jeszcze bardziej się czerwieni. System kontroli bezpieczeństwa. Jak można być tak głupią?

Zapomniała o ukrytych mikrofonach, które rejestrowały każde słowo wypowiedziane w pokoju zabiegowym. Podczas masowania Sukera o wiele za długo panowała cisza. Jeśli rzeczywiście nic nie czuła, dlaczego natychmiast nie przerwała zabiegu?

- Nie powiedziała mi pani wszystkiego, nie dostanie więc pani pliku audio, to chyba jasne.

Żwir znów zachrzącił po ciężarem Schollego, tym razem dlatego, że komisarz zdecydował się odejść.

- Chwileczkę, gdzie pan idzie? - zawołała za nim.

- Gdzieś, gdzie jest ciepło.

- Co mam zrobić? - Pomachała w powietrzu wizytówką, którą Scholle wcisnął jej do ręki.

- Jestem pewny, że pani coś wymyśli, Alino.

Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Zamiast tego nasłuchiwała chrzęstu kroków, które powoli się oddalały, tak samo jak głos policjanta:

- I to bardzo szybko, jestem tego pewny.

Rozdział 13

Wyglądało na to, że spacer skrajem lasu wzdłuż jeziora dobrze mu zrobił. TomTom źle spał tej nocy. Zwykle leżał na chodniku przy łóżku Aliny, ale wczoraj zamienił stałe legowisko na miejsce pod kaloryferem. Wielokrotnie budziło ją jego gorączkowe jęczenie, poczuła, że pies ma suchy nos, i przyniosła mu dużą miskę wody, ale wychłęptał jedynie kilka łyków. Od długiego czasu było cholernie zimno. Mróz dawał się we znaki nie tylko ludziom, którzy z tego powodu zaczęli nazywać swoje miasto „Berlingradem”, ale także wszystkim żywym istotom w nim uwięzionym. Ptaki nie mogły znaleźć pożywienia pod grubą pokrywą śnieżną, ryby dusiły się w zamarzniętych jeziorach, Towarzystwo Ochrony Zwierząt zaleciło nie wypuszczać z domu kotów, a psy wyprowadzać wówczas, kiedy było to konieczne, nawet jeśli zwierzęta miały większą odporność niż szacowana na dwanaście tysięcy populacja berlińczyków, których dopadła epidemia grypy. Jeszcze dziś rano TomTom ledwie tknął pokarm, ale teraz żwawo ciągnął do przodu, jakby nie mógł się doczekać, kiedy dotrze do wyspy. Schwanenwerder 7

Tylko tyle. Wytłoczenie na awersie wizytówki, którą Scholle dał jej na cmentarzu, nie zdradzało nic więcej. Żadnego nazwiska, kodu pocztowego, żadnych informacji, kto mógł tam mieszkać, przy czym z pewnością trafniejsze byłoby słowo „rezydować”. Alina mieszkała w Berlinie od czterech lat. Wystarczająco długo, aby wiedzieć, że od momentu kiedy opuściła Wannsee, wylądowała w najdroższej części stolicy.

Z pewnością miło się spaceruje, ale zdecydowanie nie czuję się tu dobrze.

Z każdym krokiem narastało w niej nieprzyjemne uczucie. Kotłowało się jej w żołądku, ale nie kładła tego na karb skromnego śniadania, które dzisiaj zjadła. Jest cholernie zimno, dostaję biegunki i nie wiem, gdzie się znajduję, a więc, do diabła, co mam do stracenia?

W przeciwieństwie do niej TomTom zachowywał się, jakby znał cel spaceru, w każdym razie zdecydowanie ciągnął do przodu i zatrzymywał się od czasu do czasu po to, żeby ostrzec ją przed wyrwą albo wystającą na drogę gałęzią. Wzdłuż drogi do Wannsee nie było chodnika i szli lewą stroną, aby lepiej ich widzieli kierowcy nadjeżdżających z przeciwka pojazdów. Ale do tej pory nie minął ich

jeszcze ani jeden mercedes, porsche albo samochód terenowy, które, jak należało przypuszczać, stały w podwójnych garażach okazałych willi.

Szli już trzy kwadranse, odkąd Alina wysiadła na stacji szybkiej kolei miejskiej Wannsee. Czterdzieści pięć minut, z których przez co najmniej czterdzieści cztery wątpiła w swój zdrowy rozsądek.

Gliniarz jest wkurzony, bo nie przepowiedziałaś mu przyszłości, i daje ci wizytówkę. Każdy normalny człowiek zostałby w ciepłym domu, ale ty głupia ślepa krowo, oczywiście chcesz mamie zginąć w imię zaspokojenia własnej ciekawości.

Przeszli przez mały most, który łączył Schwandenwerder z leżącym na stałym lądzie Zehlendorf, co Alina poczuła po zmienionym wietrze. Poza tym słyszała pod sobą trzeszczenie kry. Od tej chwili nie musieli iść drogą, lecz mogli skorzystać z wąskiego chodnika.

Na całej wyspie było niewiele domów, ale ponieważ wszystkie działki miały około pięciu tysięcy metrów kwadratowych, za każdym razem musieli odbyć drogę długości połowy boiska do piłki nożnej, żeby dotrzeć do następnej bramy. Upłynęło kolejne dziesięć minut, zanim zaświergotał sygnał akustyczny GPS w jej iPhone. Byli na miejscu. Schwanenwerder 7, obojętne, co się pod tym adresem kryło.

Oczywiście Alina próbowała uniknąć tej wyprawy, ale ani informacja telefoniczna, ani internet nie potrafiły jej pomóc. Schwanenwerder 7 nie był wymieniony w żadnym oficjalnym spisie, zresztą jak większość tutejszych posiadłości. Piężni i bogaci inwestowali pieniądze we wszystko, w co się dało, lecz na pewno nie w tabliczki, na których widniałyby ich nazwiska. Cały dzień walczyła ze sobą i dziś rano wybrała się w drogę. Trochę to trwało, aż w końcu Alina znalazła cienki metalowy słupek wetknięty w ziemię zaledwie kilka centymetrów przed płotem, na którym zainstalowano domofon.

Nacisnęła dzwonek i jeszcze raz powtórzyła w myślach, co zamierzała powiedzieć, kiedy ktoś zapyta, czego tu chce.

Wiem, że to zabrzmie trochę dziwnie, ale dostałam ten adres od komisarza Mike'a Scholokowsky'ego. Jak zrozumiałam, ma pan dla mnie kilka informacji.

- Tak, proszę.

Alina liczyła się z tym, że minie kilka minut, aż ktoś przejdzie przez nieskończenie długi korytarz, i była trochę zaskoczona, że ten ktoś

odezwał się tak szybko. Głos mężczyzny brzmiał zaskakująco przyjaźnie.

- Alina Gregoriev, chciałabym...

Zadźwięczał brzęczyk i brama uchyliła się na kilka centymetrów. Alina musiała naprzeć na nią obiema rękami, żeby ją szerzej otworzyć.

Okay, Scholle, wygląda na to, że nie zakpiłeś sobie ze mnie i ktoś tu na mnie czeka, pomyślała jeszcze Alina, ale kiedy po kilku krokach TomTom, warcząc nagle, stanął jej na drodze, było już za późno, żeby ją ostrzec.

Alina została powalona na ziemię.

Rozdział 14

Było ich dwóch, żaden nie odezwał się słowem. Ruchy, którymi jednocześnie przewrócili Alinę i wymierzili cios w splot słoneczny, a następnie wetknęli knebel w milczące szeroko otwarte usta i nałożyli worek na głowę, były płynne i wyglądały na wyuczoną choreografię. Kiedy została poderwana do góry za ręce i nogi, wydało jej się, że doznała nierealnego uczucia nieważkości. W zasadzie byłby to dobry moment, żeby wpaść w panikę. Jeśli nie na odgłos taśmy do pakowania, która trzeszcząc, owijała się wokół jej nadgarstków, to najpóźniej w chwili, kiedy usłyszała szmer opuszczanej szyby i została rzucona na tylne siedzenie samochodu dostawczego. Całe zdarzenie trwało krócej niż cztery sekundy i prawdopodobnie to spowodowało, że Alina zdała sobie sprawę ze swojego położenia z pewnym opóźnieniem.

Mój strach nie nadaża za mną, pomyślała i stwierdziła, że jej jedyne zmartwienie dotyczyło TomToma, który dopiero co wściekle szczekał, potem rozległo się jego stłumione wycie, a teraz już go przy niej nie było. Uciekaliśmy przed moim lękiem.

Bus przyspieszył i pędził w dół pochyłą drogą. Alina nie potrafiła wyobrazić sobie proporcji terenu, ale najwyraźniej był on dostatecznie duży, aby pomieścić tor wyścigowy. Kiedy przemknęło jej przez głowę, że w każdej chwili samochód może wpaść do Wannsee, dochodzące do niej odgłosy zmieniły się, stały się głośniejsze i bardziej przytłumione, co wskazywało na to, że wjechali do tunelu.

Jazda skończyła się tak nagle, jak się zaczęła. Gdyby obaj porywacze nie siedzieli na jej udach, poleciałyby do przodu, kiedy kierowca nadepnął na hamulec.

Przesuwane drzwi gwałtownie się otworzyły i zaczęła się druga część budzącej grozę choreografii. Tym razem jeden z mężczyzn zarzucił ją sobie na ramię. Drugi zdarł z ręki Aliny lewą rękawiczkę i przycisnął jej dłoń do zimnej szklanej powierzchni. Zaczęła się pocić, ale jeszcze nie ze strachu, lecz dlatego, że temperatura wzrosła nagle o czterdzieści stopni. Swoim urojonym wzrokiem zobaczyła ogrzewany garaż, potem usłyszała odgłos, jaki wytwarzały skórzane podeszwy butów porywaczy, i skorygowała pierwsze wrażenie. Pomieszczenie było za małe na garaż. Znajdowała się raczej w hangarze.

„Co to ma znaczyć? Kim jesteście, świnię?” - chciała wykrzyknąć, ale z zakneblowanych ust wydobyły się tylko niezrozumiałe jęki.

Postawili ją pod ścianą niczym zwinięty i związany dywan i Alina poczuła, jak jeden z porywaczy zabiera jej komórkę, klucze, portmonetkę, pasek i papierosy razem z zapalniczką.

Serce zabiło jej mocniej. Strach jeszcze jej nie dopadł, choć był już na wyciągnięcie ręki.

Przez jakiś czas nic się nie działo, potem nagle coś zapiszczało i w pewnej odległości znów otworzyły się rozsuwane drzwi. Alina usłyszała, jak ktoś gra na fortepianie, i nie wiedziała, co ją bardziej drażniło: czy fakt, że właśnie wnoszono ją głową do przodu do windy, w której rozbrzmiewały dźwięki muzyki klasycznej, czy zdumiewająca konstatacja, że muskularny typ, cały czas niosący ją na ramieniu, był kobietą.

- Czy znajdzie pan chwilę? - zapytała porywaczka, a ponieważ Alina nie usłyszała odpowiedzi, domyśliła się, że umięśniona kobieta rozmawiała przez telefon. W tym momencie nie była w stanie wyciągnąć innych wniosków. W końcu jednak jej strach zwyciężył w wyścigu i w ostatniej chwili udało jej się wcisnąć do windy przez zamykające się już drzwi.

- Bardzo dobrze. - Kobieta zaśmiała się z ulgą. - Udało się. Co się udało? Gdzie ja jestem? Czego ode mnie chcecie?

- Spotkanie, na które pani tak długo czekała, wreszcie się odbędzie.

Rozdział 15

- Proszę mi wybaczyć to niestosowne potraktowanie, pani Gregoriev.

- Głupstwo, nie ma o czym mówić. Uwielbiam być bita i uprowadzana.

Alina wycierała ze skóry resztki taśmy do pakowania, które pozostały na jej nadgarstkach. W dalszym ciągu trudno jej się oddychało, ale w końcu zdjęto jej więzy i ściągnięto worek z głowy, pod którym omal się nie udusiła. A odkąd kobieta o sile chińskiej sztangistki zdjęła ją z ramienia, postawiła na podłodze i wyjęła knebel z ust, znów mogła mówić swobodnie.

- Naprawdę bardzo mi przykro, policjanci zareagowali zbyt gwałtownie zupełnie bez powodu - powiedział nieznajomy nieodpowiednim do sytuacji sympatycznym tembrem głosu.

- Policja? To byli gliniarze? - Alina roześmiała się z niedowierzaniem i pochyliła do przodu w skórzanym fotelu. - A pan kim jest? Prezydentem?

- Nazywam się doktor Martin Roth.

Roth? Gdzieś na odległej drodze nerwowej rozbłysła synapsa, ale Alina nie mogła znaleźć szuflady, do której włożyła segregator z tym nazwiskiem.

- Być może słyszała pani o mnie w związku z Zarinem Sukerem - pomógł jej.

Racja. Orzeczenie lekarskie.

- Stoya wymienił pana nazwisko. To pan jest tym lekarzem od świrów, który badał świadka Tamarę Schlier, mam rację?

Alina najchętniej zerwałaby się na równe nogi, żeby wymierzyć mężczyźnie policzek, ponieważ teraz przynajmniej знаła tożsamość jednego z porywaczy.

- Zgadza się. Prokuratura zleciła sporządzenie opinii lekarskiej na temat jej stanu psychicznego.

- To bardzo dobrze. Ale może byłoby lepiej, gdyby sam pan się przebadał. Po co, do diabła, tu jestem?

- Czy komisarz Stoya pani tego nie powiedział? Z wściekłością klasnęła w dłoń.

- Nie. Kochany dobry pan Stoya jest dla mnie nieuchwytny od przedwczoraj. Za to jego asystent Mike Scholokowsky dał mi

wizytówkę z tym adresem i powiedział, że sama się zorientuję. A więc albo wszyscy macie chore poczucie humoru, albo teraz wyskoczy pan z czymś zupełnie niespodziewanym, zanim zadzwonię do swojego adwokata.

Alina usłyszała charakterystyczne skrzypienie krzesła obrotowego. Najwidoczniej lekarz wstał.

- Rozumiem pani zdenerwowanie.

- Doprawdy? Człowieku, jest pan naprawdę dobry w swojej pracy. Nie pomyślałabym, że psychiatra potrafi zrozumieć, dlaczego jakaś niewidoma wścieka się tylko dlatego, że ktoś wsadził jej knebel do ust.

Roth przeszedł kilka kroków po pokoju, którego nie potrafiła zwizualizować po wszystkich horrendalnych przejściach.

Wyobrażała sobie, że siedzi sama w pustce na rozłożystym skórzanym fotelu, który do tej pory wydawał się unosić w powietrzu. Teraz, kiedy słyszała skrzypienie desek podłogowych pod stopami Rotha, skorygowała to wrażenie. Całkiem możliwe, że lekarz stał na twardym gruncie.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, absolutnie nie toleruję tej formy przemocy. Ale policjanci po prostu musieli mieć pewność.

- Pewność czego?

- Że rzeczywiście jest pani Aliną Gregoriew. Zapewne pani nie zauważyła, że śledzili panią już od stacji kolei miejskiej. Ogon, który szedł za panią, zwrócił uwagę na to, jak pewnie poruszała się pani w niesprzyjającym terenie.

- Ogon? - Alina mimowolnie zamrugła. No, coraz lepiej.

- Hmm. Nasunęły im się wątpliwości, że być może pani tylko udaje niewidomą. Ponadto kamery monitoringu przy wejściu pokazały, jak pani zdecydowanie zatrzymała się dokładnie przed numerem 7. Na koniec dowodzący akcją zrobił zbliżenie i zorientował się, że nosi pani perukę. Bardzo mi przykro, tutaj toczy się gra o wysoką stawkę, więc nie można było ryzykować, że jest pani osobą nieupoważnioną, która chce rozpoznać teren. Dlatego skonfiskowano pani dowód osobisty i sprawdzono odciski palców.

- Chwileczkę... - Alina przypomniała sobie, jak przyciśnięto jej dłoń do szyby. - Robi pan sobie ze mnie jaja, a może jestem w ukrytej kamerze, w programie o niepełnosprawnych? Mam GPS w telefonie i

chodzę z psem przewodnikiem, specjalnie szkolonym. A propos... - Zrobiło jej się zimno. - Co pan z nim zrobił? Gdzie jest TomTom?

- Proszę się nie martwić, bez przerwy warczy i szczerzy zęby, ale poza tym ma się dobrze. Dzięki uchwytowi łatwo było go złapać. Teraz czeka na panią przywiązany przed głównym budynkiem.

- Niech pan go przyprowadzi, natychmiast!

- To niemożliwe. Psy nie mają wstępu na teren szpitala.

- Szpitala? Jestem w szpitalu?

- Można tak powiedzieć, ale nie w normalnym szpitalu. Alina roześmiała się szyderczo.

- Ach tak? Ma pan na myśli, że nie w takim, do którego idzie się dobrowolnie.

- Właśnie tak - odpowiedział Roth na sarkastyczną uwagę Aliny i nagle jej wściekłość minęła, jak ręką odjął. Prawdopodobnie przyczynił się do tego ton głosu psychiatry, który niezmiennie zachowywał spokój, nie zważając, jak bardzo go prowokowała. Zgodził się zostać kozłem ofiarnym i teraz, kiedy minął jej pierwszy atak złości, powoli wracała jej zdolność logicznego myślenia.

Ogon - kamery monitoringu - worek na głowie - strach przed szpiegami - Stoya - Scholle - Roth - Suker.

Ogniwo, które łączyło ten łańcuch, nazywało się...

- Chwileczkę... - Alina powoli wstała z fotela. - Świadek wcale nie zniknęła.

- Słucham?

- Tamara Schlier, główny świadek w sprawie Sukera, nie zapadła się pod ziemię. Ona jest tutaj.

Alina uznała przerwę, w czasie której Roth prawdopodobnie przytaknął, za potwierdzenie.

- Klinika jest kryjówką. Sprowadzili tutaj Tamarę, żeby była bezpieczna przed Sukerem.

Dlatego teren jest tak zabezpieczony. Dlatego stajecie się tacy nerwowi, kiedy przychodzą tu niezapowiedziani goście.

- Schwanenwerder 7 jest pilnie strzeżonym oddziałem więziennym, znanym tylko bardzo małej grupie ludzi - potwierdził Roth jej przypuszczenie. - Z zewnątrz niewiele można dostrzec przez dwumetrowe ogrodzenie, a jeśli już komuś uda się przez nie zajrzeć, zobaczy jedynie główny budynek, który wygląda jak willa

przypominająca pałac. W rzeczywistości nawet kiedyś nim był. Posiadłość należała dawniej do rodziny Larentzów.

- Nic mi to nie mówi.

- I nie ma tutaj nic do rzeczy. Dom od strony drogi to tylko kamuflaż. Serce posiadłości znajduje się z dala od ludzkich oczu, kilka metrów poniżej willi, na brzegu Wannsee. Od strony jeziora widać tylko hangar dla łodzi i przeszkloną fasadę z lustrzanego szkła. Bezpieczne pomieszczenia, które przystosowano do ochrony ofiar i świadków, zostały w dużej części umieszczone pod ziemią, tak samo jak klinika, w której właśnie się znajdujemy.

- I gdzie leczy pan Tamarę Schlier.

- Między innymi.

- Nie rozumiem, więc jednak ma pan świadka. I mimo to chce pan wypuścić Sukera na wolność?

- Ponieważ w tej tragicznej sprawie pozostała nam już niewielka nadzieja, że pani Schlier kiedykolwiek będzie w stanie złożyć nadające się do wykorzystania zeznanie, ale chciałem...

- To, co pan chce, jest mi serdecznie obojętne, doktorze. Demonstracyjnie wywróciła puste kieszenie džinsów.

- Proszę mi oddać komórkę i papierosy i wreszcie wyjaśnić, co ja tu robię.

- To trochę skomplikowane.

- Nie wątpię. - Alina skrzyżowała ręce na piersi. - Najlepiej niech pan zacznie od początku.

- Nie - powiedział Roth. - Najlepiej będzie, jeśli to pani pokażę.

Rozdział 16

Szli długim korytarzem, w którym unosił się zapach farby oraz kurzu, i Roth upomniął ją, żeby nie zbliżała się do świeżo pomalowanych ścian. Permanentny smród rozpuszczalnika i nieliczne odgłosy wokół niej niemal uniemożliwiały rozpoznanie nieznanego otoczenia. Alina nie wiedziała, jak wysoki jest korytarz, ani nie potrafiła ocenić odległości pomiędzy bocznymi ścianami. W jej oku wewnętrznym zarysował się obraz typowego szpitalnego korytarza z podłogą wyłożoną linoleum i poziomymi drewnianymi listwami na ścianach. Od czasu do czasu Roth delikatnie dotykał jej ramienia, aby uprzedzić ją o stole, stojącym łóżku albo idących z przeciwka ludziach, z którymi witał się zdawkowo i nie używał przy tym tytułów. Roth przedstawił jej ogólny zarys architektury całego kompleksu. Większą część gmachu wbudowano w zbocze i mieściła się pod ziemią, a jedynie mała część wystawała ponad nią i była widoczna wyłącznie od strony jeziora.

Kiedy lekarz oznajmił, że opuścili podziemny sektor, poszedł przodem, milcząc, co dało Alinie możliwość poukładania w głowie myśli.

Do diabła, w co ja się znowu wpakowałam?

Już dziś rano z trudem udało jej się wytłumaczyć Johnowi, dlaczego chce pójść za tajemniczymi wskazówkami Schollego i dlaczego w ogóle wybiera się na Schwanenwerder.

„Ponieważ policjant jest dupkiem, ale nie jest sadystą, rozumiesz? Przynajmniej nie męczy nikogo bez powodu. Scholle coś sobie obiecuje, skoro mnie tam wysyła. Oczywiście nie wiem, co to jest...”

Dopiero teraz rozjaśniło jej się w głowie. Świadek zwariował i siedzi na Schwanenwerder w psychiatrycznym areszcie prewencyjnym.

A co ja mam do tego? Alina nagle stanęła w miejscu, zablokowana przez własne myśli.

Oni chyba nie chcą, żeby...

- Chwileczkę, panie doktorze. Nie będę się tu nikim zajmować.

No jasne, o to im chodziło. Gdyby Stoya albo Scholle całkiem oficjalnie poprosili ją, żeby wypróbowała swój dar na kolejnej pacjentce, pokazałaby im środkowy palec i odmówiła. A tak wpadła w sidła własnej ciekawości.

- Zajmować się?

Mogłaby się założyć, że Roth przystanął i patrzył na nią z pytającym wyrazem twarzy, podobnym do tego, jaki zawsze przybierała matka, kiedy Alina chciała opowiedzieć jej, co się zdarzyło w przedszkolu. Niewiele mentalnych migawek Alina przechowywała w rodzinnym albumie wspomnień, a większość z nich z upływem lat pożółkła, jak twarz jej brata Ivana. Mimikę matki, która składała jej fartuszek i uważnie słuchała, Alina zaliczała do skarbów, które zachowała na zawsze.

- Co pani ma na myśli, mówiąc „zajmować się”? - zapytał psychiatra.

- A więc nie jestem tu, żeby... - Alina machnęła ręką. - Nieważne, niech pan o tym zapomni!

- Aha, rozumiem, oczywiście. Pani jest fizykoterapeutką. Gazety przypisują pani nawet zdolności medium.

- Gazety wypisują różne rzeczy.

- To prawda, ale nie, nie wezwałem pani z powodu pani wyuczonych albo wrodzonych zdolności.

Znów zaczęli iść i Alinie przypomniała się uwaga kulturystki w windzie.

„Spotkanie, na które pani tak długo czekała, wreszcie się odbędzie”.

- O ile wiem, pan wcale mnie nie wzywał. Jeden pomylenieć dał mi wizytówkę, a dwaj inni mnie porwali.

- To pani punkt widzenia, pani Gregoriev.

- Ach tak? A w takim razie jaki jest pański?

Alina usłyszała, jak Roth zmagął się z kolejnymi zamkami, zanim otworzył drzwi, które, jak się wydawało, łączyły wyremontowane skrzydło ze starszą częścią budynku, ponieważ tutaj przynajmniej nie czuło się zapachu prac renowacyjnych.

- Już cztery tygodnie temu zasugerowałem komisarzowi Stoi, by poprosił panią o pomoc, ale on uważał, że to jeszcze za wcześnie. Cieszę się, że zmienił zdanie.

- Pomoc w czym?

- Co pani wie o osobowościach mnogich, pani Gregoriev?

Zwolnili kroku, jak ludzie, którzy już widzą punkt, w którym ich drogi się rozejdą, i chcą odwlec w czasie moment pożegnania. Prawdopodobnie dotarli na oddział radiologii. W jednym z ostatnich pomieszczeń, do których weszli, musiało stać będące właśnie w użyciu

duże urządzenie elektroniczne. Alina postawiła na tomograf magnetycznego rezonansu jądrowego, chociaż buczenie i syczenie brzmiało dźwięczniej od tych, jakie знаła z badań, podczas których sama była wsuwana do rury.

- Widziałam film Tożsamość - odpowiedziała na pytanie Rotha.

- Widziała pani?

- Tak, ale zanim znów naciągnie mi pan kaptur na głowę, ponieważ myśli pan, że symuluję, mogę pana uspokoić: dużo niewidomych chodzi do kina. Muszę przyznać, że filmy bogate w dialogi sprawiają większą przyjemność niż dokumenty przyrodnicze.

- Znów się czegoś nauczyłem. - Roth podziękował i poprosił Alinę, żeby zrobiła krok w lewo, aby ominąć wózek z jedzeniem. Sądząc po zapachu, przechodzili obok kuchni i teraz żołądek Aliny dał znać o sobie.

Była głodna, musiała się wysikać i zapalić papierosa. Najlepiej wszystko naraz. Powoli poznawała reakcje swojego organizmu. Po stresujących sytuacjach, kiedy wydawało jej się, że była bliska śmierci, organizm domagał się reanimacji: głównie w postaci jedzenia, legalnych środków odurzających albo seksu, przy czym to ostatnie na jej liście priorytetów spadło z pierwszej na bliżej nieokreśloną daleką pozycję. Dawniej było całkiem naturalne, że szła do łóżka z każdym, kto ją bliżej zainteresował. Obojętnie, kobieta czy mężczyzna, młody czy stary. Był to jej ulubiony sposób, aby stworzyć sobie obraz człowieka. Od czasu kolekcjonera oczu wszystko się zmieniło. Straciła przyjaciela, którego ledwie знаła, a mimo to każdego dnia tęskniła, jakby wraz z jego śmiercią amputowano jej kawałek duszy. Pozornie dopuściła, aby jej uzdolnienie i uczucia zostały pogrzebane z Zorbachem. Od jego śmierci ani razu nie płakała. Ani na jego pogrzebie, ani w następnych dniach. Od tamtej pory tym bardziej nie miała ochoty na kontakty cielesne, ani w łóżku, ani podczas masowania zbrodniarzy albo umysłowo chorych świadków metodą shiatsu.

Zatrzymali się i Roth delikatnie położył rękę na jej ramieniu.

- A więc jeśli pani wiedza na temat rozdwojenia jaźni nie wychodzi poza wiedzę hollywoodzkiego autora scenariuszy, obawiam się, że to, co kryje się za tymi drzwiami, będzie dla pani szokiem, pani Gregoriev.

Rozdział 17

Alina wstrzymała oddech, ponieważ lepiej słyszała, kiedy wyciszała odgłosy towarzyszące oddychaniu, i musiała skorygować pierwsze wrażenie dotyczące źródła dźwięku w pomieszczeniu. Za drzwiami z całą pewnością nie stał duży techniczny aparat, a już na pewno nie tomograf magnetycznego rezonansu jądrowego, ponieważ wydawał zbyt monotonne dźwięki.

- Słysząc, jakby w środku ktoś źle dostroił radio - wysnuła przypuszczenie.

- Właśnie tak.

Roth otworzył drzwi i zrobiło się głośno. Zniekształcona mieszanina niezrozumiałych strzępów muzyki i słów przebijała się pod dywanem zakłóceń atmosferycznych i pisków.

- Radio w tym pokoju jest nastawione na UKF, dokładnie na częstotliwość 105,3 megaherca, która znajduje się pomiędzy pasmami 104,6 i 105,5, a więc gdzieś w wolnej przestrzeni eteru.

- Dlaczego? - zapytała Alina poirytowanym głosem.

- Żeby uspokoić pacjenta. Radio gra przez cały dzień i nie wolno go nigdy przestrajać ani wyłączać.

„Co się stanie w przeciwnym wypadku?” - chciała zapytać Alina, ale w tym momencie jej nos poczuł dobrze znany zapach.

- Chwileczkę, powiedział pan „pacjenta”? - wyszeptała przerażona.

- Tak, dlaczego pani pyta? Roth dotknął jej ramienia.

- Wielki Boże, chyba nie chce pani powiedzieć teraz, że... - Zaczął jąkać się bezradnie. - Myślałem, a więc, bardzo mi przykro, ale...

Alina odepchnęła rękę lekarza i weszła do sali chorych.

- Przepraszam, naprawdę nie wiedziałem - usłyszała nerwowy bełkot psychiatry. Jego głos brzmiał szczerze, a przerażenie, z jakim wyrażał ubolewanie, nie było udawane. - Myślałem, że Stoya zachował w tajemnicy tylko miejsce pobytu tutaj. Musi pani uważać mnie za gamonia całkowicie pozbawionego uczuć.

Alina potrąciła pojedyncze wąskie łóżko, wymacała poręcz ze stali szlachetnej i posuwała się wzdłuż niej w stronę źródła dźwięków.

Kierowała się lodowatym przeciągiem, który mógł dochodzić z otwartego okna i który oprócz zimnego powietrza znad jeziora przynosił coś jeszcze.

Pot.

Wyziwy ciała karmionego strachem, zmartwieniami i stresem, którego nie zmyje żadna kąpiel na tym świecie i nie zatuszują żadne perfumy, tak bardzo wżarły się we wszystkie pory. Ale wśród wyziewów tego chorego człowieka czuć było charakterystyczny niepowtarzalny własny zapach.

Alina przyklękła i chwyciła wiotką dłoń, która zwisała obok krzesła jak bezużyteczny ciężar na obumarłej ręce. Jęknęła, myślała, że pęknie jej serce, kiedy podejrzenie przeszło w pewność. Był ledwie wyczuwalny ale nigdy nie zapomniała zapachu człowieka, z którym spała.

Szok, jakiego doznała, był tak silny, że przebił jej pancierz emocjonalny. Końcami palców dotykała po omacku rysów twarzy mężczyzny, czuła ciepłą popękaną skórę, zapadnięte policzki, spierzchnięte, dobrze znane wargi i zaczęła płakać.

- Co to ma znaczyć? - wybuchnęła głosem, który nawet dla niej brzmiał obco.

- Nie mogę pani powiedzieć wszystkiego. - Roth starał się ją uspokoić, ale jego słowa zginęły w przeraźliwym krzyku Aliny: - Świnie, co z nim robicie?

W tym czasie pacjent na krześle nie poruszył się nawet o milimetr. Alexander Zorbach nieruchomym wzrokiem patrzył przez okno na skute lodem jezioro i wsłuchiwał się w niezrozumiały hałas wydobywający się z radia tranzystorowego.

Rozdział 18

Alexander Zorbach (ja)

Ktoś kiedyś powiedział, że istota choroby umysłowej tkwi w jej wypieraniu. Im pacjent jest bardziej obłąkany, tym silniej temu zaprzecza. Z psychicznego punktu widzenia byłem więc całkowicie zdrowy. Bardzo dobrze wiedziałem, że coś ze mną jest nie w porządku, co wobec faktu, że siedziałem w milczeniu na wózku inwalidzkim, zaśliniony, ze wzrokiem utkwionym w jednym punkcie, i słuchałem radia na częstotliwości 105 przeznaczonej specjalnie dla obłąkanych, nie oznaczało wcale diagnostycznego sukcesu. Nie tylko w radiu tranzystorowym, lecz również w mojej głowie zmieniło się kilka częstotliwości. Byłem tak daleko od normalności, jak kasa chorych, do której należałem, od przejęcia zobowiązań finansowych wynikających z mojej nieudanej próby samobójczej.

Jednak w dniu, kiedy po raz pierwszy znów ujrzałem Alinę, siedem tygodni po moim desperackim czynie i zaledwie dziesięć dni po tym, jak odłączono mnie od gumowych rurek sączków, oczywiście nie byłem w stanie dokonać tej trzeźwej samooceny. Do czego z pewnością przyczynił się 9 - milimetrowy pocisk, który przebił mi mózg.

Gdyby wtedy ktoś wcisnął mi do ręki ołówek i poprosił, żebym narysował świat swoich psychicznych wrażeń, prawdopodobnie prędeej zjadłbym notes, niż bezładnymi ruchami ręki nabazgrał roziskrzone, rozpalone do czerwoności chmury, które miały symbolizować ból w głowie. Czaszka była salą prób najgłośniejszej kapeli rockowej na świecie. Kiedy miałem szczęście, słyszałem tylko huczenie ich wzmacniaczy albo sprzężenie zwrotne mikrofonu. Ale najczęściej sadystyczny perkusista rzucał talerzami w sklepienie czaszki i cieszył się, kiedy ich brzęk sprawiał, że łzy napływały mi do oczu - tak jak w chwili, kiedy nagle do mojego pokoju wtargnęła Alina.

Później powiedziano mi, że uklękła i z płaczem trzymała mnie za rękę, czego i tak bym nie poczuł, nawet gdyby moje ramię nie było całkowicie zdrętwiałe. Poza tym w głowie dopiero rozpoczęła się próba zespołu i chłopcy grali Sweet pain of mine.

A więc nie mogłem słyszeć, jak Alina wrzeszczała na doktora Rotha, aby wytłumaczył jej, w jaki sposób udało mi się zmartwychwstać. Przy czym wyjaśnienie tego faktu było bardzo proste. Kiedy przybyłem do kryjówki kolekcjonera oczu, siedem minut po

terminie, chciałem zastosować się do poleceń Franka Lahmanna i przyłożyłem broń do oka, ludzie Stoi wysadzili drzwi ładowni, żeby mnie stamtąd wyciągnąć.

Eksplozja sprawiła, że ze strachu ręka mi drgnęła, poruszyłem pistoletem i pocisk nie przeszedł przez lewe oko, lecz kilka centymetrów wyżej, przerył warstwę kostną i prześlizgnął się jak po maśle przez część przodomózgowia i płat skroniowy. Od tego momentu kula obrała pionowy tor lotu, przebiegła wzdłuż pnia mózgu, obok tętnicy szyjnej, i na koniec przebiła tkankę mięśniową karku, przez którą wydostała się na zewnątrz. Kiedy policjanci pochylili się nade mną, byłem już nieprzytomny. Niestety funkcjonariusze oddziału specjalnego podjęli kilka poważnych, zgubnych w skutkach decyzji. Pierwsza z nich polegała na tym, że mnie reanimowali, druga, że przetransportowali helikopterem na neurochirurgię szpitala Bundeswehry. Na szczęście w czasie trwania pierwszej nagłej operacji Stoya odsłuchał nagranie z mojej komórki i zrozumiał, dlaczego chciałem umrzeć. Tym razem wyjątkowo podjął jedyną słuszną decyzję, oficjalnie ogłosił w "Wiadomościach", że nie żyję. Miało to przekonać kolekcjonera oczu, że dotrzymałem mojej części umowy i teraz może już uwolnić Juliana. Aby jeszcze bardziej uprawdopodobnić mistyfikację, zorganizowano publiczny pogrzeb, a w tym czasie w tajnej akcji przewieziono mnie na Schwanenwerder.

Dowiadywałem się tego wszystkiego stopniowo zarówno od Rotha, jak i od Stoi, jedynych osób, które mnie odwiedzały. Mógłbym więc odpowiedzieć na pytania Aliny, gdyby nie to, że w tym momencie byłem za bardzo zajęty pogrążaniem się w obłędzie. I opędzaniem się od swojego syna.

Rozdział 19

Nie jest łatwo wytłumaczyć, dlaczego pacjent, którego już wewnętrzne źródło dźwięku wpędza do grobu, odkręca na cały regulator skrzeczące radio. Ale jak mnie uczono, zaburzenia psychiczne zawsze trudno jest wytłumaczyć. W każdym razie komuś, kto jest przy zdrowych zmysłach.

Od czasu pierwszej wizyty syna mnie samemu moje zachowanie wydawało się całkowicie logiczne. Bo jak inaczej mógłbym znów się od niego uwolnić?

Po raz pierwszy zdarzyło się to w dniu, kiedy obrzęk mózgu ustąpił na tyle, że pozwolono mi wstać z łóżka. Ale od tamtej pory nie zrobiłem postępów. Odległość pomiędzy moim łóżkiem a wózkiem inwalidzkim stojącym przed lustrzanym oknem nie wynosiła nawet dwóch metrów. Było to o wpół do siódmej wieczorem, odwiedziny już się skończyły, doktor Roth sprawdził mi opatrunek na głowie i podał nowy lek, którego nazwy nie potrafię sobie przypomnieć. Nie minęła nawet minuta od wyjścia lekarza, a pigułka już zadziałała. Kapela ćwiczyła utwór trashmetalowy tylko tak głośno, żeby nie było jej słychać za ścianą, a ból się zmniejszył.

W tej sekundzie zaczął się koszmar. Julian wdrapał się po raz pierwszy przez okno.

Do tej pory zawsze słyszałem jedynie jego głos, ale zdarzało się to dość dawno i w regularnych odstępach. Julian wykorzystywał nieliczne przerwy na odpoczynek zespołu, żeby podejść do mikrofonu, i dręczył mnie budzącymi nadzieję wiadomościami:

Ja nie umarłem. Tylko żyję w innym świecie. Po prostu musisz tylko zasnąć, tato. Wtedy znów będziemy razem. Znów się połączymy.

Już po doborze słów zorientowałem się, że nie przemawia do mnie syn, lecz moja podświadomość. Nie Julian, lecz tchórzliwa część mojego ja chciała pójść na łatwiznę i umrzeć. Z czasem jego głos stał się bardziej słyszalny i niekiedy był dominującym elementem mojego bólu: Dlaczego mnie nie słuchasz, tato? Chodź do mnie, chyba że mnie już nie kochasz.

Przyznaję, prośba była kusząca. Jakże chętnie bym skapitulował i przestał kurczowo chwytac się życia obiema rękami. W przebłysku świadomości, na krótko przed drugą operacją, zapytałem Stoyę, czy kolekcjoner oczu dotrzymał umowy. Moje słowa musiały zabrzmieć,

jakbym połknął własny język. Ale komisarz wiedział, że w moim stanie nie mogłem zadać innego pytania, które by mnie interesowało, i z żalem potrząsnął głową.

Kolekcjoner oczu okłamał mnie. Albo cała mistyfikacja wyszła na jaw. Obojętne, jedno czy drugie. Wszystko było nieważne, ponieważ Julian już nie żył.

Od tego momentu wiedziałem, że nie mogę dać za wygraną. Że muszę oprzeć się wyimaginowanemu głosowi syna. Głos ten obudził we mnie bodziec, jeszcze silniejszy niż pragnienie łagodnej śmierci: bodziec zemsty.

Ośrodek mowy miałem uszkodzony, rozległe obszary prawej połowy ciała zdrętwiały i bez pomocy drugiej osoby nie mogłem zrobić dwóch kroków, ale to nie powstrzymało mnie od obmyślenia planu. A był on następujący: ścigać Franka Lahmanna przez połowę kuli ziemskiej, żeby po długich, okrutnych torturach powoli pozbawić go życia. Patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że skoncentrowana, nieprzefiltrowana wściekłość z pewnością znacząco wpłynęła na nadspodziewanie szybką regenerację organizmu. Od obrażeń, jakich doznałem, umiera ponad osiemdziesiąt procent wszystkich poszkodowanych ludzi. Nieliczni, którzy pozostają przy życiu, wymagają bardzo intensywnej opieki. Byłem wyjątkiem od reguły. Każdy człowiek potrzebuje bodźca, aby dojść do pełnej formy, a moją motywacją była nienawiść.

Jednak tę motywację jest bardzo trudno utrzymać, kiedy nagle spojrzysz się w oczy własnego syna, który majtając nogami, siedzi na parapecie i przywołuje zapraszającym gestem.

Chodźmy, tato. Tylko ty i ja. Wtedy znów będziemy razem.

Co innego jest opierać się urojonemu głosowi, a co innego, kiedy twój uważany za nieżyjącego syn wyciąga do ciebie rękę. Oczywiście wiedziałem, że winne są lekarstwa. Im głośniejsza grała kapela, im silniejszy był ból, tym Julian miał większy kłopot, żeby go przekrzyczeć. Ale gdyby operacje odniosły skutek, gdyby obrzęk ustąpił i pigułki Rotha mogły wreszcie stłumić ból, pomściłbym syna - jeśli nawet zrobiłbym to tylko w wyimaginowanym świecie. W świecie, który w wyniku zaburzeń umysłowych był tak realny, że mogłem nagle usłyszeć i zobaczyć syna. Czuję na skórze jego oddech, Julian stał

przede mną w swoim ulubionym bladoszarym T - shircie i zdmuchiwał wilgotne włosy z twarzy

Wielki Boże, czułem nawet jego zapach, tę lekko słodko - kwaskowatą woń, którą ostatni raz wyczułem w kryjówce kolekcjonera oczu. Wtedy, kiedy przybyłem za późno.

Nie musisz męczyć się z bólu, tato. Po prostu chodź ze mną i...

Jego głos był łagodniejszy, niż zachowałem go we wspomnieniach, również zarys postaci był niewyraźny, a czasem - gdy ból kolejny raz eksplodował - tak bardzo się rozmywał, że mogłem przejrzeć na wylot jego pierś.

A więc stałem się ofiarą okrutnego paradoksu. Zawsze, kiedy ból się zmniejszał, powracał mój syn. Im lepiej się czułem, tym bardziej realny stawał się jego urojony obraz. Najchętniej odmówiłbym przyjmowania tabletek, ale po pierwszych próbach odmowy zaczęto podawać mi substancje czynne dożylnie. Myślałem, że stoję przed nierozwiązywalnym problemem. Nie miałem siły ani woli, żeby przemówić do Rotha, a znikoma część jeszcze pracującego mózgu mówiła mi, że prawdopodobnie bezsensownym przedsięwzięciem było żądanie odstawienia środka przeciwbólowego, aby przepędzić urojenia. W końcu pomógł mi przypadek. Podczas ścielenia łóżka pielęgniarka nieumyślnie przestroiliła radio i Julian zniknął tak nagle, jak się pojawił. Stał się nie tylko dziurawy, nieprzekonujący i przezroczysty, lecz zupełnie się ulotnił, tak szybko, jakby był komarem, a radio pracującym na wysokiej częstotliwości urządzeniem do odstraszania insektów.

Spłoszył go hałas nakładających się na siebie częstotliwości.

Od tej chwili czuwałem przy oknie na wózku inwalidzkim, nasłuchując radia, i pilnowałem, żeby nikt nie dostroił albo nie wyłączył odbiornika. Początkowo Roth i jego pielęgniarze próbowali walczyć z hałasem, potem musieli nauczyć się, jaką nieznaną energię może wyzwolić umysłowo chory i żądny zemsty człowiek, któremu kula przeszła mózg, i w końcu skapitulowali. Tylko w nocy, kiedy otumaniały mnie lekarstwa, wyłączano radio i wtedy mogłem to wytrzymać. Ponieważ środki uspokajające sprawiały, że nic mi się nie śniło, Julian nie mógł przeniknąć do moich snów. I rano moją pierwszą czynnością było przesiadanie się na wózek inwalidzki, ponowne włączenie odbiornika i trzymanie przy nim warty, tak jak dzisiaj, kiedy odwiedził mnie gość z poprzedniego życia.

Stało się to zaraz po obiedzie, środki uspokajające z nocy już dawno zostały wypłukane z mojego organizmu, a działanie pierwszych proszków przeciwbólowych z porannej racji prawie się skończyło. Perkusista znów rzucał talerzami i z wysiłku bolały mnie oczy, kiedy chciałem powstrzymać łzy. Mimo to walczyłem na pierwszej linii frontu, gotowy na wszystko, aby bronić radia, a zarazem muru ochronnego, który wzniosłem wokół swoich halucynacji - kiedy niespodziewanie, jak z niczego, w moim zburzonym świecie zmaterializowała się Alina.

Nie wiem, jak długo kucąca przy moim wózku, kiedy jej obecność wreszcie przebiła mi się do świadomości. Nie wiem też, jak długo mówiła do mnie, zanim z kakofonii otaczających dźwięków wyodrębniłem jedno zrozumiałe zdanie.

- Musisz się obudzić! - krzyczała do mnie. - Obudź się. Mam wiadomości o Julianie.

Rozdział 20

Alina Gregoriev

- Teraz wreszcie zna pani całą prawdę - powiedział Roth i kliknięciem myszki zatrzymał cyfrowe nagranie rozmowy zapisane w komputerze. Kiedy Alina nie mogła dłużej wytrzymać w sali chorych, przenieśli się do gabinetu psychiatry. Ściskanie nieruchomej, wychudzonej dłoni Zorbacha, która nie zdradzała najmniejszych oznak życia, było dla niej gorszym doznaniem niż jego śmierć. Ta przynajmniej oznaczałaby, że jego męczarnie dobiegły końca. Alina nie byłaby teraz świadkiem jego zmartwychwstania, nie uświadomiłaby też sobie, że w ostatnich tygodniach spotkało go prawdopodobnie coś straszniejszego niż własna śmierć.

- Czy mógłby pan puścić to jeszcze raz? - poprosiła Alina, a Roth wyświadczył jej tę przysługę. Już czwarty raz odsłuchiwali nagranie rozmowy telefonicznej, którą policja przekazała Rothowi do wykorzystania w celach terapeutycznych. Gdy tylko Zorbach będzie się do tego nadawał, za pomocą tej taśmy będzie mógł rozliczyć się z ostatnimi sekundami życia syna.

Jak już trzy razy wcześniej, Alina wzdrygnęła się w miejscu, w którym Frank Lahmann wypowiadał dokładnie te same liczby, które nieznamy mężczyzna wyszeptał jej do ucha na ulicy

„Trzynaście. Dziesięć. Siedemdziesiąt jeden”.

A więc to jednak nie było urojenie, jak chciała sobie wmówić. Przeszły ją dreszcze na myśl, że głos męczyzny, który wydawał się jej tak znajomy, prawdopodobnie był identyczny z głosem, który właśnie stawiał perwersyjne żądania zarejestrowane na nagraniu.

„Czy kochasz Juliana nad życie?”

„Tak”.

„W takim razie udowodnij to”.

„Mam się zastrzelić?”

- Pani przyjaciel nie miał innego wyboru - skomentował szeptem Roth, nie zatrzymując nagrania.

„Przystaw lufę pistoletu do lewego oka i naciśnij spust. Kiedy zobaczę w «Wiadomościach» twoje zwłoki, uwolnię Juliana. Ale jeśli za długo będziesz zwlekał, stracisz swój jedyny atut, a ja uduszę Juliana i wydłubię mu lewe oko. Aha, i jeszcze coś: jeśli tylko nabiorę najmniejszych podejrzeń, że blefujesz.

- Czy teraz rozumie pani nasz fortel? - zapytał psychiatra, kiedy Frank na chwilę zamilkł. Alina przytaknęła.

„...jeśli z jakiegoś powodu zwątpię w twoją śmierć, wykonam wyrok na Julianie, a ty nigdy nie znajdziesz jego ciała. Wtedy nie będziesz szukał syna, lecz jego szczątków bez duszy, i nie znajdziesz niczego, co mógłbyś pochować. Ryba jeszcze trzepocze się w mojej sieci. Jeszcze mogę przekazać policji wskazówki, jak znaleźć Juliana. Wskazówki, które uratują mu życie. Zrozumiałeś?”

Alina zaczęła się pocić i nagle poczuła pilną potrzebę drapania się po całym ciele. Uniosła rękę i Roth zrozumiał sygnał. Zastopował nagranie.

- Wie pan, że to wszystko było na próżno? - zapytała.

- Co pani ma na myśli?

- Podstęp się nie udał. Nie musi pan dłużej trzymać Zorbacha pod kluczem. Wczoraj ktoś otworzył jego trumnę i wiemy, kto to zrobił.

Roth głośno zaczerpnął powietrza.

- Nie, nie wiedziałem tego. Choć się tego spodziewałem. Już siedem tygodni policja czeka na znak życia Juliana. Jeśli o mnie chodzi, to po tak długim czasie przestałem już liczyć na dobrą wiadomość. Ale byłby to prawdziwy cud. Co prawda krąg wtajemniczonych był mały, lecz lekarze w szpitalu Bundeswehry i personel obecny na sali operacyjnej oczywiście wiedzieli, że pan Zorbach nie umarł na stole operacyjnym.

Alina otworzyła prawą dłoń, w której trzymała zmiętą chusteczkę do nosa. A potem znów zacisnęła pięść.

- Niech pan przewinie do przodu!

Roth znów posłuchał, a Alina ponownie zawstydzila się, że doznała uczucia ulgi, kiedy usłyszała głos dziecka. Cokolwiek stało się z Julianem, chłopiec nie udusił się w swojej kryjówce. Dzięki Zorbachowi. Nie istniało żadne fatum ani przeznaczenie. A jeśli nawet, to Zorbach zmienił jego bieg. Niejasne było tylko to, czy na lepsze, czy na gorsze. Podniosła rękę, dając znak Rothowi, żeby zatrzymał taśmę, i wstała, nie wiedząc, co miałyby przez to osiągnąć. Była zbyt wzburzona, żeby usiedzieć na miejscu. Jednocześnie wściekła i zasmucona.

- Gdyby mój mózg nie był tak okropnie przeciążony, dałabym panu w mordę i zaczęłabym krzyczeć tak głośno, że wszyscy by się tu

zlecieli. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Jednak dopóki tak się nie stanie, dopóki się nie uspokoję, czy mógłby pan udzielić mi odpowiedzi na bardzo proste pytanie: czy on kiedykolwiek wyzdrowieje?

Zignorowała prośbę Rotha, żeby usiadła, i przyłożyła dłoń za uchem, jakby miała problem z usłyszeniem lekarza.

Roth westchnął.

- Zasadniczo pan Zorbach jest w bardzo dobrej kondycji fizycznej.

Alina puknęła się w czoło.

- Czy to ma być żart?

- Nie. O jego stanie zdrowia może świadczyć fakt, że jestem psychiatrą, a nie neurochirurgiem, pani Gregoriev. Pani przyjaciel ma problemy natury psychicznej, a nie fizycznej.

- Czy nie mówił pan, że Alex wpakował sobie w głowę dziewięćmilimetrową kulę?

- Zgadza się.

- Według mnie wygląda to raczej na problem natury fizycznej.

Roth roześmiał się aprobującą, a potem powiedział:

- Być może słyszała pani o paragwajskiej gwiazdzie futbolu Salvadorze Cabanasie, którego z bliskiej odległości postrzelono w głowę w jednej z dyskotek w Mexico City. Już po kilku miesiącach rozpoczął rehabilitację i dzisiaj prawdopodobnie znów trenuje grę głową mimo że jego obrażenia w porównaniu z tymi, jakich doznał pan Zorbach, były dużo bardziej groźne. Tor lotu pocisku, który zranił Cabanasa, przebiegał w poprzek mózgu, na dodatek kula w dalszym ciągu tkwi w głowie reprezentanta Paragwaju. Natomiast u pana Zorbacha pocisk tylko drasnął mało istotne części mózgu, zanim wyszedł przez kark.

Alina nieświadomie złapała się za tył głowy i usiadła.

- Nie miał krwotoków, obrzęków, krwiałków. Silnych bólów, jakie odczuwa, a także ograniczeń motorycznych nie można tłumaczyć raną postrzałową, ponieważ w uszkodzonych obszarach chodzi o tkankę wrażliwą na ból, a tymczasem rana wlotowa bardzo dobrze się zagoiła. Opatrunek na głowie nosi tylko dlatego, że czasem drapie się podczas snu, a nie chcemy przywiązywać mu rąk. Wszystkie skany mózgu pokazują, że gdyby pacjent chciał, mógłby mówić, czytać, pisać i prawdopodobnie nawet samodzielnie chodzić.

- Czy w takim razie Alex tylko wmawia sobie swój stan?

- Nie. Pan Zorbach przeszedł przez emocjonalne pole minowe i stracił całą rodzinę. Silne bóle są następstwem zespołu stresu pourazowego, jaki znamy na przykład u weteranów wojennych. Sprawia on, że ból, jaki odczuwają pacjenci, jest bardzo realny. Inaczej mówiąc: pani przyjaciel cierpi piekielne męki. Tyle że źródła jego cierpienia nie można fizycznie zlokalizować, a więc konwencjonalne środki niewiele dają.

- Czy to są fakty, czy przypuszczenia? - zapytała Alina. Roth chrząknął.

- Uważam, że moja diagnoza jest prawidłowa, ale nie można być tego całkowicie pewnym, ponieważ komunikowanie się z pacjentem jest ograniczone, a jego umysł najwidoczniej przeszedł w tryb samoobrony.

- A to co znowu znaczy?

- Wyjaśnienie jest trochę skomplikowane - powiedział Roth i teraz z kolei on musiał wstać. Alina miała problemy z rozpoznawaniem ludzi po głosie, ale zawsze wychwytywała drobne niuanse, które zmieniały się zależnie od tego, czy mówiąca osoba siedziała, czy stała. - Przecież już wcześniej pytałem panią, co pani wie o osobowościach mnogich, pani Gregoriev. Niektórzy koledzy wciąż uważają objawy tej choroby za legendę. Wątpię w to, że mózg ludzki może rozszczepić się na różne tożsamości, a pacjentów, którzy raz mówią dziecięcym głosem, a innym razem dostają astmatycznego kaszlu jak emeryt, uważają za utalentowanych aktorów.

Alina niecierpliwie skinęła głową.

- Moim zdaniem ci sceptycy się mylą. Liczne badania wykazały, że psychika jest odporna tylko do pewnego, dokładnie określonego punktu, nazywam go psychicznym punktem wrzenia. Gdy okrucieństwo, które wyrządza się ciału lub duszy, na przykład podczas tortur, przekroczy ów punkt wrzenia, cierpiący izoluje się, odgradza od rzeczywistości. Ucieka w drugie ja, w którym nie musi już cierpieć bólu.

- Uważa pan, że dlatego Zorbach jest tylko cieniem człowieka na wózku inwalidzkim? Że uciekł?

- Nie do końca. Obawiam się, że pan Zorbach jest właśnie w drodze do innego stanu świadomości. Nadal może rozmawiać i reaguje na dźwięki. Na przykład zamrugał oczami, kiedy pani weszła, i czasem chrząka aprobująco albo odmownie, kiedy do niego mówię. Doświadczenie podpowiada mi, że toczy ze sobą walkę wewnętrzną i

jeszcze nie zdecydował, na którą stronę chce przejść. Zostać z nami czy zniknąć gdzieś w otchłani swojej świadomości i znaleźć się w stanie, z którego w najgorszym razie już nigdy nie będziemy mogli go wyciągnąć?

Gdy pytanie lekarza zawisło w pokoju jak ciemna chmura, Alina myślała o odległości, jaka dzieliła ją od Zorbacha. Jego ciało znajdowało się zaledwie kilka metrów stąd, w starej części budynku, natomiast jego dusza była oddalona o lata świetlne.

- Jaką rolę odgrywa tu to przeklęte radio? - zapytała.

- Jeszcze tego nie wiemy. Paradoksalnie włącza je zawsze, kiedy zaczynają działać lekarstwa. Początkowo nawet odmawiał przyjmowania leków, wydaje się, jakby w ogóle nie chciał uwolnić się od bólu i hałasem dochodzącym z radia prowokuje nowy ból głowy. Istnieje też inne wytłumaczenie. Być może w syczeniu i szumie rozpoznaje niesłyszalne dla nas głosy, które zachęcają go do przejścia do nowego stanu świadomości. W każdym razie staje się gwałtowny i agresywny, kiedy próbujemy wyłączyć odbiornik.

Alina potrząsnęła głową skonsternowana, ponieważ przypomniała sobie coś, o co już wcześniej chciała zapytać.

- Przedtem mówił pan, że czekał pan na mnie. Dlaczego? Czy chciał mi pan powiedzieć: hej, mam dla pani dobrą i złą wiadomość. Dobra: pani przyjaciel nie zginął. A zła: bardzo chciał zginąć.

- Na pewno nie. Już od tygodni czekam na panią, ponieważ liczę na to, że pani mi pomoże. Albo raczej, że pomoże pani Zorbachowi.

- Jak to?

- Jeśli moja teoria jest prawdziwa... - Roth chrząknął. - Jeśli pacjent naprawdę ma zamiar uciec od siebie, potrzebuje kotwicy w świecie rzeczywistym. Przecież na pewno słyszała pani o pacjentach w śpiączce, którym spryskuje się skórę ulubionymi perfumami albo podkłada pod nos ręcznik z zapachem ciała partnera w nadziei, że zapach obudzi stare wspomnienia i spowoduje, że pacjent będzie chciał się obudzić.

- A co ja mam z tym wspólnego?

- Zorbach nie ma już bliskich krewnych. Pani jest ostatnią osobą, z którą nie tak dawno łączyły go bardzo intensywne przeżycia. Spodziewam się pozytywnego wpływu na jego stan, jeśli spędzi pani z nim trochę czasu, pani Gregoriev. Jeśli będzie pani trzymać go za rękę i mówić do niego.

- O cholera.

Alinie stanęły łzy w oczach na myśl o tym, że mogła tu być już od tygodni, aby go obudzić. I że Stoya uniemożliwił to, ponieważ straciłby środek nacisku, którym mógł zmusić ją do zajęcia się Sukerem.

Gdyby tylko dostała taką szansę, urwałaby pomarszczone jaja najpierw komisarzowi, a Scholle byłby następny. Dranie uczynili z Zorbacha zakładnika.

- Chcę panu pomóc i to z największą chęcią - powiedziała, z dużo mniejszą wściekłością w głosie od tej, jaką czuła. Szok wytracił pobudzający efekt. Teraz zrobiło jej się zimno i ogarnęła ją senność. - Ale prawdopodobnie to, co mu powiedziałam, raczej stonuje, niż ożywi jego siły vitalne.

- Mówi pani o jego synu, prawda?

Alina skinęła głową.

Zanim przeżyła załamanie emocjonalne w pokoju Zorbacha, przez kilka minut bezładnie przekonywała obumarłą powłokę cielesną na wózku inwalidzkim. Krzyczała, żeby się obudził.

- Co pani wie na temat Juliana? - zapytał Roth. Alina potrząsnęła głową.

- To nie pana sprawa, doktorze. To wyłącznie sprawa Zorbacha. I obawiam się, że na niewiele by mu się zdało to, co bym mu powiedziała.

- Prawdopodobnie ma pani rację - zgodził się Roth, który nagle stanął obok i położył dłoń na jej przedramieniu. - Ale dlaczego by nie spróbować?

Rozdział 93

Godzinę później Alina weszła do knajpy na dworcu Wannsee i zamówiła niegazowaną wodę, którą chciała szybko popić dwie aspiryny. Jej bólu na pewno nie dało się porównać z bólem Zorbacha, bądź co bądź nikt nie strzelił jej w głowę, ale okazał się bardzo dokuczliwy i była zła na siebie, że nie poprosiła Rotha o silniejszy środek.

Powrót do pokoju Zorbacha, aby opowiedzieć mu o tym, co jej się przydarzyło w więzieniu, kiedy kończyła masować Sukera, dał się jej jeszcze bardziej we znaki, niż się obawiała.

- Nie chcę ci robić złudnych nadziei, Alex - zaczęła opis wydarzeń, a potem zrelacjonowała ze wszystkimi szczegółami swoją wizję, która, jej zdaniem, wyjawiała związek pomiędzy Frankiem Lahmannem, Zarinem Sukerem i Julianem.

Zdarzyło się to przedwczoraj w więziennym gabinecie zabiegowym, po tym jak już oderwała dłonie od ciała Sukera i wrażenia optyczne zaczęły się powoli ulatniać. Ciągle wstrząśnięta sceną przemocy w publicznej toalecie, trochę zbyt raptownie się odwróciła i straciła równowagę.

Najpierw pomyślała, że Suker ją uderzył, i przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna zawołać po pomoc. Potem uświadomiła sobie, że zrobiła dwa kroki do tyłu i musiała uderzyć głową o kant metalowej szafki na lekarstwa. Złapała się obiema rękami za skronie. Jak to się dzieje najczęściej przy bólu głowy, ucisk nie przyniósł ulgi, lecz raczej spowodował odwrotny skutek: wróciła jej wrażliwość na bodźce. Alina znów myślała, że „widzi” oczami Sukera, tylko tym razem film w jej głowie przeskoczył do przodu. Inaczej niż w pierwszej wizji nie znajdowała się już w publicznej toalecie, gdzie było słychać radio i skąd trzy dni temu Suker uprowadził swoją byłą pacjentkę, lecz leżała na podłodze w bliżej nierozpoznawalnym miejscu. Nie wiedziała, czy było to na świeżym powietrzu, czy w zamkniętym pomieszczeniu, kiedy niespodziewanie pochyliła się nad nią kobieta i powiedziała: „To twoje zasłużone znaleźne!”.

Wtedy poczuła, że osoba, w której tkwiła, chciała coś odpowiedzieć, ale nie była w stanie tego zrobić, ponieważ siedziała w czerwonej kałuży, do której weszła teraz pochylona nad nią postać. Widziała dużo krwi, czuła ból w podbrzuszu - i nagle zrozumiała,

dlaczego Suker leży na ziemi. Dlaczego było mu tak zimno. Dlaczego otaczające go kontury coraz bardziej bladły, podczas gdy on ledwie mógł zebrać myśli: Suker konał. Chcę z powrotem moje pieniądze, bezładnie i chaotycznie przemknęło mu przez głowę. Umierał, a wraz z nim w całkowitych ciemnościach pogrążała się również jego ostatnia myśl: Ale być może to tutaj rzeczywiście jest sprawiedliwą karą za moje winy. Być może, gdybym wtedy Juliana...

W tym momencie Alina znów wślizgnęła się do swojego ciała, do swojego życia.

Wcześniej w sali chorych Zorbach nie wykazał żadnej reakcji. Ani na imię syna, ani na słowo „znalezne”, które, jej zdaniem, dawało nadzieję - jeśli nawet niewielką - że być może Julian zostanie kiedyś odnaleziony. Przy czym refleksja Sukera na temat jego możliwej winy wskazywała na niewielkie prawdopodobieństwo, że chłopiec żyje.

Pożegnanie Aliny ze Schwanenwerder miało podobnie tajemniczy przebieg jak powitanie, choć było dużo mniej brutalne. Kiedy pocałunkiem w czoło pożegnała się z Zorbachem, Roth przeprowadził ją tylnym wyjściem do hangaru na łodzie na brzegu jeziora Wannsee. Tutaj otrzymała z powrotem rzeczy osobiste i razem z TomTomem wsiadła do pozbawionego okien busa marki Mercedes, który według Rotha był opatrzony napisem: Delikatesy - dostawa.

- Równie dobrze mogliśmy napisać na nim Kaszmir - usługi pralnicze, w tej okolicy tak samo nie rzucałby się w oczy - usłyszała jeszcze dowcipkującego Rotha, potem drzwi transportera się zatrzasnęły i samochód ruszył. Pierwotnie kierowca miał zawieźć ją do jej mieszkania w centrum, ale nagle Alinie zrobiło się niedobrze i poprosiła, żeby wysadzić ją przy najbliższym rogu.

Transporter zatrzymał się na poboczu, mniej więcej sto metrów od knajpy, w której Alina właśnie zamówiła dużą wodę mineralną bez gazu i rozważała, czy jeszcze dziś nie powiedzieć Stoi prawdy. Po spotkaniu z Zorbachem, które wyprowadziło ją z równowagi, mocno wątpiła w to, że policjant mógłby podjąć jakieś działanie na podstawie informacji, które zdobyła podczas masowania Sukera. Ale być może jej spostrzeżenia uniemożliwiłyby uprowadzenie jakiejś kobiety i tym samym uratowałyby życie którejś z jego byłych pacjentek.

Postanowiła, że zadzwoni do Stoi. Przedtem zamówiła jeszcze miskę wody dla TomToma, który sprawiał wrażenie, że znów mu się

pogorszyło. Potem zsunęła się z barowego stołka niemal w tym samym czasie, kiedy zaledwie kilka kilometrów stąd doktor Roth po raz ostatni tego wieczoru zajrzał do Alexandra Zorbacha.

Rozdział 96

Alexander Zorbach (ja)

- Mogę się mylić, ale wygląda na to, że ta niespodziewana wizyta dobrze panu zrobiła - powiedział, niczego nie przeczuwając, doktor Roth, kiedy wyjmował strzykawkę ze środkiem uspokajającym.

Znów leżałem w łóżku i od spotkania z Aliną czułem się tak, jakby każde jej słowo przeszływało mój mózg niczym kolejny pocisk. Ból znów był nie do zniesienia jak w chwili wybudzenia po pierwszej operacji, kiedy uświadomiłem sobie, że przeżyłem i tym samym wydałem wyrok śmierci na swojego syna.

- Lepiej się pan czuje?

„Lepiej?” - chciałem wymamrotać. Moje usta wydały z siebie przedłużone, podobne do echosondy pierwotne dźwięki, którymi głusi czasem wzbogacają swój język migowy. Roth postawił błędną diagnozę, chciałem wysłać mu pozytywny sygnał i uśmiechnąłem się.

Lepiej? No jasne, człowieku.

Moja kapela znów grała niemal na cały regulator i chyba nie mógł nie czuć, jak wibruje mi sklepienie czaszki? Jediną pozytywną rzeczą w tym stanie było to, że łomot w głowie odganiał złe duchy. Z całą pewnością Julian nie chciałby dzisiaj mnie nawiedzić.

- Wygląda pan na bardziej przytomnego, ma pan jaśniejsze spojrzenie, jeśli się nie mylę.

Parsknąłem niechętnie, co Roth również opacznie zrozumiał.

- Czy zgodzi się pan na mały test?

Miałem ochotę się roześmiać, ale nie wiedziałem już, jak się to robi. Roth mówił do mnie, jakbym miał jakiś wybór. Przecież natychmiast zrobiłby mi zastrzyk, gdybym tylko zaczął się awanturować.

Podszedł do radia i ściszył łomot, który cały czas musiał przekrzykiwać. Kiedy zorientował się, że ani się nie buntuję, ani nie stroję min, odważył się nawet zmienić częstotliwość.

Rób, co chcesz, pomyślałem wyczerpany. Mój ból jest wystarczająco silny. Dzisiaj nie potrzebuję tego pudła, żeby trzymać z dala od siebie swoje demony.

Przypatrywał mi się, gdy całą salę wypełniała niezwykle wyraźna melancholijna muzyka pop. Czułem na twarzy nieruchomy wzrok, który rejestrował każdą najmniejszą zmianę i mimo bólu, mimo ograniczonej zdolności postrzegania rzeczywiście zauważyłem w sobie pewną

zmianę. Odkąd Roth przestawił radio, ogarnęło mnie uczucie, które, jak sądziłem, umarło razem z moją wolą życia: uczucie strachu.

Zacząłem się bać i nie wiedziałem czego.

Now let your mind do the walking And let my body do the talking

Utwór skończył się raptownie, zanim zaczął się refren, i mój strach jeszcze się wzmógł. Nie wiedziałem, dlaczego nagle zrobiło mi się zimno, bo przecież Roth już wcześniej zamknął okno. Najchętniej bym wstał i ostrzegł uśmiechającego się lekarza przed groźącym niebezpieczeństwem, ale nie było dla mnie jasne przed jakim.

- Pomocy - wymamrotałem słabo. W tej chwili wydawało mi się, że jest to jedyne właściwe słowo, chociaż nie wiedziałem dlaczego.

Ponieważ w głosie prezentera, który wesoło paplał do mikrofonu, było coś, co kazało mi zapomnieć o bólu i jednocześnie wywołało we mnie panikę. Jego słowa przypomniały mi o Alinie i zdanie, które wypowiedziała na krótko przed wyjściem, ale choć wzbudziło ono we mnie strach, w pierwszej chwili nie mogłem go z niczym skojarzyć.

„Dzisiaj jest szesnasty lutego i obawiam się, że muszę wrzucić niższy bieg i wypić łyk kawy, ponieważ...”.

Rozdział 98

Alina Gregoriev

„...ponieważ oczywiście dzisiaj jest trzynasty lutego, sorry, chłopaki. Freudowska pomyłka, szesnastego, a więc za trzy dni, w 02 World odbędzie się duża impreza rozgłośni i właściwie to o niej chciałem was poinformować...”.

To był odruch. Alina usłyszała hałas nad sobą i instynktownie uniosła głowę.

- Nie, proszę już nie... - powiedziała głośno, jakby uświadomiła sobie swój błąd. Znów się pomyliłam.

Potem poczuła pętlę na szyi i została poderwana do góry. Dźwięki płynące z radia, które było słyhać we wszystkich pomieszczeniach knajpy na dworcu Wannsee, z toaletami włącznie, przesunęły na drugi plan jej zdolność percepcji.

- No i jak, pamiętasz mnie?

Alina próbowała poddać się uciskowi stalowej pętli, która zaciskała się wokół jej szyi i pozbawiała powietrza. Jej pęcherz mimowolnie się opróżnił i poczuła, jak mocz spływa jej po udach.

- Teraz przyszła pora.

Jej stopy rozpaczliwie szukały oparcia, bez przerwy zsuwały się z klapy od sedesu i uderzały w laminowaną ścianę kabiny.

- Wróciłem, żeby dokończyć to, co zacząłem - to były ostatnie słowa, które Alina usłyszała od Zarina Sukera, zanim straciła przytomność.

Jeśli zamordował, to musi umrzeć.
Immanuel Kant, Metafizyka moralności

Oko za oko uczyni tylko cały świat ślepym.
Mahatma Gandhi

Rozdział 100

Alexander Zorbach

- Czy on śpi? - Stoya.

- Czy w ogóle nas słyszy? Czy rozumie to, co mówimy? - Scholle.

- Tak, nawet bardzo dobrze. Ale raczej nie spodziewajcie się, panowie, odpowiedzi. - Roth.

Zbliżała się północ i nie byłem już sam ze swoim bólem. Razem ze mną w pokoju znajdowali się dwaj policjanci i lekarz i wszyscy mówili o mnie tak, jakby wcale mnie tam nie było, czego nie mogłem brać im za złe, mając na uwadze widok, jaki przedstawiałem. Ja też nie próbowałbym prowadzić rozmowy z kimś, kto leży w pozycji embrionalnej na przepoconym prześcieradle i szeroko otwartymi oczami wpatruje się w kaloryfer.

Ani Scholle, ani Stoya nie wiedzieli, a Roth mógł się tylko domyślać, że w tej pozycji łatwiej mi było znieść ból głowy. W ogóle odkąd Roth przestroił radio, wydawało się, że mój stan się poprawił. Niepokój wewnętrzny, który ogarnął mnie mniej więcej trzy godziny temu, kiedy usłyszałem głos prezentera radiowego, odsunął przeraźliwy rwący ból na dalszy plan, chociaż Roth do tej pory nie zdecydował się na zrobienie mi wieczornego zastrzyku ze środków uspokajających.

- No dobra, Zorbach - powiedział Stoya i podszedł do mojego łóżka, tak że mogłem zobaczyć jego o wiele za lekkie jak na tę porę roku buty zawiązane na sznurowadła, z których kapał na podłogę topniejący śnieg. - Wszyscy dobrze wiemy, że chwilowo nie jesteś zbyt rozmowny. Ale muszę zadać ci teraz kilka pytań. Doktor mówi, że kręcenie głową albo potakiwanie może sprawiać ci ból, a więc proszę, żebyś po prostu mrugał oczami, okay? Raz na tak, dwa razy na nie. Zgoda? Mrugnąłem raz i Stoya zaczął pytać.

- Kiedy była u ciebie Alina, czy mówiła o człowieku nazwiskiem Zarin Suker?

Zasygnalizowałem tak.

- Czy powiedziała ci, czego się dowiedziała, robiąc mu masaż?

Moje powieki drgnęły raz i Scholle, który stał poza zasięgiem mojego wzroku, wydał triumfalny okrzyk.

- Widzisz, to działa.

Stoya jęknął i jego głowa zniknęła z mojego pola widzenia.

- Czy możesz na chwilę się przymknąć albo wyjść? - syknął. - Nic nie zadziało.

- Ale dlaczego? Mówiłem ci, że ona zmięknie, kiedy zobaczy Zorbacha.

- Nie gadaj głupot. To była czysta złośliwość z twojej strony, a nie strategia.

- Bzdura.

- Bzdura? Powiem ci, co jest bzdurą - wyszeptał z wściekłością Stoya i byłem zdziwiony tym, jak dobrze zaczęły naraz funkcjonować moje zmysły. Mój płomień życia tlił się podtrzymywany przez nienawiść. Dodatkowo podsycaly go strach i niebezpieczeństwo. Rozumiałem prawie każde słowo Stoi. - Bzdura, przecież nikt z nas nie był przy jej rozmowie z Zorbachem. Nie znosisz Aliny i przywlokłeś ją tutaj, całkowicie nieprzygotowaną na to, co zobaczy, tylko po to, żeby przeżyła szok. Tym samym nie tylko zaryzykowałeś ujawnienie całej mistyfikacji, lecz spowodowałeś, że jej zeznanie świadka siedzi teraz w jego przedziurawionej głowie. A więc wyświadczy mi grzeczność, stul pysk i już więcej mi nie przerywaj. I tak to wszystko tutaj jest wystarczająco skomplikowane.

- Coosięstaaaallo?

Zobaczyłem, jak wszyscy obecni drgnęli. Widocznie nikt się nie spodziewał, że bez niczyjej pomocy podniosę się na łóżku i zacznę mówić. A najmniej ja sam.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze - powiedział doktor Roth i szybko podszedł do łóżka, żeby zbadać mi puls. - Jak pan się czuje?

Parszywie, pomyślałem, ale nie chciałem marnować energii na przekleństwa, dlatego powiedziałem tylko:

- Alina?

Stoya i Scholle obrzucili mnie krótkimi spojrzeniami, jakby nie wiedzieli, kto powinien przekazać mi złą wiadomość, potem wystąpił naprzód Stoya.

- Trzy godziny temu centrala odebrała dziwny telefon. Właściciel gospody zgłosił, że z jego lokalu zniknął gość. Podejrzewaliśmy zwykłą ucieczkę, aby nie zapłacić rachunku. Jednak kiedy funkcjonariusze przybyli na miejsce, gospodarz powiedział, że była to niewidoma kobieta, która nie dość, że nic nie wypła, to na dodatek zostawiła przy barze psa. Po jakimś czasie gospodarz zdziwił się, dlaczego niewidoma

nie wróciła z łazienki. Kiedy tam poszedł, zauważył wyłamane drzwi do tylnego wyjścia. I dopiero teraz zaczyna się cała historia, ponieważ kiedy wrócił do sali, żeby zadzwonić na policję, niespodziewanie zniknął również pies. Przyjechali specje od zabezpieczania śladów, sprawdzili kabinę toalety i znaleźli ślady walki. Podczas przesłuchania gospodarz zeznał, że niewidoma nazywała psa TomTom. - Stoya ciężko wypuścił powietrze. - Przykro mi, ale musimy przyjąć założenie, że twoja przyjaciółka została porwana.

Potrafiłem docenić fakt, że szef wydziału zabójstw nie owijał niczego w bawełnę. Po pierwsze, ponieważ nie mogłem ocenić, jak długo będę w stanie skupić uwagę na tym, co się wokół mnie dzieje, zanim znów zrobi mi się czarno przed oczami albo powróci ból. Po drugie, ponieważ uprowadzenie Aliny rozstrzygnie się w pierwszych dwudziestu czterech godzinach. Z czasów, kiedy byłem psychologiem policyjnym, wiedziałem, że w początkowej fazie sytuacja pomiędzy sprawcą i ofiarą jest jeszcze chaotyczna i zdezorganizowana. Obie strony muszą dostroić się do siebie, ofiarę trzeba najpierw przetransportować do miejsca przeznaczenia. I wtedy bywa popełniana większość błędów, które można wykorzystać, aby znaleźć sprawcę i uwolnić zakładnika.

- To wszystko zdarzyło się niedługo po odwiedzinach u ciebie, Zorbach. - Stoya popatrzył na mnie. - I dlatego muszę cię zapytać: czy Alina mówiła, że czuje się zagrożona przez Zarina Sukera?

Nie, nie wprost. Zastanawiałem się, jak powinienem odpowiedzieć. Alina mówiła o porwaniu jakiejś kobiety, do którego miało dojść w publicznej toalecie, i że w tym czasie grało radio. Ale prezenter się przejęczył i dlatego Alina przyjęła za punkt wyjścia złą datę. Poza tym sądziła, że ofiarą będzie była pacjentka tego Sukera. Biorąc pod uwagę obecne okoliczności, to wszystko nie posuwało sprawę do przodu, więc mrugnąłem raz. Potem wyschniętymi ustami próbowałem sklecić zdanie, lecz poniosłem porażkę już po pierwszych dwóch słowach.

- Jakmoog...?

- Jak to się mogło stać? - usłyszałem podpowiedź Schollego.

- Ten drań Suker został wczoraj zwolniony Sześć godzin temu tajniacy zgubili jego ślad na dworcu Alexanderplatz, kiedy z końca peronu skoczył przed nadjeżdżający pociąg i wbiegł do tunelu metra.

- Prasa rozerwie nas na strzępy - dodał Stoya. - Ale sam wiesz najlepiej, że nie mamy środków ani ludzi, żeby śledzić każdego wariata w Berlinie. Odkąd ze względów bezpieczeństwa publicznego zakazano prewencyjnych aresztowań, sami musielibyśmy pilnować czterech pedofilów, o których wiemy, że ponownie popełnią przestępstwo.

Otworzyłem usta, żeby chrząknąć twierdząco, ale wydobyła się z nich jedynie strużka śliny, która spłynęła mi na brodę.

- Panowie, obawiam się, że musicie zmierzać do końca - usłyszałem głos Rotha i dopiero teraz zorientowałem się, że mam zamknięte oczy. Dziwnym trafem wyglądało na to, że rozmowa mnie nie poruszyła, lecz zmęczyła.

- Czy wiesz, dlaczego Alina nie chciała wyjawić nam informacji o Sukerze? - zapytał Stoya.

Mrugnąłem raz i zamknąłem powieki. Większości z tego, co powiedziała mi Alina, w pierwszej chwili w ogóle nie rozumiałem. Dopiero później, kiedy usłyszałem prezentera radiowego, przypomniałem sobie jej słowa i wtedy nagle nabrały one strasznego sensu.

- Dlaczego? - zapytał Stoya. - Dlaczego Alina nie chciała z nami rozmawiać?

Dlatego że odkryła związek pomiędzy Sukerem i Julianem, pomyślałem i z tego samego powodu ja też trzymałem gębę na kłódkę.

Alina sądziła, że okulista wiedział coś o moim synu i prawdopodobnie robił sobie z tego powodu wyrzuty

To z Julianem to moja wina, takie albo podobne mogły być jego ostatnie myśli, które wyczuła u Sukera, kiedy go masowała.

Ponadto jeśli Alina dobrze zrozumiała, nad umierającym lekarzem miała pochylić się kobieta, która użyła słowa „znalezne”, co według Aliny mogło wskazywać na to, że Julian wciąż żyje.

Albo że znaleziono jego ciało, gdybym w tej chwili był w stanie wyartykułować swoje przekonanie, zgłosiłbym zastrzeżenie.

Jak później ustaliłem, Alina była rozdarta, nie wiedziała, czy powinna przekazać te informacje Stoi, ponieważ bała się, że przerwie łańcuch przyszłych wydarzeń. Aresztowanie Sukera uchroniłoby kolejne ofiary, ale mogłoby spowodować, że chirurg nigdy nie doprowadziłby policji do kobiety, która wypowiedziała słowo

„znależne". Do kobiety, która, tak samo jak okulista, wydawała się coś wiedzieć o Julianie.

- Muszę teraz spać - skłamałem i przekręciłem się na bok.

Poziom bólu obniżył się i prawdopodobnie pierwszy raz od tygodni mogłbym się powstrzymać od wzięcia środków uspokajających. Aby tak się stało, musiałem myśleć tylko o Alinie i o tym, co mogłem zrobić w tej chwili. Już sama wizja tego wystarczała, żebym zachował przytomność umysłu.

Czułem się senny i walczyłem z wirem wyczerpania, który chciał wciągnąć mnie na dno, do innego stanu świadomości, aż policjanci zrezygnowali z zadawania dalszych pytań i w końcu wyszli z pokoju w towarzystwie doktora Rotha.

Odczekałem pół godziny i z niecierpliwością zrzuciłem na podłogę pościel i przyciągnąłem wózek inwalidzki.

Rozdział 105

Nie minęły nawet trzy minuty, a już spływał po mnie pot, chociaż udało mi się dotrzeć zaledwie na środek pokoju. Wózek inwalidzki był lekki i zwrotny, mimo to posuwałem się do przodu z wielkim trudem i bardzo wolno. Mój szacunek dla osób z porażeniem poprzecznym rósł z każdym centymetrem. Ponieważ miałem do dyspozycji tylko jedną rękę, mimowolnie zносиło mnie w bok i musiałem korygować kierunek, w tym celu przenosiłem ciężar ciała na bezużyteczną prawą połowę. Moje ramię było ciężkie, natomiast umysł zdumiewająco gotowy do podjęcia wyjątkowej pracy. Chociaż nadzwyczajny wysiłek sprawiał, że krew płynęła żyłami o wiele za szybko, ból się nie zwiększył, zmienił się jedynie jego stan skupienia. W poprzednich dniach był świdrujący i mgławicowy, teraz zgęstniał i stał się zawieszoną, galaretowatą papką, która przy każdym ruchu głowy przelewała się w czaszce. Dziwnym sposobem dzięki temu ból był łatwiejszy do zniesienia, ponieważ wmówiłem sobie, że mogę go lepiej kontrolować. Jego intensywność malała, gdy robiłem sobie przerwę na odpoczynek.

W połowie drogi, ledwie okrążyłem łóżko i bezużyteczny stolik dla gości, przypomniałem sobie o śniegu, który w ostatnich dniach obserwowałem przez okno, i uświadomiłem sobie, że biorąc pod uwagę mój zamiar, byłem trochę nieodpowiednio ubrany: bosy, w dwuczęściowej piżamie.

Dokąd się wybierasz? - usłyszałem cichy głos. Nie był to szept, raczej bardzo słaby krzyk kogoś, kto właśnie wsadził głowę pod wodę. Mój wyimaginowany syn wykorzystał sprzyjającą chwilę opadającego poziomu bólu, żeby znów wdrzeć się do mojej świadomości.

Kiedy przypominam sobie godziny przed ostateczną katastrofą, mam skłonność do przedstawiania swoich myśli i wrażeń w sposób chronologiczny i uporządkowany. Ale tak naprawdę w moim mózgu wisiały na luźnych nitkach miliony myśli, a moja świadomość była jak swawolny kot, który uzbrojonymi w pazury łapami ciągnął za nie i je zrywał. Większość nitek była beznadziejnie poplątana, tylko kilka z nich nie zostało zerwanych, tak że z chaosu, jaki panował w mojej głowie, rzadko się wyłaniał sens. Myślałem o dżdżownicach, które pijane leżały w kieliszku z wódką, zastanawiałem się, która godzina jest w Chile i czy ktoś pomyślał o tym, żeby oczyścić moje akwarium w pokoju dziecięcym, zanim znów przypomniałem sobie, dlaczego

siedząc na wózku inwalidzkim, toczę się przez salę chorych. Poplątane momenty następowały po przebłyskach świadomości, w których byłem zdolny do podejmowania zadziwiająco przejrzystych decyzji, zanim znów zameldował się ból albo chaos. Albo mój martwy syn.

Tato, proszę, zostań ze mną!

Przejrzałem rozpaczliwą próbę Juliana, w której pragnie on zmusić mnie do rezygnacji z planu, przy czym słowo „plan” było przesadnie górnolotnym określeniem moich żalonych wysiłków. Po prostu chciałem się stąd wydostać, dokładnie nie wiedząc, gdzie to „stąd” w ogóle było i jak, będąc ciężko upośledzoną osobą, miałem pokonać tutejsze środki bezpieczeństwa. Z drugiej strony przynajmniej znałem cel, nawet jeśli nie znałem drogi do niego. Chciałem wrócić do swojego mieszkania w Kreuzkolln, do komputera i komórki. W końcu musiałem zacząć to, co odwlekałem już o wiele za długo: poszukiwanie Franka. Jeśli moje myśli były w większości mętne i chaotyczne, ta mocno i niewzruszenie wystawała jak granitowa skała z ciemnego oceanu mojej duszy: znajdę i zabiję Franka, mordercę mojego syna.

Ale ja nie umarłem, tato. Proszę, nie zostawiaj mnie, błagał głos Juliana, chociaż zatkałem uszy

- Ależ tak, umarłeś. Niestety

Nie wiem, czy naprawdę tak myślałem, ale czułem niezbitą prawdę. Mój syn już nie żył. Jeśli Alina miała zamiar obudzić we mnie nadzieję, to jej się nie udało. Tragedia, jaką przeżyłem, sprawiła, że stałem się realistą, nie wierzyłem już w jej nadzwyczajne zdolności. A nawet gdyby Ostatnie myśli Sukera, które rzekomo odczytała w wizjach - Ale być może to tutaj rzeczywiście jest sprawiedliwą karą za moje winy. Być może, gdybym wtedy Juliana... - utwierdziły mnie w przekonaniu, że mój syn już dawno został zamordowany i tylko jeszcze go nie znaleziono, dokładnie tak, jak to zapowiedział Frank, na wypadek gdybyśmy próbowali sfigować moją śmierć. Ale co łączyło Sukera z kolekcjonerem oczu?

Poczułem skurcz w lewej dłoni i musiałem zrobić przerwę, aby móc dalej popychać krnąbrny wózek.

Sięgając pamięcią wstecz, zachowałem się jak kiedyś, gdy byłem jeszcze dzieckiem i chciałem zrobić niespodziankę rodzicom, sam znieść do piwnicy nowo dostarczony pojemnik na brudną bieliznę. Miałem dwanaście lat i przyjąłem przesyłkę, kiedy tata i mama byli w

pracy. Po powrocie do domu byli zaskoczeni niespodzianką, jaką im zgotowałem, chociaż nie tak, jak się spodziewałem. Parkiet, po którym ciągnąłem skrzynię, całkowicie przeceniając swoje siły, porysował się i w wielu miejscach odpryskiwały z niego drzazgi, a i tak nie udało mi się przetransportować owego monstrum do pralni, ponieważ mocno zakleszczyło się w drzwiach.

Teraz byłem co prawda starszy, ale wcale nie mądrzejszy. Resztek sił nie pozbawiała mnie skrzynia, lecz inna nieporęczna rzecz, która od dawna nie miała ochoty robić tego co ja: moje ciało.

Wiara przenosi góry, pomyślałem i poczułem, jak pot spływa mi po włosach, kiedy znów popchnąłem do przodu gumowe koło wózka inwalidzkiego ...a szaleństwo wózek inwalidzki.

Chciałem zabić Franka i tę żądzę zemsty wywołała prawdopodobnie inna negatywna emocja: niepokój o Alinę. W tej chwili jeszcze nie chciałem przyznać, że po śmierci syna na świecie mogło istnieć coś, co było dla mnie ważne. Uważałem to za zdradę Juliana. Chyba podświadomość zdecydowała, że postanowiłem odszukać swoją przyjaciółkę, ponieważ domyślałem się, że ona i ten złowrogi Suker tworzą punkt, w którym krzyżują się ścieżki zła.

Nie, tato, nie masz racji - poskarżył się głos mojego syna. - Ja wciąż żyję, tylko w innym świecie. Nie odchodź, kiedy przyjdiesz do mnie, pokażę ci, że...

Pochyliłem głowę i fala bólu starła niedokończone zdanie Juliana z tablicy mojej świadomości. Kiedy znów podniosłem wzrok, zdziwiłem się na widok otoczenia. Jeszcze nigdy nie oglądałem sali chorych z tej perspektywy.

Od chwili nieudanej próby samobójczej kompletnie straciłem poczucie czasu; musiały upłynąć tygodnie, kiedy leżałem na łóżku i w ogóle nie poświęcałem uwagi najbliższemu otoczeniu, ponieważ dużo bardziej zajmował mnie mój świat wewnętrzny. Świat zewnętrzny znajdował się za tłumiącą dźwięki mleczną szybą. Prawdopodobnie tak działał mechanizm obronny mojego umysłu, żeby niczemu nie przyglądać się dokładnie. Gdybym zwracał uwagę na sztuczne kwiaty stojące na szafce albo na wykrochmaloną pościel, musiałbym również zmierzyć się z faktem, że do przedwczoraj załatwiałem potrzeby fizjologiczne pod czujnym okiem pielęgniarki, która na zakończenie

uciążliwej procedury myła mi mydłem w płynie najpierw tyłek, a potem penis.

Co prawda często widziałem szafę na ubrania stojącą przy ścianie, ale dotąd nie dotarło to do mojej świadomości. Kiedy teraz po raz pierwszy otworzyłem drzwi, spodziewałem się, że co najwyżej znajdę w niej szlafrok i frotowe kapcie, i byłem całkowicie zaskoczony, widząc starannie zapakowane ubranie, które miałem na sobie w dniu nieudanego samobójstwa: wytarte dżinsy, golf w kolorze munduru wojskowego, ocieplana kurtka lotnicza i stare buty firmy Timberland. Koszula i spodnie wisiały w równym rzędku na metalowych wieszakach w przezroczystych foliowych workach; ktoś zadał sobie trud, żeby zanieść je do pralni. Teraz nie można było już stwierdzić, czy znajdowały się na nich kawałki mojego mózgu albo czaszki.

Wziąłem do ręki kurtkę i położyłem ją sobie na kolanach. Buty postawiłem na udach. O swetrze musiałem zapomnieć. Na samą myśl, że przeciskam owiniętą bandażem głowę przez ciasny golf, krople potu wystąpiły mi na czoło.

Po jakimś czasie, który wydał mi się wiecznością, i kilku bezładnych myślach otworzyłem drzwi i wyjechałem tyłem z sali.

Na korytarzu, oświetlonym zaledwie kilkoma nocnymi lampkami zamontowanymi w równych odstępach w listwach przypodłogowych, panował półmrok. Jeśli był tam czujnik ruchu, to jak dotąd mój wózek nie przeciął jeszcze światła fotokomórki. Usłyszałem brzęczenie przypominające dźwięki wydawane przez starą lodówkę oraz szum urządzeń wentylacyjnych.

Zaryzykowałem trzęsienie ziemi średniego stopnia pod czaszką, kiedy spojrzałem w górę, aby zorientować się, gdzie są umieszczone kamery, ale dostrzegłem tylko nieosłonięte rury grzewcze i biegnącą pod sufitem wiązkę kabli.

Nie ma kamery, nie ma szczęścia, pomyślałem zupełnie bez sensu i potoczyłem się przed siebie. Decyzja, żeby pojechać w lewo, zapadła instynktownie, być może dlatego, że w tym kierunku wąski korytarz wydawał się krótszy. Nie było widać tabliczki z napisem EXIT ani nawet piktogramu oznaczającego wyjście awaryjne.

Jak ja, chory, mam wyjść z tego chorego budynku?, pomyślałem i uczyniłem z tego zdania rodzaj mantry, mrużąc je ze stoickim spokojem, i czułem, jak w lewej dłoni łapie mnie coraz większy skurcz.

W ostatnich dniach przemieszczałem się co najwyżej od łóżka do okna, teraz musiałem sprawić, aby wehikuł pod moim siedzeniem wziął ciasny zakręt w prawo, ponieważ korytarz skręcał pod kątem prostym.

Balansując ciężarem ciała, wykonałem skręt. Gumowe koła wózka zapiszczały jak nowe adidasy na podłodze sali gimnastycznej. Ujechałem najwyżej dziesięć, piętnaście metrów, ale cieszyłem się tak, jakbym pierwszy minął linię mety maratonu nowojorskiego.

Dziesięć metrów i nic, pomyślałem, co miało znaczyć: dziesięć metrów i nikt cię nie nakrył. Zaraz potem przez gąszcz pozbawionych sensu refleksji przebiła się groźna konstatacja: a to co, u diabła?

Na tym odcinku korytarza dwie z trzech lampek nie świeciły, tak że nie od razu zauważyłem przeszkodę, do której się dotoczyłem, lecz teraz już nie można jej było przeoczyć. Na środku korytarza wyrastała ciemna, lekko migocząca ściana.

Tak mnie to zaskoczyło, że zapomniałem zwolnić. Podłoga była tu lekko spadzista, dlatego toczyłem się coraz szybciej. Wydawało się natomiast, że moja zdolność kierowania wózkiem została zahamowana, w każdym razie dostrzegłem panoramiczny telewizor dopiero w chwili, kiedy zatrzymałem się tuż przed nim.

Odbiornik był czarny, ale nie wyłączony. Za to ciemność na ekranie była zbyt jasna i nierównomierna.

Podjechałem tak blisko, że mogłem położyć dłonie na odkurzonej powierzchni. Poczułem elektrostatyczne trzaski pod palcami i miałem wrażenie, że migoczę jak ekran.

Przez moment zadawałem sobie pytanie, czy nie mam halucynacji i być może wcale nie opuściłem sali chorych, jednak właśnie ta myśl przekonała mnie, że nie znajdowałem się w urojonym świecie.

Obląkani nie rozmyślają o swoim stanie.

Pochyliłem się i próbowałem interpretować cienie w telewizorze. Trwało to jakąś chwilę, aż złożyłem w całość różne odcienie szarości i czerni.

Nie wiesz, świrze, że nie filmuje się w hawirze?, zapytał mój umysł, któremu w danej chwili najwidoczniej podobało się myślenie rymami.

Pomieszczenie, które ujrzałem na ekranie, wydawało się puste, nie udało mi się nikogo zobaczyć, chociaż bardzo się starałem. Mimo to nie mogłem oderwać wzroku od telewizora. Gapiłem się jak ktoś, kto wpatruje się w bezkresne nic we wszechświecie, nie wiedząc właściwie,

jaki punkt powinien przykuwać jego uwagę, żeby nic mu nie umknęło. Upływały niczym niezakłócone sekundy, w których mojemu duchowi znów groziło zboczenie z obranego kursu, kiedy nagle uderzył piorun.

Ekran rozbłysnął, jakby w pokoju wybuchła bomba napalmowa, i instynktownie zasłoniłem oczy łokciami. W tej samej chwili śmiertelnie ranne zwierzę za ścianą, skrzecząc, wydało błagalne jęki, prosząc o wybawienie od męczarni.

Zaledwie pół sekundy potem, nie trwało to dłużej, znów zrobiło się ciemno i krzyk się urwał, lecz ta krótka wieczność wystarczyła, żeby całkowicie wyprowadzić mnie z równowagi. Zacząłem śmiać się ze strachu i jednocześnie poczułem parcie na pęcherz. Nie tylko moje myśli, również reakcje organizmu nie miały już sensu.

Ale jak miałem poradzić sobie z obrazem kobiety, który niespodziewanie i bez ostrzeżenia zmaterializował się w jaskrawym świetle bezpośrednio na ekranie, aby na zawsze wypalić się w mojej siatkówce? Obraz kobiety z szeroko otwartymi, krwawiącymi oczami pod ciasno przylegającymi okularami do nurkowania, która szczyrzyła zęby, śmiejąc się jak szalona.

To nie sen, pomyślałem. To jest przerażająca rzeczywistość, a kobieta krzyczy do ciebie. Krzyczy ci w twarz i pokazuje przyczynę bólu.

Prawie jednocześnie za moimi plecami usłyszałem głos Schollego, który uśmiechając się, zapytał, czy chcę jeszcze raz zobaczyć Tamarę Schlier.

Rozdział 111

Dzień po jej narodzinach rodzice Tamary Schlier martwili się, czy ich śliczna jak z obrazka córka kiedykolwiek otworzy oczy. Kiedy spała, kiedy darła się wniebogłosy albo kiedy próbowała ssać pierś matki - Tamara poza nielicznymi wyjątkowymi sytuacjami miała mocno zaciśnięte powieki. Wydawało się, jakby niemowlę nie chciało oglądać na własne oczy zimnego świata, do którego zostało tak nagle wtłoczone (przy udziale akuszerki i lekarki pediatry, która podczas ostatnich bólów pomagała rodzącej matce, kładąc się jej na brzuchu). Oczywiście to zmartwienie, jak wiele obaw młodych rodziców, było śmiesznie bezzasadne, ponieważ zaledwie kilka sekund później podczas nerwowej szarpaniny przy zawijaniu dziewczynka wreszcie otworzyła oczy i posłała rodzicom pełne wyrzutu spojrzenie, na widok którego popłynęły im łzy radości.

Wtedy, dwadzieścia trzy lata temu, nikt nie mógł przypuszczać, że nadejdzie dzień, kiedy Tamara zapragnie już nigdy więcej nie oglądać świata; i to w całym znaczeniu tego słowa, ponieważ męczarnie, jakie przechodziła, przekraczały wszelkie wyobrażenie.

Jak miałem się później dowiedzieć, męczarnie, na jakie skazał ją Zarin Suker, odebrały jej nie tylko chęć do życia i znaczną część rozumu; okulista odebrał jej również zdolność przysłaniania świata, odcinając powieki, a potem gwałcił godzinami.

- Ona nie może mrugać - powiedział Scholle i postukał palcem w ekran, z którego kilka sekund wcześniej znów zniknęła w ciemności oszpecona twarz Tamary. Wcześniej powiedział mi, że przez kilka godzin nikt nam nie będzie przeszkadzał, ponieważ nocnego strażnika, który pilnował tego korytarza, wysłał na przerwę.

- Nazywa się Tamara Schlier. I jak przed chwilą zorientowałeś się po jej krzyku, nie znosi światła. Dlatego dzień i noc siedzi w ciemności w izolatce pod kontrolą lekarzy, którzy obserwują ją przez kamerę wysokiej rozdzielczości.

Mówiąc to, Scholle ponownie zapalił światło w korytarzu i odwrócił do siebie mój wózek inwalidzki tak, że z uśmiechem politowania mógł patrzeć mi w twarz.

- Dlatego stale musi nosić okulary do nurkowania, żeby kurz i inne brudy nie wpadały jej do oczu. Nie jest to ładny widok, co? - Znów się

uśmiechnął. - Ale jeśli mam być szczery, ty też nie wyglądasz dużo lepiej, Zorbach.

- Czeeegochoceodemnie? - wymamrotałem, niezdolny do wyraźnego wyartykułowania słów.

- Muszę ci zadać pytanie, kolego.

Jego wzrok padł na ubranie na moich kolanach.

- Jak widzę, masz jeszcze dość siły, żeby chcieć stąd prysnąć. Nie spodziewałem się tego po tobie, ale dziękuję losowi, że wpadłeś w moje ręce. Oszczędziło mi to drogi, ponieważ właśnie zamierzałem złożyć ci jeszcze jedną wizytę.

Poszukał mojego wzroku.

- Sam, bez Stoi i twojego doktora Rotha.

Nic z tego nie rozumiałem i chciałem zmarszczyć czoło, lecz nagle w głowie eksplodował tak silny ból, że całe ciało skurczyło się w konwulsji.

- Daj spokój, Zorbach. Przestań wreszcie grać w te swoje niepoczytalne gierki. Ta rola w ogóle ci nie pasuje.

Potrząsnąłem głową, co jeszcze zwiększyło ból.

- Nie rób tego. Dobrze widziałem, że wcześniej pokazywałeś nam coś w swoim pokoju. Najwidoczniej... - podniósł jeden but i z powrotem upuścił go na moje uda - ... moje podejrzenie znów okazało się słuszne. A właściwie to dokąd się wybierasz?

- Nieceewieeee - odparłem zgodnie z prawdą, a część mojego umysłu zadała sobie pytanie, co oznacza ta dziwna rozmowa. Podczas naszego ostatniego spotkania Scholle próbował przycisnąć mi twarz do rozżarzonej płyty grzewczej, ponieważ myślał, że jestem kolekcjonerem oczu.

- Co takiego powiedziała ci Alina, że w środku nocy chcesz dać stąd nogę?

Ból był teraz tak silny, że musiałem zamknąć oczy.

- Oszczędź sobie tych głupich min - zaprotestował Scholle. - Jestem pewny, że dociera do ciebie dużo więcej, niż chcesz się przyznać. A więc dobrze mnie teraz posłuchaj. Wiem, że uważasz mnie za dupka. Ale jeśli nawet tak to wygląda, tym razem nie przyszedłem tu po to, żeby cię szykanować. Jestem policjantem.

Zmrużyłem oczy.

- To znaczy, że moja praca polega na łapaniu złych ludzi. Zgoda, przyznaję, że nie każdemu podoba się mój dobór środków. Ale dla mnie liczy się tylko rezultat. Kiedy mam świadomość, że mogę uratować życie niewinnego człowieka, jestem gotów dać podejrzanemu taki wycisk, że sam wszystko wyśpiewa...

Albo parzysz mu twarz.

- ...nawet jeśli zachodzi niebezpieczeństwo, że jest niewinny - potwierdził Scholle moją niewypowiedzianą myśl. - Sińce kiedyś znikną. Ale to tutaj - klepnął mięsistą dłonią w ekran monitoringu obok nas - rany tej kobiety nigdy się nie zagoją.

Dopiero teraz zauważyłem w jego ręce pilota, którym zmieniał rozdzielczość ekranu. Obraz na monitorze dostał więcej kontrastu i mogłem rozpoznać Tamarę; odwrócona plecami do kamery stała przy ścianie na końcu pokoju.

- Tamara Schlier nie może rozprawadzać cieczy łzowej na źrenicach, Zorbach. Czy wiesz, co to znaczy?

Odruchowo zamrugałem.

- Co dwie godziny przychodzi do niej pielęgniarka, by wpuścić jej do oczu krople. Co dwie godziny! - Scholle podstawił mi pod nos odpowiednią liczbę palców. - Łajdak przeciął mięśnie partii oczu tak, że nie można przeszczepić jej sztucznych powiek. Już nigdy nie będzie mogła przespać całej nocy i prawdopodobnie zakrapianie co dwie godziny nie wystarczy, aby na dłuższą metę uchronić ją przed ślepotą. Teraz rozumiesz, dlaczego muszę z tobą pogadać.

Szukał ze mną kontaktu wzrokowego.

- Po prostu zapomnij o wszystkim, co zaszło między nami, i spójrz na to jeszcze raz.

Scholle znów odwrócił mnie twarzą do ekranu.

- Prawdopodobnie Alina jest teraz w szponach bestii, która odpowiada za cierpienia tej kobiety, rozumiesz? Jeśli coś wiesz, powiedz mi. A jeśli nie możesz mówić, napisz albo nawet narysuj stopami, tylko zrób coś, żebyśmy mogli wreszcie złapać tę świnię. Czy to dociera do twojej dziurawej czaszki?

Powoli skinąłem głową, nie spuszczając wzroku z sylwetki Tamary. Jej ciało wydawało się całkiem nieruchome, jakby była manekinem, tylko prawa ręka unosiła się na wysokości głowy i sprawiała wrażenie, że chce zetrzeć coś ze ściany.

- Coonarooob? - zapytałem.

- Taaak, trudno to opowiedzieć. Najlepiej jeśli sam zobaczysz.

Scholle zgasił światło w korytarzu i przetoczył mnie przed sam ekran. Minęła chwila, zanim rozpoznałem przedmiot, który Tamara trzymała w ręce.

- Pęędzel? - zapytałem.

- Flamaster - poprawił mnie Scholle. - Bazgrze nim po ścianach. Zamiast złożyć zeznanie, dzięki któremu moglibyśmy wsadzić za kraty Sukera, całymi dniami zajmuje się malarstwem jaskiniowym.

- Cotoje?

- Chcesz wiedzieć, co ona rysuje? Scholle popchnął mnie jeszcze bliżej ekranu.

- Nie mamy pojęcia, kolego.

Ponownie nacisnął przycisk na pilocie i na ekranie pojawił się typowy pulpit komputera. Widocznie lekarze mogli wyświetlać na monitorach historie choroby wszystkich pacjentów. Scholle otworzył folder opatrzony napisem „Tamara_Schlier_Pics” i powiększył fragment obrazu na ekranie.

Kiedy zorientowałem się, co mi chce pokazać, w pierwszym odruchu chciałem się odwrócić. Zamiast tego zrobiłem coś przeciwnego. Czułem się jak obserwator, który widząc wypadek, pragnie być w innym miejscu, ale jest tak bardzo zafascynowany grozą, że nie może oderwać oczu.

- To wygląda jak rysunek dziecięcy - powiedział niepotrzebnie Scholle. Już po pierwszym rzucie oka zobaczyłem, co przedstawiały niezdarne linie na białym tynku. Dwupiętrowy dom z sześcioma oknami miał takie same typowe złe proporcje, jak obrazki, które rodziny z małymi dziećmi wieszają na lodówkach. Naiwny rysunek z o wiele za dużym promiennym słońcem nad spadzistym dachem i wejściowymi drzwiami, które trzyosobowej rodzinie, stojącej na narysowanym trawniku, nie sięgają nawet piersi.

- Rysuje prawie bez przerwy Kiedy skończy jeden dom, zaczyna drugi, całe ściany są nimi pokryte. Na początku myśleliśmy, że rysuje budynek, w którym torturował ją Suker, ale...

- Znaamto - przerwałem mu i jednocześnie starałem się stłumić podrażnienie gardła.

- Znasz to?

Skinąłem głową, podczas gdy Scholle podejrzliwie pochylił się nade mną.

- Porównaliśmy wszystkie fotografie i nagrania wideo z Berlina, jakie mieliśmy do dyspozycji, ale nie znaleźliśmy domu, który pasowałby do jej rysunku.

- Znaam.

- Okay. Gdzie on stoi? - Scholle wyglądał tak, jakby chciał mną potrząsnąć. - Możesz podać nam adres?

Oczywiście i Bogiem a prawdą pragnąłem, żeby to nie było tak.

Obraz, który Tamara bazgrała po ciemku na ścianie pokoju, widziałem już niezliczenie wiele razy.

Rozdział 116

Alina Gregoriev

Kiedy Alina się obudziła, przez chwilę myślała, że już umarła. Jak każdego ranka otworzyła oczy i wpatrywała się w bezgraniczną nicość, która definiowała jej świat, z tą tylko różnicą, że dzisiaj nie czuła ciała. Zazwyczaj przed wstaniem leżała jeszcze kilka minut w łóżku, aby poczuć własny ciężar, który odgniółł się na miękkiej sprężynowej podstawie materaca. Dopiero stopniowo, kiedy gładziła dłonią wilgotne od snu prześcieradło, budziły ją bodźce otoczenia. Wąchała powietrze pod dachem przesycone wonią kurzu i drewna, słuchała szumu ulicznego, dochodzącego z Brunnenstrasse, czuła na języku nieświeży poranny oddech. Ale dzisiaj wszystko było inaczej.

Dzisiaj całkowicie połknęła ją czarna pustka. Nie słyszała ani nie widziała, nie czuła ani gorąca, ani zimna, i chociaż jeszcze tego nie sprawdziła, była przekonana, że głos również odmówił jej posłuszeństwa.

Czy tak się czuje człowiek, kiedy już nie żyje?

Pozostało jedynie mętne wspomnienie ostrego bólu, który promieniował od szyi w dół wzdłuż kręgosłupa, zanim straciła przytomność. Temu bólowi towarzyszyły inne wspomnienia, sprawiające wrażenie nierzeczywistych, w których przewijała się damska toaleta, prezenter radiowy i Alexander Zorbach, lecz te wrażenia były tak samo trudne do zrozumienia jak sekwencje snu krótko po przebudzeniu. Co również wskazywało na to, że nie przeżyła tego, co się jej przytrafiło.

Tylko dlaczego wciąż jestem ślepa?

Na tę myśl zrobiło jej się smutno. Z jakiegoś irracjonalnego powodu była zawsze przekonana, że po śmierci nie będzie już kaleką.

Chcąc sprawdzić sobie puls, próbowała poruszyć ręką, ale jej się nie udało.

Czy ja oddycham?, zastanawiała się, nie wiedząc, jak się o tym przekonać, kiedy nagle przewróciła się na bok. Straciła równowagę, wiosłowała rękami i nogami, szukając oparcia, które nie pozwoliłoby jej wpaść w ziejącą przepaść. To była chwila, w której uświadomiła sobie, że jeszcze śpi. Że jej jaźń ciągle wzbraniała się przed wyjściem ze świata snów. Jednak teraz w świecie realnym zdarzyło się coś, co uniemożliwiło jej dalsze unoszenie się w stanie nieważkości i

całkowitego znieczulenia. Dopiero co bała się śmierci, a teraz spotkało ją jeszcze większe okrucieństwo, kiedy nagle poczuła, że jej kostki tkwią w twardych metalowych mankietach. Kiedy usłyszała szczekanie łańcuchów, którymi spętano jej ręce za głowę. I kiedy poczuła w uchu język Zarina Sukera, który powiedział wesołym głosem:

- Witam w moim domu.

Rozdział 118

- Proszę mnie rozwiązać.

Jej głos zabrzmiał tak samo słabo, jak się czuła, co nie było dziwne, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że środki odurzające, które Suker jej zaaplikował, w znacznej części wciąż znajdowały się w jej krwiobiegu. Była straszliwie zmęczona, każdy oddech wymagał od niej największego wysiłku. Gdyby nie podsycana strachem wściekłość, która powodowała przyspieszenie tętna, prawdopodobnie znów zapadłaby w letarg.

- Suker, ty chory gnojku - powiedziała. - Mówię do ciebie.

Okulista zaśmiał się na jej udawaną odwagę.

- Rozumiem, że pani jest zła, Alino. Też bym był, gdybym na pani miejscu leżał na stole operacyjnym. Ale czy pani myśli, że to dobry pomysł obrażać mężczyznę ze skalpelem w ręku?

Stół operacyjny? Skalpel? Alina starała się zachować spokój. Nie, nawet o tym nie myśl. On używa tego słowa, żeby samego siebie utwierdzić w przekonaniu, że jesteś przerażona.

- Czego pan ode mnie chce? - zapytała i zrobiło jej się niedobrze.

Na domiar złego nie tylko huczało jej w głowie, lecz musiała walczyć z silnym odruchem wymiotnym. Nie mogła sobie przypomnieć, czy Suker wstrzyknął jej barbituran, czy przycisnął do ust nasączoną gąbkę. W każdym razie narkotyk nie tylko pozbawił ją świadomości, ale także poczucia czasu. Całkiem możliwe, że była tu już od paru godzin, a może nawet dni, przy czym nie miała pojęcia, gdzie owo tu się znajdowało. Jediną rzeczą, jaką czuła, był brak jakichkolwiek odbić fal dźwiękowych w tym pomieszczeniu, dlatego nie potrafiła określić jego wielkości.

John opisywał jej kiedyś ze szczegółami obrazy z ulubionego horroru, w którym istotną rolę odgrywała wykładana glazurą rzeźnia, gdzie tusze wołowe wisiały obok świeżo wypatroszonych ludzi. W swoich koszmarnych snach zawsze liczyła się z tym, że przebudzenie w takim otoczeniu musi się kiedyś źle skończyć.

Ale miejsce, w którym obecnie przebywała, nie pachniało krwią i padliną, a jej głos również nie wywoływał typowego echa, charakterystycznego dla pomieszczeń wyłożonych kafelkami. Mimo to nagle z niezrozumiałych powodów zyskała pewność, że znajduje się w rzeźni.

W rzeźni Sukera, urządzonej według jego perwersyjnego gustu.

- Co pan zamierza ze mną zrobić?

- Co pani teraz czuje? - odpowiedział pytaniem na pytanie i pogładził dłonią jej płaski brzuch. Gdyby Suker potraktował ją paralizatorem, jej reakcja byłaby nie mniej gwałtowna. Wzdrygnęła się, wyprostowała tułów, a potem skurczyła się na twardej leżance, wyścielonej tylko cienkim materacem. - Ciii, proszę się odprężyć.

Alina gwałtownie dyszała, czuła, jak jego miękkie palce krążą wokół jej pępka, i dopiero w tej sekundzie uświadomiła sobie... jestem naga!

To był moment, w którym pojęła całkowitą beznadziejność swojego położenia. Szansa, że uda się uniknąć bólu i być może ujść z życiem, spadła do minimum. Zmusiła się, aby nie płakać, przynajmniej nie w tej chwili, przy czym sama nie wiedziała, jakie miałyby to znaczenie, czy wypłacze się teraz, czy później pod wpływem bólu oczu. Pomyślała jeszcze, że jej rozpacz, w całym znaczeniu tego słowa, nagi strach... już nie może być większy, i w tej samej chwili zrozumiała swoją pomyłkę.

Oczywiście, że może. Strach zawsze może urosnąć. Strach jest jak ból. Nie ma granicy, pomyślała, kiedy Suker stanął obok niej tak blisko, że czuła ciepło jego ciała, i to było gorsze od wszystkiego, co czuła do tej pory. Ponieważ nie była jedyną nagą osobą. Suker też się obnażył.

Rozdział 120

Alexander Zorbach

Przycisnąłem twarz do szyby w drzwiach i rozkoszowałem się zimnem szkła. Chłód oczyścił zmysły, ostudził rozgorączkowaną głowę i najchętniej opuściłbym szybę, gdybym tylko był w stanie znaleźć ten przekłety przycisk. Już po kilku minutach minęliśmy kąpielisko Wannsee i zamknąłem oczy. Kula w mojej głowie zmieniła dużo, ale nie perspektywę miasta, w którym żyłem. Na widok kąpieliska większość berlińczyków wspomina minione letnie dni, głośną muzykę, śmiejące się dzieci, przepełnione pojemniki na śmieci albo zapach kremu do opalania.

Ja natomiast zobaczyłem parking przed wejściem i przypomniałem sobie dzień przed dziewięciu laty, kiedy znaleźliśmy tu, na tyłach publicznej toalety, zwłoki dziecka w kartonie do przeprowadzek. Wtedy pracowałem jeszcze w policji i tylko przypadkiem towarzyszyłem koledze, który podczas wspólnej wyprawy do kina poszedł się wysikać. Morderca pozbył się ofiary razem z niewymiarowymi odpadkami. Znaleźliśmy tekturowy karton obok starego telewizora oraz dwóch worków na śmieci i po ich zawartości udało nam się w końcu zidentyfikować sprawcę: czterdziestoczteroletniego nauczyciela muzyki, który po lekcji gry na skrzypcach zatrzymał swoją najlepszą uczennicę i zaciągnął ją do altanki na obrzeżach Berlina. Zanim zgwałcił siedmioletnią dziewczynkę, związał ją techniką nazywaną „chińską kołyską”, w której ofiara sama dławi się tym mocniej, im gwałtowniej próbuje się oswobodzić.

Kiedy w tę jasną noc wpatrywałem się w otwarty karton, utwierdziłem się w przekonaniu tak silnym i niemożliwym do obalenia jak prawo natury: gdyby ktokolwiek zrobił coś takiego mojemu dziecku, nie poszedłbym na policję, żeby kazać aresztować sprawcę. Nie marnowałbym czasu, czekając na proces sądowy, w którym prokuratorowi nie udałoby się udowodnić zamiaru zabójstwa, a sędziowie skazaliby oskarżonego na trzy i pół roku za nieumyślne spowodowanie śmierci, ponieważ - wobec wątpliwości co do jego bezspornej winy - przyjęliby, że gwałciciel tylko przez nieuwagę założył zbyt ciasne więzy

Zamiast tego poszedłbym do piwnicy w swoim domu i okleił górne światła nieprześwitującą folią. Zabezpieczyłbym pomieszczenie matą

dźwiękochłonną z marketu budowlanego i przyszykowałbym frezarkę do metalu, wiertarkę akumulatorową, czajnik elektryczny oraz porządnie załadowany pistolet do gwoździ na sprężone powietrze.

Obok metalowego łóżka stanęłaby w zasięgu ręki apteczka pierwszej pomocy, upewniłbym się także, czy defibrylator jest porządnie naładowany, żebym mógł łajdaka przywrócić do życia, jeśli będzie miał zamiar zejść za wcześnie. Dopiero wtedy poszukałbym mordercy, znalazł go i sprowadził do piwnicy, żeby wziąć sprawę w swoje ręce. Oczywiście wiedziałem, że mój plan kłóci się z wszelkimi zasadami państwa prawa. Gdybym dzisiaj, po tym jak kolekcjoner oczu zamordował moją żonę, uprowadził dziecko i pozostawił mi na pamiątkę ranę postrzałową głowy, potrafił zrozumieć dobrych ludzi, którzy wykrzykując racjonalne, teoretyczne argumenty, sprzeciwiają się karze śmierci, żyłbym teraz w zupełnie innym świecie, ponieważ mój syn prawdopodobnie od dawna gniłby w ziemi. Tym światem rządziła już tylko jedna zasada, której się trzymałem: muszę żyć tak długo, aż znajdę Franka i go zabiję.

Prawdopodobnie moje radykalne poglądy nie różniły się zbyt od reguł, jakimi kierował się Scholle, który również miał w głębokim poważaniu prawo i porządek, skoro czuł, że postępuje właściwie.

Na przykład nie potrafiłem wyobrazić sobie, że doktor Roth wyraził zgodę, aby pół godziny temu Scholle zabrał mnie ze Schwanenwerder. Nawet jeśli w tej chwili byłem w lepszej formie i oprócz tępego ucisku za oczami prawie nie czułem bólu, z pewnością w moim stanie nie nadawałem się do przetransportowania w inne miejsce, na dodatek bez wózka inwalidzkiego. Scholle zostawił go na parkingu, po dwóch daremnych próbach wsadzenia do bagażnika. Na dodatek najpóźniej za cztery godziny musiałem wziąć lekarstwa, ale nie powstrzymało to Schollego od podpisania wypisu szpitalnego i zabrania mnie z kliniki. Oznajmiłem mu bowiem, że rozpoznaję rysunek, jaki Tamara Schlier nabazgrała w licznych kopiach na ścianie swojego pokoju. Był to wystarczający powód.

- Pewnie zastanawiasz się, dlaczego to robię? - zapytał Scholle i zmierzył mnie badawczym spojrzeniem, zanim znów skupił uwagę na wyludnionej ulicy.

O ile pamiętam, tak brzmiały pierwsze słowa, jakie do mnie skierował, gdy wciągnął mnie na siedzenie pasażera i przypiął pasem.

Ale być może się myliłem i już od jakiegoś czasu dyskutowaliśmy o pokoju na świecie albo o pogodzie.

Jeśli nawet czułem się lepiej, odkąd przycisnąłem głowę do szyby, było mi trudno się skoncentrować. Być może nie dostrzegałem wielu szczegółów, ponieważ nagle lepiej się poczułem. Ból głowy stopniowo ustępował miejsca ciężkiemu jak ołów zmęczeniu, odmiennemu od wywoływanej farmakologicznie ociężałości w ostatnich tygodniach.

- Dobrze, powiem ci jedno, chociaż nie jestem pewny, co ci się roi pod sufitem. - Scholle zaśmiał się krótko. - Być może mówię to tylko dlatego, że w tej chwili znajdujesz się w stanie Balia Balia i potem, kiedy już odzyskasz poczytalność, będę mógł wszystkiemu zaprzeczyć. - Policjant przerwał i włączył kierunkowskaz. - Chcę przeprosić - mruknął.

Słucham?

Udało mi się odwrócić głowę w jego stronę i nawet się nie zachwiałem.

Czyhasz w ciemności na korytarzu, pokazujesz mi koszmarnie wykrzywioną twarz ofiary tortur, wyciągasz mnie na mróz ze szpitala i mówisz o przeprosinach?

- Wtedy, w sprawie kolekcjonera oczu, zareagowałem zbyt gwałtownie - powiedział. - Naprawdę myślałem, że ty nim jesteś. Albo że coś z nim kombinujesz. Czas uciekał, więc potraktowałem cię trochę za ostro, zdaję sobie z tego sprawę. Ale sam byłeś kiedyś policjantem, Zorbach. Wiesz, jak to jest. Czasem trzeba zrobić coś, co później nie może pojawić się w raporcie, jeśli chce się dopaść szumowinę. Człowieku, to jest jak w Afganistanie. Skutki uboczne. A kiedy walczymy z szaleńcami, którzy porywają i mordują nasze dzieci, czy nie jesteśmy jak na wojnie? Jeśli chcemy zapewnić pokój, czasem nie da się uniknąć ofiar cywilnych.

Gdybym miał siłę, odpowiedziałbym, że istnieje cienka, ale wyraźnie nakreślona linia, która dzieli nasze poglądy. Osobną kwestią była zemsta na mordercy, któremu udowodniono zbrodnię, tak jak na Franku, który sam przyznał się do winy. A całkiem inną sprawą było torturowanie człowieka na podstawie podejrzeń.

Mój wzrok prześlizgnął się po kluczyku zapłonu pod kierownicą Schollego. Zgodnie z subtelnym poczuciem humoru policjanta dyndał na nim breloczek z plastikowym ludzikiem w ubraniu więźnia ze

stryczkiem na szyi. Przejechaliśmy przez wybój i wisielec bujał się na stryczku jak wahadło.

- Jak wiesz, ja też straciłem syna - mówił Scholle głosem pełnym patosu, który miał oznaczać „ja też nie miałem innego wyboru”. Skinąłem głową na znak, że wiem, o czym mówi, aby nie uraczył mnie kolejny raz historią o rosyjskiej żonie. Kiedy ją poznał, była prostytutką, a on nie tylko wyciągnął ją z nielegalnego burdelu, ale również poślubił. W podziękowaniu wprowadziła później do Jarosławia jego syna. Ponieważ Scholle zignorował wtedy swoje przeczucie i puścił ją samą do rodzinnej wioski, dzisiaj nie wahał się ani sekundy i szedł za głosem instynktu.

- Wtedy chodziło o mojego syna, Zorbach. Dzisiaj o twojego. Mówię otwarcie: mam w dupie Alinę i Sukera. Ale ponieważ schraniłem sprawę, bo miałem już Franka na widelcu i puściłem go wolno, muszę to naprawić, rozumiesz? Chcę ci pomóc dopaść mordercę twojego syna.

Spojrzał na mnie i starał się dojrzeć wyraz zdenerwowania na mojej twarzy.

- Nie próżnowałem, kiedy leżałeś pod kroplówką - kontynuował Scholle. - Co prawda Stoya nadał teraz najwyższy priorytet sprawie Zarina Sukera, ponieważ uważa, że tu możemy szybciej wykazać się sukcesem. Przecież znasz tego urzędasza. Jest dobrym gliną, ale myśli tylko o karierze. Sukera mieliśmy już w areszcie, a jeśli chodzi o Franka, nadal nie wpadliśmy na jego ślad. Zeznanie Tamary i nasze niepowodzenie z kolekcjonerem oczu byłoby warte tyle co zeszłoroczny śnieg, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Zamknąłem oczy w nadziei, że potrafię opanować wymioty, które na ostatnim zakręcie podeszły mi do gardła.

- Ale zasuwałem po godzinach i nie odpuściłem niczego, co mogłoby naprowadzić nas na kolekcjonera oczu. Chcesz wiedzieć, czego się dowiedziałem?

Zamrugąłem powiekami, co Scholle błędnie zinterpretował jako aprobatę.

- Przypuszczam, że Alina ma rację, obojętnie, co ci wciskała. Istnieje tu związek.

Zmusiłem się, żeby otworzyć oczy.

- Puszczę ci coś. Słuchaj uważnie.

Scholle wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki kasetę magnetofonową i włożył ją do odtwarzacza. Dźwięk miał złą jakość i był zniekształcony; szumiało i trzeszczało jak przy wielokrotnie odsłuchiwanym nagraniu, co tylko zwiększało grozę, która ogarnęła mnie, kiedy usłyszałem łamiący się głos.

Rozdział 125

- Wina - powiedziała i było to słowo, którego w następnych minutach używała najczęściej.

Mocno wystraszona kobieta mówiła przeważnie bardzo cichym głosem, sprawiającym wrażenie lekko rozgorączkowanego, lecz słowo „wina” wymawiała czasem z wściekłością, często pobrzmiewała w nim desperacja, ale zawsze było głośne i wyraźne.

- On chce otworzyć ludziom oczy. Wielokrotnie mi to powtarzał i śmiał się przy tym.

- Dlaczego to pani zrobił, Tamaro? - zapytał mężczyzna, którego zidentyfikowałem jako Stoyę, chociaż podczas tego przesłuchania wyrażał się dużo bardziej delikatnie niż zwykle. - Dlaczego usunął pani powieki?

- No, żebym już nigdy nie mogła przymykać oczu na swoje winy. Na cierpienie, jakie wyrządziłam ludziom.

- Czy Suker powiedział, co ma na myśli?

- Jakie zło miałam wyrządzić?

- Tak.

Szum na taśmie stał się głośniejszy i dopiero po długiej przerwie znów został zagłuszony słowami Tamary.

- Tak, wiem, za co ponoszę winę.

- Co to jest?

Cisza. Przez dłuższą chwilę słyhać było tylko tykanie kierunkowskazu, który włączył Scholle.

- Za co według Sukera ponosi pani winę, Tamaro?

- Nie tylko według niego.

- Co pani ma na myśli?

- Suker ma rację. Zrobiłam coś naprawdę złego. Sprowadziłam na innych ludzi nieuniknione cierpienie.

- W jaki sposób? Co pani zrobiła?

Znów cisza, w której szum był przerywany tylko gardłowym szlochem. Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie, jak Tamara, siedząc w półmroku w okularach do nurkowania na zapłakanych oczach, rozpaczliwie potrząsa głową.

- Nie chcę o tym mówić - zaszlochała.

- Dlaczego nie?

- Boję się.

- Czego? Suker, mężczyzna, który to pani zrobił, siedzi w więzieniu, Tamaro. Jest odizolowany. Już nie może wyrządzić pani krzywdy.

Wydawało się, że Stoya trochę odsunął mikrofon i prawdopodobnie wstał, żeby w uspokajającym geście położyć Tamarze rękę na ramieniu. Nie myślę, aby posunął się tak daleko i ją objął; nie posądzałem go o aż taką empatię, nawet jeśli w tej sekundzie świadek bardzo by tego potrzebował. Po krótkiej chwili znów usłyszałem głos Tamary Teraz był trochę bardziej opanowany.

- Nie jego.

- Słucham?

- Dla mnie sprawa z Sukerem jest skończona. Już się go nie boję.

- A kogo?

- To nie jest jeden człowiek.

Otworzyłem oczy i popatrzyłem na Schollego, który też rzucił mi znaczące spojrzenie, jakby chciał powiedzieć, że zbliżyliśmy się do puenty całej historii.

- Co takiego? Czy dobrze panią zrozumiałem? - zapytał zaskoczony Stoya. - Czy on miał współnika?

Cisza. Szum. Potem znów słyhać głos śledczego.

- Tamaro, proszę. To bardzo ważne. Tylko jeszcze jedno pytanie na dzisiaj: kto pomagał Sukerowi?

- Nie, nie wolno mi tego powiedzieć. Nie mogę.

- Tamaro, jak mamy panią chronić, jeśli nie wiemy...

- Nie mogę - powtórzył świadek, coraz głośniejszym głosem artykułując każde kolejne słowo. Na koniec krzyknęła: - Wynocha! Niech pan wyłączy to diabelstwo! No już...

Potem taśma się zatrzymała.

Scholle wyjął kasetę z radia samochodowego i trzymał ją pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym na wysokości oczu.

- Nagranie powstało kilka dni po znalezieniu Tamary Schlier. Jak wszystkie ofiary Suker porzucił ją w miejscu, które nasi profilerzy określili jako „związane z seksem”. Pierwszą kobietę znaleźliśmy na podwórzu dawnego, a obecnie opuszczonego burdelu. Druga była przykuta łańcuchem do kontenera na śmieci na parking, który upodobały sobie męskie dziwki. Tamarze udało się uwolnić i znaleziono ją, kiedy całkowicie roztrzęsiona błąkała się po klatce schodowej w

budynku fabryki, gdzie wynajmowały pomieszczenia liczne wytwórnie filmów pornograficznych.

Gwałt jako namiastka zaspokojenia seksualnego, przeszło mi przez głowę. Obszar mojego mózgu odpowiedzialny za trzeźwą analizę faktów funkcjonował najwidoczniej znacznie lepiej niż pokłady mózgu odpowiadające za emocje. Sprawca okalecza kobiety, aby zwiększyć swoje pożądanie seksualne. Prawdopodobnie doznaje orgazmu, gdy tylko weźmie do ręki skalpel. A sam gwałt jest już tylko epilogiem.

- Jak słyszysz, na początku bardzo się bała, ale przyrzekła, że złoży szczegółowe zeznanie i potwierdzi je przed sądem pod przysięgą, jeśli zapewnimy jej ochronę. Zawieźliśmy ją więc na Schwanenwerder, gdzie powoli dochodzi do siebie.

- Kto? - zapytałem ochrypłym głosem.

- Chcesz wiedzieć, kto jest współnikiem Sukera? Scholle włożył kasetę do kieszeni kurtki i obiema rękami mocno chwycił kierownicę.

- Nigdy nie zdradziła nam nazwiska. Niewiele brakowało, ale wtedy przyszło załamanie. Z dnia na dzień dostawała coraz większego obłędu, tylko krzyczała i zaczęła bazgrać po ścianach. A wiesz, kiedy nastąpiła ta nagła psychiczna zmiana? - Scholle zwolnił bez widocznego powodu. - Dokładnie w dniu, w którym przeniesiono cię na Schwanenwerder.

Zmarszczyłem czoło i Scholle uniósł rękę w uspokajającym geście.

- Tak, wiem, to żaden dowód, że istnieje związek pomiędzy Sukerem a tobą. Ale jest w tym coś dziwnego, prawda? Ledwie znalazłeś się w naszym bezpiecznym domu, wycofała zeznanie i odizolowała się od świata.

- Co? - kontynuowałem serię pytań, składających się z pojedynczych słów, i byłem wdzięczny, że mimo to Scholle mnie rozumiał.

- Jak się o tobie dowiedziała? Nie mam pojęcia, serio. Roth jest poza podejrzeniem, nic jej nie powiedział o twoim przyjeździe. Personel jest starannie sprawdzany, jakby pracowali dla Secret Service, za każdą osobę dałbym sobie uciąć rękę. Nie ma tam kreta. Ale jak mówiłem, jest to bardzo dziwne. Tak samo dziwne jak sprawa z Sukerem, który, jak się wydaje, również dysponuje tajemniczym źródłem informacji w więzieniu. Chociaż nie miał dostępu do telewizji, gazet ani internetu i

siedział w separacie, kiedy Alina go odwiedziła, wiedział dosłownie wszystko o twojej sprawie.

Udało mi się ostrożnie skinąć głową, tak żeby mnie znów nie zemdliło. Powoli zaczynałem rozumieć łańcuch poszlak Schollego.

Tamara bała się pomocnika Sukera. Jego asystenta. Jej strach przybrał na sile po moim przyjeździe. Suker zna wszystkie fakty dotyczące mnie, Aliny i Juliana. A Alina „zobaczyła” w swoich wizjach związek pomiędzy Julianem a Sukerem.

Jednak w tej chwili wydało mi się, że to zbyt naciągane, aby z bezładnej mieszanki poszlak, przypadków, ezoterycznych bredni i domysłów wysnuwać podejrzenie, że osobą, której tak bała się Tamara Schlier, był Frank Lahmann.

To do siebie nie pasuje. No dobrze, Frank usuwał swoim ofiarom lewe oko, z precyzją, której musiał się gdzieś nauczyć. Ale przez lata praktykował u weterynarza, nie u Sukera... A może?

- Jeśli nie myli mnie twoje szkliste spojrzenie, ciągle jesteś nastawiony sceptycznie - powiedział Scholle.

Kiedy uniosłem wzrok, zorientowałem się, że dotarliśmy do okolicy, którą, mówiąc o niej Schollemu, określiłem jako cel podróży.

- Dobrze cię rozumiem, Zorbach. Ale przecież powiedziałem ci, że odrobiłem swoją pracę domową. Czy wiesz, że Frank nosi szkła kontaktowe?

- I?

- I możesz zgadywać trzy razy, kto przed laty po raz pierwszy mu je przepisał - dodał Scholle i skręcił w naszą ulicę. Zrobiło mi się zimno.

Zatrzymał samochód przed domem, który był kiedyś moim domem, a teraz pusty i ciemny wystawał jak nagrobek z cmentarza moich snów. Pomijając błędy w perspektywie i zbyt dużą liczbę pięter, Tamara Schlier dość wiernie przedstawiła nasz dom przy Rudower Dorferblick. Na jej rysunku nawet szopa na narzędzia obok trawnika, na którym znalazłem swoją zamordowaną żonę, stała we właściwym miejscu.

- Nie wierzę - powiedział Scholle i włączył długie światła, aby lepiej oświetlić opuszczony budynek. Gwizdnął przez zęby z uznaniem.

- Czy potrafisz mi powiedzieć, dlaczego Tamara rysowała na ścianach pokoju wasz dom?

Potrząsnąłem głową. Nie, nie potrafiłem. Nie miałem również pojęcia, dlaczego dokładnie taki sam obrazek od lat wisiał nad łóżkiem mojego syna. Nie potrafiłem też wytłumaczyć sobie, dlaczego w sypialni Juliana było otwarte okno.

Rozdział 130

Alina Gregoriev

Odkąd Zarin Suker wdrapał się na leżankę i przycisnął kolanami jej łokcie, aby ją całkowicie unieruchomić, Alina próbowała się odprężyć; przede wszystkim głównie po to, aby ból, którego się spodziewała, się nie nasilił. Czytała wprawdzie kiedyś, że obrońcy oskarżonych mogą interpretować brak oporu jako przyzwolenie na odbycie stosunku płciowego i tym samym uznać oskarżenie za bezprzedmiotowe, ale to było jej całkowicie obojętne. Zwłaszcza od momentu, kiedy poczuła na brzuchu genitalia Sukera, nie sądziła, że kiedykolwiek będzie musiała jeszcze składać zeznania.

- Dlaczego pan to robi? - zapytała. - Dlaczego ja?

Było to jedno z tuzina pytań, za pomocą których do tej pory udawało jej się opóźniać to, co nieuniknione. Za każdym razem, kiedy Suker otwierał usta, aby coś powiedzieć, przestawał ją obmacywać.

- Przecież mówiłem to już w damskiej toalecie, kiedy panią stamtąd wyprowadzałem, moja droga. Chcę skończyć to, co zacząłem.

Położył dłoń na jej prawej piersi.

- Ale to w ogóle do pana nie pasuje.

- Nie? - roześmiał się głośno. - Przecież podczas naszego pierwszego spotkania sama pani powiedziała, że jestem pozbawionym skrupułów gwałcicielem.

- Nie sądzę. - Alina stęknęła, kiedy przekręcił piercing w jej sutku.

- Nie pasuje mi to, że mógłby pan odstąpić od swojej metody.

- Tak, a jaka jest moja metoda? - Suker rozbawiony zaakcentował ostatnie dwa słowa.

- Zaczyna się... - Alina powstrzymała krzyk, kiedy jego dłoń wślizgnęła się jej między nogi. - Sądzę, że nie tak się zaczyna.

- Alino, jest pani mądrym dzieckiem. - Cofnął rękę. - I ma pani rację.

- Z czym?

- Nie zgwałcę pani.

Alina z ulgą poczuła, jak w jednej chwili zniknął ciężar, który przygniatał jej tułów. Odgłosy również nie budziły wątpliwości: Suker zszedł z leżanki.

- Być może będę tego żałował, Alino. Ale nie zamierzam się z panią przespać.

- Nie? - zapytała bardziej błagalnym tonem, niż zamierzała.

- Nie, w każdym razie jeszcze nie teraz. - Zachichotał i Alina poważnie liczyła się z tym, że okulista zaraz powie: „Najpierw obetnę pani powieki”.

Ale to nie miałyby sensu. Nie w jej przypadku. Nie w przypadku niewidomej.

Tu nic nie ma sensu. Nie powinnam wpaść w jego łapy. Jeśli on napawa się strachem widocznym w oczach swojej ofiary, to nic mi nie może zrobić.

- W takim razie czego pan ode mnie chce?

- Najpierw chcę panią zoperować, Alino. Pamiętaj pani, co powiedziałem w więzieniu. Po prostu dotrzymuję słowa. Zrobię wszystko, żeby pani znów mogła widzieć.

Chociaż w gradacji jej najgorszych koszmarów bycie zgwałconą zajmowało zdecydowanie pierwsze miejsce, to w tej chwili nie do zniesienia było dla niej wyobrażenie, że Suker mógłby istotnie spełnić swoją niewyobrażalną groźbę, aby horror, w jaki została wplątana, nie tylko poczuła, ale również zobaczyła.

- To był tylko przedsmak, perspektywa tego, co może się zdarzyć. Proszę mi wybaczyć tę drobną igraszkę, nie mogłem się powstrzymać.

Suker stanął teraz za Aliną i położył dłoń na jej czole. Potem za pomocą kciuka i palca wskazującego odchylił powiekę prawego oka kobiety.

- Proszę, nie...

- Ciii... Przecież powiedziałem, że musi się pani odprężyć. - Alina usłyszała metaliczny szcęk. - Inaczej nie będę mógł prawidłowo założyć klamerek.

- Nieee! - Alina zeszywniała. - Nie, nie chcę. Zostaw mnie w spokoju, ty onanisto.

- Ale, ale, po co te wyzwiska? Chcę zrobić pani prezent, a pani broni się jak przekorna kotka. - Głos Sukera brzmiał teraz bardziej nerwowo. - Poza tym musi pani zrozumieć, że to konieczne. Nie mogę pozwolić, żeby pani dalej chodziła po świecie z zamkniętymi oczami i nie mogła ponieść odpowiedzialności za swoją winę.

Winę?

- Jedyłą osobą, której można tu przypisać jakąkolwiek winę, jest pan, dupku. I niech mi pan wierzy, jeśli tylko popełni pan jakiś błąd,

jeśli tylko dostanę cień szansy, aby się uwolnić, to przysięgam na Boga, że pana zabiję.

Alina zrobiła krótką przerwę, żeby zaczerpnąć powietrza, lecz zanim zdołała wykrzyczeć swój strach w sali operacyjnej szaleńca, zirytował ją szmer oddalony zaledwie kilka kroków od niej.

Co to jest?

Na początku szmer był ledwie słyszalny, ale im dłużej Alina się na nim koncentrowała, tym ciche kwilenie stawało się głośniejsze, aż przeszło w chrapliwy jęk, który najwyraźniej wydobywał się z gardła cierpiącej kobiety.

O Boże, nie jestem tu sama, pomyślała Alina, kiedy lekarz zakładał metalową klamerkę, i w pierwszej chwili ta świadomość przyniosła jej nawet niewielką pociechę, aż Suker cmoknął z przyganą.

- No i widzi pani, co pani zrobiła. Pani krzyk obudził dawczynię narządów, których za chwilę będę potrzebował do pani operacji.

Rozdział 133

Alexander Zorbach

Z każdym metrem, który kuśtykając pokonywałem, zbliżając się do domu, czułem, jak rośnie we mnie pokrewieństwo duszy z tym budynkiem.

Tak jak ja byłem tylko cieniem wśród żywych ludzi, tak opuszczony jednorodzinny dom sprawiał wrażenie wspomnienia lepszych czasów. Mury, które kiedyś udzielały gościny mojej rodzinie, mojemu życiu, już dawno przestały oddychać. Była gwiazdzista noc, dom i ogród pogrążyły się w zimnym świetle księżyca. Tam, gdzie kiedyś czekali na mnie Nicci z Julianem, mieszkały teraz tylko zniszczenie i upadek. Nie postąpiły jeszcze zbyt daleko, nie zauważyłem wybitych szyb ani graffiti na ścianach, ale pusta butelka po szampanie na zaśnieżonym trawniku i spalone kartony były bardzo wymowne. Chociaż od sylwestra minęły już dwa miesiące, nikt nie sprzątnął walających się w ogrodzie śmieci, które zostawiły na naszej działce dzieci sąsiadów.

Wsparty na Schollem, zbliżyłem się do tarasu naszego domu - mojego domu. Nie było już nikogo, z kim mogłem go dzielić - i łzy popłynęły mi z oczu. Zwaliłem to na ból głowy i przejmujący chłód, chociaż prawie nie czułem ani jednego, ani drugiego.

- Centrala? Tu Scholokowsky. Jestem właśnie w Rudow Dorferblick pod domem Zorbacha - usłyszałem, jak informuje przez radio o miejscu naszego pobytu.

Otwarte okno zaniepokoiło go tak samo jak mnie. Scholle poprosił, żeby wysłać w ten rejon radiowóz, który mógłby wezwać w razie potrzeby, jednocześnie cofnął ramię, pozbawiając mnie oparcia, i teraz musiałem trzymać się poręczy schodów prowadzących do wejścia.

Do diabła, pomyślałem, i teraz nie było już wątpliwości co do przyczyny moich łez. Tutaj pokazywałem Julianowi, jak się zawiązuje buty. Tutaj zawsze zakładałem łańcuch w jego rowerze, kiedy mu spadł.

Kiedy już uporałem się ze wspomnieniami, jakie naszły mnie na widok oblodzonych schodów, zadałem sobie pytanie, co się najpierw stanie, kiedy za kilka sekund wejdę do salonu.

Odwróciłem się, popatrzyłem ponad ogrodem na domy po drugiej stronie drogi, w których również nie paliło się światło, a które mimo to promieniały jaśniej niż dom za moimi plecami.

Było dokładnie tak, jak tłumaczyła mi kiedyś Alina: to nie oczami poznajemy świat. To nasze uczucia pozwalają nam go widzieć. A moje uczucia wyczuwały w tej chwili obecność śmierci.

- Poczekaj tu - usłyszałem głos Schollego, który przyświecając latarką, za pomocą wytrycha otwierał drzwi wejściowe. Kiedyś powziąłem niezłomne postanowienie, że zabezpieczę nasz dom przed włamaniami; wykorzystam kontakty w policji i wezwę kogoś, żeby usunął oczywiste słabe punkty w oknach i drzwiach. Ale ja, idiota, przez lata odkładałem to na później, ufając, że zło jest jak wygrana w lotto; spotyka tylko innych ludzi.

Jak bardzo człowiek może się mylić.

Ostatecznie wiedza, że żadne urządzenie alarmowe na tym świecie nie mogło powstrzymać unicestwienia mojej rodziny, nie była żadną pociechą. Ponieważ to ja osobiście otworzyłem Frankowi wszystkie zamki.

- Zapłaciłeś rachunki za prąd? - usłyszałem głos Schollego, który dobiegł z wnętrza domu.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, w sieni zapaliło się światło. Nicci zawsze była bardzo proekologiczna, na długo zanim stało się to powszechnym zwyczajem, wyposażyła dom w energooszczędne żarówki; matowe, zimne światło przedostawało się do mnie na zewnątrz.

Postawiłem stopę na pierwszym zaśnieżonym stopniu i chciałem podciągnąć się do góry przy poręczy, kiedy jakiś odgłos spowodował, że zastygłem w bezruchu.

Wielki Boże, co to jest?

- Scholle? Brak odpowiedzi.

Najpierw pomyślałem, że zrobiło mu się niedobrze, i zastanawiałem się, co takiego mogło wywołać tego rodzaju odgłosy. Potem dotarło do mnie, że te straszne gardłowe dźwięki nie pasowały do pojemności płuc Schollego.

Kiedy charczenie się wzmogło i śledczy wrzasnął z wysiłku, wiedziałem już, że musiał natknąć się na nieproszonego gościa.

Boże, co to ma znaczyć?

Odgłosy walki skończyły się głośnym łoskotem, który zabrzmiał, jakby ktoś przewrócił regał. Nastąpił gwałtowny huk, a spowodowany

przez niego wstrząs poczułem nawet tu, na zewnątrz. Potem rozległ się pełen bólu krzyk Schollego.

Następnie zdarzyło się coś jeszcze bardziej niepokojącego: zapanowała cisza. Nagle.

Tak nagle, jakby wewnątrz domu w jednej chwili zamarło wszelkie życie.

Rozdział 136

- Scholle?

Śmiertelna cisza. Dom znów sprawiał wrażenie opuszczonego jak w chwili naszego przybycia, jakby komisarz nigdy do niego nie wszedł.

Zaczerpnąłem zimnego powietrza i zacząłem szczerkać zębami.

Co tu się dzieje?

Naraz poczułem się tak wyczerpany, że najchętniej usiadłbym na zimnych schodach. Wizyta Aliny, oczy Tamary, jazda do Dorferblick - nie pierwszy raz się zastanawiałem, czy te dziwne zdarzenia z dzisiejszej nocy były realne. Być może znajdowałem się pod wpływem środków uspokajających i leżałem w szpitalu na oddziale intensywnej opieki medycznej, a mój mózg przetwarzał końskie dawki chemii, które lekarze aplikowali mi na moje bezładne koszmary.

I dlatego Scholle nie może ci odpowiedzieć. Ponieważ nigdy nie był blisko ciebie...

Co prawda zimne przejrzyste powietrze, którym oddychałem, przemawiało przeciwko halucynacji, w każdym razie nie potrafiłem sobie przypomnieć, abym kiedykolwiek miewał w snach tak realne odczucia - co prawda od jakiegoś czasu kapela rockowa już nie odbywała prób w mojej głowie, co oznaczało tylko dwie możliwości: albo mój sen był wynikiem działania otumaniających środków przeciwbólowych, albo podniecenie pomogło mi zastąpić pamięć o bolesnych doznaniach nowymi spektakularnymi wspomnieniami.

- Scholle, co się dzieje?

Krok po kroku wspinałem się powoli po niewysokich schodach, nie słysząc odpowiedzi, przy czym z każdym stopniem wzrastało zarówno moje zmęczenie, jak też uczucie niewidzialnego zagrożenia.

W środku było zadziwiająco ciepło, przynajmniej nie widziałem już oparów swojego oddechu. Za to mały płaszcz przeciwdeszczowy na wieszaku i rodzinne zdjęcia w ramkach na ścianach sprawiły, że przeszył mnie całkiem inny rodzaj zimna. Na jednym z portretów Julian i Nicci śmieją się do kamery, przez co ich spojrzenia stały się jeszcze trudniejsze do zniesienia. Gdzie się podziała kapela rockowa teraz, kiedy jest potrzebna? Dlaczego nie łomocze w głowie tak głośno, żebym nie był zdolny do jakichkolwiek odczuć? Zamiast tego, pomijając tępe rwanie za oczami, po raz pierwszy od tygodni nic mnie nie bolało i odzyskałem mowę.

- Scholle, do diabła, gdzie jesteś?

Prawa połowa ciała wciąż była jak z gumy, toteż mogłem posuwać się naprzód tylko małymi kroczkami, obok przewróconej komody, której zawartość leżała rozrzucona na podłodze. Przelazłem przez górę obrusów i stanąłem na szczątkach kasty zecerskiej, niemych świadkach walki, której uczestnicy jakby zniknęli z powierzchni ziemi. Chaos opanował przestrzeń od sieni do schodów. Drzwi do piwnicy były otwarte. Poczułem ucisk w żołądku i zignorowałem pokusę. Kiedyś już zszedłem do ciemnej piwnicy i nie zastałem w niej niczego oprócz śmierci. Drugi raz nie popełnię tego błędu.

- Scholle? - zawołałem, znów na próżno, i z bijącym sercem, zwisając na rękach, przesunąłem się do podnóża schodów prowadzących na piętro, przy których wciąż wisiała „lina” od kalendarza adwentowego, który Nicci zrobiła własnoręcznie. Spośród dwudziestu czterech różnej wielkości prezentów dla Juliana zawiniętych w ozdobny bożonarodzeniowy papier, które przywiązała do podpórek poręczy, wiele nie zostało jeszcze rozpakowanych.

Sięgnąłem po największą niespodziankę przewidzianą na wigilijny wieczór i próbowałem wymacać zawartość paczki.

To kiepski pomysł, Zorro, usłyszałem w myślach głos mojej martwej żony. Nie powinieneś tu być. Lepiej stąd znikaj. Jak Scholle...

Potrząsnąłem głową, aby w ten sposób sprowokować ból, który zagłuszy jej głos, i jak już mi się to udało, zapragnąłem, żeby powróciły znajome dźwięki, które dawniej wypełniały dom, gdy późną nocą wracałem po służbie i boso przemykałem po schodach na górę, jak najciszej, aby nikogo nie obudzić. Weszło mi w krew, żeby jeszcze na dole wsłuchiwać się w ciszę, wstrzymując oddech. Kiedy na dworze hulał wiatr, cieszyłem się, że moi najbliżsi przebywali w ciepłe, chronieni przez szczelne okna z podwójnymi szybami, otuleni w grube puchowe kołdry. Uwielbiałem te chwile, gdy brzęczenie lodówki, ciche piski starych rur centralnego ogrzewania i nieokreślone szmery obecne w każdym zamieszkanym budynku zlewały się w tęskną melancholijną melodię, która przypominała mi, że o wiele za dużo czasu zmarnowałem w życiu na mało ważne sprawy. Niestety, nigdy nie udało mi się z tym zerwać; nawet później, kiedy rozstaliśmy się z Nicci, ponieważ nie mogła już dłużej akceptować tego, że zawsze na pierwszym miejscu stawiałem pracę.

A dzisiaj?

Żadnych pisków, żadnych szmerów. Nic. Dzisiaj nie było słycać melodii domu, dzisiaj w mojej głowie pobrzmiwały jedynie duchy wspomnień.

Napięcie, które w tej chwili czułem, było elektryzujące. Moja skóra płonęła, jakby ktoś wbijał w nią niezliczone, mikroskopijnie małe igły. Ukłucia przypomniały mi Alinę i jej tatuaż na karku. Czy jeszcze ją kiedyś zobaczę? Czy kiedykolwiek jeszcze znajdę się tak blisko niej, że będę mógł pogłaskać końcami palców wygrawerowane litery? Fate - Luck, lekko wypukłe litery na skórze, które dane mi było pocałować tylko jeden jedyny raz. Wspomnienie owej nocy przegnało smutek i zastąpiło go wstydem. Nagle poczułem się winny, że spałem z Aliną, zaledwie kilka godzin przed tym, jak zamordowano moją żonę i wprowadzono Juliana. I wstydziłem się tego, że przez kilka sekund pomyślałem o kimś innym niż o swoim synu.

Zanim opuścił mnie smutek oraz strach i przestałem rozczulać się nad sobą, przywołałem we wspomnieniach twarz Franka. Nienawiść we mnie rozgorzała i zacisnąłem zęby. Próbowałem wciągnąć się na górę po poręczy schodów i postanowiłem, że z każdym stopniem będę coraz bardziej koncentrował się na tym, co ważne.

Na ważnych pytaniach!

Pierwszy stopień: Jak wprowadzono Alinę?

Drugi stopień: Czy Alina ma coś wspólnego z ofiarami Sukera?

Trzeci stopień: Jeśli tak, to co łączy ją z Tamarą?

Czwarty stopień: Dlaczego Tamara odmawia złożenia zeznań?

Piąty stopień: Czy ma to związek ze mną?

Szósty stopień: Albo z naszym domem, którego obraz nabazgrała na ścianach swojego pokoju?

Siódmy stopień: Albo z Julianem, który już kilka lat wcześniej narysował taki obrazek i obrazek ten wciąż wisi nad jego łóżkiem?

Na ósmym stopniu zatrzymałem się złany potem i z sercem bijącym jak młot, zanim zadałem sobie następne i w tej chwili być może najistotniejsze pytanie:

Co, u diabła, oznaczały pełne cierpienia dźwięki dochodzące z pokoju Juliana?

Rozdział 139

Oczywiście to nie było realne. Tak jak niektórzy pacjenci z uszkodzeniami mózgu nagle wyczuwają zapach pasztetowej albo spalonego plastiku, tak ja usłyszałem płaczące dziecko, którego w rzeczywistości nie było, a wrażenie zostało wywołane tylko krótkim spięciem w moich synapsach.

Ale w tym momencie to racjonalne wytłumaczenie nie było możliwe. Chociaż mój umysł już od dawna nie formułował myśli wierszem i kilka słów, które do tej pory wypowiedziałem, wyszło z moich ust bez fałszujących syczących głosek, byłem mniej więcej tak samo zdolny do trzeźwej samooceny jak lunatyk do pogawędki. W tych godzinach w moich działaniach kierowałem się wyłącznie instynktem. I tak jak matka nie może długo znosić krzyku głodnego niemowlęcia, tak ja nie mogłem znieść odgłosów, które docierały przez dziurkę od klucza.

- Julian? - zapytałem po chwili wahania, ponieważ sądziłem, że poznaję go po szlochaniu, wstrzymywaniu oddechu i urywanym płaczu, odgłosach, które następowały po sobie.

Ledwie wymówiłem imię syna, zrobiło się cicho.

Do tej pory dobrze pamiętam, jaki w tej sekundzie byłem wdzięczny, że halucynacja trwała tak krótko i tak łatwo znikła, kiedy znów usłyszałem jego głos.

- Tata?

Inaczej niż na Schwanenwerder mój wyimaginowany syn tym razem znajdował się dużo dalej ode mnie i dlatego w przerażający sposób wydawał się bardziej realny. O ile przedtem kołatał mi się w głowie, teraz słyszałem go tak, jakby dzieliła nas jedynie ściana. Jego głos był słaby, ledwie zrozumiały, jakby ktoś zasłonił mu ręką usta. Pokój Juliana znajdował się naprzeciwko schodów, na które właśnie wszedłem.

- Gdzie jesteś? - zapytałem głośno i przez krótką chwilę cieszyłem się, że Scholle zniknął i nie widział, jak rozmawiałem z duchem. Odpowiedź mojego syna zabrzmiała wręcz rozpaczliwie.

- Pomóż mi! - krzyknął zdławionym głosem. Nagle przestałem być pewny, gdzie mój umysł chciał umiejscowić ten okrzyk. Wydawało mi się, jakbym już nie słyszał Juliana przed, lecz nade mną.

Zastanawiałem się, czy zaryzykować i puścić słupek poręczy schodów, aby przejść ostatnie dziesięć metrów korytarza dzielących mnie od drzwi do pokoju, nie mając możliwości, żeby się czegoś złapać. Byłem przekonany, że od razu upadnę na dywan, ale wyciskające łyżę błaganie Juliana nie pozostawiło mi wyboru.

- Zrób to, co on mówi - krzyknął Julian. - Albo nas zabije! Nas?

Podczas gdy posuwałem się, jak na zwolnionym filmie, coraz bliżej pokoju, głos Juliana oddalał się z każdym słowem. Jak to możliwe?

Pokój za drzwiami był mały i kwadratowy i nie miał innych wejść ani możliwości wycofania się. W jaki sposób głos Juliana powoli zniknął z pomieszczenia?

Ponieważ on nie istnieje, ty idioto, sam udzieliłem sobie odpowiedzi. Twój syn już od dawna nie żyje.

A może głos wcale nie dochodził z pokoju, do którego wreszcie dotarłem. Położyłem dłoń na klamce, nacisnąłem ją i poczułem opór.

Kolejna zagadka. Do królestwa Juliana nie było klucza. Nicci zawsze głosiła filozofię otwartych drzwi, zamknięte pomieszczenia klóciły się z jej otwartą postawą życiową, wyrzuciła więc wszystkie klucze (ku wielkiemu ubolewaniu Juliana, który już od dawna chciał bronić swojej prywatności przed nadopiekuńczymi rodzicami). Dlatego stałem teraz w korytarzu na pierwszym piętrze i nie mogłem otworzyć drzwi.

- Julian? - zapytałem, a moja dłoń ześlizgnęła się z klamki.

Przeszedł mnie dreszcz, kiedy musnął ją powiew lodowatego powietrza, które przenikało przez dziurkę od klucza i przypomniało mi o otwartym na oścież oknie.

Ha, ha, ty bezmózgowcu, zaśmiałem się sam z siebie. Czy naprawdę wyobrażałeś sobie, że ktoś ci otworzy?

Nie było odpowiedzi.

To oczywiste, że nikt ci nie odpowie. Przecież tam nikogo nie ma.

Decyzja, aby uklęknąć, była nie tyle świadomym postanowieniem, ile raczej skutkiem całkowitej utraty sił. Musiałem odpocząć, a to było łatwiejsze tu, na dywanie, niż trwanie w pozycji stojącej. Nie klęczałem długo, co prawdopodobnie miało związek z tym, że lodowate powietrze wiało mi prosto w twarz, kiedy moja głowa znalazła się na wysokości dziurki od klucza. Mrugałem powiekami i chciałem się odwrócić, ale znów powstrzymał mnie od tego głos Juliana.

- Tato, pomóż mi - usłyszałem skrzeczenie, tym razem tak nieskończenie daleko, jakby mój wyimaginowany syn opuścił dom.

Sekundę później otworzyłem oczy i leżąc na łóżku, wpatrywałem się w sufit, a z nosa spływała mi cienka strużka krwi.

Rozdział 142

Sekundę?

Oczywiście było niemożliwe, aby w tak krótkim czasie udało mi się wyłamać drzwi, zapalić światło, zamknąć okno i położyć się na łóżku Juliana, zwłaszcza że musiałbym przeleźć przez przewróconą szafę na ubrania. Ale nie pamiętałem, abym stracił przytomność, ani nie miałem pojęcia, jak długo mógł trwać mój blekaut.

Uniosłem głowę, zatkałem nos i rozejrzałem się dookoła. Julian nie dbał przesadnie o porządek, lecz teraz jego pokój robił wrażenie, jakby został przetrząśnięty przez zgraję narkomanów szukających środków odurzających. Małe biurko stało wywrócone do góry nogami, szuflady były wyciągnięte, a ich zawartość (komiks, dwie płyty DVD, gra na playstation, stare bilety do kina, kalkomanie z piłkarzami i scyzoryk) leżała porozrzucana na podłodze. Regał ścienny jeszcze wisiał, ale przekrzywiony i trzymał się zaledwie na paru śrubach. Plastikowe pudełka na zabawki Juliana, które stały na najniższych półkach, znalazłem puste obok kaloryfera. Stan pokoju dokładnie odpowiadał stanowi mojego umysłu. Bezładny, nieuporządkowany, zniszczony.

Uniosłem głowę, przekręciłem się na bok i moje przypuszczenie się potwierdziło. Julian narysował nasz dom w szkole podstawowej jako pracę domową, a Nicci powiesiła obrazek na ścianie. Teraz już go tam nie było. Został zerwany. Zauważyłem resztki papieru pod pinezkami, które wciąż tkwiły w ścianie.

Usiadłem i spojrzałem na stolik nocny obok łóżka, który wydawał się jedynym przedmiotem w pokoju, jaki stał na swoim miejscu. Budzik Juliana leżał przewrócony na otwartym notatniku. Zatrzymał się tuż po wpół do dziesiątej.

Przecież to wszystko nie ma sensu, przyszło mi na myśl i musiałem podjąć walkę z falą zmęczenia, która chciała z powrotem zaciągnąć mnie do łóżka.

Głos Juliana, chaos w pokoju, brak rysunku - o co tu chodzi?

Ponownie uznałem swoją obecną sytuację za całkowicie nierealną, co prawdopodobnie zostało wzmocnione tym, że odkąd przestała lecieć mi krew z nosa, w uchu rozbrzmiewał szum płynącej wody.

Podczas wizyt Rotha jego głos docierał do mnie tylko fragmentarycznie, lecz wydawało mi się, że pamiętam, jak próbował mi

wytłumaczyć, że urojony ból może z minuty na minutę osłabnąć. Ale pominął łączące się z nim ataki schizofrenii.

Zważyłem w ręce budzik, nakręciłem go i słuchając tykania, zastanawiałem się, czy dźwięki upływającego czasu były bardziej realne niż głosy w mojej głowie.

Albo bardziej realne niż notatki w notesie na nocnym stoliku?

Uczucie żałoby przyszło szybciej niż uzmysłowienie sobie, na co właśnie przelotnie spojrziałem.

Julian zawsze trzymał pamiętnik pod kluczem. Teraz mój syn nie żył, a jego najskrytsze tajemnice leżały jak na dłoni na nocnym stoliku, co było dla mnie - jak wszystko tu w domu - niewłaściwe.

Wziąłem do ręki dziennik z drewnianym grzbietem i drżącymi palcami pogładziłem wpis, który mój syn zrobił w dniu swojego porwania:

Cool, dzisiaj są moje urodziny. Cieszę się na spotkanie z tatą. Tata chce mi dać jakiś wyjątkowy prezent. Mam nadzieję, że będzie to zegarek. Taaak bardzo chciałbym go dostać. Wczoraj mama znów długo płakała. Ponieważ byłem chory, miałem tę paskudną gorączką, która nie chce się ode mnie odczepić. Ale sądzę, że znów była wściekła na tatę. Myśli, że tata znów spóźni się na moje urodziny jak rok temu. Ale ja wiem, że na pewno przyjedzie. W środku nocy rozmawialiśmy przez telefon, przyrzekł mi. A kiedy tata mi coś obieca, to dotrzymuje słowa. Muszę kończyć. Po przyjscia taty mama chce bawić się ze mną w chowanego. Już woła mnie na dół. Dokończą potem...

Potem...

Nie wycierałem łez, które kapały mi z czubka nosa na dziecięce pismo.

Świadomość, że już nie istniało żadne potem, była nie do zniesienia. Jediną rzeczą, która powstrzymywała mnie od tego, aby w wybuchu wścieklej rozpaczki porwać pamiętnik na strzępy, był respekt dla ostatnich słów mojego syna. Oraz brak siły w drżących palcach. Dalej przewracałem kartki. Ponownie zatrzymałem się na przedostatnim wpisie, niewątpliwie sporządzonym niezgrabnym pismem Juliana.

Wczoraj znów go spotkałem. Trochę się go bałem, ale tata zna go z pracy i dlatego się tym nie przejąłem. W ogóle jest bardzo miły. Powiedział mi, dlaczego tata ciągle tak dużo pracuje. Razem szukają złego człowieka. Coś o oczach i kompletnie zmarnowanej okazji. W

każdym razie powiedział mi, że nie muszę się bać, ponieważ on mnie ochroni i takie tam. Muszę tylko do niego zadzwonić, a on ukryje mnie przed złym...

Nie wiem, co by się stało, gdybym tego nie zrobił. Gdybym dalej nie przewracał kartek, lecz zamknął dziennik, z powrotem położył na nocnym stoliku i poczekał. Ale prawdopodobnie nie zmieniłoby to straszliwej kolejności wypadków.

Gdyby, gdyby, idziemy na grzyby, przeleciał mi przez głowę pusty frazes mojej naczelnicy, którego chętnie używała, kiedy ktoś opowiadał jej, jaką miałby świetną historię, gdyby nie przytrafiła mu się taka albo inna awaria.

A czy ja mógłbym zmienić los, gdybym nie wpadł na luźną stronę z zaszyfrowanym wpisem?

TKAN NIE FOK

Trzy słowa napisane drukowanymi literami w poprzek prawie pustej podwójnej strony

Trzy słowa, które tak samo nie trzymały się kupy jak ciąg cyfr, które mój syn nabazgrał poniżej. I dlaczego dwa razy je podkreślił.

W tej chwili nie zastanawiałem się nad tym, tylko byłem zadowolony, że w szufladzie nocnego stolika znalazłem jego komórkę. I nawet nie zdziwiło mnie, że była w jednej czwartej naładowana. Najważniejsze, że mogłem wybrać numer zapisany na kartce, którą trzymałem w ręku.

TUAN NIE FOK

Dalej był numer opatrzony dodatkowym komentarzem:

DZWONIĆ TYLKO W NAGŁEJ POTRZEBIE!!!

Zabrzmiały dwa szybko następujące po sobie dzwonki, potem zatrzeszczało na linii. Rozpoznałem rozmówcę po oddechu. Zanim usłyszałem pierwsze słowo, już wiedziałem, do kogo się dodzwoniłem.

- Frank?

- Cześć, Zorbach - powiedział kolekcjoner oczu. - Co za niespodzianka. Myślałem, że nie żyjesz.

Rozdział 145

- Gdzie jest mój syn? - zapytałem i nienawidziłem sam siebie za nadzieję, którą usłyszałem we własnym głosie. Zaciśnąłem dłoń wokół telefonu tak mocno, że aż zatrzeszczało. - Co z nim zrobiłeś?

- Nigdy się nie dowiesz. Tak żeśmy uzgodnili, pamiętasz?

- Wiesz, że cię zabiję.

Frank zaśmiał się rozbawiony. Sprawiał wrażenie, jakby był na prochach.

- Dlaczego ciągle jesteś taki wściekły na mnie? Przecież jestem jedynym spośród tych, którzy dotrzymują umów. Kto kłamał i udawał, że nie żyje?

Albo szybko wyrzucał z siebie słowa, albo robił długą przerwę pomiędzy zdaniami, a wyglądało to tak, jakby się zastanawiał, co powiedzieć dalej. Wydawało mi się, że w jego głosie słyszę załamanie psychiczne.

- Do diabła, nawet zorganizowałeś swój własny pogrzeb. No cóż, pewnie myślisz, że jestem głupi? Już wcześniej skapowałem, co jest grane. Otwarcie pustej trumny tylko to potwierdziło.

- Gdzie jesteś? - zapytałem i popatrzyłem na drzwi, które, jak teraz zauważyłem, nie były wcześniej zamknięte, lecz jedynie zablokowane przez przewróconą szafę. Czy naprawdę miałem tyle siły, żeby uchylić je bez niczyjej pomocy, wyłącznie z użyciem własnego ciężaru?

Albo, przez głowę przemknęła mi budząca strach myśl, ktoś mi pomógł i położył mnie na łóżku, kiedy byłem nieprzytomny?

- W jakiej dziurze się zaszyłeś? - powtórzyłem pytanie. - Przestań ukrywać się za telefonem. Chcę cię zobaczyć. - Szum wody wydał mi się jeszcze głośniejszy i jak na jedną z moich błędnych akustycznych interpretacji trwało to trochę za długo.

- Po kolei - zaśmiał się Frank. - Po pierwsze, jest tu ktoś, kto chce z tobą porozmawiać.

W telefonie rozległy się dziwne odgłosy, jakby za chwilę połączenie miało się przerwać, potem usłyszałem kaszlącego mężczyznę.

- Niech pan mówi do mikrofonu, bo inaczej pana nie zrozumie - powiedział Frank tonem, który odnosi skutek tylko u nierozgarniętego małego dziecka. Kaszel przeszedł w ciężki oddech i dopiero po męcząco długiej chwili usłyszałem pierwsze słowo osoby, której Frank przekazał telefon.

- Pułapka...

Zamknąłem oczy

Do diabła, to niemożliwe.

- Przykro mi, Zorbach. On wciągnął nas w pułapkę.

- Scholle, gdzie jesteś? - zapytałem, ale Frank już wyrwał mu telefon.

- Ach, jak się cieszę, że wreszcie wszyscy znów jesteśmy w grze.

- To nie jest gra, ty draniu. - Przeczłołem się przez łóżko bliżej drzwi.

- No i co? Myślę, że to zdumiewające, jak szybko wszyscy wróciliśmy na szachownicę. Ty, ja, Scholle i tym razem bez uciążliwej Aliny, która zawsze wszystko wie lepiej.

- Mylisz się, Frank. Gra jest skończona. Zabrałeś mi wszystko, co kochałem.

Teraz już nie było wątpliwości. Szum nie dochodził z mojego ucha, lecz z korytarza, z mojego pokoju. Popełniłem błąd, obciążając prawą nogę, kiedy chciałem wstać z łóżka, i ją skręciłem.

- Już do niczego nie możesz mnie zmusić, Frank.

- Och, ja to widzę inaczej. Wiem, jak w tej chwili trudno ci chodzić, ale czy mógłbyś pójść do łazienki?

Wstałem, pomagając sobie kijem hokejowym Juliana, który wyciągnąłem spod łóżka, lecz ostatnie słowa Franka mnie sparaliżowały

Do łazienki?

- Do diabła, skąd wiesz, w której części domu się znajduję?

Cisza, po chwili Frank powiedział monotonna:

- Nie wiem, Zorbach. Ale wiem, gdzie cię nie ma. W łazience właśnie przelewa się woda w wannie, a ponieważ nie słyszę jej szumu, musisz być gdzie indziej.

Potem znów się roześmiał, w jego śmiechu ponownie dała się słyszeć narastająca histeryczna nuta.

- Cały Zorbach. Wciąż ten sam zawodowiec, który wszystko sprawdza. Człowiek, który zawsze wie, kiedy ma na haczyku dużą rybę, a małe płotki puszcza wolno, mam rację?

- Nie wiem, do czego zmierzasz - odparłem, starając się utrzymać ciężar ciała na kijku hokejowym, za pomocą którego próbowałem dokuśtykać do drzwi.

- Chcę, żebyś wreszcie poszedł do tej cholernej łazienki! - wrzasnął Frank. Po raz pierwszy odkąd go znałem, stracił panowanie nad sobą i nie wiedziałem, czy był to dobry, czy zły znak. W każdym razie Frank znajdował się w dużym stresie. I gdy mnie adrenalina pomagała w trzeźwym myśleniu (a nawet w formułowaniu całych zdań), wydawało się, że morderca mojej żony coraz bardziej się plątał.

- Frank? - zapytałem, kiedy przez dłuższy czas nic nie mówił i już się bałem, że się rozłączył.

- Jesteś tam? - odpowiedział. - Wciąż nie słyszę szumu wody.

Ale ja słyszę, ty chory psychopato. Z wielkim trudem, zlany potem, dotarłem do drzwi i popatrzyłem na korytarz. Miejsce, w którym się znajdowałem, i ostatnie drzwi na piętrze dzielił dystans, w mojej opinii równy długości maratonu.

- Nie dam rady - wysapałem do słuchawki, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Daj spokój, Zorbach. Nie z takimi rzeczami dawałeś sobie radę. Teraz też sobie poradzisz, uwierz mi. - Śmiech Franka zabrzmiał jak czkawka. - A może nie chcesz zobaczyć, co leży w twojej wannie?

Rozdział 148

Alina Gregoriev

Zgasił światło. Celowo. Ten perwersyjny drań wiedział, jakie było dla niej ważne rozróżnianie jasności od ciemności, jedynie to dostrzegały jej niewidzące oczy. Kiedy Suker udawał, że chce ją zgwałcić, przepaliła się lampa nad jej głową. Jej promienie dawały nie tylko mocne światło, ale także ciepło, dlatego ich brak był dla niej podwójnie przykry. Światło to życie. Ciemność to śmierć.

Leżała naga w ogarniającej wszystko ciemności i czuła, jak chłód powoli pełźnie od palców u nóg coraz wyżej. Zdrętwiały jej stopy. Przynajmniej nie miała już metalowych klamer między powiekami. Suker usunął je, kiedy dokładnie zbadał jej oczy i na koniec zakroplił je jakimś palącym roztworem.

Nigdy wcześniej nie czuła się tak osamotniona jak w tym momencie, choć wiedziała, że nie była jedyną osobą w tym pomieszczeniu.

- Kim jesteś? - usłyszała głos młodej kobiety, którą obudziła tuż przed tym, jak Suker na nieokreślony czas zostawił je same z komentarzem: „Teraz dam paniom okazję do przeprowadzenia krótkiej rozmowy, zanim zacznie się operacja”.

Kobieta znajdowała się mniej więcej metr na prawo od niej. Kiedy oddychała, słyhać było brzęczenie i brzmiało to, jakby powstrzymywała kaszel wywołany przez podrażnienie gardła. Przez jakiś czas Alina zastanawiała się, czy powinna jej odpowiedzieć. Myślała o ucieczce i dlatego jej wszystkie zmysły były zaprogramowane na obronę przed niebezpieczeństwem. Dopóki nie wiedziała, jak się oswobodzić z niewoli, nieznani ludzie stanowili zagrożenie, nawet jeśli ich głos brzmiał, jakby chorowali na bronchit i mieli niewiele więcej niż szesnaście lat. A jednak mogła z nią porozmawiać, bo co miała do stracenia? W najgorszym razie naruszyłaby zasady ustanowione przez szaleńca, który na pewno filmował ją kamerą noktowizyjną, aby napawać się jej bezbronną nagością.

- Nazywam się Alina Gregoriev - zaczęła rzeczowo. Tak jak biegacz zwraca uwagę na oddech, tak Alina koncentrowała się na każdym pojedynczym słowie. Najchętniej również szlochałaby jak

kobieta obok niej. Ale jeśli ten łajdak ją słyszał, nie chciała okazać mu nawet cienia strachu, który stawał się nie do zniesienia.

- A ty jak się nazywasz?

- Ja, ja... - Kobieta zrobiła przerwę, jakby nie mogła przypomnieć sobie swojego imienia. Potem powiedziała: - Nicola - i zaczęła płakać.

Nicola. Nicola? Nicola, powtarzała w duchu Alina, za każdym razem inaczej akcentując to słowo, raz pytająco, raz wąpiąco. Nie знаła nikogo o tym imieniu, ale była pewna, że niedawno gdzieś je słyszała.

- Przepraszam, ja tylko tak, ja... - Wydawało się, że Nicola znów chciała zacząć. - Od pół roku z nikim nie rozmawiałam.

- Już tak długo cię przetrzymuje?

- Tak.

Alina odwróciła głowę w stronę, skąd dochodził głos.

- Dlaczego?

Nie zdobyła się na to, aby sformułować pytanie, które chodziło jej po głowie: Po co tak długo cię tu trzyma? Inne ofiary porywał tylko na kilka dni, dręczył je i puszczał wolno.

- Nie mam pojęcia. Uwielbia moje oczy.

Nie rozumiem tego, pomyślała Alina. Ale prawdopodobnie nie ma tu nic, co mój zdrowy rozum mógłby pojąć.

- Ciągłe przychodzi, żeby na nie patrzeć. Mówi, że są dla niego wyjątkowe.

Chore. Po prostu są chore.

Dawniej lubiła naśmiewać się z psychotrillerów, które tak podobały się Johnowi i które przeważnie zawierały racjonalne wytłumaczenie pozornie niepojętego zła. Z jakiegoś powodu ludzie łatwiej akceptują obecność pedofila w otoczeniu, jeśli w młodości przeżył traumatyczne wydarzenie, niż godzą się z panującym przekonaniem, że tacy odrażający osobnicy są po prostu źli z natury. Nie chcą przyjąć do wiadomości, że rozkosz spowodowana zadawaniem tortur i mordowaniem u takiej kreatury jest wrodzona, podobnie jak kolor oczu albo praworęczność.

Ludzie zawsze doszukują się oddziaływania na siebie przyczyny i skutku, nawet jeśli dotyczy to nieszczęśliwych zrządeń losu i chorób. Zakrzepica? - Nic dziwnego, jeśli nie uprawia się sportu. Zgwałcona? - Musiało do tego dojść, skoro tak się ubierała. Uprawdzona i

przywiązana do stołu operacyjnego okulisty psychopaty? - No jasne, przecież on uwielbia twoje oczy!

- Czy wiesz, o co mu chodzi? - zapytała Alina. Usłyszała brzęk łańcucha, przypuszczalnie towarzysząca niedoli bezradnie uniosła przywiązane ręce.

- Słuchaj, Nicola. Jeśli mam cię zrozumieć, musisz odpowiadać słowami. Jestem niewidoma.

- Och, tak mi przykro - powiedziała Nicola ze współczuciem w głosie, jakby ślepotą była dużo gorsza od niewoli, w której się znalazły.
- Teraz rozumiem.

- Co rozumiesz?

- Co powiedział Suker, kiedy się obudziłam.

„No i widzi pani, co pani zrobiła. Pani krzyk obudził dawczynię narządów, których za chwilę będę potrzebował do pani operacji”.

Nic dziwnego, że Nicola znowu zaczęła płakać.

Alina zastanawiała się, co mogłoby uspokoić młodą kobietę, lecz sama jeszcze nie wpadła na żaden pomysł, jak opanować własną panikę. Jeśli Suker spełni groźby, to rogówkę Nicoli przeszczepi do jej oczu. Nie było słów, które mogłyby uczynić ten przerażający scenariusz bardziej znośnym. Alina wiedziała to. I Nicola, której spazmy przeszły właśnie w atak kaszlu, też to wiedziała.

- Nicola? Posłuchaj mnie. Jakiego przedmiotu w szkole najbardziej nienawidziłaś? - Alina zapytała nie z ciekawości, ale żeby odwrócić uwagę Nicoli niespodziewanym pytaniem.

- Co? - zapytała zduszonym głosem Nicola. Kilka razy zakasłała, lecz w rzeczywistości była zbita z tropu.

- W szkole. Jakiego przedmiotu...

- Tak, tak, już rozumiem, ale co to ma do rzeczy? Nienawidzę wszystkich przedmiotów.

Nienawidzę, pomyślała Alina. Ona mówi w czasie teraźniejszym.

- Ile ty masz lat?

- Szesnaście.

Nicola. Szesnaście lat.

Naraz Alina usłyszała płacz, choć tym razem było to tylko wspomnienie, i teraz wiedziała już, z kim rozmawia.

- Nicola Strom?

- Skąd... skąd znasz...?

Dziewczyna chwytła powietrze i Alina poczuła delikatny nieprzyjemny zapach. Niebudzącą wåtpliwoŹci woń strachu. Załozyla, że zapach ten cały czas wisiał w pomieszczeniu i był przykryty jej własnym zimnym potem. Teraz ulatniał się z Nicoli wszystkimi porami, odkąd padło jej nazwisko.

- Spotkałam się z twoją matką - wyjaśniła Alina. - Szuka cię. Przyszła do mnie.

- Kłamiesz.

- Dlaczego miałabym to robić?

- Nie mam pojęcia. Może jesteś w znowie z tym łajdakiem?

- Nie, nie jestem. Przestań chrzanić, boję się tak samo jak ty.

- W takim razie nie opowiadaj bzdur. Moja matka nigdy by mnie nie szukała. Nawet by nie mogła. Jest pieprzoną pijaczką, tankuje od rana. Już prędzej ojciec, ale on na pewno się cieszy, że zniknęłam. Przynajmniej nie powiem nikomu, jak mnie obmacywał, odkąd się do niego przeprowadziłam. - Nicola zakasłała pogardliwie. - To tyle, jeśli chodzi o obraz kochającej rodziny, która się troszczy o małą Nicolę.

Alina westchnęła.

- Posłuchaj, nie znam twojego ojca.

- Tym lepiej dla ciebie.

- A twoja matka być może nie jest całkiem zdrowa, ale teraz porusza niebo i ziemię, żeby cię znaleźć; zresztą w przeciwieństwie do policji, która sądzi, że po prostu uciekłaś z domu. Nie traćmy jednak czasu. Suker może wrócić w każdej chwili i chciałabym się przygotować.

- Przygotować? Do czego?

- Do naszej ucieczki. Dlatego muszę wiedzieć, gdzie jesteśmy.

- Ja też tego nie wiem.

- Nicola, weź się w garść. Ja nie mam oczu, więc potrzebuję twoich. Opisz mi to pomieszczenie.

- Jest dość ciemno.

- Co widziałaś, zanim zgasło światło?

- Nic. Byłam uŹpiona. Śnił mi się klip Oomphów!

- Oomph? Co to jest?

- Zespół. Kobieto, ile ty masz lat?

- Dwadzieścia sześć. Gdzie byłaś, zanim cię uŹpił?

- W mojej celi.

- W celi? Gdzie ona jest?
- Skąd mam wiedzieć. Dziewczyna znów musiała zakaszczać.
- Nicola, skoncentruj się. Czy w twojej celi jest okno?
- Nie, już nie.
- Co znaczy, już nie?

- Kiedyś miałam okno. Małe, widoczne z klatki, w której nas trzymali. Szyba była zaklejona, ale wiesz co, w ciągu dnia trochę prześwitywało w lewym górnym rogu. To dawało mi nadzieję. Jak długo ten mały punkt rano świecił, wiedziałam, że na zewnątrz jest świat. Lubiłam klatkę, była lepsza od ciasnej celi tutaj. Tutaj zawsze wszystko jest ciemne i zimne. Cholera, dopiero odkąd tu jestem, nabawiłam się tego parszywego przeziębienia.

- A więc Suker przeniósł cię w inne miejsce? - zapytała Alina zmieszana.

- Tak. Uśpił mnie, żeby mnie przenieść. To było mniej więcej miesiąc temu. Nie wiem dokładnie, ile czasu upłynęło od tamtej pory. Wcześniej w klatce prowadziłam rodzaj kalendarza, no wiesz, zawsze kiedy wschodziło i zachodziło słońce, rysowałam kreskę. Tutaj to niemożliwe. Tutaj nie ma niczego prócz tego szumu.

- Jakiego szumu? Nic nie słyszę.

- W tej chwili rzeczywiście nic nie słychać. Ale słychać go w celach, w ścianach. Kiedy przykładasz głowę do betonu. Przybiera na sile i cichnie, wzmaga się i czasem znika, ale przeważnie dochodzi zewsząd. Jakby przez budynek płynął wodospad.

- Okay, to dobrze. To bardzo dobrze - powiedziała Alina, chociaż tak naprawdę nie wiedziała, jak te informacje mogłaby wykorzystać.

- Nicola, czy coś tu rozpoznajesz?

- Tutaj?

- Tak, tutaj. Tu, gdzie teraz jesteśmy. Czy coś widzisz?

- Niewiele. Moje oczy powoli przyzwyczyły się do ciemności.

- Proszę, opisz mi to pomieszczenie.

Alina znów usłyszała metaliczne brzęczenie. Pomyślała, że Nicola próbowała przekręcić się na stole i została powstrzymana przez więzy.

- To nie jest pomieszczenie.

- Jak to? Co to znaczy? To niemożliwe, żebyśmy byli na dworze.

- Nie, oczywiście, że nie jesteśmy na dworze - powiedziała Nicola i pogardliwie położyła akcent na ostatnich dwóch słowach. - Już nigdy nie wyjdziemy na dwór. - Z wściekłością szarpnęła więzami.

- Już dobrze, uspokój się!

- Uspokoić się? Dobrze ci mówić, stara. Jesteś tu dopiero od kilku godzin.

- A ty od miesiący, wiem. I chcę to zakończyć, ale powtarzam: bez ciebie mi się nie uda, okay?

Usłyszała, jak Nicola pociągnęła nosem, i uznała jej milczenie za niemą zgodę.

- No dobrze, nie marnujmy więcej czasu. Skoro to nie jest pomieszczenie, to gdzie jesteśmy?

- Nie mam pojęcia, to wygląda raczej jak namiot. To brzmi już bardziej sensownie.

- Wszędzie dookoła wiszą grube, półprzezroczyste plandeki.

- Och, nie - wymsknęło się Alinie.

- Co mówisz?

- Nic, nic. To tylko skurcz - skłamała Alina, ponieważ nie chciała powiedzieć towarzyszce niedoli, że z plandek Suker zrobił prowizoryczny namiot operacyjny, aby stworzyć możliwie najbardziej sterylne warunki. - Jak nas przykuł? - szybko zapytała i musiała przeczekać gwałtowny atak kaszlu Nicoli, zanim otrzymała odpowiedź.

- W tych metalowych stołach są otwory. Przeciągnął przez nie łańcuchy, które przymocował do obejm na kostkach.

- A ręce? Ty też jesteś cała związana?

- Tak. Ale moje ręce leżą wzdłuż ciała, przy biodrach. Nie mogę nimi poruszyć nawet o centymetr.

- A moje?

- Twoje są związane za głową, nie czujesz tego?

- Czuję. Chcę wiedzieć, jak są przymocowane. Albo do czego.

- Aha, jeśli dobrze widzę, są w kajdankach. Za twoją głową biegnie łańcuch od kajdanek do ściany. Nie mam pojęcia, czy jest do niej przykręcony, czy jakoś inaczej przyczepiony. Tu jest za ciemno, nie widzę dobrze. Poza tym już sobie prawie skręciłam kark, żeby się do ciebie odwrócić.

Ostatnie słowa, jakie wyszły z ust szesnastolatki, która wyrażała się zadziwiająco płynnie, jak na kogoś, kto od miesiący nie miał kontaktu ze światem zewnętrznym, były pełne wściekłości i przekory.

- A poza tym jest tu jeszcze coś charakterystycznego?

- Co masz na myśli? Tę opasłą lampę dentystyczną nad nami? Zamek błyskawiczny w plandecie z przodu? Wygląda na to, że służy do otwierania namiotu.

Śluza, pomyślała Alina. Przez nią Suker wejdzie do swojej sali operacyjnej.

- A co z tym wejściem? Jest daleko?

- Dwa, trzy metry od nas. Jak sądzę. - Znów zakasłała.

- Czy suwak jest tylko od środka, czy również od zewnątrz?

- Upadłaś na głowę? Skąd mam wiedzieć?

- Nicola, proszę. Weź się w garść. Chcesz się stąd wydostać?

- No pewnie, że chcę. Ale się nie da. Zdechniemy tutaj. - Załkała, jakby ktoś uderzył ją w brzuch. Alina czuła, że jeszcze trochę i dziewczyna dostanie ataku hysterii.

- Hej, hej. Uspokój się. Nicola, posłuchaj mnie!

- Co? - krzyknęła dziewczyna, płacząc.

- Rozczulanie się nad sobą nic nie pomoże.

- Głupie frazesy też nie, ty zasrana krowo. Nie wierzysz, że próbowałam już wszystkiego, żeby się stąd wydostać? Ale to się nie uda, ponieważ jesteśmy cały czas przywiązane. Podczas snu, podczas jedzenia, kiedy musimy myć się w tym wiadrze na siki i kiedy robimy kupę, rozumiesz?

- Tak, rozumiem. Ale możemy ruszać głową. Przynajmniej ona nie jest unieruchomiona łańcuchem. - Przynajmniej jeszcze nie. To stanie się dopiero przy podawaniu narkozy. - A więc użyj jedynej broni, która ci jeszcze została, twojego umysłu...

Boże, teraz mówię jak bojowniczką o wolność.

- ...i wymień każdy detal, każdy szczegół. Nieważne, czy sądzisz, że jest istotny czy nie.

Nicola jęknęła.

- Przecież mówię, że tu nic nie ma. Leżymy na przeklętych stołach ze stali szlachetnej przykrytych cienką powłoką. Stoły są podobne do tego, na jakim mój weterynarz uśpił Freddy'ego.

- Czy mają kółka?

- Nie wiem. - Alina znów usłyszała brzęk łańcuchów Nicoli. - Tak, na to wygląda. I jest tam dźwignia. Myślę, że nasze stoły można regulować w pionie.

- A jak daleko od siebie leżymy?

- Nie jestem geodetą. Dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści centymetrów. Dlaczego to dla ciebie takie ważne? Pomiedzy nami stoi stół na kółkach z kilkoma szufladami, jak w szpitalu, jeśli ci to pomoże. Ale nic na nim nie ma.

Na razie.

Niedługo Suker rozłoży na nim narzędzia. Przede wszystkim skalpel, nazwany jego imieniem.

- Poczekaj. - Alina usłyszała nagle głos Nicoli.

- Co?

- Wydaje mi się, że jest coś jeszcze. Nie jestem pewna.

- Co? Co widzisz?

- Wydaje mi się, że tam po drugiej stronie jest umywalka. W której Suker umyje ręce przed zabiegiem.

- Nicola, to „tam po drugiej stronie” kompletnie nic mi nie mówi. Nie zapominaj, że jestem niewidoma.

- Ach tak. Sorry. Mam na myśli, za plandeką.

- Za plandeką?

- Tak, no przecież mówię. Zasłony są półprzezroczyste, o ile widzę w tym półmroku. Jestem prawie pewna. Na zewnątrz jest umywalka. A obok niej przycisk w ścianie.

- Jaki przycisk?

- Nie mam pojęcia, zresztą mogę się mylić. To wygląda jak przycisk przeciwpożarowy.

Przycisk przeciwpożarowy?

- Do diabła, co to jest?

- Kobieto, taka czerwona część za szkłem, jak u nas w szkole. Przecież wiesz, o czym mówię.

- Alarm pożarowy?

- Tak.

Alinę jakby przeszedł prąd.

Czy to możliwe? Czyżby Suker popełnił błąd podczas urządzania sali operacyjnej? A może założył, że kobietom nigdy nie uda się zbliżyć do przycisku alarmowego, o ile ten w ogóle działał.

„Czy widzisz coś jeszcze za plandeką?" - chciała dowiedzieć się Alina, ale w tym momencie przyszło jej do głowy o wiele bardziej palące pytanie, które już dawno powinna była zadać, bo od odpowiedzi na nie z całą pewnością zależało, czy wydostaną się stąd żywe.

- Mówiłaś coś o klatce, w której oni was trzymali, zanim cię przenieśli.

- Aha.

- Co miałaś na myśli? Czy Suker nie pracuje sam? - zapytała Alina, ale było już za późno.

Usłyszała, jak ktoś podciągnął do góry suwak zamka błyskawicznego. Okulista wrócił.

Rozdział 157

Alexander Zorbach

Przekroczyłem swój martwy punkt. Nie miało to związku ze zmęczeniem, które otulało mnie jak gruby kokon, odkąd odzyskałem przytomność. To był martwy punkt świadomości bólu, którą zostawiłem za sobą. Kiedy wlokłem się przez korytarz, mój umysł wypełniła dawno już zapomniana, jak sądziłem, jasność, jakby spowodowana grozą, której doświadczyłem; środek znieczulający, którego działanie polegało na uwolnieniu od cierpienia poprzez celowe dawkowanie momentów szokowych. Ból głowy zniknął i nawet prawa połowa ciała znów stała mi się bardziej posłuszna, chociaż w drodze do miejsca, skąd dochodził szum wody, od czasu do czasu uginały się pode mną nogi. Niestety strach, który mnie ogarniał, łagodził jedynie moje cierpienie fizyczne, rany psychiczne pozostawiał nietknięte. Tak więc z jednej strony trzeźwo myśląc, a z drugiej strony pełen wściekłości zmieszanej ze strachem gwałtownie otworzyłem drzwi łazienki, do której kazał mi pójść Frank:

Kiedy wszedłem do środka, nic nie mogłem zobaczyć. Para z gorącej wody zmieniła łazienkę w gęsty mglisty krajobraz, w którym z trudem mi się oddychało. Machałem rękami, jakbym chciał odpędzić uciążliwe owady, i stopniowo kurtyna przed moimi oczami się uniosła. Czego pożałowałem, kiedy zobaczyłem wannę.

Dobry Boże, spraw, żebym się mylił...

Czułem się jak postać z komedii, która stawia krok nad przepaścią i wisząc w powietrzu, zastanawia się, jaki błąd popełniła, zanim straciła grunt pod nogami. Ale niestety przede mną nie rozwarł się krater, w który mógłbym wpaść.

Nie pozwól mi ulec optycznemu złudzeniu. Dobry Boże, spraw, aby mój przedziurawiony mózg spletał mi figla...

Nasza wanna była ogromnym monstrum na mosiężnych nogach, zaprojektowanym na wzór antyczny, które królowało na środku pomieszczenia. Była dostatecznie duża dla dwu osób, które podczas kąpieli mogły dotykać się tylko wtedy, kiedy tego chciały. Ponieważ Nicci stanowczo zażądała baterii oszczędzającej wodę, musiało upłynąć dobre pół godziny, aby „całkowicie napełnić basen”, jak żartobliwie określał to Julian. W tej chwili brakowało około dwóch centymetrów, żeby woda się przelała. Dwa centymetry, które decydowały o życiu i

śmierci. Dopadłem do wanny i szarpnąłem łańcuchami, którymi w środku było przywiązane maltretowane stworzenie. Frank wykonał swoją robotę. TomTom nie miał szansy wyskoczyć z wanny ani utrzymać pyska nad jej krawędzią. Sprawiał wrażenie nieobecnego duchem, prawdopodobnie był pod wpływem środków uspokajających, co tłumaczyło, dlaczego nie skomlał ani nie szczekał.

Uprząż, którą nosił na sobie pies przewodnik, żeby Alina mogła prowadzić go sztywno przy nodze, stała się zgubą biednego zwierzęcia. Było w niej dużo oczek i szlufek, przez które kolekcjoner oczu przeciągnął cienkie łańcuchy, aby całkowicie unieruchomić TomToma. Pies był przywiązany do armatury wanny za szyję, tułów i zad. Dolna część pyska tkwiła już w wodzie. Golden retriever miał za małą swobodę ruchu, żeby unieść łeb. Wanna, amerykański model bez przelewu, napełniała się powoli, ale nieprzerwanie. Jeszcze minuta, może dwie, i TomTom się zanurzy, a ja nie mogłem nic zrobić, ponieważ pokręta baterii zostały odkręcone, tak samo jak dźwignia służąca do otwierania odpływu.

- Widzisz, nasza gra toczy się dalej - usłyszałem w telefonie głos zadowolonego z siebie Franka. Przycisnąłem słuchawkę do ucha ramieniem, aby obiema rękami móc trzymać nad wodą głowę TomToma. Pies drżał na całym ciele, poza tym sprawiał wrażenie zupełnie apatycznego.

- Czego chcesz ode mnie?

- Decyzji. Nie kapujesz? W tym wszystkim chodzi o decyzje.

Dlaczego ja? - chciałem krzyknąć. - Dlaczego do swoich tortur wybrałeś właśnie mnie?

Kolekcjoner oczu zaprowadził mnie do ciemnej piwnicy i postawił przed wyborem: zabić chorą kobietę albo samemu umrzeć. Zażądał mojej śmierci za życie Juliana. I teraz też znalazłem się pod presją, znów musiałem decydować o życiu i śmierci.

TomTom, który do tej pory miał zamknięte oczy, otworzył je na chwilę i łagodnie polizał mnie po ręce. Był zmęczony i wydawało się, że znowu zamierza zapaść w sen. Nie za wcześnie, nie za późno, pomyślałem. Szalencie chciał, żeby pies utopił się dopiero w ostatnim możliwym momencie.

- A więc dokonaj wyboru - powiedział Frank.

- Jakiego wyboru?

Sprawdziłem, czy mogę odpiąć skórzaną obrozę, do której był przymocowany łańcuch na szyi, i natrafiłem na zamek szyfrowy pod krtanią TomToma. Pies, dysząc, otworzył pysk, ale natychmiast go zamknął, kiedy wdarła się do niego woda.

Trzynaście. Dziesięć. Siedemdziesiąt jeden. Przeleciała mi przez głowę kombinacja, którą Frank podał mi przed moim ostatnim śmiertelnym egzaminem.

- Kto ma żyć? - zapytał. - TomTom czy twój stary kumpel, komisarz?

W tle usłyszałem jęczenie Schollego. W tej samej chwili TomTom po raz pierwszy zaskomlał. Dźwięk był zduszony, ponieważ duża część łba już zanurzyła się w wodzie. Szalonym mruganiem daremnie próbował nie dopuścić, aby woda wlewała mu się do oczu. Ponad wodę wystawały już tylko nozdrza dużego włochatego nosa.

- Jak tylko powiesz, że mam zastrzelić gliniarza, podam ci szyfr, abyś mógł otworzyć zamek.

- Ty perwersyjna świnió. Zaśmiał się histerycznie.

- Albo zobaczysz, jak TomTom umiera. Nie. Nie zobaczę.

Położyłem telefon na podłodze, wsadziłem obie ręce do wanny, chociaż wiedziałem, że bez dźwigni nie zdołam otworzyć odpływu. Wsuwałem paznokcie między korek a emalię, ale wciąż się wysuwały.

Udało mi się spuścić trochę wody z wanny, żeby TomTom miał więcej luzu. Ale nie mogłem wiecznie trwać w tej pozycji i wypuszczać wodę, Frank nie pozwoliłby na to. Prawdopodobnie nie miałem nawet tyle czasu, aby wypróbować kombinację liczb. Mokrą ręką znów sięgnąłem po telefon.

- Zorbach? - usłyszałem głos Franka, który sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zakręconego niż wcześniej. Albo zażył dodatkowo jakiś środek pobudzający, albo raptownie osłabło działanie narkotyków w jego organizmie.

- Czego chcesz?

- Zdecyduj się, i to szybko.

- Dlaczego? Dlaczego mi to robisz?

Nie tylko w jego głosie było słyhać coraz większy obłęd, również zachowanie stało się niezrozumiałe.

- TomTom czy Scholle? - zapytał. Pies czy człowiek?

Pozornie łatwy wybór. Ale czym innym jest teoria, że życie człowieka stanowi większą wartość niż życie zwierzęcia, a czym innym postępowanie zgodne z tą teorią, zwłaszcza kiedy osobnik, którego należałoby uratować, jeszcze niedawno chciał mnie torturować, a zwierzę było największym skarbem, jaki Alina posiadała. Większość ludzi ma to szczęście, że nigdy nie znajdzie się w takiej sytuacji, dlatego na temat decyzji w stanach zagrożenia potrafią dyskutować tylko teoretycznie i z dalszej perspektywy

Łatwo jest krytykować z bezpiecznej pozycji, kiedy spędza się miło czas z przyjaciółmi przy piwie albo przy śniadaniu komentuje z żoną nagłówki niedzielnych gazet. Naturalnie nie bronilibyśmy się, gdyby w metrze napadła na nas banda młodocianych. A będąc pilotem samolotu, oczywiście spuścilibyśmy paliwo i nie zdecydowalibyśmy się na przymusowe lądowanie z pełnymi zbiornikami. Z płonącego samochodu bez wątplenia prędzej ratowalibyśmy dziecko niż starszego człowieka, który przecież swoje już przeżył.

Niestety tego rodzaju rozważania snujemy zawsze dopiero po czasie i stają się one jednoznaczne i przejrzyste dopiero wtedy, kiedy można pomyśleć o wszystkim w spokoju. Bo kiedy człowiek znajduje się w środku pola bitwy, jego mózg jest wyłączony. Człowiek przestaje myśleć, tylko działa. I ja też już dawno przestałem być istotą kierującą się rozsądkiem. Dlatego nie istniało racjonalne wytłumaczenie mojej próby uratowania życia TomToma, które mogłoby być zaakceptowane przez wszystkich dyskutantów przy kawiarnianym stoliku.

- Jeszcze trzydzieści sekund.

Myślałem o tym, czyby nie wyrwać słuchawki prysznic, aby użyć węża jako zaworu przelewowego, ale do tego brakowało mi siły i czasu. Z tych samych powodów nie mogłem pobiec do piwnicy, żeby zakręcić główny zawór. W moim stanie potrzebowalibyśmy na to przynajmniej dziesięć minut, a nie...

- Dwadzieścia sekund.

W końcu lakoniczne podawanie czasu przez Franka sprowadziło moje myśli na inny tor, a tym samym spowodowało zwrot.

Mam jeszcze dwadzieścia sekund, aby poznać szyfr.

Najpóźniej za trzydzieści sekund TomTomowi zabraknie powietrza.

Ale jak Frank chciał to sprawdzić?

Albo zobaczysz, jak TomTom umiera, przypomniałem sobie jego chichot. Tylko skąd wiedział, jak długo musiałem na to czekać? Istniało tylko jedno wytłumaczenie:

On nie może być daleko.

Być może jest całkiem blisko.

Myśl o tym przyprawiła mnie o zawrót głowy. Miałem wrażenie, że nagle całe pomieszczenie zaczęło wirować wokół mnie, a ja jestem jedynym stałym punktem w łazience.

- Dziesięć sekund, Zorbach.

Spojrzałem w górę na biało pomalowany sufit, a kiedy nie zobaczyłem tam nic podejrzanego, pokuśtykałem do jedyne go sensownego miejsca w łazience, jakie jeszcze zostało. Miejsca, gdzie znajdowały się przełączniki prądu i przepierzenie, za którym można było ukryć instalację elektryczną.

Otworzyłem już trochę uchylone lewe drzwiczki oszklonej szafki nad umywalką i spojrzałem w obiektyw miniaturowej kamery migającej czerwonym światłem.

W tej samej chwili nade mną na strychu rozległ się odgłos wystrzału z broni palnej.

Rozdział 162

Gdyby ktoś chciał się dostać na strych naszego domu, potrzebował najpierw drewnianego kija zakończzonego hakiem, aby ściągnąć schody, które znajdowały się za kwadratową klapą w suficie, mniej więcej na środku korytarza. Kiedy szedłem do łazienki, klapa była solidnie zamknięta. A teraz, po wystrzale, gdy zataczając się, wyszedłem z łazienki, była otwarta. Opuszczane schody wisiały rozsunięte do połowy, jak język z ust olbrzyma, z którego gardła wydobywał się bledy zimny blask. Cokolwiek wydarzyło się na górze, stało się to w pełnym świetle.

Spojrzałem na wannę, pysk TomToma właśnie całkiem zanurzył się w wodzie. Wtedy usłyszałem nad głową odgłosy walki i zorientowałem się, że Frank właśnie zmienił zasady, teraz gra toczyła się o coś innego.

Nie chodziło już o TomToma ani o Schollego. Teraz chodziło już tylko o Franka albo o mnie.

Usłyszałem, jak ktoś krzyczy moje nazwisko, z taką boleścią w głosie i tak rozpaczliwie, że ledwie mogłem rozpoznać głos policjanta. Kiedy Scholle głośno błagał mnie o pomoc, miałem już schody w zasięgu ręki. Napędzany adrenaliną i myślą o zemście, poruszałem się po domu z niespodziewaną pewnością siebie, jakby postrzał w głowę nigdy nie osłabił mojej motoryki.

Chwyciłem najniższy stopień i chciałem ściągnąć schody w dół, kiedy nad moją głową zrobiło się ciemno. Potem poczułem coś ciepłego na twarzy.

- Pomooooooooocy! - Miałem nadzieję, że była to ślina, którą Scholle opluł mnie, kiedy krzyknął mi w twarz, ale z powodu metalicznego zapachu liczyłem się z najgorszym.

Masywne ciało Schollego z trudem mieściło się we włazie. Ogarnięty paniką próbował zleźć głową w dół po wysuniętych do połowy schodach, ale wyglądało to, jakby wiosłował rękami w miejscu. Albo jakby nie potrafił koordynować ruchów.

Albo jakby Frank trzymał go na górze za nogi.

Korytarz wciąż był oświetlony jedynie światłem dochodzącym z pokoju Juliana, dlatego ciało Schollego zwisało przede mną w rozproszonym półmroku. Krew napłynęła mu do twarzy.

Nie, poprawiłem się. Spływała mu z twarzy.

Biała koszula była przesiąknięta krwią. Grube ciemne krople kapały z pofałdowanej szyi, podwójnego podbródka i ręki, którą wyciągał do mnie, szukając pomocy.

Chwyciłem ją, ale mi się wysunęła, ponieważ była bardzo śliska. Dopiero kiedy złapałem ją obiema dłońmi, całym ciężarem ciała odchyliłem się do tyłu i udało mi się ściągnąć Schollego na dół. Rozległ się głośny trzask, jakby któryś ze stopni załamał się pod jego ciężarem... albo zaklinowane ramię... potem masywne ciało poddało się sile ciężkości. Scholle krzyknął z bólu i jak na zwolnionym filmie zaczął zsuwać się na mnie. Stopień po stopniu spływał na dół, powoli jak miód z łyżeczki do herbaty. Miałem mnóstwo czasu, żeby się odsunąć.

Ale nie poruszyłem się nawet o milimetr i z niezrozumiałych powodów przyszedł mi na myśl karykaturzysta, który przed kościołem Pamięci Cesarza Wilhelma na Breitscheidplatz rysuje za pieniądze portrety turystów, przesadnie uwypuklając ich charakterystyczne rysy twarzy

Również twarz Schollego była dziwnie swojska, a jednocześnie zniekształcona. Miał jeszcze bardziej wydęte policzki, węższe usta, a małe oczy sprawiały wrażenie jeszcze mniejszych, ponieważ kość czołowa nad nimi była teraz bardziej wydatna niż zazwyczaj.

Sam nie wiedziałem, dlaczego bezsensownie tracę czas. Dopiero później zrozumiałem, że wszystkie zdarzenia - od momentu, kiedy usłyszałem strzał, do chwili, kiedy pociągnąłem Schollego za rękę - rozegrały się w ułamkach sekund. Jak często w chwilach śmiertelnego zagrożenia, wydawało się, że czas stanął w miejscu. Świat, w którym się znajdowałem, przypominał film wideo. Na krótko przed sceną, w której zdarzyła się katastrofa, mój mózg włączył pauzę. Mogłem więc teraz bez końca oglądać zbliżające się nieszczęście, na którego przebieg nie miałem żadnego wpływu. Dlatego w całym znaczeniu tego słowa zostałem pogrzebany pod ciałem Schollego, kiedy mój mózg nacisnął play.

Uderzyłem tyłem głowy o stopień i poczułem, jak pod ciężarem z mojego ciała uchodzi powietrze. Scholle krzyknął, jakby ktoś wbił mu nóż w żołądek. Udało mi się wygrzebać spod niego, z wielkim trudem odwróciłem go na plecy i zobaczyłem ranę wlotową. Czysty postrzał w brzuch.

Jedno z najbardziej bolesnych obrażeń, jakie można sobie wyobrazić. I jedno z najbardziej śmiertelnych, jeśli - co było bardzo prawdopodobne - zostały naruszone narządy wewnętrzne. Wszystko wskazywało na to, że przynajmniej kręgosłup nie był złamany, ponieważ Scholle mógł poruszać nogami i oddychać. Ale szybko tracił krew, która na dodatek sprawiała wrażenie niesamowicie gęstej i ciemnej. Było dla mnie jasne, że bez pomocy lekarskiej w najbliższych minutach Scholle się wykrwawi, cierpiąc piekielne męki, albo umrze z powodu zakażenia krwi. Prawdopodobnie jedno i drugie.

Zerwałem opatrunek z głowy i obiema rękami ucisnąłem nim ranę postrzałową. Scholle wrzasnął, chciał oderwać moje ręce od brzucha, lecz stawiłem mu opór, chociaż wiedziałem, że moje wysiłki mogą pogorszyć sytuację.

- Nie, musisz Franka... - Scholle skulił się, krzycząc, i podciągnął nogi. Potem wydyszał coś, czego początkowo nie zrozumiałem. - Weź to, proszę...

Zobaczyłem, jak szuka kabury pod podciągniętą nogawką spodni, w której tkwił mały rewolwer. Broń, którą Frank musiał przeoczyć.

- On. Uciekł. - Scholle wyrzucił z siebie zduszonym głosem dwa pojedyncze słowa i każde z nich przerywał krzykiem.

Skinąłem głową, wstałem i jednym szarpnięciem ściągnąłem drabinę. Kiedy postawiłem stopę na pierwszym stopniu, Scholle powstrzymał mnie resztką sił, łapiąc kurczowo za kostkę.

- Nie na górę! - jęknął. - Przez okno.

Przytaknąłem. Franka na pewno już od dawna nie było na poddaszu. Po wystrzale wydostał się przez świetlik i według wszelkiego prawdopodobieństwa zsunął się po tylnej ścianie domu, przebiegł przez drogę i zniknął w lesie.

To jedyna logiczna droga ucieczki. Sam bym tak zrobił.

Nie tracąc kolejnych sekund, potykając się, wpadłem do łazienki, której okno również wychodziło na ogród za domem. Woda zalała już całą podłogę i musiałem wyhamować, żeby nie wyrznąć jak długi.

Wycelowałem broń przed siebie, żeby przestrzelić mleczną szybę w oknie, ale wtedy uczyniłem coś, i do dzisiaj nie wiem, czy nie był to błąd, który zdecydował o wszystkim: rzuciłem okiem na wannę.

TomTom szarpał się pod wodą w walce ze śmiercią.

Przypuszczalnie marnowałem cenne sekundy i amunicję, kiedy przyłożyłem lufę do łańcucha i celnym strzałem roztrzaskałem więzy TomToma oraz baterię, do której pies był przywiązany. Nie mogłem postąpić inaczej. Działąłem instynktownie, chwyciłem za łańcuch i wyciągnąłem psa z wody, choć nie do końca mi się udało, ponieważ jego zad był wciąż unieruchomiony. Ale przynajmniej sprawiłem, że pysk wystawał teraz nad krawędź wanny.

Wszystko działo się jakby mimochodem, w czasie gdy dobiegałem do okna, którego szybę roztrzaskałem drugim pociskiem.

Hałas obudził sąsiadów. Kiedy stanąłem w oknie, widziałem, jak zapalają się światła w sypialniach pobliskich domostw. Stara, samotna kobieta z sąsiedniego domu zapaliła lampy na tarasie, żeby zobaczyć, czy nie ma tam włamywacza. Ponadto czujnik ruchu włączył kilka lamp ogrodowych, dlatego dopiero teraz zobaczyłem, jak Frank znika za płotem w ciemnym lesie.

Mimo to wymierzyłem i strzeliłem w kierunku, gdzie według mnie mógł się znajdować. Raz. I jeszcze raz.

Potem postawiłem stopę na parapecie, żeby skoczyć z okna. Z powodu długotrwałych mrozów grządki pode mną były twarde jak beton, ale było mi to obojętne. Na moich oczach uciekał właśnie morderca mojej rodziny i nawet złamana noga nie powstrzyma mnie od pościgu za nim.

W niewielkiej odległości usłyszałem dźwięk kilku nakładających się na siebie policyjnych syren. Któryś z sąsiadów wezwał kawalerię, ale ta przybywała za późno, w każdym razie ja tak uważałem.

Nie potrzebuję waszej pomocy, pomyślałem. To tutaj nie powinno was obchodzić. To prywatna sprawa.

Ale potem, kiedy chciałem skoczyć, stało się coś, czego najmniej się spodziewałem i czego mój umysł kompletnie nie mógł pojąć: Frank wrócił.

Rozdział 166

On nie może przestać grać, pomyślałem. Prowokuje mnie, nawet kiedy ucieka.

Frank powoli wracał - jak człowiek, który musi koncentrować się na każdym kroku - pokrytą śniegiem drogą, prowadzącą od tylnej furtki do naszego zimowego ogrodu.

Po przejściu kilku metrów zatrzymał się, mniej więcej na środku odcinka pomiędzy domem a granicą działki. Dostatecznie blisko, żebym mógł zobaczyć kontury jego tak nieodpowiednio chłopięcej twarzy.

O ile potrafiłem z góry ocenić, jego włosy wydawały się dłuższe, a jasny dres do joggingu był brudny i zniszczony. Bitwa, jaką stoczył z Schollem, zostawiła ślady. Ręce miał przyciśnięte do ciała jak chłopiec, który chce skoczyć na nogi z dziesięciometrowej wieży, tyle że on trzymał w dłoni pistolet.

Ciężko oddychał, z ust wydobywały się gęste kłęby pary.

Nagle niebo nade mną zaczęło migotać. Przed moimi oczami błyskały niebieskie światła i już się bałem, że halucynacje wybrały zły moment i znów dały znać o sobie. Wtedy usłyszałem syreny, które wyjaśniały całą sytuację. W naszą ulicę skręciło kilka radiowozów.

Nadjeżdżający policjanci zbili z tropu zarówno Franka, jak i mnie.

Najspokojniej w świecie stał w ogrodzie i nie miał zamiaru uciekać. W jego sylwetce zmieniło się tylko to, że uniósł nieuzbrojoną rękę i pomachał mi, jakby chciał do mnie szyderczo zawołać: „No strzelaj, stary. Ale wtedy nigdy nie dowiesz się, co zrobiłem z twoim synem”.

Kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, z pewnością rozsądniej byłoby poczekać na policję, która w każdej chwili powinna przypuścić szturm na schody, lecz nie ma nic bardziej osobistego niż zemsta.

Nikt nie może ci tego odebrać, pomyślałem i uniosłem broń, żeby wycelować do kolekcjonera oczu.

Frank potrząsnął głową. Z jego postawy można było wyczytać: „Nigdy tego nie zrobisz, stary”.

Nieraz już się mylił.

Pierwszy strzał trafił go w ramię. Impet uderzenia był tak duży, że go przewrócił. Nie chciałem go zabić. Nie teraz. Najpierw musiał mi powiedzieć, co stało się z moim synem. Drugi strzał miał trafić go w udo, w kolano albo jakieś inne miejsce, tak żeby nie mógł się poruszać.

Spudłowałem. Strzeliłem raz. Drugi. Trzeci... i ani jeden pocisk nie trafił w cel. Potem zabrakło mi naboju. Wszystkie zużyłem.

Na okno. Na noc. Na ramię. Na psa, który za moimi plecami skomlał w wannie.

Cholera.

Zmarnowałem wszystkie i nie zostało mi nic innego, jak tylko przyglądanie się Frankowi, który na moich oczach wstał, po raz drugi przebiegł przez ogród i zniknął w lesie. Tym razem już nie wrócił, a ja nie mogłem pobiec za nim, ponieważ kiedy już szykowałem się, żeby wyskoczyć z okna, kilka par rąk pociągnęło mnie do tyłu.

Wreszcie przybyła policja, mój przyjaciel i pomocnik.

Rozdział 168

John

- Czy znalazł pan moją córkę?

Język ciała Johanny Strom wyraźnie zdradzał obraz jej wewnętrznej rozterki. Szeroko otwarte oczy pełne nadziei, ręce złożone jak do rozpaczliwej modlitwy. Starła się zachować zimną krew, ale Johnowi wydawało się, że widzi duchowy ciężar, który za chwilę ją przygniecie.

Z żalem potrząsnął głową i był świadomy dwuznaczności tego gestu, kiedy Johanna zakryła sobie ręką usta.

- Oh, sorry, nie, Mam. Nie wiem nic nowego o Nicoli. Johanna powoli opuściła rękę. Wyglądała na zmieszaną i zakłopotaną obmacywała framugę drzwi wejściowych, szukając pomocy. Lodowaty wiatr uderzył Johna w plecy, lecz wydawało się, że matka Nicoli nie czuła zimna. Nie uczyniła nic, co wskazywałoby na to, że chce zaprosić go do środka. Kompletnie wycieńczona zapytała:

- Ale dlaczego, to znaczy... po co pan przyszedł?

Szczerze mówiąc, John sam tego nie wiedział. Odkąd policja przekazała mu straszną wiadomość o zniknięciu Aliny, troska o przyjaciółkę nie dawała mu spać. A ponieważ nie chciał bezsilnie czekać w domu na telefon, wybrał się do jedynej osoby, o której wiedział, że kiedyś osobiście spotkała potencjalnego porywacza. Adres był zapisany na kartce, którą Johanna wcisnęła Alinie do ręki, kiedy do niej przyszła. Kolorowy wydruk w formacie ulotki, nie za duży, ale i nie za mały, taki, żeby było dobrze widać zmęczoną twarz uśmiechniętej nastolatki, gdy przyklei się go do latarni ulicznej. W oczy rzucało się napisane drukowanymi literami nad czołem Nicoli słowo ZAGINEŁA. Zdjęcie przedstawiało córkę Johanny z ufarbowanymi na czarno włosami, nieumalowaną i bez biżuterii, żeby dodatkowe elementy nie odwracały uwagi ewentualnych świadków. „Na odwrocie napisałam, gdzie może mnie pani znaleźć”. Tymi słowami Johanna pożegnała się z Aliną. Kiedy zauważyła swoje faux pas, zaczęła się gęsto tłumaczyć i dała drugą ulotkę Johnowi.

I teraz stoję tu i sam szukam kogoś, kogo kocham.

Wewnątrz domu zapikowała kuchenka mikrofalowa, co najwidoczniej przypomniało Johannie, że jej nieproszony gość już od kilku minut stoi przed wejściem na mrozie.

- Przepraszam, to nieuprzejme z mojej strony. Proszę, niech pan wejdzie.

John popatrzył, jak pobiegła w kierunku kuchni, i poszedł za nią.

W środku było ciepło, ale jeszcze bardziej nieprzytulnie, niż się obawiał. Pośrednicy nieruchomości wylewnie zachwalali osiedle domów szeregowych w Zehlendorf na peryferiach miasta jako „miejskie wille w stylu bauhaus”. Dla Johna były to pudełka na buty z płaskimi dachami, za ich jedyną zaletę należało uznać to, że można tu zaoszczędzić na radiu, ponieważ z powodu cienkich ścian wszystko było słychać od sąsiadów. W pewnym okresie życia, gdy była w bardzo złej kondycji psychicznej, Alina nosiła się z myślą, aby wyprowadzić się z centrum miasta i osiąść bliżej natury, jednak John dość szybko wyperswadował jej „praktycznie zaprojektowane pomieszczenia” (czytaj: „standardowe kwadraty”).

- Przepraszam za bałagan, ale... - Johanna wskazała na nierozpakowany karton pod oknem, kiedy John wszedł do kuchni. Widział już dwa inne, jeden w sieni, drugi w salonie. Wszystkie zamknięte. W całym domu nie było dywanów, obrazów ani przedmiotów osobistych.

- Nie będę tu długo... To znaczy... Rozumie pan?

John skinął głową. Nikt, komu zaginie dziecko, nie zadomowi się w obcym mieście. Johanna tu nie mieszkała, ona tylko tu nocowała, a widząc jej niedospane oczy, nawet tego nie był pewny.

- A więc dobrze, czym mogę panu służyć? - zapytała ponownie i talerz wyjęty z mikrofalówki zaniosiła do kubła na śmieci. Jeśli rzeczywiście miała ochotę na pizzę z salami na śniadanie, to najwidoczniej wizyta Johna odebrała jej apetyt.

- Dlaczego, to znaczy... Po co pan do mnie przyszedł, skoro nie chodzi o Nicolę?

- Żeby zadać pani to samo pytanie. Po co odwiedziła pani Alinę?

- Nie rozumiem. - Johanna potarła dłońmi o brzuch, jakby chciała wytrzeć je w fartuch.

- Pan tam był, czy tak?

- Tak - przytaknął John. - Right next door, wszystko słyszałem. Ale sądzę, że nie powiedziała pani mojej przyjaciółce całej prawdy.

- Skąd ten pomysł? Wzruszył ramionami.

- Just a feeling.

Tego popołudnia Alina była bardzo spięta, a nawet trochę opryskliwa, jakby próbowała nakłonić zrozpaczoną matkę, aby jak najszybciej opuściła jej mieszkanie. Podczas pożegnania Johanna Strom sprawiała wrażenie jeszcze bardziej wystraszonej, niż kiedy przyszła, i John, który przypisywał sobie umiejętność wczuwania się w psychikę drugiej osoby, stwierdził, że Johanna nie otworzyła przed nimi do końca swojego serca. Naturalnie opowiedział policji o tym dziwnym spotkaniu, ale nadkomisarz Stoya był poinformowany przez Alinę o wizycie Johanny i nie spodziewał się uzyskać pożytecznych wskazówek od „zwariowanej pijaczki”, jak ją nazywał.

- Czy pani coś zataiła przed Aliną? - zapytał wprost John. - Coś na temat Sukera?

Johanna potrząsnęła głową.

- Nie, byłam z nią całkowicie szczerą, naprawdę. Myślę, że Alina jest moją ostatnią nadzieją. Chciałam, żeby pomogła mi znaleźć Nicolę. Wie pan, przecież ona ma te... - Johanna dokończyła zdanie szeptem, wpatrując się w swoje dłonie - nadprzyrodzone zdolności.

John gniewnie potrząsnął głową.

- Shit. Alina nie jest jasnowidzem. Inaczej nie byłaby teraz w tarapatach.

- Ale gazety...

- ...piszą też, że wojna w Iraku się skończyła, a euro nie spowodowało wzrostu cen.

Poczuł, jak troska i niedostatek snu zmieniły się we wściekłość.

- Ten cały mit otaczający Alinę nie ma nic wspólnego ze światem nadprzyrodzonym.

- A z czym?

- To czysta matematyka.

- Nie rozumiem.

Johanna wzięła z blatu kuchennego plastikowy kubek i podeszła do zlewu. John instynktownie szukał wzrokiem na półkach butelek, lecz widocznie matka nie topiła obecnie swojego bólu w alkoholu.

- Jestem informatykiem - oznajmił i dziękując, odmówił przyjęcia kubka, który Johanna napełniła wodą z kranu. - Tworzę software komputerowy do przepowiadania weather reports. Często raporty odbiegają od rzeczywistości, chociaż obecnie moglibyśmy dostarczać

perfekcyjnych prognoz, ale niestety nie dysponujemy najlepszym hardwarem. - John popukał się w głowę. - Our brain.

Zorientował się, że Johanna nie nadąza za jego tokiem rozumowania, i zastanawiał się, czy objaśnianie jej przypadku Aliny ma w ogóle sens. Jako naukowiec był przekonany, że da się wyjaśnić każdy przyrodniczy fenomen. Jeśli nie dzisiaj, to w bliskiej przyszłości. Badania mózgu bowiem znajdowały się jeszcze w powijakach. To fakt, że mózg ludzki można określić jako biochemiczny komputer najwyższej klasy, ale większość ludzi nie wykorzystuje nawet dziesięciu procent jego wydajności. Gdyby wykorzystał sto procent, jak przekonywał John, każdy człowiek byłby intelektualnym supermanem i dzięki jego niewyobrażalnej mocy, bazując na dostępnych danych, potrafiłby przygotować ultradokładne prognozy. Karmiony odpowiednimi informacjami, umiałby na przykład dokładnie przewidzieć pogodę na najbliższe lata. Oczywiście John nie mógł udowodnić tej teorii, ale wychodził z założenia, że Alina była w stanie wykorzystywać swój mózg bardziej efektywnie niż inni ludzie. W jej wypadku włącznikiem, który uruchamiał turbokomputer, był ból. Jego teorię potwierdzał fakt, że regularnie traciła przytomność, kiedy dopadały ją „wizje”; przemawiało za nią to, że kiedy procesy biochemiczne w jej głowie przebiegały na najwyższych obrotach, reszta jej ciała była przełączona na standby.

- Każdy człowiek może przepowiadać przyszłość, Mam. Nawet ja to potrafię. Na przykład wiedziałem, że otworzy mi pani drzwi, jeśli jest pani w domu. Domyślałem się, że mnie pani wpuści, i jestem pewny, że zaraz będziemy rozmawiać o Alinie i pani córce. Action provokes reaction. Im bliższego okresu dotyczy przepowiednia, tym jest konkretniej. Po prostu mózg Aliny pracuje lepiej od naszych. Ona jest w stanie sprawdzić billions możliwości i na bazie znanych facts przewidzieć najbardziej prawdopodobny rozwój wypadków.

Johanna popatrzyła na niego z niedowierzaniem, potem energicznie potrząsnęła głową. W jej głosie dało się słyszeć rozczarowanie, jakby tłumaczenie Johna wyjęło element nośny z domku z kart, na którym opierała swoją nadzieję.

- Ale dostarczyła przecież konkretnych informacji o kolekcjonerze oczu...

- Bullshit. To nie były żadne visions, tylko prognozy, i okazało się, że wiele było nieprawdziwych. And she made mistakes! Dużo błędów. Największy z nich spowodował, że wczoraj wpadła w ręce Sukera.

Johanna spojrzała na niego skonsternowana.

- Chwileczkę. Czy chce mi pan powiedzieć, że...

- Right. Alina też została uprowadzona. I policja uważa, że zrobił to okulista. - John westchnął. - I dlatego, please, muszę wiedzieć, czy jest jeszcze coś, o czym chciała pani opowiedzieć Alinie. Coś, co być może zobaczyła pani na polaroidzie. Location, charakterystyczną cechę. Coś, co mogłoby mi pomóc znaleźć moją przyjaciółkę.

Johanna skinęła głową i zachwiała się przy tym do przodu i do tyłu. Nagle zaczęła się nieśmiało śmiać.

- Co pani jest? - zapytał John zmieszany. Szczera reakcja Johanny nie pozostawiała zbyt wiele miejsca na interpretację. - Widzi pani w tym coś zabawnego?

- Co? Och, proszę mi wybaczyć. - Odwróciła się zakłopotana. - Przepraszam. Obawiam się, jestem już trochę uodporniona na złe wieści. Ja tylko, hmm, jak by to powiedzieć, nie myślałam, że sprawa przybierze tak tragiczny obrót.

- Co takiego? - John przełknął ślinę, lecz nie mógł się pozbyć nieprzyjemnego smaku, który poczuł w ustach.

Stał się on jeszcze bardziej intensywny, kiedy Johanna ze łzami w oczach powiedziała:

- Niech pan posłucha, moja córka była tylko nastolatką, która uciekła z domu, ale pana przyjaciółka... Alina jest sławna.

- Co do diabła...? - John spojrzał na nią skonsternowany. Potem wyciągnął w jej kierunku palec wskazujący, jakby chciał ją zasztyletować. - You made it up. Pani to zaplanowała.

- Co? Nie, to nie tak.

Johanna przyjęła postawę obronną, jakby się bała, że John ją uderzy.

- Shit. Pani chciała, żeby Alina poszła do Sukera, ponieważ wiedziała pani, że okulista już jej nie wypuści z rąk.

Jej ani jej niewidzących oczu!

- Nie. Nie wiedziałam tego. Choć się spodziewałam. To była moja prognoza. Moja nadzieja.

- Ale... Why? - John wyciągnął przed siebie ręce. Jego palce powoli zaciskały się w pięść, jakby trzymał gąbkę. - Ale dlaczego?

- Bo jestem matką.

Odpowiedź uderzyła go, jakby ktoś wymierzył mu policzek. Krótka. Bolesna. Zawierała w sobie bezlitosną logikę. Oczywiście, jest zrozpaczona. Chce...

- Chcę odzyskać moje maleństwo - krzyknęła Johanna i uderzyła się pięścią w pierś. - Czuję, że ona wciąż żyje. Nicola jest gdzieś tam, nie wiadomo gdzie, w szponach bestii i nikt jej nie szuka.

Każde słowo było jak smagnięcie pejczem. John odwrócił się do niej plecami.

- Ale teraz jest inaczej - krzyknęła za nim, kiedy powoli wychodził z kuchni. Jej głos przeszedł w falset. - Teraz, kiedy Suker ma sławną zakładniczkę.

Był już przy drzwiach wyjściowych, otworzył je gwałtownym szarpnięciem i wyszedł na zimne poranne powietrze, wsiadł do samochodu, lecz ciągle słyszał jej głos.

- Teraz nie możecie już przymykać oczu. Teraz musicie szukać kryjówki Sukera. A kiedy znajdziecie tam Alinę - jeszcze kilka godzin później słyszał histeryczny głos matki - wtedy ja odzyskam wreszcie swoje maleństwo.

Rozdział 174

Alina Gregoriev

- Procedura, którą zastosuję wobec pani, nosi nazwę transplantacji komórek macierzystych nabłonka rogówki.

Suker przemawiał tonem ordynatora, który wyjaśnia pacjentowi ryzyko, jakie niesie ze sobą zabieg - jakby Alina siedziała u niego w gabinecie, a nie leżała naga, ze związanymi rękami, na stole operacyjnym.

- Eksplozja chemiczna, która panią oślepiła, całkowicie zniszczyła rogówkę, z rąbkami włącznie. Dawniej po prostu próbowano przeszczepić nową rogówkę i lekarze dziwili się, dlaczego pacjent po takim zabiegu wciąż nic nie widzi.

Leżąca na prawo od niej Nicola zaniósła się głębokim kaszlem, zacharczała i splunęła. Suker chrząknął, jakby przywoływał do porządku zakłócającego spokój studenta w sali wykładowej. Zaczął mówić dalej dopiero wówczas, kiedy szmery oddechu Nicoli przeszły w ciche kwilenie.

- Niech pani wyobrazi sobie, że rogówka to przednia szyba samochodu. Szyba nie może być brudna, bo nie będzie pani przez nią nic widziała i wjedzie pani w drzewo. Taka nieprzejrzysta szyba w oku jest nazywana zmętnieniem rogówki.

- Niech pan przestanie pleść bzdury. - Alina potrząsnęła głową. - Nie chcę tego słuchać.

Natychmiast pożałowała, że się poruszyła.

Kłujący ból przeszył od góry do dołu jej nagi kręgosłup. Za długo już leżała w tej nienaturalnej pozycji, z rękami skutymi łańcuchem za głowę.

- Aby usunąć zmętnienie, potrzebne są rąbki rogówki, a dokładniej mówiąc komórki macierzyste rąbków, które przez cały boży dzień nie robią nic innego, tylko produkują miliony komórek potomnych, rozchodzących się po oku i pokrywających je jednolitą warstwą, jak gorący wosk samochód w myjni.

- Te popieprzone samochodowe analogie może pan wsadzić sobie w swoją cholerną rurę wydechową, ty dupku.

Suker niewzruszony mówił:

- Ale gdy, jak u pani, owe rąbki są całkowicie zniszczone, nie mogą już produkować warstwy ochronnej. Brakuje tego lakierowania. Dlatego

zwykły przeszczep rogówki nic nie da. Wierzchnia warstwa pani oczu ciągle będzie się rysować jak ceramiczna płyta kuchenna czyszczona niewłaściwym środkiem.

Alina poczuła, że wokół niej zrobiło się jasno, prawdopodobnie Suker znów włączył lampę nad jej głową i ściągnął ją niżej. Chciała zamrużyć, ale nie wiedziała, czy jej się to udało. Powieki były ciężkie i bezwładne, przypuszczalnie od kropel, które przed chwilą zaaplikował jej Suker.

- Aby zrobić to jak należy, trzeba najpierw wymienić sam rąbek, a dopiero potem całą rogówkę. - Głos Sukera również dochodził teraz z bliższej odległości. Alina poczuła pachnący kawą ciepły oddech lekarza, kiedy pochylił się nad nią.

- A więc będę musiał przeprowadzić dwie operacje, Alino, w odstępie około czterech miesięcy

Cztery miesiące? Szesnaście tygodni? Sto dwanaście dni w niewoli u szaleńca?

Dochodzące z boku kwilenie Nicoli stało się głośniejsze. Jakby dziewczyna miała za chwilę się rozpłakać.

- Nie ma pan tyle czasu - zaprotestowała Alina, sama nie wierząc w to, co mówi. - Przecież już pana ścigają. Będzie pan załatwiony, kiedy ktoś mnie znajdzie.

- Czyżby?

Suker położył dłoń na jej głowie i z przerażeniem poczuła lateksową powłokę na jego palcach. Już włożył rękawiczki do operacji!

Suker przez chwilę trzymał dłoń na jej czole, potem jego palec wskazujący odrażającym ruchem przypominającym głaskanie powoli ześlizgnął się do tyłu po jej ogolonej czaszce.

- Abstrahując od tego, że nikt nas tu nie będzie szukał, uznałbym to za rzecz godną pożałowania dla nas obojga, Alino. W końcu zamierzam w niedługim czasie podarować pani wzrok i chyba nie chcielibyśmy, żeby ktoś nam w tym przeszkodził, mam rację?

- Nie potrzebuję żadnych prezentów! - wrzasnęła i wyprężyła się na stole na tyle, na ile pozwoliły jej więzy. Zignorowała uciśnięty nerw szyjny

- Dobrze, dobrze, ale przecież nie możemy przegapić takiej szansy - powiedział Suker i mocno przycisnął jej głowę do stołu. - Rozumiem

jednak pani wątpliwości, przecież ten zabieg wiąże się z ryzykiem, którego oczywiście nie mogę przed panią ukrywać.

Panie Boże na niebiosach, spraw, żeby to był sen. Spraw, żeby TomTom wskoczył mi do łóżka i mnie obudził.

- Nawet jeśli nie robię tego po raz pierwszy, to wszycie mikroskopijnego obwarzanka w pani gałkę oczną jest nadzwyczajnym, jeśli nie artystycznym dokonaniem. Podczas operacji muszę zeszlifować rąbek rogówki do grubości jednej trzeciej milimetra.

- Musi pan zeszlifować swój chory mózg, nic więcej. - Alina starała się możliwie równo oddychać, by rozluźnić napięte ciało. Czuła, że już dłużej nie może powstrzymywać wściekłości. To tylko kwestia czasu, kiedy ogarnie ją wyczerpanie.

- Jest pani wzburzona, moje dziecko, to zrozumiałe. Alina usłyszała, jak Suker, mówiąc to, odwrócił się do niej plecami.

- W końcu stoi pani w obliczu najbardziej przełomowego wydarzenia w swoim życiu.

Nicola głośno krzyknęła, jak na umówione hasło.

- Co pan z nią robi? - zapytała Alina.

- Mała nie lubi zastrzyków. - Suker stał teraz zaledwie kilka kroków od niej i mówił do Nicoli. - Ale to nic ci nie da, moja śliczna. Przecież mówiłem, że twoje oczy są wyjątkowe.

- Nie, proszę, nie. Błagam pana. Okulista westchnął, cały szczęśliwy

- Musi pani wiedzieć, Alino, że oczy Nicoli wykazują niezwykle uszkodzenie pigmentu. Są bikolorowe, czyli dwubarwne. Jeśli wyobrazi sobie pani tęczę jako okrągły tort, to mały trójkątny kawałek jest niebieski. Reszta jest brązowa, czy to nie jest niewyobrażalnie wspaniałe?

Pomieszczenie osłonięte plandekami wypełnił szcęk narzędzi.

- Och, przepraszam, Alino. Przecież kolory nic pani nie mówią. No tak, ale pracujemy nad tym, prawda?

Zaśmiał się zadowolony z siebie, podczas gdy Nicola, całkiem nieoczekiwanie dla Aliny, zaczęła cicho mruzczyć modlitwę:

- Oto znalazłam się pośród obcych, którzy na mnie czyhają, stoję pełna bóleści w obliczu niebezpieczeństwa i - jestem sama.

Jej rozmowa z samą sobą była tak cicha, że Suker z powodzeniem mógł mówić dalej.

- Pamięta pani, co powiedziałem w więzieniu? Że tylko anomalie natury ucieleśniają prawdziwe piękno?

- Boże, dobry Ojczy, Ty jesteś dzisiaj ten sam, który byłeś wczoraj i który będziesz jutro.

Suker odwrócił się od Aliny i znów mówił do Nicoli:

- Tak, a teraz nadszedł dzień, kiedy podzielisz się swoim wyjątkowym pięknem z całkiem wyjątkową osobą.

Wydawało się, że dziewczyna nie słyszy szaleńca, który układał narzędzia, ponieważ była pochłonięta dialogiem z samą sobą. Jej głos z każdym słowem stawał się coraz bardziej cichy i senny, tak że nie dokończyła ostatniego zdania:

- Ty, Boże, dobry Ojczy, przy mnie stój i...

- I zasypia - powiedział Suker zadowolony.

- Niech pan tego nie robi, Suker. Proszę.

Alina zapomniała o dumie i błagała go teraz tak jak wcześniej Nicola:

- Na miłość boską, niech pan przestanie. Ta dziewczyna ma dopiero szesnaście lat!

- Och, niech pani się tym nie przejmuje, wiek dawcy nie odgrywa żadnej roli. Ale żeby się upewnić, zamierzam najpierw przeszczepić tylko kilka komórek macierzystych do lewego oka, aby zobaczyć, jak pani organizm przyjmie przeszczep.

Alina znów usłyszała szcęk narzędzi na metalowym podłożu. Potem Suker skoncentrowany zaczął cicho nucić, jak człowiek, który z radosnym podnieceniem przystępuje do od dawna wyczekiwanej pracy.

Rozdział 178

Alexander Zorbach

Czułem, że nabój jest ciepły, z pewnością dlatego, że doktor Roth już dłuższą chwilę obracał go w palcach, zanim położył na mojej dłoni.

- Tylko dla przypomnienia - powiedział, nawet nie zadając sobie trudu, żeby stłumić wściekłość. - Takim czymś dwa miesiące temu strzelił pan sobie w głowę. I gdyby znów chciał pan udowodnić, że ma twardą czaszkę, to nie jest ona tak mocna, żeby mogła zatrzymać dziewięćmilimetrowy pocisk.

Stał tuż przede mną i patrzył na mnie z góry, jak siedzę na wózku inwalidzkim. Jego dolna warga drżała, co z jakiegoś powodu wprawiało mnie w zakłopotanie. Być może dlatego, że czułem, jak temu zazwyczaj dobrodusznemu lekarzowi było ciężko mnie skarcić.

- Pocisk pogruchotał panu kości, uszkodził mózg i niezbędne dla życia naczynia.

Znaliśmy się już dość długo. Roth leczył mnie jeszcze przed moją nieudaną próbą samobójczą z powodu problemów psychicznych, które nieuchronnie niesie ze sobą zawód policjanta. Odwróciłem głowę w oczekiwaniu, że znajomy ból znów wybuchnie, ale ten zniknął jak ręką odjął od czasu śmiertelnego starcia w moim domu. Czułem jedynie tępy ucisk pod nowym opatrunkiem, który mi założono, kiedy karetka przywiozła mnie z powrotem na Schwanenwerder.

- Do diabła, Zorbach. Co pan wyprawia? Ucieka pan tak po kryjomu.

Mój wzrok wędrował po gołej ścianie, bez obowiązkowych zazwyczaj dyplomów i wyróżnień, którymi lekarze tak chętnie ozdabiają swoje gabinety. Również brak jakichkolwiek przedmiotów sztuki świadczył o prowizorycznym charakterze wyposażenia. Schwanenwerder nie było szpitalem, lecz stacją przejściową. Bezpiecznym domem dla świadków i ofiar przestępstw. Nie było miejscem, gdzie człowiek chciałby zainstalować się na dłuższą metę, ani w charakterze personelu, ani w charakterze gościa.

- Z taką ciężką raną człowiek nie powinien się włączać w bieg historii.

Po raz pierwszy znalazłem się w gabinecie lekarskim doktora Rotha. Do tej pory psychiatra zawsze odwiedzał mnie w sali chorych.

- Jest pan w błędzie - powiedziałem. I po raz pierwszy od wielu tygodni prowadziłem z nim rozmowę albo przynajmniej podjąłem taką próbę.

- Słucham?

Uniosłem rękę i pokazałem nabój, który mi wręczył.

- Nie przestrelilem sobie głowy czymś takim.

- A czym?

- Pociskiem, który tkwi tu w środku. Powszechny błąd żółtodziobów. Zawsze myślą pocisk z nabojem.

- Mądrała - powiedział Roth, ale się uśmiechnął. Potrząsnął głową i oparł ręce na biodrach. - No, przynajmniej odzyskał pan mowę.

Wyjął z kitla długopis z latarką i pochylił się nade mną. Bronilem się, kiedy chciał zaświecić mi w oczy. Była siódma rano, a ja miałem już za sobą kilka badań i zdałem wszystkie testy na objawy odruchowe. Pomijając zmęczenie, od dawna nie byłem w tak dobrej formie fizycznej.

- Co z Frankiem? - zapytałem.

Roth uniósł brwi, nie marszcząc przy tym czoła. Nie po raz pierwszy zwróciłem uwagę na jego młodzieńcze, niemal chłopięce rysy twarzy; mężczyzna, po którym nie widać upływu lat. Gdyby włożył adidas i spodnie do joggingu, w knajpie pewnie poprosiliby go o dowód osobisty.

- Ma pan na myśli drania, do którego pan strzelał? - zapytał i znów się wyprostował.

Skinąłem głową.

- Rozmawiałem przez telefon z komisarzem Stoyą. Jest pewny, że wkrótce go złapią. Bądź co bądź ciężko pan go zranił. Musiał ukryć się w lesie. Nie może uciec daleko, szukają go z psami.

- Jasne. - Uśmiechnąłem się pogardliwie.

Wkrótce go złapią. Polują na niego od miesiący i za każdym razem tak mówią.

- A co z Schollem?

- Policjantem, który naruszył chyba ze sto przepisów służbowych, kiedy pana stąd uprowadził?

Spojrzał na mnie smutno, jakby już żałował swoich słów. Nieważne, jak Roth był wściekły na samowolne zachowanie policjanta, mężczyzna nie zasłużył na taką karę.

- Nie można jeszcze nic powiedzieć. Właśnie jest operowany.

- Tutaj?

Zostaliśmy przewiezieni dwiema różnymi karetkami.

- Nie. Nie robimy tutaj takich rzeczy. Schwanenwerder jest raczej ośrodkiem rehabilitacyjnym, któremu daleko do w pełni funkcjonującego szpitala. Tutaj nie moglibyśmy sobie pozwolić na leczenie zagrażających życiu, a może nawet śmiertelnych ran postrzałowych.

Śmiertelnych...

Myślałem o Julianie, Nicci i Alinie i zastanawiałem się, czy to normalne, że wszyscy, których kochałem, musiał spotkać taki sam los. Jakby gwałtowna śmierć była wirusem, a ja nosicielem gotowym przekazać go każdemu, kto znalazł się blisko mnie.

Zauważyłem, że odpływam w myślach, jak kierowca, który na moment przysnął, toteż wzdrygnąłem się ze strachu, kiedy Roth znów się odezwał.

- Jak pan zapewne się domyśla, policja ma do pana milion pytań, panie Zorbach, i szczerze mówiąc, ja też chętnie bym się dowiedział, co właściwie wydarzyło się w pana domu. Na miły Bóg, policjant z postrzałem w brzuch, zraniony morderca i, jak słyszałem, nawet psa trzeba było zawieźć na pogotowie weterynaryjne w Duppel.

- Nie mogę teraz o nich rozmawiać - odpowiedziałem i wyczerpany oparłem głowę na rękach.

Roth delikatnie pogłaskał mnie po ramieniu.

- Może pan wierzyć albo nie, ale dzisiaj po raz pierwszy podzielał pana zdanie. Powiedziałem komisarzowi Stoi, że najpierw musi pan odpocząć po stresie i będzie pan mógł zeznawać najwcześniej jutro po południu.

Roth podszedł do biurka i nacisnął przycisk interkomu.

- Siostrze? Pan Zorbach wraca na oddział.

- Nie, znów się pan myli. Roth spojrzał na mnie zdumiony.

- Do diabła, co pan wyprawia? Proszę z powrotem usiąść na wózku!

- Nie. - Zrobiłem krok w jego kierunku, aby mu udowodnić, że dłużej nie pozwolę jemu ani nikomu innemu sobą rządzić. - Jak pan powiedział, doktorze, to nie jest szpital, a ja nie jestem już pana pacjentem. A tak przy okazji, dawno nie czułem się tak dobrze.

Roth potrząsnął głową z osłupieniem.

- Niech pan nie robi głupstw. Obrażenia fizyczne nigdy nie były przyczyną pana chwiejnej psychiki. Wiedziałem, że potrzeba tylko wystarczająco silnego impulsu, aby ponownie aktywować pańską zdolność do regeneracji, dlatego koniecznie chciałem, żeby odwiedziła pana pani Gregoriev. Chwilowa nagła zmiana pańskiego stanu zdrowia nie ma nic wspólnego ze zdrową regeneracją. Przeciwnie, znajduje się pan w fazie paradoksalnej. Na pewno już pan kiedyś o tym słyszał. Ludzie, śmiertelnie chorzy ludzie, czują się lepiej na krótko przed ponownym pogorszeniem stanu zdrowia. Ich organizm ostatkiem sił podrywa się do życia. Jeśli nie da mu pan teraz odpocząć, może się zdarzyć, że już nigdy nie dojdzie do siebie.

I tak już nigdy do siebie nie dojdę, doktorze. Obojętne, co teraz zrobię.

- Bardzo dziękuję. Naprawdę doceniam pana troskę. Ale czy sądzi pan, że będę tu spokojnie leżał, kiedy na zewnątrz szaleją dwie bestie, z których jedna zamordowała mojego syna, a druga uprowadziła moją przyjaciółkę?

Dwie bestie, które coś ze sobą łączy, ale nie potrafię powiedzieć co.

- Nie wydano nakazu aresztowania mnie ani nie ma też podstaw, by pan dłużej mnie tu przetrzymywał.

- Kto tu mówi o przetrzymywaniu? Jest pan...

- ...wolnym człowiekiem, no właśnie. I jako taki chciałbym teraz panu podziękować i się pożegnać. Jeśli trzeba podpisać jakieś papiery, to zrobmy to od razu. Nie zamierzam tracić tu więcej czasu.

Za moimi plecami otworzyły się drzwi, ale Roth dał pielęgniarce znak ręką, żeby wyszła.

- Okay, ubijmy interes - powiedział, kiedy znów zostaliśmy sami.

- Interes?

- Niech pan zostanie jeszcze jedną noc. Jutro zrobimy tomografię, potem na nowo ustawię panu leki i dam listę lekarzy, z którymi będzie pan mógł się skontaktować w razie nagłej potrzeby, i zaraz po śniadaniu opuści pan Schwanenwerder - z moim błogosławieństwem, choć na własne ryzyko.

- Jutro rano Frank będzie daleko stąd, a Alina może już nie żyć.

- Tak jak pan, jeśli zachowa się pan nierozsądnie. Przez chwilę słychać było tylko ciche tykanie ściennego zegara, którego wskazówki posuwały się naprzód miarowym ruchem.

- Zgoda - przystałem na jego propozycję. - Zostanę, ale pod jednym warunkiem.

Roth zasłonił się dłońmi w obronnym geście.

- Jakim?

- Niech pan mnie zaprowadzi do Tamary Schlier. Muszę z nią porozmawiać.

Rozdział 183

Alina Gregoriev

Trzymała się kurczowo. Broniła się ze wszystkich sił, lecz ostatecznie jej rozpaczliwy wysiłek okazał się daremny. Sen raptownie się urwał, razem z rozproszonymi koszmarowymi obrazami, które rozwiały się natychmiast, kiedy Alina się budziła.

W pierwszej chwili była zdezorientowana; nie wiedziała, gdzie się znajduje i dlaczego całe ciało jest takie obolałe. Wtedy przypomniała sobie ukłucie w prawą rękę; zastrzyk, który zrobił jej Suker, kiedy nie chciała przestać krzyczeć. Kiedy nie mogła przestać! Alina nie mogła znieść, że musi bezradnie się przysłuchiwać, jak na stole operacyjnym obok młoda dziewczyna traci wzrok tylko dlatego, że Suker przygotowywał dla niej tę bezsensowną transplantację. Przez chwilę modliła się do bezimiennego boga, żeby zesłał oddział specjalny, który wyważy drzwi i rozerwie plandeki namiotu operacyjnego. Liczyła na Zorbacha - Do jasnej cholery, Zorbach, gdybyś wiedział, jak mi Ciebie brakuje - któremu mimo ran udałoby się znaleźć jej katownię i w ostatniej chwili zastrzelić chirurga, zanim ten zagłębi skalpel w oku Nicoli. Nikt się nie zjawił, żeby powstrzymać okulistę od przystąpienia do jego diabelskiego dzieła. Jediną osobą, która została unieszkodliwiona i zmuszona do milczenia, była ona sama, za pomocą silnej dawki narkotyku, jeszcze długo po obudzeniu otępiającym umysł. Dopiero gdy zrobiło się jej niedobrze i odwróciła się na bok, aby wymiotować obok stołu operacyjnego, Alina zauważyła, że ma przywiązaną tylko jedną rękę. Lewa była znów wolna.

On nie chce, żebym umarła, pomyślała i nie wiedziała, czy ta myśl miała dodać jej otuchy, czy wzmóc rozpacz. Kiedy już drugi raz w krótkim odstępie czasu została odurzona narkotykiem, najwidoczniej Suker podjął środki ostrożności i zostawił jej taką swobodę ruchu, żeby nie udusiła się wymiocinami, zanim on z nią skończy.

Zacisnęła dłoń w pięść i przypomniała sobie reportaż o jeńcu wojennym, którego ciało oddzielało się od duszy, kiedy cierpiał ból. Tylko tak mógł znieść męczarnie. Dzięki temu nie były to już jego palce, z których wyrywano paznokcie; nie jego zęby, które nawiercano aż do kości szczęki, ale jakiegoś pozbawionego duszy obcego człowieka.

Dawniej Alina nie potrafiła wyobrazić sobie takiej niezwyklej sytuacji. Teraz po raz pierwszy ogarnęło ją uczucie, jakby przesuwała ręką po swoim nagim ciele. Miała wrażenie, że palce, którymi się dotykała, były palcami obcej osoby. Alina pomacała uda, przejechała palcami po biodrach, przycisnęła płaską dłońią brzuch, przesunęła nią po piersiach w górę, zatrzymała się na chwilę na podbródku, a potem nieśmiało i bojaźliwie dotknęła zamkniętych oczu. Kiedy dotarła do tego miejsca, wciąż czuła drogę, którą przebyła, jakby palce wyżłobiły w skórze palącą bruzdę. Przypominało jej to ciężkie oparzenie słoneczne, któremu uległa po długim dniu spędzonym na plaży w Santa Barbara, gdy była małą dziewczynką. Poszła tam z koleżanką i zlekceważyła upomnienie matki, żeby nawet przy mocno zachmurzonym niebie posmarować się kremem. Jeszcze przez trzy dni po owym popołudniu płakała, kiedy wkładała T - shirt.

A jak długo będzie to trwać tym razem?, zadała sobie pytanie, kiedy otworzyła oczy.

Trzy tygodnie? Trzy miesiące? Kiedy tym razem przestanie boleć?

Coś w środku mówiło jej: Nigdy. Już nigdy nie będzie dobrze.

Nie wolno jej było się temu poddać. Musiała pogrzebać myśl o tym w najdalszym kącie świadomości, zanim zatruje w niej wszelką nadzieję.

- Negatywne myśli są jak bakterie - powiedział jej kiedyś John. - Kiedy już się w tobie zagnieżdżą, mnożą się i zabijają wszelką chęć do życia.

- I jaki antybiotyk na to polecasz? - zapytała go żartobliwie, a on bez wahania udzielił poważnej odpowiedzi: - Jest tylko jedno antidotum: przyjaźń.

Przyjaźń, przypomniła sobie Alina, patrząc martwymi oczami w ciemność. John nie powiedział miłość, ponieważ jego zdaniem miłość, jak każde euforyczne uczucie, przemija i jedynie przyjaźń jest czymś trwałym. Ach, John, gdzie są teraz przyjaciele, kiedy się ich potrzebuje?

Alina obmacywała metalowe więzy, w których tkwiła jej prawa ręka, i szarpnęła łańcuchem, co przyniosło tylko taki skutek, że zdarła sobie skórę z nadgarstka.

Cholera, John, nie ma cię tu. Zorbacha też nie ma. Nie ma tu nikogo, żeby mnie ratować.

Rozpaczliwie krzyczała, wierzgała nogami, waliła stopami o stół i wzbierała w niej coraz większa wściekłość z powodu bezsensowności swojego zachowania.

Wrzeszczała jak w bólach porodowych, które miały wycisnąć z jej ciała strach i rozpacz.

Minęła chwila, aż zmęczyła się tak bardzo, że zabrakło jej powietrza, aby krzyczeć. Upłynęły kolejne minuty, zanim umysł znów przejął kontrolę i zastanawiała się, czy Suker usłyszał jej załamanie nerwowe.

Albo sąsiad?, pomyślała i znów pomyślała o Johnie, który na pewno skinąłby przyjaźnie w jej kierunku, ponieważ teraz ponownie weszła na ścieżkę pozytywnego myślenia.

Prawdopodobnie muszę po prostu robić dostatecznie dużo hałasu, a wtedy jakiś przechodzień zwróci na mnie uwagę. Na mnie i na...

Przestraszyła się, kiedy uświadomiła sobie, że odkąd się obudziła, jej współwięziarka nie wydała z siebie głosu.

- Nicola?

Brak odpowiedzi. Wokół panowała cisza, nie było słycać nawet brzęczących szmerów oddechowych dziewczyny.

- Nicola, jesteś tu jeszcze? Żyjesz jeszcze?

Odwróciła się w prawo i wyciągnęła wolną rękę najdalej, jak mogła. Nic.

Nie spodziewała się, że czegoś dotknie. Jak powiedziała Nicola, ich stoły dzieliło trzydzieści, czterdzieści centymetrów; za daleko na rękę, którą macała dookoła w ciemności.

Znów wybuchł w niej gniew, znów szarpnęła łańcuchem i tym razem ku jej zaskoczeniu nastąpiła zmiana. Najpierw sądziła, że pociągnęła tak mocno, że jej ciało przesunęło się na leżance do tyłu, ale ponieważ miała przywiązane do stołu również stopy, było to niemożliwe. Z tego ruchu, jeśli nie stanowił on urojenia, można było wysnuć tylko jeden wniosek:

Poruszyłam stołem.

Alina zaśmiała się głośno.

Do diabła, sama przejechałam przez to pomieszczenie razem ze stołem operacyjnym.

Nawet jeśli tylko kilka centymetrów i nie wiedząc, czy dzięki temu jej położenie zmieniło się na lepsze, czy na gorsze. Ale kiedy człowiek osiągnie punkt krytyczny, każda zmiana jest postępem.

Prawda, John? Ty też byś tak myślał, mam rację?

Ten nowy zwrot sytuacji przynajmniej wnosił trochę światła do ciemności jej i tak niepewnego losu: po pierwsze, teraz wiedziała, że jej prawa ręka została przyczepiona łańcuchem do stałego, nieruchomego przedmiotu, prawdopodobnie do znajdującej się za nią ściany. Po drugie, uzyskała potwierdzenie, że stół operacyjny stał na ruchomych kółkach.

Wymyśliła, żeby tak długo ciągnąć za łańcuch, aż dojedzie do ściany. Ale już po kilku centymetrach, które kosztowały ją morze potu, porzuciła ten zamiar, kiedy zorientowała się, że koniec leżanki przesunął się w prawo i uderzył w inny ruchomy przedmiot.

„Pomiędzy nami stoi stół na kółkach z kilkoma szufladami, jak w szpitalu, jeśli ci to pomoże” - przypomniała sobie opis Nicoli.

Delikatny metaliczny brzęk potwierdził jej przypuszczenie, z czym się zderzyła, a przy tym zderzyć się było nieodpowiednim słowem. Jej stół tylko lekko dotknął pomocniczego stolika, ale to wystarczyło, aby w narzędziach chirurgicznych zrobił się bałagan.

Alina odważyła się na drugą próbę, jeszcze raz obróciła się w prawo wokół własnej osi i jak najdalej wyciągnęła lewą rękę w stronę, gdzie, jak podejrzewała, musiał stać stolik pomocniczy.

Już chciała się poddać, kiedy środkowy palec trafił na zimny gładki kant. Zaryzykowała i ponownie pociągnęła za więzy, w nadziei że teraz przysunie ukośnie ustawioną leżankę bliżej stolika, i rzeczywiście...

Bingo! Okrzyk wściekłości, który chciała właśnie wydać, o mały włos nie zamienił się w okrzyk radości, ponieważ stolik znalazł się w zasięgu ręki, a to, czego dotknęła, nie okazało się kantem, tylko... tylko uchwytem! Cholera, super, mam w dłoni uchwyt szuflady!

Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego poczuła się taka szczęśliwa, była też daleka od tego, żeby się nad tym zastanawiać. Po prostu cieszyła się, że mogła coś zrobić, nawet jeśli to coś polegało jedynie na tym, żeby przyciągnąć do siebie uchwyt górnej zamkniętej szuflady stolika. Kiedy wreszcie jej się to udało i lewą, w dalszym ciągu obcą dłonią dotknęła gładkiej powierzchni, mogła się głośno cieszyć.

Mam cię!, pomyślała w porywie emocji. To był twój błąd, ty popaprańcu, i drogo za niego zapłacisz. Powinieneś tu lepiej posprzątać.

Alina sięgnęła do nerkowatej miski, którą wymacała na stole, i nie przestała się cieszyć nawet wówczas, kiedy znajdujący się w niej skalpel rozciął jej kciuk. Myślała tylko o tym, że znalazła broń.

Trochę wolniej i bardziej ostrożnie, aby się więcej nie zranić, centymetr po centymetrze obmacywała stół, tak że upłynęło trochę czasu, zanim znalazła najpierw plastikową miskę, a potem cienki sznurek.

Sznurek, świetnie. Jej uczucie euforii jeszcze wzrosło. Prawdopodobnie nici do opatrunku.

Jeśli sznurek był dostatecznie długi, mogłaby zaciągnąć go Sukerowi wokół szyi i wbić mu nóż w oko.

W euforii nie zwróciła uwagi na dziwną konsystencję nitki, która była wilgotna, a przy tym wydawała się elastyczna. Potem zorientowała się, że na sznurku wisi jakiś ciężar, wprawdzie bardzo filigranowy

Do diabła, co to jest?

Ciągnęła nić tak długo, aż całkowicie wyjęła ją z miski i jej koniec znalazł się w jej palcach.

Po chwili zwymiotowała. Dotarło do niej, czym było to coś na końcu nici. W dotyku przypominało obrane winogrono, które miało wielkość mniej więcej ludzkiego oka.

Rozdział 188

Alexander Zorbach

Kiedy Julian przyszedł na świat, położna w sali porodowej położyła mi go na ramieniu ze słowami: „Mówią, że jak się wygląda chwilę po urodzeniu, tak samo będzie się wyglądało w chwili śmierci”.

I rzeczywiście bezzębne usta Juliana, jego cienkie kości, pomarszczona szyja i rzadkie rozczochrane odstające włosy przypomniały mi mojego ojca w szpitalu, tuż przedtem, zanim postanowił wydać ostatnie tchnienie.

Myśl, żeby już w chwili narodzin widzieć w lustrze śmierć, nie opuszczała mnie od tamtej pory ani na chwilę, chociaż nie potrafiłem wyrazić słowami głębszego znaczenia, jakie jej przypisywałem.

Również dziś, kiedy siedziałem na drewnianym krześle w przyciemnionym pokoju i czekałem, żeby Tamara wreszcie wzięła ode mnie notes, myślałem o słowach położnej. Jeśli jej teza była prawdziwa i jeśli umierający ludzie z powrotem przyjmują rysy twarzy niemowlęcia, to Tamara z pewnością urodziła się z szeroko otwartymi, podkrążonymi oczami i liszajem na twarzy.

- Pięć minut - zgodził się Roth po początkowych protestach. - I tylko pod warunkiem, że włoży pan fartuch operacyjny, żeby moja pacjentka nie była narażona na większą ilość kurzu niż zazwyczaj.

Odkąd wszedłem w tym ubraniu do pokoju, Tamara nawet nie drgnęła. Liczyłem się z tym, że niezapowiedziana wizyta wywoła u niej atak strachu. Ale prawdopodobnie wzięła mnie w tym stroju za lekarza. Ofiara Sukera siedziała spokojnie na łóżku, zamyślona, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Zmięte prześcieradło leżało na podłodze pod gołymi stopami. Chude ramiona sterczały jak sople lodu pod szpitalną nocną koszulą. U kogoś innego najpierw rzuciłyby mi się w oczy nieumyte, pozlepiane w strąki włosy, których kolor był trudny do określenia w niebieskim świetle nocnej lampy; albo skulone przygarbione plecy, na widok których od razu pomyślałem o swojej babci: ze słowami: „dziecko, siedź prosto”, dawała mi klapsa zawsze, kiedy tylko zobaczyła, że siedzę w niewłaściwej pozie. Ale nie mogłbym odwrócić wzroku od przerażających oczu Tamary, nawet gdyby miała ona dwa nosy i troje uszu.

- Przykro mi z powodu tego, co panią spotkało - powiedziałem. Nie mogłem oderwać spojrzenia od obu ran pod okularami do nurkowania.

Wyglądało to tak, jakby napuchnięte gałki miały wypłynąć z oczodołów. Chociaż Tamara wytrzeszczała oczy w moim kierunku, nie byłem pewny, czy w ogóle jest świadoma mojej obecności.

- Czy pani wie, że Zarin Suker znów jest na wolności?

Przyglądałem się, czy to nazwisko wywoła u niej jakąś reakcję, ale niczego takiego nie zauważyłem. Za to uświadomiłem sobie, że Tamara musiała być kiedyś bardzo atrakcyjną kobietą. Regularne rysy twarzy, nos ani za duży, ani za mały, delikatnie wydęte wargi bez sztucznego wspomaganie. Gęste włosy, wysokie czoło i równe białe zęby. Elementy jej urody były wciąż widoczne, przez co okaleczenie wyglądało jeszcze bardziej przerażająco.

- Wiele wskazuje na to, że Suker uprowadził moją bardzo dobrą przyjaciółkę - powiedziałem. - Nazywa się Alina Gregoriev i jest niewidoma. Na pewno potrafi pani sobie wyobrazić, jak ona musi czuć się w tej chwili, ślepa, wydana na pastwę bestii.

Wydawało mi się, że zobaczyłem, jak usta Tamary zadrżały, ale nie byłem tego pewny.

- Wiem, że nie chce pani rozmawiać o człowieku, który pani to zrobił. Proszę mi wierzyć, że jestem osobą, która potrafi to zrozumieć. Moje życie też legło w gruzach.

Teraz i moje usta zadrżały i nie mogłem nic na to poradzić. Smutek jest jak trzęsienie ziemi. Przychodzi bez ostrzeżenia i powoduje niekontrolowane skutki.

- Moja żona została zamordowana, moje dziecko uprowadzone i zabite. I jak wiele na to wskazuje, bestię, która mi to zrobiła, łączy coś z Sukerem.

Wstałem i podszedłem do ściany naprzeciwko jej łóżka. Ściana była pokryta rysunkami.

Moje oczy przyzwyczyły się już do mrocznego światła. Zauważyłem, że niektóre rysunki były jeszcze nie ukończone, niezgrabne i przerwane w połowie kreski. Inne stanowiły niemal identyczne kopie obrazka, który wisiał w pokoju mojego syna: dom w Dorferblick, nasza dawna posiadłość rodzinna namalowana z perspektywy chłopca mającego wtedy dziewięć lat. Naliczyłem co najmniej tuzin prac w formacie A4.

- Dlaczego?

Przyszedłem na tę rozmowę zupełnie nieprzygotowany, ale teraz dobrze wiedziałem, do czego zmierzam. Chociaż cisnęły mi się na usta tysiące pytań, które mógłbym zadać Tamarze, byłbym szczęśliwy, gdyby stan umysłu pozwolił jej odpowiedzieć choćby tylko na jedno z nich. I dlatego musiałem je starannie wybrać.

- Dlaczego pani to narysowała?

Na zewnątrz, za zasłoniętym żaluzjami oknem, z daleka zazgrzytał przejeżdżający pociąg towarowy i przyłapałem się na tym, że zapragnąłem, aby mnie stąd zabrał.

- Nie chcę od pani zeznania świadka, Tamaro. Nie chcę poznać szczegółów pani męczarni. Proszę tylko o odpowiedź na jedno pytanie i natychmiast zniknę z pani życia. Ten motyw, tutaj - na chybił trafił postukałem palcem w jeden z rysunków - narysował mój syn, Julian. Chciałbym wiedzieć, dlaczego pani...

- Julian? - zapytała. Zesztywniałem.

- Słucham?

Tamara wciąż siedziała apatycznie na brzegu łóżka. Gdyby jej klatka piersiowa nie poruszała się tak wyraźnie pod nocną koszulą, można by pomyśleć, że jest lalką.

Albo że nie żyje.

- Julian Zorbach?

Jej język wyskoczył z ust jak wąż, zwilżył popękane wargi i z powrotem się schował. Gdybym tego nie widział, prawdopodobnie uznałbym jej słowa za akustyczną halucynację.

- Tak. Czy pani go zna? - zapytałem i znów usiadłem na krześle, tym razem okrakiem, żebym nie musiał się opierać.

- W takim razie pan musi być Alexandrem.

Ponownie potwierdziłem, wyprowadzony z równowagi zwrotem, jaki nagle nastąpił w naszej rozmowie. Ale rozmowa miała przyjąć jeszcze bardziej pogmatwany obrót.

- Dzięki Bogu, że pan przyszedł - powiedziała z ulgą. - Już straciłam nadzieję.

- Skąd pani mnie zna?

Potrząsnęła głową, jakby nie wolno jej było tego powiedzieć. Potem wyciągnęła rękę.

- Najpierw niech pan mi da wiadomość!

- Wiadomość? Jaką wiadomość?

Ledwie zapytałem, na udręczonej twarzy Tamary pojawiło się przerażenie.

- To... To nie ma pan ze sobą kartki?

Z jej okaleczonych oczu popłynęły łzy. Zastanawiałem się, czy powinienem ją ująć za ręce i czy intymny dotyk nie spotęguje nagłego wybuchu uczuć. W mgnieniu oka między nami utworzyła się niewidzialna emocjonalna granica, której nie miałem odwagi przekroczyć.

- Przykro mi, nie wiem, o czym pani mówi, Tamaro.

- W takim razie wszystko stracone - powiedziała zdławionym głosem, jak ktoś, kto pogodził się ze swoim losem. - W takim razie to wszystko było daremne.

Już chciałem powiedzieć, że nie mogę jej pomóc, jeśli będzie mówić zagadkami, ostatecznie zdecydowałem się obrać inną strategię.

- Okay, Tamaro, być może rzeczywiście wszystko jest stracone, ale w takim razie już nie musi pani się tu dłużej ukrywać, prawda? Ponieważ i tak wszystko jest daremne, nie ma powodu do milczenia i może pani mi się zwierzyć.

Poruszałem się po cienkim lodzie, gdyż nie wiedziałem, czy moja logika w ogóle znajdzie zrozumienie w jej pogmatwanym, być może nawet obłąkanym świecie przeżyć; lecz Tamara po prostu kiwnęła głową, jakby w przeciwieństwie do mnie zrozumiała, co miałem na myśli.

- Sądzę, że ma pan rację.

Spojrzałem w górę w obiektyw kamery noktowizyjnej umieszczonej w suficie, dzięki której można było pacjentkę obserwować, nie włączając światła. Roth zapewnił mnie, że w tej chwili kamera została wyłączona.

- Myślę, że mogę przestać malować te obrazki - powiedziała cicho.

Wskazałem na ścianę.

- Co pani sobie po tym obiecywała?

- Moje życie. Moją wolność. - Pociągnęła nosem. - Teraz to już przeszłość. - Znów odwróciła się do mnie. - Wszystko jest już przeszłością.

Gumowa uszczelka jej okularów tworzyła nad kością jarzmową zaporę, która coraz bardziej napełniała się łzami.

- Obawiam się, że wciąż nie rozumiem, Tamaro. W jaki sposób te malunki ściennie mogły dać pani wolność?

Zaszlochała.

- To była nasza umowa. Miałam zabazgrać ściany pokoju, aby wszyscy myśleli, że jestem umysłowo chora...

- ...i dlatego nie może pani zeznawać przeciwko Sukerowi?

- Tak.

Tamara krnąbrnie zacisnęła usta.

- Rozkaz brzmiał, rysować tak długo, aż któregoś dnia zjawi się pan.

- Ja?

- Tak, dlatego tak się ucieszyłam, że wreszcie pan przyszedł i przyniósł mi wiadomość, a więc zyskam wolność. Wtedy przestanę rysować i już na zawsze będę miała spokój. Taka była nasza umowa, rozumie pan?

Tak, nawet to rozumiałem. W sytuacji, kiedy na próżno oboje staraliśmy się trzymać brzegu, aby nie wciągnął nas wir obłędu, w słowach Tamary rzeczywiście był jakiś sens.

- Jaką wiadomość? - zapytałem.

- Trzy słowa. Miał mi pan przekazać kartkę z pamiętnika, na której powinny być trzy słowa.

- Jakie?

Nachyliła się do mnie i uniosła brwi, wskutek tego jej podkrążone oczy jeszcze bardziej wyszły na wierzch.

- Tran nie fok - powiedziała. Zrobiło mi się zimno.

„Tran nie fok” - co to ma znaczyć? Skąd ona zna tę pozbawioną sensu kombinację słów z dziennika mojego syna? I dlaczego miałbym przekazać jej tę niezrozumiałą wiadomość?

- Nie rozumiem - wyjąkałem zgodnie z prawdą.

Kiedy zaczęła zamalowywać ściany, Suker siedział w więzieniu. W jaki sposób rysunek Juliana trafił w ręce okulisty? Dlaczego wybrał właśnie ten? I jak doręczył go Tamarze?

- W jaki sposób Sukerowi, który przecież siedział w areszcie śledczym, udało się wyrzucić na pani taką presję, że symulowała pani chorobę umysłową i odmówiła złożenia zeznań? - Spośród wszystkich swoich myśli wybrałem najbardziej natarczywe pytanie. W odpowiedzi Tamara zaśmiała się rozpaczliwie.

- Naprawdę pan nie wie? - zabrzmiało to jak pytanie, ale było stwierdzeniem. - Przecież tutaj nie chodzi o Sukera. Facet już dawno dostał to, czego ode mnie chciał. Zniszczył mi życie i jesteśmy rozliczeni. Teraz już da mi spokój.

Popatrzyłem na nią i poczułem się jak kierowca, który jedzie z włączonymi reflektorami przez mroczną, spowitą gęstą mgłą okolicę. W gąszczu obłądu nie mogłem jeszcze rozpoznać przeszkody, choć przeczuwałem, że za chwilę nastąpi śmiertelne zderzenie, jeśli nie uda mi się zjechać w najbliższą boczną drogę.

- Jeśli nie Suker... - zapytałem z wahaniem - to kto wzbudza w pani tak ogromny strach?

Z Tamary jakby uszło powietrze i jeszcze bardziej skurczyła się w sobie. Jej odpowiedź sprawiła, że strach, który nas wszystkich dręczył, ujrzeliśmy w jeszcze bardziej beznadziejnym świetle.

Rozdział 194

Alina Gregoriev

- Nicola?

Prawdopodobnie dziewczynę obudziło załamanie nerwowe, ale Alina nie była tego pewna. A być może po prostu ustało działanie środków usypiających i tylko przypadkiem Nicola zaczęła jęczeć w chwili, kiedy Alina przestała krzyczeć.

- Hmm...

W pierwszej chwili ogarnął ją wstyd na myśl, że dźwięki, które wydawała Nicola leżąc na stole operacyjnym obok niej, brzmiały, jakby była upośledzona. W szkole w USA oprócz Aliny w klasie był jeszcze jeden kaleki chłopiec: Luter, u którego zbyt późno zdiagnozowano głuchotę, i dlatego nigdy nie nauczył się dobrze mówić. Zawsze kiedy Luter chciał coś powiedzieć, czynił to, wydając gardłowe dźwięki, podobne do tych, jakie teraz wydobywały się z ust Nicoli.

- Hej, mała, słyszysz mnie? - zapytała Alina. Dziewczyna nie zareagowała, w każdym razie nie od razu.

Minęła chwila, zanim Alina wyłowiała pierwsze słowo z niezrozumiałego bełkotu.

- Gdzie...? - Nicola zrobiła przerwę, nabrała powietrza i zaczęła od nowa: - Co się stało?

Jej głos drżał jak w gorączce i było w nim słychać niewymowne zmęczenie. Mamrotała i wydawała przy tym syczące dźwięki, jakby była pijana.

- Nie wiem - skłamała Alina.

Zatajenie przed nią prawdy z pewnością było oznaką słabości, ale, na Boga, była słaba, a poza tym miała nadzieję, że się myliła; że to, co razem ze skalpelem wyslizgnęło jej się z rąk, nie było okiem ludzkim.

Pytania Nicoli rozwiały jednak tę nadzieję:

- Dlaczego to tak boli? Dlaczego tak bardzo boli mnie głowa?

Ponieważ nie było na nie niosącej pociechę odpowiedzi, Alina ograniczyła się do najbardziej wytartego ze wszystkich frazesów, którego używa się w sytuacji, kiedy trzeba ubrać w słowa coś, czego wolałoby się nie mówić.

- Tak mi przykro.

Leżąc obok Nicola przeraźliwie szlochała.

- Do diabła, co on mi zrobił? Nie czuję lewego oka.

Jej głos drżał, wypowiadała słowa trochę wolniej i można było wyczuć, że kiedy mówiła, przypominała sobie, co wydarzyło się tuż przed operacją.

Jak Suker wychwalał dwubarwność jej źrenic, jak brał skalpel do ręki. Jak tłumaczył, do czego potrzebuje jej rogówki...

Alina odruchowo jeszcze raz dotknęła oczu, aby ponownie stwierdzić, że u niej wszystko jeszcze jest w porządku. Żadnego plastra, żadnego szwu. Tylko tępy ucisk pod powiekami nasilił się, co tłumaczyła sobie ogólnym zmęczeniem. Znow się zawstydzila, tym razem dlatego, że poczuła taką ulgę.

- Dupa, dupa, dupa... - Ostatnie przekleństwo Nicoli przeszło w przeraźliwe skrzeczenie.

- Ciiiiiii... Uspokój się, mała.

Bo znow przyjdzie Suker, a to byłoby za wcześnie. Nie mam jeszcze żadnego planu.

- Uspokoić się? Powiedziałaś, żebym się uspokoiła, ty przeklęta dziwko?

- Posłuchaj, rozumiem...

- Czy ty rozumiesz, że ten łajdak pociął mi oczy? Oczy?

Alina przeniosła ciężar ciała na prawy bok i odwróciła się do sąsiedniego stołu.

- Nicola, czy ty zupełnie nic nie widzisz? Dziewczyna westchnęła.

- Fuck, nie. Jest ciemno, wyłączył wszystkie światła.

- Ale czujesz coś, kiedy mrugasz.

- Co...? Tak, kurwa, ale tylko w prawym oku.

Nicola oddychała krótko i intensywnie przez nos, jakby chciała naśladować lokomotywę.

- Odwróć głowę w moją stronę.

- A po co...? - Dziewczyna westchnęła, nie kończąc zdania, i sądząc z brzęczenia łańcuchów, próbowała się poruszyć.

- Widzisz to tutaj?

- Nie, ale... ale widzę twoją rękę. Machasz do mnie - powiedziała Nicola.

- Dobrze, bardzo dobrze.

- Dobrze? Nic nie jest dobrze. Leżę przywiązana na stole operacyjnym i nie mam jednego oka! - Ostatnie słowa znow wykrzyczała histerycznie. Nicola z pewnością jeszcze dłużej

wrzeszczałyby jak oparzona, gdyby atak kaszlu nie odciął jej dopływu powietrza.

- Do diabła, kim ty jesteś? - wycharczała chwilę później. - I dlaczego nie jesteś już przykuta łańcuchem?

Alina często słyszała o ludziach, którym wskutek tragicznego przeżycia nagle posiwiały włosy. Chociaż kolory nic jej nie mówiły, poczuła, jakby również głos dziewczyny stracił zwykłą barwę. Naraz stał się otępiały, uszło z niego życie i postarzał się o całe lata.

- Przez sześć miesięcy nic mi nie zrobił - powiedziała. - A teraz zjawiasz się ty. Ty, ty... - Sądząc po jej głosie, Nicola najchętniej splunęłaby przed Aliną na podłogę. - Jesteś jeszcze gorsza niż ona.

Prawdopodobnie rany psychiczne, które Suker zadał dziewczynie, były już nieuleczalne. I na pewno takie pozostaną, jeśli Nicola nie znajdzie ujścia dla swojego bólu i będzie tłumila w sobie lęki. Dlatego Alina postanowiła dać się dziewczynie wygadać, obojętne, jak bardzo będzie ona jej wymyślać.

Ale ostatnie zdanie nie dawało jej spokoju. Musiała przerwać dziewczynie.

- Gorsza niż ona? - zapytała Alina zdziwiona. - Kto jeszcze oprócz Sukera nas tu więzi?

Rozdział 197

Alexander Zorbach

- Kobieta? Czy Suker ma asystentkę? - zapytałem.

- Tak, nazywa się Iris (Iris - bogini tęczy, skrzydlata posłanka bogów, szczególnie Zeusa i Hery.), ale to nie jest jej prawdziwe imię. Sposób, w jaki Tamara złożyła ręce, sprawił, że wyglądała jak uczennica w gabinecie dyrektora szkoły.

- To taki dwuznaczny żart, za pomocą którego chce w dodatku zadrwić z ofiary.

- I ta Iris pomaga Sukerowi w jego podłych uczynkach?

- Pomaga? - Tamara potrząsnęła głową. - Och nie, nie. Pomagać to złe słowo.

Tamara dotknęła oboma palcami wskazującymi pleksiglasowych szkieł w okularach.

- Czy myśli pan, że to tutaj jest okrutne? Spojrzałem jej prosto w oczy i przytaknąłem.

- W takim razie nie ma pan pojęcia, kim jest Iris. Wstałem, tak po prostu, ponieważ czułem, że muszę coś zrobić. Każde zdanie Tamary coraz bardziej mnie elektryzowało i w tym momencie zapomniałem o własnej ranie.

- Co Iris pani zrobiła?

Przez ciało Tamary przeszedł dreszcz.

- Powiem panu, ponieważ i tak to nic nie zmieni. Ale najpierw muszę się czegoś napić, proszę. Czy mógłby pan być taki miły i przynieść mi szklankę wody?

Odwróciłem się do drugich drzwi, na prawo od wejścia.

- Niech trochę spłynie, lubię zimną - krzyknęła za mną, kiedy wszedłem do łazienki.

Ponieważ również tutaj paliło się tylko oświetlenie awaryjne, na początku miałem kłopoty z orientacją. Jak zwykle w szpitalach łazienka sprawiała wrażenie sterylnej i anonimowej, pomimo znajdujących się tam osobistych rzeczy Tamary. Po prawej kabina prysznicowa, obok sedes, nad nim dyndał czerwony sznurek, za który można było pociągnąć w razie potrzeby. Podszedłem do umywalki, a w tym czasie Tamara mówiła dalej:

- To Iris przecięła mi oczy. Przytaknąłem nieświadomie.

Stąd grube blizny, które w ogóle nie pasują do zręczności rąk Sukera.

Powoli wszystko zaczynało łączyć się w jedną całość. Czułem się jak podczas składania modelu, kiedy zaczyna się od kilku małych elementów i nie wie, ile miejsca zajmie później cały projekt.

- Przygotowywała mnie na ofiarę dla swojego mistrza. Nosila maskę, żebym nie mogła zobaczyć jej twarzy

Umywalka była duża i łukowato wygięta, ale miała za mało miejsca po bokach, żeby coś na niej położyć. Szczoteczka do zębów Tamary leżała obok wyciśniętej do połowy tubki pasty Colgate, nie było tam kubka do płukania zębów.

- To Iris przykuła mnie łańcuchem w lustrzanym pokoju, gdzie zostałam zgwałcona przez Sukera.

Spojrzałem do góry w lustro nad umywalką i przestraszyłem się. W pełnym oświetleniu widok byłby jeszcze bardziej paskudny. Wyglądałem jak otyły niegdyś stary mężczyzna, który o wiele za szybko pozbył się nadwagi. Policzki były zapadnięte, twarz sprawiała wrażenie mizernej i wycieńczonej, jakby miała się rozpaść, gdyby nie podtrzymywał jej opatrunek na głowie.

- Czy są tu gdzieś szklanki? - zapytałem.

- Naprzeciwko prysznic.

Odwróciłem się, otworzyłem drzwiczki małej szafki i na pierwszy rzut oka dostrzegłem tylko artykuły higieniczne, ale po chwili na najwyższej półce ujrzałem plastikowy kubek. Kiedy chciałem go wyjąć, wykonałem niezręczny ruch i zrzuciłem na podłogę kosmetyczkę. Podniosłem ją, a ponieważ była bardzo lekka, w pierwszej chwili pomyślałem, że jest pusta, potem w otwartej do połowy torebce zobaczyłem listy.

Wiele bym dzisiaj dał, żeby ich nigdy nie zobaczyć.

- Wszystko w porządku? - zawołała Tamara, kiedy wlepiąłem wzrok w koperty. W sumie było ich cztery, wszystkie w kremowym kolorze, bardzo eleganckie, takie, jakich używają drogie kancelarie adwokackie.

Dla mojego brata - Dla mojej siostry - Dla taty...

Tamara zaadresowała je wyłącznie do członków rodziny. I każda z nich opatrzona była adnotacją

Moja ostatnia wola

bardzo dobrze widoczną.

- Wszystko jest okay - odpowiedziałem, podszedłem do umywalki i odkręciłem kran. - Znalazłem kubek. - Koperty nie były zaklejone, końcówki służące do zaklejania były tylko wetknięte do środka. - Już idę - krzyknąłem, otworzyłem pierwszą z brzegu kopertę i pośpiesznie przebiegłem wzrokiem początkowy fragment tekstu.

Najukochańszy Tato,

Kiedy będziesz czytać ten list, poczujesz straszliwą udrękę, jaką ci zgotowała, dobrowolnie rozstając się Z życiem, którego nie mogę, już dłużej znieść...

Byłem zbyt zdenerwowany, żeby czytać dalej, i tylko rzucałem okiem na pojedyncze słowa jak

Suker - skalpel - wina - gwałt

i na pierwszy rzut oka nie znalazłem nic, czego się spodziewałem. Ani adresu kryjówki, w której była torturowana. Ani wzmianki o Franku Lahmannie.

- Wszystko okay?

Wzdrygnąłem się. Tamara stała za mną w drzwiach, ale jak długo trzymałem w rękach jej testament, nie mogłem się odwrócić, a więc pośpiesznie wetknąłem list za pasek spodni, wyciągnąłem na wierzch koszulę i zakręciłem kran.

- Voila - powiedziałem i podszedłem do niej. - Zimna, tak jak pani sobie życzyła.

Długo na mnie patrzyła w milczeniu, a ponieważ nie mogła mrugać, czułem się, jakby poddawała mnie przesłuchaniu. W końcu Tamara skinęła głową, wzięła ode mnie kubek i razem poszliśmy z powrotem do jej łóżka, gdzie znów usiadła na brzegu.

- Powiedziała pani, że uszkodzenie oczu nie było najgorsze? - znów podjąłem temat. Musiałem się śpieszyć. Czas, który przyznał mi Roth, już dawno się skończył, i w każdej chwili musiałem liczyć się z tym, że psychiatra przerwie naszą rozmowę.

- Hm. - Zanim Tamara powiedziała coś więcej, wypita kilka dużych łyków wody, zostawiając tylko trochę na dnie kubka. - Aaach, bardzo dziękuję, tego mi było potrzeba. - Oblizła wargi. - Cierpienia fizyczne były straszne. I wciąż takie są. Ale Iris nie ograniczyła się do zranienia tkanek, mięśni albo kości. Chciała całkowicie zniszczyć moje ciało i duszę.

- Jak to zrobiła?

- Została moją przyjaciółką. Poruszyłem brwiami.

- Co pani ma na myśli?

- To, co powiedziałam. Iris jest perwersyjną sadystką. Któregoś dnia usłyszałam odgłosy w pokoju z klatkami dla zwierząt, w których przetrzymywaliśmy nas Suker. Charczące, chore. Wydawane przez dziewczynę albo kobietę, nie potrafię dokładnie powiedzieć, ponieważ była bardzo przeziębiona. Kaszłała. I nie mogłam jej zobaczyć, bo jej klatka stała za kolumną.

Tamara nerwowo wypijała ostatni łyk wody.

- Mówiła, że też jest tu więziona. Gorzko płakała, pocieszałam ją, a jednocześnie ona dawała mi nadzieję, ponieważ uwierzyłam, że znalazłam towarzyszkę niedoli, której mogłam zwierzyć się ze wszystkich swoich lęków.

- Ale tak nie było?

- Nie. - Tamara zgmiotła kubek. - Mówi się, że wróg może cię zranić, zniszczyć potrafi tylko przyjaciel. Dzięki Iris poznałam prawdziwy sens tej mądrości. Dziewczyna w klatce obok mnie nie była więźniem, rozumie pan? Iris cały czas udawała.

Rozdział 201

Alina Gregoriev

- Ilu pomocników ma Suker? - zapytała swoją współwięźniarkę Alina, obmacując metalowe oczko za sobą. W ostatnich minutach udało jej się kawałek po kawałku przyciągnąć swoją leżankę do ściany, do której był przymocowany łańcuch jej kajdanek. Jeśli nie zawodziła jej orientacja, znajdowała się na końcu pomieszczenia, dokładnie naprzeciwko drzwi wejściowych.

Wolną ręką macała po omacku za sobą. Plastikowa folia, z której Suker zbudował prowizoryczny namiot operacyjny, przylegała do tynku, zostawił tylko miejsce na oczko, przez które był przeciągnięty łańcuch.

- Czy oprócz Iris są jeszcze jacyś asystenci?

Było ważne, aby wiedzieć, z iloma przeciwnikami musiałyby walczyć, gdyby zaistniała możliwość ucieczki.

- Nie, tylko ona i Suker - odpowiedziała Nicola. - W każdym razie nie widziałam nikogo więcej.

- A jak często ona się pojawia? Czy była tu w ostatnich godzinach?

- Nie. Od dawna jej tu nie było. Nie widziałam jej od czasu naszej bójki.

Nicola zaszlochała, prawdopodobnie właśnie sobie uświadomiła, że w przyszłości już nigdy niczego nie zobaczy

- Jakiej bójki? - zapytała Alina. Jej palce natknęły się na nacięcie w ostatnim ogniwie łańcucha połączonym z oczkiem w ścianie.

- To było kilka tygodni temu. Pomyślałam wtedy, że teraz koniec ze mną. Iris jak zawsze przyniosła mi jedzenie i przez nieuwagę potknęła się o wiadro na nieczystości. Chciałam wykorzystać okazję, aby zerwać jej z głowy maskę z pończochy. Dotąd nie widziałam jej twarzy.

- Udało ci się?

- Tak, niestety. Nigdy nie zapomnę zdumienia na jej twarzy. Mam na myśli, wyglądała tak... - Nicola szukała odpowiedniego słowa - ...tak normalnie. Jak kobieta, która siedzi w okienku na poczcie, albo jakoś tak. Spodziewałam się potwora z zajęczą wargą, pryszczami i zarostem, ale nie dostrzegłam na jej twarzy niczego odpychającego. Była nawet umalowana, wyobrazasz sobie? Cienie do powiek, jasnobrązowa szminka i tak dalej, cały makijaż nie jak u obłąkanej, tylko bardzo

staranny. Pomyślałam: Do diabła, ta dziwka się maluje przed wejściem do izby tortur, i prawdopodobnie to był mój błąd. Nie powinnam była tak długo myśleć, tylko po prostu uciekać. Miałam taką dobrą okazję i ją zmarnowałam.

Być może dzisiaj dostaniesz jeszcze jedną szansę, pomyślała Alina, ogarnięta nagłym uczuciem szczęścia. Jej przypuszczenie się potwierdziło. Zaczep na końcu łańcucha był ruchomy. Karabińczyk!

- W każdym razie Iris wyszła z siebie, całkiem oszalała, uderzyła mnie kantem dłoni w krtań i pomyślałam, że się uduszę - mówiła dalej Nicola. - Raz po raz waliła moim czołem o kraty klatki, aż straciłam przytomność. Unosiłam się gdzieś między niebem a piekłem, czułam jeszcze, jak ciągnie mnie za włosy po kafelkach na podłodze piwnicy do pomieszczenia, gdzie całe ściany i sufit były wyłożone lustrami, i tam przywiązała mnie do leżanki. Możesz wierzyć albo nie, ale gdyby Suker wtedy mi nie pomógł, już bym nie żyła.

Wskutek wielu wypowiedzianych słów podniecony głos Nicoli stawał się coraz bardziej ochrypły, jej relację co rusz przerywały napady kaszlu.

- Iris dostała wścieklizny. Cały czas wrzeszczała do Sukera: „Ona mnie widziała! Widziała moją twarz, Zarin! Musimy ją zabić!”.

- Jak zareagował? - zapytała Alina. Serce jej waliło, jakby wbiegła po schodach, do tej pory nie udało jej się tak nacisnąć haczyka w karabińczyku, żeby wyjąć go z oczka w ścianie. Miała wolną tylko jedną rękę, akurat lewą, i jej zdrętwiałe palce ciągle ześlizgiwały się z haczyka.

- Suker próbował uspokoić Iris. Tłumaczył jej, że nie wolno poświęcać czegoś tak rzadkiego jak ja. Ale Iris w ogóle go nie słuchała. Nagle w jej ręce pojawił się nóż i wrzasnęła: "W takim razie zrobię to sama!". Trzymała nóż obiema rękami, jak siekiere, pamiętam jeszcze, jak się posikałam ze strachu, ponieważ byłam pewna, że teraz to już koniec.

Wtedy uderzył. Ale jej przywalił, pomyślałam, ponieważ głośno trzasnęło, kiedy jego pięść grzmotnęła ją w skroń. Upadając, Iris mocno chwyciła się mojej ręki i gdybym nie była przywiązana, upadłabym razem z nią. Nie powiedziała już nic więcej, ani słowa, jakby Suker wyłączył ją pilotem, i pamiętam, jak nagle dobrze się poczułam, kiedy

spojrzałam w te przeklęte lustra, które były wszędzie, i zobaczyłam Iris leżącą z głową na podłodze obok mojej leżanki.

Głos Nicoli zaczął się łamać.

- O rany, tak się wstydzę, ale nie mogę inaczej. Od tamtej pory nie potrafię nienawidzić Sukera tak bardzo jak wcześniej, rozumiesz?

Alina skinęła głową.

- Tak, aż za dobrze.

W naturze człowieka leży to, aby do samej śmierci wierzyć w siłę dobra, nawet wtedy, kiedy spotyka zło w najczystszej postaci. Przez to, że Suker uderzył Iris, wzbudził w swojej młodej ofierze nieuzasadnioną nadzieję, że ma on jeszcze w sobie ludzkie cechy. Suker jej nie oszczędził, lecz tylko podporządkował sobie, choć tego oczywiście Nicola nie mogła zrozumieć w swoim traumatycznym stanie.

Alina ponownie spróbowała odczepić karabińczyk. I ponownie jej się nie udało.

- Myślę, że leżałam tam, skrupowana i zasikana, a mimo to byłam naprawdę szczęśliwa i przez cały czas myślałam: Boże, spraw, żeby nie żyła. Dobry Boże, spraw, żeby Iris umarła.

- Ale tak się nie stało? - zapytała Alina, wściekła, że skurcz w dłoni zmusił ją do zrobienia przerwy.

- Nie wiem. Suker podał mi środek usypiający, a kiedy się obudziłam, nie byłam uwięziona w klatce, ale w normalnej celi. Przyszedł i powiedział, że teraz nie muszę się już bać. Przecież byłam jego wyjątkiem. Dlatego cały czas nie leczył mnie tak jak innych.

Leczył, pomyślała Alina. Znowu eufemizm bólu, męczarni i niewyobrażalnego strachu. Czowała, jak narasta w niej wściekłość, i to było dobre, ponieważ wściekłość wyzwoliła w niej niespodziewaną siłę.

Do diabła, Zorbach, ty głupi draniu, to wszystko twoja wina. Dlaczego musieliśmy się spotkać?

Alina postanowiła, że od razu na dzień dobry kopnie go w pizszel, jeśli jeszcze kiedykolwiek będzie miała ku temu sposobność. Będę cię kopać, bić po twarzy, drapać, a potem... poczuła, jak rośnie jej ciśnienie w oczach, kiedy manipulowała przy karabińczyku ...a potem zastanowie się, czy odgryzę ci język, kiedy cię pocałuję, ty stary skurwysynu.

Z przerażeniem stwierdziła, że właśnie pomyślała o starym Zorbachu. O człowieku, który nie siedział bezradny na wózku inwalidzkim, któremu nie zamordowano żony i którego syn jeszcze żył.

O jedynym mężczyźnie, który stał się jej tak bliski, że pragnęła, aby jeszcze kiedyś mogła zobaczyć jego twarz. Przy czym była to myśl, której nie powinna do siebie dopuszczać. Byłoby to przyznanie się, że jakaś jej część pragnęła, żeby Suker naprawdę przeprowadził na niej operację.

- Co się potem stało? - Alina spróbowała się odwrócić.

- Suker pogłaskał mnie po głowie, znów powiedział, że jestem czymś wyjątkowym i dlatego nie pozwoli, żeby ktoś mnie zabił. I że Iris nie jest już jego asystentką. Rozstał się z nią i przeniósł mnie w miejsce, gdzie będę bezpieczna i gdzie nikt mnie nie znajdzie.

- I od tamtej pory nie widziałaś Iris?

- Nie. A po pewnym czasie nawet Suker zniknął. Powiedział, że wyjeżdża na krótko, i sądzi, że nie będzie go przez weekend albo coś takiego. Ale z dni zrobiły się tygodnie i jeszcze do wczoraj myślałam, że zdechnę tu, w tym lochu. I tak by się stało, gdyby nie zostawił w celi dość wody i sucharów.

To musiało być wtedy, kiedy siedział w areszcie, przemknęło Alinie przez głowę. Była to dobra i jednocześnie zła wiadomość: po pierwsze, Suker znów pracował sam, a więc był tylko jeden przeciwnik. Po drugie, policji nic nie da szukanie starej kryjówki. Również zeznanie Tamary było w tym punkcie bezwartościowe, ponieważ Suker przeniósł izbę tortur w inne miejsce.

Alina chciała właśnie zapytać Nicolę, czy spotkała Tamarę, kiedy była więziona. Wtedy nagle coś kliknęło i poczuła, że może swobodnie poruszać ręką. W pierwszej chwili ogarnęła ją tak wielka euforia, że wydała głośny radosny okrzyk.

- Co z tobą? - zapytała lękliwie Nicola.

Wyjaśniła dziewczynie, czego właśnie udało jej się dokonać, gdy Nicola opowiadała jej o Iris.

- I co z tego? Kiedy wróci, tylko go to rozwścieczy. I tak nadal nie możesz stąd uciec.

- Ale mogę usiąść.

Alina oparła się na łokciach i jęknęła. Tak długo musiała pozostawać w skrzyżowanej pozycji, że było jej trudno przyjąć normalną postawę. W każdym razie nie mogła się szybko wyprostować, nie ryzykując utraty przytomności.

- No dobra, siedzisz. Znów masz wolne obie ręce. A jak chcesz uciec ze stołem operacyjnym pod tyłkiem?

- Nie mam pojęcia. Ty mi powiedz.

- Ja?

- Powiedz mi, co mam robić? Rozejrzyj się! Czy jest tu coś, czego mogłabym się chwycić albo od czegoś się odepchnąć, żeby podjechać kawałek do przodu?

- Dokąd chcesz podjechać?

- Mówiłaś, że przy drzwiach jest przycisk alarmu pożarowego. Jak mam się tam dostać?

- Nie wiem. Stąd cię nie widzę. Racja, jestem daleko za tobą.

- Ale ja cię słyszę. Powiedz mi, czy koło ciebie jest coś, od czego mogłabym się odepchnąć.

- Nie. Nie ma nic takiego. Drzwi pomiędzy nami, ale są ruchome. Może plandeka, jeśli ją zerwiesz. Choć ona jest za daleko, nie dosięgniesz jej.

Trudno, pomyślała Alina. Liczyła się z tym. Tyle szczęścia naraz to byłoby za dużo. Pozostaje jeszcze tylko plan B.

- Nicola?

- Tak.

- Teraz mnie dobrze posłuchaj, przykro mi, inaczej się nie da. Jeśli mam nas stąd wyciągnąć, być może będę musiała sprawić ci trochę bólu.

- Co? - Nicola nerwowo wierzgnęła nogami na swojej leżance. - Cholera, co, do diabła, chcesz zrobić?

Rozdział 206

Alexander Zorbach

- Iris, albo jak ona się tam dzisiaj nazywa, jest sadystką, taką najprawdziwszą. - Mówiąc to, Tamara uczyniła coś, czemu najchętniej bym zapobiegł, chociaż oczywiście nie miałem do tego prawa. Zdjęła z głowy okulary do nurkowania. Rozległo się ciche mlaśnięcie, a potem gumowa uszczelka oderwała się od jej skóry i pod oczami oraz na czole zobaczyłem głębokie wgniecenie. - Iris jest świetną aktorką.

Na stoliku nocnym stała mała butelka z kroplami do oczu, którą Tamara teraz otworzyła.

- Kameleon, nie poznałby jej pan, gdyby stanęła przed panem. Ja słyszałam zawsze tylko głos, ponieważ nasze klatki znajdowały się dość daleko od siebie. A mimo to uwierzyłam, że łączy nas głęboka więź emocjonalna. Czy myśli pan, że w ogóle przyszłoby mi do głowy, że osoba, przed którą otworzyłam serce, była tym samym potworem, który zamaskowany codziennie w południe przynosił mi jedzenie?

Tamara odchyliła głowę i za pomocą pipetki wpuściła sobie po dwie krople roztworu do każdego oka. Kiedy skończyła, wyglądała tak, jakby płakała krwią.

- Och, Iris była cholernie cwana - ciągnęła. - Nie tylko zachowywała się tak, jakby cierpiała od ran, które rzekomo zadał jej Suker. Udało jej się nawet wzbudzić we mnie poczucie winy. Czułam się podle, ponieważ ominął mnie kielich goryczy i ktoś inny zamiast mnie musiał znosić ból.

Tamarę przeszedł dreszcz, wziąłem ją za rękę. Palce miała zimne i drżące, nie cofnęła ich, kiedy je ścisnąłem.

- Iris zachowywała się bardzo sprytnie, a ja byłem głupią krową. Bo ona nie zabiegała o moje współczucie. Raczej przeciwnie. Wymyślała mi, była zrozpaczona i zachowywała się tak, jakby sama już się poddała. Dopiero to wzbudziło we mnie instynkt opiekuńczy.

- W jakim celu?

- Żeby rozwścieczyć Sukera. W każdym razie nie znajduję innego wytłumaczenia. A może Iris jest po prostu tylko obłąkana i zła do szpiku kości? Kto wie? Sądzę, że manipuluje swoją ofiarą, aby ta uczyniła coś, co tak rozwścieczy Sukera, że jego gwałt stanie się jeszcze okrutniejszy.

- Do czego Iris panią nakłaniała? - zapytałem i w tej samej chwili zacząłem się bać jej odpowiedzi.

Tamara odetchnęła ciężko.

- Och, do wielu rzeczy. Początkowo planowałyśmy, że razem popełnimy samobójstwo. Obie chciałyśmy się otruć, żeby uciec z tego piekła. Pokazała mi, jak mogę zbierać pod językiem tabletki nasenne, które powinnam codziennie połykać, aby zgromadzić wystarczający zapas. Potem nagle zachowywała się tak, jakby była jeszcze jakaś nadzieja. Pokazała mi, jak otworzyć od środka klatkę, kiedy podniesie się podłogę. I oczywiście tak to zaaranżowała, że kiedy odważyłam się na ucieczkę, wpadłam prosto w ręce Sukera.

Cały czas masowałem jej dłonie i dziwiłem się, że mimo mojego dotyku jej palce nie chcą się rozgrzać.

- Czy wciąż boi się pani Iris?

- Nie. Kartka z dziennika Juliana byłaby moją przepustką do wolności. Gdybym dała jej tę kartkę, Iris zostawiłaby mnie w spokoju. Nie mam pojęcia, dlaczego było to dla niej tak ważne, ale takie są reguły Teraz kiedy okazało się, że pan jej nie ma, nie mogę jej pokazać i dlatego wszystko jest skończone.

Ziewnęła.

- Rozumiem, że jest pani zmęczona. Jeszcze ostatnie pytanie: W jaki sposób Iris się tu dostała? Schwanenwerder jest strzeżoną twierdzą. Jak mogła przynieść pani rysunek mojego syna i zawrzeć z panią ten układ?

- Och, Iris wchodzi wszędzie. Nie ma takiego miejsca, gdzie byłabym przed nią bezpieczna, ona ma...

Przy ostatnich słowach urwała w pół zdania. Jej głowa lekko przechyliła się na bok, tylko na chwilę, potem Tamara znów skorygowała postawę ciała, tak jakby na krótko przysnęła.

- Wszystko w porządku? - zapytałem.

- Tak, w najlepszym porządku - powiedziała i uśmiechnęła się.

Był to pierwszy i zarazem ostatni uśmiech, jaki miałem zobaczyć na twarzy Tamary. Odtąd wszystko potoczyło się bardzo szybko.

Jeszcze nie dotarło do mnie to, czego byłem świadkiem, gdy Tamara osunęła się bokiem na łóżko. Jej nogi wciąż zwisały z łóżka i drżały nierytmicznie.

- Tamara?

Pochyliłem się nad nią. Źrenice uciekły jej w głąb, widać było tylko białka, pociągnąłem za linkę dzwonka alarmowego, która znajdowała się nad głową.

- Tamaro, czy pani mnie słyszy?

Miała pianę na ustach, dusząc się, próbowała ją wypluć.

- Mówiłam przecież, że wszystko skończone - wykrztusiła w konwulsjach. - Niech mi pan pozwoli odejść...

Zwinęła się z bólu i wcisnęła pięść do ust. Kiedy chciałem ją wyjąć, aby ułatwić jej oddychanie, odkryłem małą plastikową torebkę między palcami.

- Dlaczego? - zapytałem bezradnie.

Za moimi plecami ktoś z impetem otworzył drzwi. Do pokoju wpadło światło i Tamara krzyknęła.

- Co tu się dzieje? - Roth odepchnął mnie na bok. - Co pan jej zrobił?

- Nic - powiedziałem zgodnie z prawdą i w tej samej chwili zrozumiałem, dlaczego Tamara posłała mnie wcześniej do łazienki. - Musiała połknąć tabletki. Tabletki nasenne, środek odurzający, coś, co pan jej codziennie daje. Musiała gromadzić je pod językiem.

Tak jak pokazała jej Iris.

Roth patrzył na mnie zdumiony. Do pokoju wpadli sanitariusze. Nie tracąc czasu, wywieźli Tamarę razem z łóżkiem z pokoju. Aby chronić oczy, położyli jej ręcznik na głowie, wyglądała teraz jak trup.

Przez jakiś czas stałem bez ruchu w pokoju, który w pełnym świetle i bez łóżka przypominał puste pomieszczenie gospodarze.

Potem sprawdziłem, czy list, który ukryłem za paskiem spodni, ciągle jest na swoim miejscu, i pobiegłem za orszakiem z umierającą kobietą.

Rozdział 209

Alina Gregoriev

- Auaaaa, cholera, kobieto!

Nicola krzyknęła z bólu głośniejszy, niż to było usprawiedliwione, jak uznała Alina, lecz nawet w najśmielszych snach nie pomyślała, żeby ją upomnieć. Stałaby się przez to jeszcze bardziej przekorna.

- Sorry, mówiłam ci, że może trochę boleć, jeśli dobrze nie wceluję.

Znowu ściągnęła łańcuch, którym niedawno była przymocowana do ściany i który teraz rzuciła w poprzek pomieszczenia w stronę stołu operacyjnego Nicoli. Ręce dziewczyny zostały przywiązane mocno do ciała, dlatego trudno jej było go złapać. Do tej pory Alinie nie udało się rzucić łańcucha w taki sposób, żeby Nicola mogła chwycić karabińczyk. Próbowwała już dwa razy, raz nie dosięgnęła stołu, a teraz trafiła dziewczynę w głowę.

- Pudło, cholera.

Tym razem zakłęła Alina, ponieważ także czwarta próba chybiła celu.

- Nie rzucaj tak daleko i trochę bardziej w prawo.

- Robię, co mogę.

Ale to nic nie dało. Dopiero kiedy w ostatniej próbie Alina już na spokojnie i zupełnie nie licząc na sukces, cisnęła łańcuch w kierunku Nicoli, z drugiego rogu pomieszczenia usłyszała okrzyk radości.

- Hej, ekstra. Yes. - O ile jeszcze przed chwilą Nicola zrzędziła jak rozkapryszona nastolatka, o tyle teraz krzyknęła jak dziecko z zachwytem, że wreszcie się udało.

- Masz go? Dobrze trzymasz?

- Nawet obiema rękami. To był idealny rzut, w poprzek moich bioder.

Nareszcie.

Alina pociągnęła za łańcuch, najpierw ostrożnie, potem z coraz większą ufnością, i kawałek po kawałku przysuwała się do Nicoli.

To działa! To naprawdę działa!

Odległość stopniowo się zmniejszała, ponieważ kółka pod stołem operacyjnym Nicoli były na szczęście zablokowane. Zdarzyła się chwila grozy, kiedy pomiędzy nimi zaklinował się stolik pomocniczy. W tym momencie były już tak blisko siebie, że Alina znów czuła zapach potu swojej towarzyszki niedoli. A potem pokonały ostatnie centymetry.

Chociaż domyślała się, że Nicola znajduje się w zasięgu jej dłoni, w pierwszej chwili Alina nie odważyła się wyciągnąć ręki, z irracjonalnego strachu, że mogłaby trafić w pustkę i Nicola rozwiałyby się jak fatamorgana.

W końcu przemogła się i dopiero kiedy jej palce dotknęły grubej lnianej tkaniny i zaraz potem płaskiego brzucha, najchętniej by się rozplakała.

- Cześć - szepnęła. Zwykle niewidomi nie dotykają twarzy obcej osoby, żeby ją „poznać” - hollywoodzka kalka, która zawsze gorszyła Alinę. Ale teraz musiała wiedzieć, z kim była tu więziona. Z kim przechodziła to piekło.

- Cześć - odpowiedziała Nicola. Trzęsa się na całym ciele. Westchnęła, kiedy palec Aliny prześlizgiwał się po jej brodzie i policzkach. Zadrżała, kiedy musnął jej nos. Jęknęła, kiedy dotknął opatrunku na lewym oku.

- Przykro mi. - Alina cofnęła rękę. Rana ją otrzeźwiła i wróciła do rzeczywistości. Gdzieś tam na zewnątrz grasował szalenciec, który przecina dziewczynom oczy i w każdej chwili może wrócić.

- Nie wolno nam marnować czasu, Nicola.

- Tak, ale co mamy robić?

- Wcześniej zrzuciłam na ziemię nerkę ze skalpelem.

- I co?

- Sądząc po dźwięku, zmiotłam ze stołu jeszcze inne przedmioty. Widzisz coś na podłodze?

- Nie, jest za ciemno.

Dobrze, w takim razie musimy to zmienić.

- Najpierw opisz mi nasze położenie. W jakim miejscu pomieszczenia się teraz znajdujemy?

- Pokonałaś jakiś metr, nie więcej.

- A drzwi?

- Są tak samo daleko jak przedtem. Tyle tylko że teraz jesteś trochę dalej na prawo przy mnie.

Alina chwyciła brzeg stołu Nicoli i posługując się obiema rękami, przeciągała się wzdłuż niego.

- Posuwam się teraz w kierunku wyjścia, zgadza się? - wyjęczała. Ostry kant wrzynał się jej w dłoń. Długo nie wytrzyma tego wysiłku.

- Tak, ale nie zapominaj, że właściwe drzwi znajdują się za plandeką. Nawet jeśli odepchniesz się ode mnie powiedziała Nicola, która przejrzała plan Aliny - nie uda ci się dotrzeć do wyjścia.

Obyś się myliła, pomyślała Alina, ze wszystkich sił, jakie jej jeszcze zostały, zaparła się o stół Nicoli i odepchnęła.

Cholera!

- Przecież mówiłam - usłyszała głos Nicoli, którą z powodu niepowodzenia ogarnęła taka złość, że się zakrztusiła i znów zaniósła kaszlem.

Leżanka Aliny obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni i zatrzymała tuż przed plandeką, równoległe do drzwi wyjściowych. Kobieta obmacywała ruchomą foliową ścianę, której powierzchnia przypominała w dotyku płaszcz przeciwdeszczowy.

- Gdzie jest ten przeklęty zamek?

Zanim Nicola zdążyła odpowiedzieć, Alina już usiadła i znalazła suwak, za pomocą którego otwierało się służę namiotu operacyjnego.

- I co dalej? - zapytała Nicola. - Świetnie, otworzyłaś przejście. Jak już powiedziałam, właściwe drzwi, umywalka i ten czerwony przycisk obok niej znajdują się półtora metra dalej.

- Teraz chyba już widzisz przez służę wyjście? - zapytała Alina.

- Tak, przez wąską szparę.

- Super, idealnie.

- Przestań wreszcie z tym swoim zasranym „super, idealnie”. Tutaj nic nie jest idealne. Otworzyłaś zamek błyskawiczny i dwie części plandeki zwisają z sufitu, cudownie, świetnie. Ale nawet o centymetr nie zbliżyłaś się do drzwi wyjściowych. I co teraz?

- Teraz znów potrzebuję twoich oczu.

- Chciałaś powiedzieć, że potrzebujesz mojego jedyne oka - poprawiła ją Nicola.

- Sorry, to chyba nie jest odpowiednia pora na taką drobiazgowość? Po prostu powiedz mi, co widzisz! Czy w pobliżu mnie jest coś, co może mi pomóc?

- Nie, do diabła. A co miałyby tam być? Latające nożyce do cięcia drutu, którymi przetniesz więzy na nogach? Dobra wróżka, która spełni trzy życzenia?

- Daruj sobie te głupoty, powiedz mi lepiej, czy mogę się tu czego przytrzymać i przeciągnąć bliżej wyjścia. - Teraz ona też podniosła

głos. - W przeciwieństwie do ciebie ja przynajmniej próbuję coś robić, a nie zalewać się...

- Hej, chwileczkę - przerwała jej Nicola z oburzeniem.

- Co?

- Być może coś tam jest. Dasz radę jeszcze trochę rozsunąć plandekę?

- Tak dobrze?

Alina pociągnęła folię, jakby to była zasłona.

- Jeszcze bardziej. Musisz szeroko otworzyć śluzę, jak najszerzej. Najlepiej, jeśli całkiem zerwiesz folię.

- Po co?

- Bo wydaje mi się, że na wysokości twojej głowy, tuż za plandeką, stoi wieszak na ubrania.

Wielki Boże. Co to nam da?

Alina pociągnęła za folię ze sztucznego tworzywa i usłyszała trzeszczenie nad głową.

- Do czego jest przyczepiona plandeka, Nico?

- Nie mam pojęcia. Do zwykłego zasranego haka, ale musi mocno siedzieć, bo nawet nie drgnął. I nie nazywaj mnie Nico.

Alina pociągnęła mocniej i poczuła, że płachta została naderwana, a mimo to nie udało jej się wyrwać z zamocowania pod sufitem.

- To na nic.

- Musisz to zrobić - popędzała ją Nicola.

- Tak, a to dlaczego? Skąd wiesz, że wieszak za mną jest mocno przytwierdzony do podłogi? Nawet jeśli do niego podjadę, co to da, skoro nie będę mogła odepchnąć się od niego, żeby podtoczyć się bliżej drzwi?

- Przecież wcale nie o to chodzi.

- A o co?

- Na stojaku wisi fartuch Sukera. Ja chyba śnię.

- Sądzę, że w tym momencie nagość jest moim najmniejszym problemem, Nicola.

- Nie rozumiesz.... - W głosie dziewczyny dało się słyszeć jeszcze większe podniecenie. - Suker miał na sobie ten fartuch, kiedy mnie operował.

- I co z tego?

- I zanim mnie uśpił, zauważyłam, że włożył do kieszeni pęk kluczy.

Rozdział 214

Philipp Stoya i Martin Roth

- Co to ma znaczyć? Jak to pan nie wie, gdzie on jest?

Stali przed poczekalnią izby przyjęć w Waldklinik Zehlendorf, oddalonej od Schwanenwerder o kilka minut jazdy samochodem i Stoya nie miał zamiaru zniżyć głosu, nawet kiedy przechodząca obok pielęgniarka upomniała go spojrzeniem.

- Schwanenwerder jest strzeżone przez całą dobę. W jaki sposób Zorbach mógł tak po prostu wyjść?

Roth wykonał lekceważący ruch ręką, który wyraźnie sygnalizował, że nie ma najmniejszej ochoty tłumaczyć się policjantowi - i odwrócił się na pięcie.

- Hej, mówię do pana! - Stoya złapał psychiatrę za ramię.

- Nie, pan krzyczy - powiedział Roth, ale się zatrzymał. - Być może zapomniał pan, panie komisarzu, że na Schwanenwerder ochrona pilnuje, żeby nikt tam nie wszedł. Tamtejsi pacjenci nie są więźniami, mogą przychodzić i wychodzić, kiedy chcą, jeśli nie ma ku temu przeciwwskazań medycznych.

- Aha, czyli postrzał w głowę nie jest dla pana wystarczającym przeciwwskazaniem medycznym? - Stoya stuknął się w czoło. - To niepojęte.

- Tylko dla przypomnienia! - Roth wymachiwał palcem wskazującym przed piersią policjanta. Najchętniej nadziałby na niego tego zarozumiałego dupka. - To pana kolega Scholokowsky wczoraj w nocy, wbrew mojej woli, podpisał papiery potrzebne do zwolnienia Zorbacha.

- Z czego będzie się musiał wytłumaczyć, gdy tylko obudzi się z narkozy - powiedział Stoya, ale teraz trochę ciszej. Jeśli w ogóle się obudzi - zawisło niewypowiedziane między nimi.

Psychiatra podszedł do niego krok bliżej. Jako lekarz nie potrafił inaczej. Kiedy patrzył człowiekowi w twarz, zawsze szukał oznak, z których mógłby wyczytać stan zdrowia rozmówcy, nawet teraz. Cienie pod oczami Stoi, popękane wargi oraz zmatowiałe włosy były bardzo wymownym znakiem i wskazywały na stan wyczerpania policjanta. Przynajmniej się ogolił, chociaż pośpiesznie, dlatego szyja wyglądała, jakby w wielu miejscach podrapał ją kot.

- Pan Zorbach miewa się zadziwiająco dobrze. Obecnie wydaje się bardzo odporny.

- Aha, i dlatego zamontował pan na Schwanenwerder drzwi obrotowe, żeby mógł wchodzić i wychodzić, kiedy chce?

- Nie. Szczerze mówiąc, byłem nawet za tym, żeby mi towarzyszył. Ponieważ nie mamy oddziału detoksykacji, musieliśmy przywieźć panią Schlier tutaj, i to jak najszybciej.

Za nimi otworzyły się drzwi i musieli zrobić miejsce pacjentce, która z podłączoną kroplówką chciała wyjść ze swojej sali.

- Nie wiemy jeszcze dokładnie, co Tamara połknęła, ale Zorbach był przy niej, kiedy to zrobiła - wyszeptał Roth i zaczął mówić głośniej, dopiero kiedy pacjentka się oddaliła. - Chciałem, żeby od razu mógł udzielić odpowiedzi lekarzom w karetce i tu na miejscu, w razie gdyby mieli jakieś pytania.

- I wtedy on tak po prostu zniknął?

Stoya zacisnął prawą pięść, jakby miał ochotę przyłożyć Rothowi, ale wsadził ją do wypchanej kieszeni marynarki.

Roth nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział go w innym ubraniu. Nawet plama z musztardy na klapie wydawała mu się znajoma.

- Kiedy tu przyjechaliśmy, serce Tamary przestało bić. Jeszcze podczas przewożenia jej na oddział intensywnej terapii lekarze zaczęli ją reanimować. - Roth zmrużył oczy. - Bez skutku, jak pan wie.

Stoya potrząsnął głową zrozpaczony.

- No pięknie. I w tym całym zamieszaniu straciliśmy nie tylko naszego jedyne go świadka, ale na dodatek Alexandra Zorbacha.

- Przykro mi.

- Tak, wielkie dzięki. Teraz pójdę i rozejrzę się, co mogę za to kupić.

Stoya obrócił się na pięcie, lecz jeszcze na chwilę się zatrzymał, jak gdyby coś mu się przypomniało. Otworzył usta, podniósł rękę i po krótkim wahaniu znów ją opuścił.

- Coś jeszcze?

- Niech pan o wszystkim zapomni. - Stoya poszedł w kierunku wind.

- Czy wolno mi spytać, czego pan tak nagle od niego chce? - krzyknął za nim Roth.

- Nie - odpowiedział, nie odwracając się - ale mimo to powiem panu. Są nowe wiadomości o Franku Lahmannie.

Rozdział 217

Alina Gregoriev

Alina czuła się jak umierający z głodu człowiek, który znalazł na pustyni plecak wypełniony po brzegi konserwami, ale niestety nie było w nim otwieracza. Jeśli Nicola miała rację, klucz do wolności znajdował się w fartuchu Sukera, zaledwie kilka centymetrów od niej, ale poza jej zasięgiem. Od wieszaka oddzielała ją cienka plastikowa folia, jednak równie dobrze mógł stać w innym pomieszczeniu. Z miejsca, gdzie znajdowała się Alina, nie dało jej się rozedrzeć gołymi rękami ani ściągnąć z sufitu całej plandeki.

A więc zostaje jeszcze tylko jedna Alina, opierając się na rękach, kawałek po kawałku przesuwała siedzenie do przodu, aż znalazła się na końcu stołu operacyjnego. Jej stopy, mniej więcej na wysokości kostek, obejmowały metalowe mankiety przymocowane łańcuchem do stołu. Łańcuch miał zaledwie kilka centymetrów długości, ale bądź co bądź pozostawiał jej tyle swobody, że mogła się wyprostować.

- Hej, co ty chcesz zrobić? - zapytała przerażona Nicola. Alina nie odpowiedziała. Balansowała na brzegu stołu jak samobójczyni na krawędzi dachu wieżowca i prawdę mówiąc, różnica wcale nie była taka duża. Ona też chciała spaść w nicość i nie wiedziała, czy przeżyje upadek.

- Nie rób tego - krzyknęła Nicola, lecz było już za późno. Alina chwyciła się dwiema rękami plastikowej plandeki i upadła na plecy.

Rozdział 218

Alexander Zorbach

- Skąd pan to ma?

Leonard Schlier opuścił rękę, w której trzymał list, i łokciem otarł łzy spływające mu po policzku, kiedy go czytał.

Salon, w którym siedzieliśmy, był niemy świadkiem bitwy człowieka, który w walce ze starością z każdym dniem tracił grunt pod nogami.

Wiele wskazywało na to, że siedzący naprzeciwko mnie emeryt nie chciał tak po prostu skapitulować. Na przykład starannie rozłożona koronkowa serweta na ławie albo zapach odświeżacza powietrza, którym próbował zatuszować woń tanich tapicerowanych mebli, a przypuszczalnie również własnego ciała. Ale z bliska widać było, że upadek postępuje, powoli i z bezlitosną precyzją. Przy czym pajęczyna nad abażurami była najmniejszym problemem. Nie przeszkadzało mi również przeterminowane mleko, które stary podał mi do kawy. Na znacznie większą uwagę zasługiwały pokryte pleśnią zacieki na suficie oraz kot, który beztrąsko drzemał na parapecie nad kaloryferem i jeśli mnie wzrok nie mylił, zwymiotował obok swojego koszyka. Zbite w grudki włosów na dywanie wydaliny były już twarde i szare, musiały leżeć tam od kilku dni.

Słabnący wzrok, pomyślałem. Kolejna porażka w walce z czasem.

To znaczy, że aby zburzyć duży dom, wystarczy wybić małą szybę i czekać. Kiedy do środka dostanie się wiatr, deszcz i zwierzęta, rozpad jest już tylko kwestią czasu.

Obserwowałem, jak stary człowiek na kanapie poprawia okulary do czytania, i zastanawiałem się, czy ta teoria dotyczy również ludzi. Czy los rzuci kiedyś kamieniem w szybę naszego życia i nie będziemy mogli skorygować skutków tego uderzenia, choćbyśmy się nie wiem jak starali.

- W jaki sposób testament mojej córki trafił w pana ręce? - zapytał Leonard drżącym głosem.

W krótkich słowach przedstawiłem mu dramatyczne spotkanie z Tamarą.

- Teraz leży w Waldklinik na oddziale detoksykacyjnym - zakończyłem w nadziei, że nie została już przeniesiona do piwnicy na patologię. Kiedy się stamtąd wymknąłem, lekarze przeprowadzali

właśnie reanimację. - Jeśli pan chce, mogę tam pana zawieźć - obiecałem chętnie.

Kiedy taksówkarz wysadził mnie pod adresem, który Tamara starannie zanotowała na kopercie, na podjeździe małego domu jednorodzinnego zauważyłem stary volkswagen. Ponieważ jednak od dłuższego czasu znów bolała mnie głowa, nie wiedziałem, czy w moim stanie powinienem prowadzić. Dlatego zaproponowałem:

- Możemy wziąć taksówkę.

- Tak - powiedział Leonard drżącymi ustami. - Dobry pomysł. - Testament wyslizgnął mu się z rąk. - Proszę mi dać trochę czasu. Ja... muszę się najpierw przebrać.

Popatrzył w dół na siebie, wyskubał kilka włosów z ubrania. Wszędzie znajdowała się sierść perskiego kota: na jego sztruksowych spodniach, szlafroku, przyczepiła się nawet do kilkudniowego zarostu, kiedy na początku naszej rozmowy podniósł kota z kolan i przez krótką chwilę się z nim pieścił.

Spróbował wstać, ale widocznie zabrakło mu sił, znów opadł na poduszki i ukrył twarz w dłoniach.

Usiadłem obok niego i objąłem ręką chude ramiona. Jęknął.

- Wie pan, wiedziałem, że do tego dojdzie. Tamara często o tym wspominała.

- Czy kiedykolwiek rozmawiał pan z córką o Sukerze? Leonard Schlier spojrzał na mnie.

- List był otwarty, panie Zorbach. Zakładam, że pan go czytał, mam rację?

Przytaknąłem i poczułem się jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku.

- Spokojnie, nie mam do pana pretensji. Znam pana z telewizji. Stracił pan rodzinę. Nie rozumiem tylko, co Tamara miała wspólnego z pańskim losem.

- Ja też chciałbym to wiedzieć. Trzymam w ręku kilka luźnych nitek, ale kiedy za nie pociągam, wszystko jeszcze bardziej się gmatwa. Po prostu tego nie rozumiem. Pańska córka skopiowała rysunek mojego syna na polecenie pewnej kobiety - asystentki Sukera - która prawdopodobnie brała udział w uprowadzeniu mojej dobrej przyjaciółki.

- Iris - przytaknął Leonard.

- No właśnie, Iris.

Wydawało się, że Iris była brakującym ogniwem w łańcuchu łączącym Juliana, Franka, Tamarę i Alinę. To z jej powodu przyjechałem tu, do małego domu jednorodzinnego. W Nikolassee, tuż przy plaży, niedaleko dawnego przejścia granicznego Dreilinden. Zachęcony wskazówkami w testamencie Tamary.

- Proszę mnie zrozumieć, panie Zorbach, moja córka właśnie próbowała odebrać sobie życie. Nie jestem w stanie panu pomóc, nie wiedziałbym nawet jak.

- Hm, myślę, że pan jednak wie - powiedziałem i zdjąłem rękę z jego ramienia. Ciężko mi to przyszło, jednak czas uciekał i była już najwyższa pora, aby skończyć z polityczną poprawnością. - Czy przeczytał pan do końca ostatnią wolę swojej córki? - podniosłem kartkę, która wysliznęła mu się z rąk, wygładziłem papier i szukałem najważniejszego fragmentu.

- Tak, i co?

- Niech pan mi to powie! - spojrzałem Leonardowi Schlierowi prosto w oczy. - Co pańska córka ma na myśli, kiedy pisze na końcu:

To jest mój testament dla Ciebie, Tato. Kiedy już nie będę żyła, Ty pozostaniesz z ciężkim brzemieniem. Ponieważ jesteś jedyną osobą, która zna Iris i wie, jak można ją schwytać, mam nadzieję, że po wszystkim, co ci o niej opowiedziałam, znajdziesz do tego siłę, której mnie zabrakło.

Rozdział 221

Alina Gregoriev

Kiedy Alina upadła, uderzenie o stół operacyjny przeniosło ją w inny świat. Jej głowa z głuchym „pac” mocno walnęła o powierzchnię stołu, ale to wystarczyło na wstrząśnienie mózgu, a nie na utratę przytomności. Dlatego Alina poczuła, że stłukła sobie biodro, kilka kręgow i żuchwę. Ponieważ podczas upadku nieszczęśliwie się odwróciła, wbiła sobie łokieć pod łuk żebrowy. Dwa żebra pękły, na szczęście żadne nie przebiło płuca, mimo to ból był bardziej przenikliwy niż wszystkie bóle, jakich do tej pory doświadczała w życiu. Bardziej przenikliwy niż ten po wypadku, kiedy pijany kierowca nie zauważył jej na przejściu dla pieszych. Gorszy od bólu po eksplozji, która ją oślepiła.

Co prawda nie był tak silny jak dwa miesiące temu, kiedy przycisnęła dłoń do rozżarzonej płyty grzewczej, za to bardziej trwały. Permanentny. I dlatego jeszcze dotkliwszy.

Wydawało się, że nie osiągnął punktu szczytowego i nie słabnie, tylko pozostaje na stałym, niemożliwym do zniesienia poziomie, wybuchając na nowo wraz z każdym oddechem.

Być może to był powód, że tym razem wizje, które jak zawsze pojawiały się pod wpływem reakcji na ból, były wyraźniejsze niż zazwyczaj.

Krótko po tym, jak uderzyła o stół operacyjny, znów doznała uczucia, że znajduje się w innym ciele. Obiema rękami trzymała się za głowę i patrzyła obcymi oczami, tkwiąc w siódmach sceny, którą już знаła.

Usłyszała głos kobiety: - To twoje zasłużone znaleźne. - Potem wokół niej zrobiło się ciemno i kolejny raz poczuła ostatnie rozpaczliwe myśli umierającego, które już raz czuła; przed kilkoma dniami, kiedy dotknęła Sukera w areszcie. - Chcę z powrotem dostać moje pieniądze. - Potem rozpaczliwe: - Ale być może to tutaj rzeczywiście jest sprawiedliwą karą za moje winy. Być może, gdybym wtedy Juliana...

Inaczej niż w więzieniu, w tym miejscu obrazy się nie urywały. Osoba, w której się znajdowała, w śmiertelnej walce ostatni raz otworzyła oczy - i zobaczyła...

Kobietę. Kobieta wyglądała jak jej matka, tak jak we wszystkich wizjach postaci nabierały cech jej rodziców, ponieważ nie pamiętała innych twarzy.

Kobieta idzie przez pokój. Widzę kuchenkę, taką jak ta, na której mama gotowała dla nas kaszę mannę. Boli mnie, jęczę, ale kobieta nie zwraca na mnie uwagi. Odwraca się plecami i otwiera górną szufladę szafki kuchennej, wyjmując z niej coś, czego nie znam, i dlatego nie mogę zobaczyć. Klęka obok szafki i pochyla się nad... tak, nad inną kobietą. Włosy spadają jej na twarz jak zasłona, opiera się o kilka prętów. O kaloryfer. Ręka zwisa, przywiązana na wysokości głowy do żeberka. Nie może się uchylić, krzyczy, jakby ją ktoś obdzierał ze skóry: „Nie, nie rób tego!”. Ale kobieta tylko się śmieje i szarpie ją za włosy do tyłu, żeby uwięziona otworzyła usta. Potem wtyka jej w usta przedmiot, który wyjęła z szuflady szafki.

Ogłuszający strzał katapultował Alinę z powrotem do rzeczywistości.

Rozdział 223

Z ostrym dźwięczeniem w uszach prześlizgnęła się ze świata halucynacji do morza bólu. Rzeczywistość była nie do wytrzymania, jeszcze gorsza niż wizja, która ją opuściła, a mimo to Alina się śmiała. Głośno, na całe gardło, nie zważając na połamane zębra, które przy każdej konwulsji wwierały się w nią, ale nie z taką intensywnością, która wywoływałyby wizje. Zrobiłam to.

Po jej upadku stół operacyjny stanął dęba jak narowisty koń i przez chwilę się bała, że razem z nim przewróci się na bok, ale potem stół odzyskał stabilność.

Do diabła, naprawdę to zrobiłam!

Mocno trzymała plandekę namiotu i ciężarem ciała wyrwała ją z zamocowania w suficie.

- Hej, nie śpij. Pośpiesz się! - usłyszała wołanie Nicoli.

Teraz, kiedy w pełni odzyskała przytomność, Alina mogła z zaciśniętymi ustami stosować się do jej poleceń. Fartuch faktycznie wisiał w zasięgu ręki na metalowym stojącym wieszaku, ukośnie za jej głową. Trochę się odwróciła i już sam ten wysiłek sprawił, że łzy stanęły jej w oczach, ale bolesny trud się opłacił. Tak jak dziewczyna przypuszczała, klucze Sukera znajdowały się w zewnętrznej kieszeni i od razu je wymacała.

- Szybciej, ruszaj się - popędzała Nicola, kiedy już trzymała w ręku brelok z dwoma kluczami. Alinie szumiało w uszach, jakby spędziła dłuższy czas w dyskotecce. Najchętniej by się teraz położyła, odpoczęła, zdrzemnęła chwilę, żeby znów nabrać sił...

Towarzyszka niedoli miała rację, trzeba się śpieszyć. Suker mógł wrócić w każdej chwili. Z pewnością szalenięc szykował się właśnie do następnej operacji.

Do mojej operacji.

Było ważne, aby nie tracić czasu, a więc znów się podniosła, i nie zważając na protesty ciała, nachyliła się.

- Pasują? - zapytała Nicola, jeszcze zanim Alina miała szansę wypróbować klucze. I przez moment Alina była pewna, że nigdy do tego nie dojdzie, ponieważ jej dłonie po prostu za bardzo drżały, aby znaleźć zamek przy mankiecie, w którym tkwiła jej stopa, nie mówiąc już o dziurce do klucza.

- Nie dam rady! - krzyknęła Alina w ciemność. Słyszała kiedyś, że widzącym pokazują się w oczach gwiazdy, kiedy znajdują się na krawędzi wyczerpania, i w tej chwili wyobraziła sobie, co mają na myśli, nawet jeśli, co oczywiste, nie widziała nic takiego.

- Dasz radę - Nicola próbowała dodać jej odwagi. - Jestem pewna, nie poddawaj się.

„Co ty tam wiesz, ty wstrętna nieznośna dziewucho - krzyknęła Alina, nie wiedząc, czy na głos, czy tylko w myślach. - Łatwo ci mówić. To nie ciebie boli głowa i nie ty masz połamane żebra. To nie ty musisz włożyć klucz do zamka...”

Alina wstrzymała oddech.

Zamek, o mój Boże, ten zamek i ten klucz... Mdłości podeszły jej do gardła, ale przełknęła je, ponieważ mały klucz w jej dłoni... rzeczywiście pasuje. Mogę go włożyć. Nie, nawet lepiej, mogę go... przekręcić!

Rozległo się kliknięcie, bolec puścił.

Była wolna.

Powtórzyła czynność z drugą nogą, łańcuch opadł, a wraz z nim ogromny duchowy ciężar. Usłyszała, jak mankiety uderzają o podłogę, i nie poczuła oporu, kiedy podciągnęła nogi.

Uczucie szczęścia, które ją teraz ogarnęło, było porównywalne z działaniem zastrzyku z morfiny. Wprawdzie tylko na kilka chwil, ale cały ból ustąpił i znów mogła oddychać pełną piersią.

- Udało mi się! - To, co przedtem pomyślała, teraz wykrzyczała na całe gardło.

- Ekstra, super, hura. - Nicola krzyczała z radości, ściszyła jednak głos, kiedy powiedziała: - A teraz do mnie. Szybko, zanim wróci Suker.

Alina wykorzystała resztę endorfin, aby spuścić nogi ze stołu. Jej kończyny były jak z gumy. Musiała się podeprzeć, by w drodze do Nicoli nie ugięły się pod nią kolana, jednak nawet gdyby chciała to zrobić, w pobliżu nie było nic, czego mogłaby się przytrzymać.

Uwolniłam ręce. Razem ze stołem przejechałam przez pół pokoju. Rzuciłam się na głęboką wodę, nie wiedząc, co mnie czeka. Pozbyłam się więzów, a teraz...

- O nie! - Alina zostawiła zamek przy łańcuchu, który krępował ręce Nicoli.

- Co jest?

- Nie pasuje.

- Cholera, jesteś pewna...?

- Tak, jestem pewna. - Alina drżąc, objęła rękami swoje nagie ciało. Rozczarowanie sprawiło, że ból powrócił i poczuła chłód.

- Oba klucze. Sprawdziłam więzy na nogach i na rękach. Nie pasują.

Usłyszała, jak głowa Nicoli z powrotem opadła na stół.

- No tak, teraz wszystko jasne.

- O czym ty mówisz?

Dziewczyna wybuchnęła niepohamowanym płaczem.

- Kobieto, czy nie zauważyłaś, że on uwolnił tylko twoją rękę? - powiedziała Nicola zapłakana. - A przecież to ja zostałam zoperowana. Mnie już sobie odpuścił; ja mogę spokojnie zdechnąć i udusić się własnymi wymiocinami. Teraz ty jesteś jego szczególnym wyjątkiem. To ty nie możesz umrzeć, a mnie spisał na straty.

- Nie wolno ci tak myśleć. - Alina wyciągnęła do niej rękę, lecz Nicola nie chciała wyprostować palców zwiniętych w pięść.

- Nie? Niby dlaczego? Zostało mi już tylko jedno oko, cholera, łeb mi pęka, jest mi niedobrze, a ty zaraz zostawisz mnie tu samą. Sorry, w tej sytuacji raczej trudno mi jest myśleć pozytywnie.

- Nie zostawię cię samej. Nicola zaśmiała się histerycznie.

- Właśnie że tak, ty głupia krowo. Zrobisz to, ponieważ to jest nasza jedyna szansa, słyszysz? Wyjdiesz stąd i sprowadzisz pomoc.

Alina potrząsnęła głową.

- Ukryję się i będę z nim...

- Co, bić się? Jesteś stuknięta? Suker to brutalny gwałciciel, silny jak byk. A ty jesteś mizerną ślepą myszką. Spadaj wreszcie, zanim się rozmyślę.

Alina nie mogła nie podziwiać odwagi dziewczyny. Już ponad pół roku przebywała w piekle, a teraz kazała odejść swojej jedynej sojuszniczce. I chociaż, być może, była to jedyna logiczna decyzja, powzięcie jej świadczyło o sile charakteru dziewczyny

- I weź ze sobą fartuch - przypomniała Nicola, trochę ciszej, kiedy się zorientowała, że Alina odeszła jeden krok od jej stołu.

- Fartuch Sukera?

- Tak. Na dworze jest zimno.

- Zapomnij. Wolę zamarznąć niż włożyć na siebie jakąś jego rzecz.

Ku jej zdumieniu Nicola zaczęła się głośno śmiać.

- Powiedz, właściwie która z nas jeszcze nie dorosła? Wprawdzie jesteś cool babka, ale masz niezłego świra. Jest zima. Weź ten cholerny fartuch.

- Dobrze, mamó.

Alina ostrożnie szła przez pomieszczenie w kierunku, gdzie spodziewała się drzwi. Ponieważ Nicola nic nie mówiła, założyła, że trzyma kurs, i rzeczywiście uderzyła łokciem o wieszak, na krótko zanim dotarła do wyjścia.

Nicola zakaszłała, potem krzyknęła za nią z silnym drzeniem w głosie:

- Proszę cię, uważaj na siebie. Suker już złapał jedną, która chciała uciec. Miała na imię Tamara.

Tamara Schlier, przebiegło Alinie przez głowę, kiedy znalazła kłamkę.

- Co się z nią stało?

- Jej też obciął powieki, tak jak innym kobietom. Tylko że jej nie uśpił.

Odpowiedź jeszcze bardziej zmroziła Alinę. Wymacała fartuch i już chciała włożyć go na siebie, kiedy Nicola powiedziała.

- Hej, i jeszcze coś.

- Co?

- Twoja szyja.

- Co z nią?

- Fajny tatuaż.

Rozdział 227

Alexander Zorbach

- Pada? - zapytał Leonard Schlier i spojrział w okno. Od momentu kiedy wezwał taksówkę, przez cały czas zajmował się starannym sznurowaniem wysokich butów. Kapcie ustawił porządnie jeden obok drugiego pod ławą.

Za każdym razem byłem zdziwiony, że ludzie w ekstremalnych sytuacjach uparcie trzymają się codziennych czynności. Również jako policyjny psycholog, a także później w gazecie bardzo często musiałem przekazywać krewnym ofiar złe wiadomości. Matka, której syn został postrzelony w twarz podczas napadu na stację benzynową, chciała jeszcze szybko uprasować ulubione spodnie, zanim pojechała na identyfikację. Ojciec, którego syn był tak bardzo mobowany przez kolegów ze szkoły, że powiesił się na strychu, nalegał, abym skosztował makaronu, który ugotował na kolację dla rodziny. Wszyscy ci ludzie nie byli ani bezmyślni, ani pozbawieni uczuć, próbowali tylko opóźnić nieuniknione. Wykonywanie codziennych czynności choć na krótko pozwalało zachować pozory nienaruszonego porządku świata, w którym przed wyjściem z domu trzeba się ciepło ubrać, nawet jeśli to wyjście najprawdopodobniej skończy się identyfikacją zwłok córki, jak u Leonarda.

- Jest za zimno na deszcz - odpowiedziałem i wróciłem do tematu, dla którego tu przyjechałem. - Mówił pan, że Iris pracowała w telefonie zaufania?

- Tak. - Stary zostawił w spokoju buty i znów usiadł na kanapie. - Była wabikiem, przynętą. Siedziała jak pajak w sieci i wybierała ofiary dla Sukera.

Zastanawiałem się na głos nad tą nową informacją.

- A więc Tamara miała kontakt z Iris, jeszcze zanim została uprowadzona?

Leonard przytaknął.

- Zadzwoiła do niej. Na jeden z tych przeklętych internetowych numerów, i trafiła na Iris. Rozumie pan, co człowiek czuje, kiedy jego córka woli zwierzyć się obcej osobie przez telefon niż ojcu?

Westchnąłem przytakująco. Jakaś część mnie chciała w tym miejscu przerwać rozmowę. Rozmyślanie o tym, że mój syn już nigdy nikomu nie będzie mógł zaufać, było zbyt niebezpieczne.

- Dowiedziałem się o wszystkim, kiedy już ją znaleziono - powiedział. - W pierwszych dniach czuła się zadziwiająco dobrze. Jej matka już nie żyła, dlatego sam odwiedzałem ją w szpitalu i długo rozmawialiśmy o horrorze, jaki przeżywała. Potem została przeniesiona na Schwanenwerder i z dnia na dzień...

- A tak naprawdę to jakie problemy miała Tamara? - zapytałem łagodnie, kiedy przerwał i zamyślił się.

- Nic straszego - odpowiedział Leonard i zaraz się poprawił, ponieważ bał się, że mógłbym pomyśleć, że chciał umniejszyć kłopoty swojej córki. - W każdym razie nic, czego nie moglibyśmy załatwić w rodzinie. Była molestowana przez przełożonego.

- Seksualnie?

- Nie w sensie gwałtu, ale Tamara bała się, że straci pracę w biurze podatkowym, jeśli nie zgodzi się na jego propozycje. Sądzę... - Uniósł krzaczaste brwi i zaakcentował: - ...jednoznaczne propozycje.

Leonard wstał i zgarnął kocią sierść ze sztruksowych spodni.

- Może poczekamy na taksówkę na zewnątrz? - zapytał nagle. - Bo jeszcze pojedzie dalej.

- Tu w środku jest cieplej - odpowiedziałem, a on przytaknął i trochę nieobecny, znów skierował wzrok na okno.

- Okay, chyba ma pan rację. - Przez chwilę się wahał, jak gdyby nie mógł sobie przypomnieć, na czym stanęliśmy. Potem powiedział: - Pewnego wieczoru - Tamara trochę wypila, ponieważ szef znów zagroził jej zwolnieniem - weszła do internetu i zadzwoniła na pierwszy z brzegu numer, który nieustannie był polecany na forcje. Czy tak się to nazywa?

- Na forum - poprawiłem i powoli zaczynałem rozumieć.

Asystentka Sukera szukała zrozpaczonych kobiet, psychicznie rozchwianych ofiar na anonimowych forach internetowych, i przedstawiała się tam jako uczynny laik. Mogłem sobie tylko wyobrazić posty, jakie zamieszczała w grupach wsparcia:

@ Tammygirl, przypadkiem trafiłam na ten thread. Bardzo mi przykro z powodu twojego szefa. Co za sk&%\$§. Przepraszam za moje słownictwo, ale takie typy wywołują u mnie mdłości. Też miałam takiego, który mnie całkiem zgnoił. Ale wtedy rzeczywiście pomogła mi hotline. Jeśli chcesz, wyślij mi PW, to dam ci swój e - mail. Czasem

dobrze robi porozmawiać z kimś postronnym. Myślę, że po to tu wszyscy jesteśmy?;) greez

- Czy ma pan numer telefonu, na który Tamara dzwoniła? - zapytałem.

- Nie, nie zapisałem go, ponieważ spotykały się w jakimś tajnym pomieszczeniu albo jakoś tak. W ogóle się na tym nie znam.

- W czatroomie?

- Tak, chyba tak to się nazywało.

A więc nie PW, nie prywatna wiadomość.

Na prywatnym czacie rozmowy nie są rejestrowane i nie da się ich odtworzyć.

Teraz ja również podszedłem do okna. Leonard spojrzał na mnie i zamrugnął, jakby coś wpadło mu do oka.

- Czy domyśla się pan, dlaczego Suker wybierał właśnie takie kobiety jak Tamara? - zapytałem, nie mając większej nadziei na odpowiedź. Sądząc po rysunkach na ścianach, stary był architektem albo inżynierem, w każdym razie nie kryminologiem ani nie psychologiem. Tym bardziej zaskoczył mnie odpowiedzią.

- Nie tylko się domyślam. Wiem to nawet z pierwszej ręki.

Rozdział 230

Alina Gregoriev

Nicola się myliła. Wcale nie było zimno. Było dużo gorzej.

Alina pomyślała o rosyjskich więźniach w syberyjskim gułagu, chociaż dopiero od paru sekund stała boso na śniegu.

Wcześniej wchodząc po wąskich schodach, które zaczynały się zaledwie kilka kroków od izby tortur, musiała trzymać się poręczy. Stopnie były zrobione z wysuszonego drewna i już na drugim weszła jej drzazga. Ból był niczym w porównaniu z tym, co musiała znieść teraz, kiedy odważyła się otworzyć ciężkie drzwi, przed którymi niezdecydowana stała przez dłuższą chwilę po wejściu na schody

Pewnie są zamknięte. Albo mają alarm. Albo czai się za nimi Suker.

Oddychała głęboko, aby uspokoić tętno. Nasłuchiwała za drzwiami jakichś hałasów albo innych oznak życia, przy czym już samo dotknięcie ręką uświadomiło jej, że przez grube drzwi nie mógł przeniknąć żaden dźwięk, ani do wewnątrz, ani na zewnątrz.

Na koniec powiedziała sobie, że nie ma innego wyboru, musi się odważyć.

Wyszła na mróz i nie pierwszy raz zadała sobie pytanie, czy właśnie nie wpada w pułapkę.

Uwolniona ręka. Karabińczyk. Klucz. Otwarte drzwi.

Jednak nie można było stwierdzić, że Suker jej to ułatwił. Właściwie co mógłby sobie obiecywać po sprowokowaniu jej do podjęcia próby ucieczki? A gdyby chciał ją storpedować, zrobiłby to już na dole na schodach, czyż nie?

Ale tak się nie stało i teraz nikt nie zagradzał jej drogi. Nikt nie zawołał po imieniu. Nikt nie powalił na ziemię.

Potykając się i drżąc z zimna, posuwała się naprzód, tonąc w sięgającym do połowy ud śniegu i w każdej chwili spodziewała się, że zostanie zaskoczona i obalona na ziemię.

Cieszyła się, że posłuchała Nicoli. Co prawda fartuch był śmieszny, jednak przynajmniej miała coś, czym mogła okryć ramiona.

Każdy oddech sprawiał ból, nie tylko dlatego, że miała złamane żebra, lecz dlatego, że chłód docierał głęboko do oskrzeli. Mimo to Alina zachłannie wciągała powietrze. Nie było ono świeże, miało smak spalin, smoły i dzielnicy przemysłowej. Ale przynajmniej pachniało

wolnością, a nie wilgotnymi ścianami i zimnym potem, jak na dole w piwnicy.

A teraz? Dokąd idę?

Zmysł orientacji przestał działać, jakby jej wewnętrzny kompas uległ zniszczeniu podczas upadku ze stołu operacyjnego. Było ciemno, w pobliżu nie dostrzegła nawet słabego źródła światła, którym mogłaby się kierować. Jediną oznakę życia w najbliższym otoczeniu stanowił ciągły szum, około stu metrów przed nią.

Samochody. Słyszę samochody, pomyślała i wiedziała, że jej następna decyzja na pewno nie była dobrym pomysłem. Ale czy miała inny wybór?

Nic nie widząc, brnęła przez śnieg w kierunku bardzo ruchliwej miejskiej autostrady i kiedy dzieliło ją od niej zaledwie kilka metrów, usłyszała całkowicie nieoczekiwany hałas.

Rozdział 232

Alexander Zorbach

Leonard Schlier podszedł do wypełnionej książkami meblościanki i wyciągnął szufladę znajdującą się pomiędzy dwiema częściami regału. Wyjął z niej album.

- To tutaj zebrałem, kiedy Tamara... - Głos mu się załamał, zakaszłał zmieszany, jakby wstydził się swoich emocji. - No, kiedy zniknęła i później po uwięzieniu Sukera.

Podszedł z albumem do komody pod oknem i zatrząsł się z zimna.

- Ale tu ciągnie - powiedział, obejmując się rękami. Otworzył na chwilę spaczone drewniane okno, żeby natychmiast z powrotem je zamknąć. Niezadowolony z tego, że widocznie zimno przedostawało się przez szpary, wrócił na kanapę i usiadł naprzeciwko mnie.

Niezliczone artykuły prasowe wystawały poza brzegi albumu. Postukał palcem w okładkę.

- Tutaj jest wszystko. Wszystko o Sukerze i jego procesie. Zbiór jest bardzo pouczający. Zwłaszcza teoria pewnego psychologa, który wysnuł przypuszczenie, że Zarin Suker nie odpowiada konwencjonalnemu profilowi osobowościowemu seryjnego sprawcy przestępstw.

Przez chwilę zastanawiałem się, w jakim to świecie żyjemy, w którym jednym tchem można wypowiedzieć słowa „konwencjonalny” i „seryjny sprawca przestępstw”, i nie brzmi to dziwnie, przez co przegapiłem początek następnego zdania Leonarda.

- ...nie miał trudnego dzieciństwa. Większość sadystów usprawiedliwia późniejsze nieczne uczynki tym, że wcześniej niedobry wujek wślizgiwał się im pod kołdrę. Ale nie Suker. Według tego psychologa - Leonard popukał palcem wskazującym w album, jakby mężczyzna ukrywał się tuż pod jaskrawozieloną skórzaną oprawą - u okulisty nie stwierdzono żadnych oznak wskazujących na to, że był wykorzystywany seksualnie. Raczej przeciwnie. Dorastał w poczuciu bezpieczeństwa, spędził harmonijne dzieciństwo w dostatnim domu rodziców. Nauczyciele i szkolni koledzy nie dostrzegli u niego nawet najmniejszych zaburzeń zachowania. Nie męczył zwierząt, nie moczył się w nocy, nie bawił się zapalkami, największym przeżyciem była nagana za to, że podczas szkolnej wycieczki został przyłapany w nocy na obściskiwaniu się z dziewczyną.

Popatrzyłem na ławę. Potem wyjąłem komórkę, aby sprawdzić, która godzina, i zobaczyłem, że był tu bardzo słaby zasięg. Nic nadzwyczajnego w dzielnicach peryferyjnych. Coś innego coraz bardziej mnie niepokoiło, ale sam nie wiem, dlaczego w tej chwili nie potrafiłem znaleźć przyczyny tego zaniepokojenia.

- Jak pan powiedział, panie Schlier. To są teorie psychologa.

- Wcale nie - wszedł mi w słowo, już trochę niegrzecznie. - Tamara to potwierdziła.

- Chwileczkę... - Mój wewnętrzny niepokój jeszcze wzrósł. Czułem, że za moment dokonam ważnego odkrycia. - Czy Suker rozmawiał z pańską córką o swoich motywach, zanim ją...?

Leonard zacisnął usta z wściekłością.

- Tak.

- A policja wie o tym?

Stary człowiek opuścił ręce i cicho westchnął.

- O Boże, nie. To przecież nie wchodziło w rachubę.

- Dlaczego nie?

Dlaczego nie złożył pan zeznań, skoro nie zrobiła tego pańska córka?

W tym momencie zabrzmiał dzwonek do drzwi.

- No nareszcie. Przyjechała taksówka - powiedział Leonard i pokazał na przedpokój. - Chodźmy. Możemy rozmawiać w drodze do szpitala.

Poszedłem za nim i pomogłem mu włożyć palto, które wydawało się o wiele za duże dla niego.

Tak jak moja babcia, która zawsze bała się włamywaczy, Leonard, zanim otworzył zamek, najpierw wyjrzał przez judasza.

- Och, zapomnieliśmy albumu. - Odwrócił się do mnie. - Chce pan go zabrać?

- Z wielką chęcią. - Ból głowy znów tak bardzo przybrał na sile, że ledwie mogłem się skoncentrować. O mało co przeoczyłbym informacje, które mogły mi pomóc uratować Alinę i odnaleźć mordercę mojego syna.

Poszedłem najszybciej, jak mogłem, z powrotem do salonu i złapałem album. Mój wzrok padł na ławę i w tej chwili wiedziałem już, co przez cały czas tak mnie niepokoiło.

Kapcie.

Usłyszałem, jak Leonard wita się w drzwiach z taksówkarzem. Są dużo większe niż jego buty. Tak samo jak palto na wieszaku...

- O, już jesteś.

Mając w uszach przyjazny głos starego mężczyzny, otworzyłem album i doznałem wstrząsu.

To nie może być prawda, pomyślałem. Strach najpierw sparaliżował moje myśli, a potem ruchy. Moje oczy przeskakiwały z fotografii na fotografię. Z jednego podpisu pod zdjęciem na drugi. W każdym artykule nazwisko i twarz były identyczne. Zarin Suker. Pierwszy raz zobaczyłem jego konterfekt. Pierwszy raz było mi dane rzucić okiem na sprawozdanie z tej sprawy po tygodniach spędzonych na Schwanenwerder, kiedy nie byłem zdolny do jakiegokolwiek działania.

- Co za niespodzianka - usłyszałem głos starego mężczyzny przy drzwiach, który wyglądał zupełnie inaczej niż na zdjęciach przed moimi oczami. - Nigdy bym cię o to nie podejrzewał, moje dziecko.

Dlaczego mówi do taksówkarza „moje dziecko”?

W tym momencie obudziłem się z odrętwienia. Album wysunął mi się z rąk i upadł na podłogę, a ja odwróciłem się w stronę przedpokoju. Co powiedziała mi Tamara?

„Iris jest świetną aktorką. Zachowywała się tak, jakby cierpiała od ran, które rzekomo zadał jej Suker”.

Jak mogłem być taki ślepy?

Przecież Tamara otwarcie powiedziała mi, kim w rzeczywistości była Iris, a mimo to wpadłem w zastawioną przez nią pułapkę.

„Kameleon, nie poznałby jej pan, nawet gdyby stanęła tuż przed panem”.

Tak samo jak nie poznałem Zarina Sukera, kiedy siedział przede mną. Pobiegłem z powrotem do przedpokoju, ale na wszystko było już za późno.

To nie był taksówkarz. Tylko Alina, która ubrana w cienki chirurgiczny fartuch leżała nieruchomo na podłodze. Potem Zarin Suker poraził mnie tym samym paralizatorem, którym wcześniej obezwładnił kobietę.

Nasze pokolenie będzie musiało okazać skruchę nie tylko za pełne nienawiści słowa i czyny złych ludzi, ale przede wszystkim za przerażające milczenie ludzi dobrych.

Martin Luther King

Kto człowiekowi znajdującemu się w położeniu grożącym bezpośrednim niebezpieczeństwem utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu nie udziela pomocy, mogąc jej udzielić bez narażenia siebie lub innej osoby na niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, podlega karze pozbawienia wolności do 1 roku albo karze grzywny.

(art. 162 polskiego KPK)

Rozdział 236

Alexander Zorbach

Kiedy odzyskałem przytomność, siedziałem w pomieszczeniu z wieloma mężczyznami, wszyscy patrzyli mi w twarz. Wyglądali na chorych, mieli szarą skórę, podkrążone oczy i ustawicznie mrugali. Kiedy uniosłem głowę, zrobili to samo. Kiedy odwróciłem się w bok, poszli moim śladem. Było ich niezmiernie dużo, wszyscy, tak samo jak ja, zostali przywiązani czarnym skórzanym rzemieniem przez pierś i za ręce do staroświeckiego wózka inwalidzkiego. Rząd wózków tworzył łagodną elipsę, której łuki dawały w moich oczach złudzenie nieskończoności.

Nienawidziłem tego widoku. Nienawidziłem swoich lustrzanych odbić, które atakowały mnie z każdej strony, w jaką spojrzałem, nawet z podłogi. Nienawidziłem również głosu w uszach, który znów do mnie docierał.

- Proszę wybaczyć tę prowizorkę, panie Zorbach. - Setki wykapanych Sukerów, wyprostowanych i z szerokim uśmiechem, weszły w moje pole widzenia. W czasie kiedy byłem nieprzytomny, w okuliście dokonała się zdumiewająca przemiana. Tu w lustrzanym pokoju sprawiał wrażenie młodszego, bardziej dziarskiego i ożywionego umysłowo niż wcześniej w salonie. - Wydaje mi się, że Leonard Schlier nie był dobrym architektem - powiedział ze skruchą. - Ściany piwnicy nie trzymają pionu i dlatego niestety nie mogłem całkiem symetrycznie przymocować luster.

Jak każdy dobry aktor Suker nie przesadził występem w salonie. Wiedział, że istnieją niuanse, które nadają roli głębię i wiarygodność. Lekko wysunięte do przodu ramiona, opadająca szczeka, krzywo zapięta koszula, pośpiesznie narzucony szlafrok i kocia sierść na spodniach miały sprawić, bym widział w nim starzejącego się ojca, którego się spodziewałem. A to, że w ciągu ostatnich godzin Suker ani się nie golił, ani nie mył głowy, było atutem, który dodatkowo uwiarygodniał oszukańczą grę. Teraz jego obraz się zmienił. Już sam świeżo wykrochmalony fartuch i maska chirurgiczna, która dyndała mu na szyi, stwarzały wokół niego silną aurę.

- Powinien pan zobaczyć mój poprzedni gabinet, panie Zorbach. Tam wszystko było starannie urządzone. Ale po nieporozumieniu z

asystentką musiałem niestety poszukać nowej kryjówki i chwilowo przenieśliem się tutaj.

Kręcił się przede mną w kółko. Jego stopy dreptały po lustrzanej podłodze.

Trudno mi było się skoncentrować. Niezliczone lustrzane odbicia, które ustawiały się w szeregu za Sukerem, rozpraszały mnie bardziej niż ból. Dwadzieścia tysięcy woltów, które zaaplikował mi paralizatorem, znów obudziły kapelę rockową w głowie. Jej wzmacniacze darły się na cały regulator.

- Gdzie? - zapytałem, co Suker błędnie zrozumiał.

- To zależy, jaką część ciała ma pan na myśli. Tułów Leonarda jest ciągle na górze w zamrażarce, ręce zabrała śmieciarka.

- Mam na myśli Alinę.

- Ach, z nią wszystko w porządku. Wkrótce będzie gotowa.

Gotowa?

- Co pan zamierza?

Ból w głowie stał się tak silny, że musiałem na chwilę zamknąć oczy. Kiedy ponownie je otworzyłem, ujrzałem plastikową torbę w ręku Sukera.

Trzymał ją lekko odsuniętą od siebie, jak śmierdzący worek ze śmieciami, który wnosi się do pojemnika. Zrób sobie urlop, widniało wielkimi literami na przodzie.

- Czy wie pan, czym ja się tu zajmuję? - zapytał Suker.

- Niszczy pan ludzi.

- Nieprawda. - Podeszedł krok bliżej. - Otwieram im oczy, żeby nie mogli dłużej odwracać wzroku od swoich win.

Szukałem na twarzy Sukera oznak choroby psychicznej - mrugania, drgania kącików oczu, szaleńczego śmiechu, czegokolwiek. Ale jedyną osobą z chorym i obłąkanym wyrazem twarzy w tym pomieszczeniu byłem ja sam, co zdradzały mi nieuchronne spojrzenia na lustrzane ściany.

- Jak już mówiłem - zaczął Suker - miałem bezpieczne dzieciństwo. Nigdy nie bawiłem się zapalkami, nie dręczyłem zwierząt, nigdy nie moczyłem się w nocy

Stał przede mną na odległość ramienia i podniósł worek, który trzymał w dłoni. W środku znajdował się nieforemny przedmiot, który obciążał torbę do dołu.

- A mimo to stał się pan psychopata - powiedziałem ze znacznie mniejszą werwą, niż chciałem. Suker wcale nie musiał mnie krępować. Już mój głos zdradzał, że nie byłem dla niego równorzędnym przeciwnikiem.

- Nie. - Potrząsnął głową. - Psychopaci nie analizują problemu winy i moralności, tak jak ja to nieustannie czynię.

Nie jestem zły ani nie jestem produktem społeczeństwa. I nigdy nie karzę niewinnych.

- Ach tak? To dlaczego jestem teraz pańskim zakładnikiem?

Suker westchnął, jak gdybym dotknął czułego punktu.

- Ma pan niestety pecha. Niech mi pan wierzy nigdy nie zamierzałem wciągać pana w swoje praktyki lekarskie. Nic do pana nie mam. Kiedy zjawił się pan tutaj całkiem niespodziewanie, właśnie przygotowywałem się do następnej operacji. Na szczęście zauważyłem pana, kiedy był pan jeszcze na podjeździe, a więc miałem dość czasu, żeby trochę zmienić wygląd, zanim otworzyłem drzwi. Pierwszą myśl, aby po prostu pana nie wpuścić, odrzuciłem, ponieważ wszędzie paliło się światło. Ostatecznie postanowiłem jak najszybciej się pana pozbyć.

Niespodziewanie? Jak najszybciej się pozbyć? To wszystko nie trzymało się kupy, jeśli zwabiła mnie tu Tamara.

Suker dwukrotnie strzelił głośno palcami, kiedy zauważył, że moje myśli dryfują w bok.

- Rzeczywiście zamówiłem taksówkę, panie Zorbach. Udałbym zaśląbnięcie i zaryzykował, że pojedzie pan sam, nawet gdyby to oznaczało, że znów będę musiał zmienić kryjówkę. Nie wciągać w to nikogo postronnego. Ale w czasie naszej rozmowy w salonie na górze wyjrzałem przez okno i omal nie trafił mnie szlag. Nigdy bym nie pomyślał, że niewidomej uda się uwolnić z mojej sali operacyjnej. Przykułem ją łańcuchem, lecz najwidoczniej zrobiłem to niedokładnie albo jej nie doceniłem. Nieważne, nie mogłem pozwolić, żeby dotarła do autostrady, dlatego zacząłem majstrować przy oknie. Zwabiona hałasem, szybkim krokiem podeszła do domu. Co za pech. Dwoje nieproszonych gości, a na dodatek musiałem jeszcze spławić taksówkarza.

- A teraz? Czy mnie też chce pan doprowadzić do samobójstwa, jak te kobiety? Albo poćwiartować, tak jak pan to zrobił z Leonardem Schlierem?

- Schlier był wyjątkiem. Obląkany typ rzeczywiście założył album, który panu pokazałem. Wyniki jego poszukiwań były zadziwiająco bliskie prawdy. Nie mogłem ryzykować, poza tym potrzebowałem jego domu.

- Pan jest po prostu chory. Suker wesoło wykrzywił usta.

- Tak samo namiętny i dziki jak nasza niewidoma przyjaciółka, czyż nie? Pan i Alina rzeczywiście stanowicie dobraną parę. Rozumiem, że coś do siebie czujecie. - Uśmiechnął się szeroko. - Bo chyba tak jest, prawda?

Wskutek silnego bólu głowy łzy napłynęły mi do oczu, co Suker prawdopodobnie opacznie zrozumiał jako potwierdzenie swoich przypuszczeń. Kiwnął głową ze zrozumieniem.

- Tak, tak, ja też byłem kiedyś zakochany, ale to dawne czasy. Miała na imię Maren. Tak jak ja studiowała medycynę i marzyliśmy o otwarciu wspólnej praktyki.

Mówiąc to, Suker zrobił krok do przodu i bez komentarza położył mi na kolanach plastikowy worek.

- Chcieliśmy się pobrać, a kiedy zaszła w ciążę, poprosiłem ją o rękę. Maren była zaangażowana w Kościele, dwa razy w tygodniu śpiewała w chórze, organizowała kółka biblijne dla konfirmantów. Ja sam nie byłem ochrzczony, ale dla niej chciałem przystąpić do Kościoła. Ona marzyła o białej sukni ślubnej. Inaczej jej rodzice nie wyraziliby zgody, a to było dla niej ważne. Cała rodzina była bardzo religijna. Nie mogli dowiedzieć się o ciąży, dopóki małżeństwo nie zmaże z niej grzechu.

Popatrzyłem na torbę leżącą na moich kolanach i próbowałem zrozumieć, do czego zmierzają jego obląkane gierki.

- Tego wieczoru, kiedy chciała omówić naszą ceremonię ślubną z pastorką, już nie wróciła do domu. Dozorca, nazywał się Klaas, podsłuchał je. Umysłowo chory pracownik socjalny potajemnie kochał się w mojej Maren. Kiedy usłyszał o naszych planach, ogarnęła go zazdrość. Zaczaił się na nią na parkingu i wciągnął do swojego samochodu dostawczego. Kiedy ją jebał, udusiła się wymiocinami.

Suker uniósł obie ręce w przeproszającym geście. Miał na nich grube gumowe rękawice, jakich używa się do prac w ogrodzie.

- Proszę wybaczyć słownictwo, ale myślę, że na określenie ordynarnego czynu potrzeba jak najbardziej ordynarnego słowa, nie

sądzi pan? Zgwałcić brzmi o wiele za delikatnie jak na nazwanie tego, że Maren została zajebana na śmierć.

- W takim razie jakie słowo pasuje do pańskich perwersyjnych postępków? - zapytałem.

Suker westchnął jak człowiek, który poczuł się do głębi źle zrozumiany.

- Rekompensata - powiedział. - Zapłata za winy. Zadośćuczynienie.

- A więc zemścił się pan wtedy na dozorczy?

- Och nie. Na pastorce.

Mimo niewidzialnego zacisku śrubowego, który więził ból w mojej głowie, udało mi się unieść brwi ze zdziwienia.

- Maren nie była pierwszą ofiarą - wyjaśnił Suker. - Klaas mordował już wcześniej. Tysiące razy. Nie w świecie realnym, ale w swoich fantazjach. Okazało się, że pół roku wcześniej napisał do pastorki list. Przedstawił jej w nim swoje seksualne pragnienia, w których główną rolę grały gumowe lalki, metalowe dilda, maska przeciwgazowa, liczne ciężarki na wargi sromowe i kobiety z kulką do knebłowania w ustach.

Mówiąc to, Suker chodził wokół mojego wózka inwalidzkiego. Widziałem w lustrach, jak z tyłu manipuluje przy rzemieniu, którym moje ręce były przywiązane do poręczy wózka.

- Pastorka nikomu o tym nie powiedziała - wyszeptał mi do ucha. - Było jej niezręcznie. Nikt nie powinien myśleć, że w jej kościele pracowali ludzie z zaburzeniami psychicznymi na tle seksualnym. Złożyła wniosek o jego przeniesienie, nie chciała rozwiązać tego problemu, tylko go odsunąć.

Ku mojemu zaskoczeniu nagle znów mogłem poruszać prawą ręką. Suker mnie rozwiązał.

- Z pewnością śledził pan skandale, jakie się zdarzyły w Kościele w ostatnich latach. - Suker ponownie stanął przede mną. - Czytał pan o berlińskiej elitarniej szkole, w której molestowano, a nawet gwałcono setki dzieci? Większość z nich milczała. Tak długo, aż dzisiaj podłe uczynki ich nauczycieli uległy przedawnieniu.

Powoli zaczynało mi świtać, do czego zmierzał.

- Czy wszystkie kobiety, które pan uprowadził, zostały wcześniej zgwałcone?

Suker potrząsnął głową.

- Nie. Wszystkie były molestowane. Ale postanowiły milczeć i zamieść całą sprawę pod dywan.

- One były ofiarami - zaprotestowałem.

- Nie. One były sprawczyniami. Te tchórzliwe zdziury myślały tylko o sobie i przez to sprowadziły straszne cierpienie na późniejsze ofiary.

Przez twarz Sukera przebiegł cień, odwrócił się. Wzrok gubił mu się w jego własnych lustrzanych odbiciach. Naraz wydał się nieobecny. Nie rozmawiał już ze mną, tylko z samym sobą.

- Każdy, kto czytał kiedyś thrillery, wie, że psychopaci przechodzą różne stadia. Od pragnienia przez pierwsze nieśmiałe próby po okrutne czyny.

Tak, a ty stoisz na ostatnim stopniu obłądu, pomyślałem. Niezdecydowanie wyciągnąłem rękę po plastikową torbę.

- Kiedy dozorca molestował pastorkę, mogła jeszcze zatrzymać rozwój wypadków. Ale ona milczała i to zaniechanie stało się wyrokiem śmierci dla mojej przyszłej żony. Gdyby pastorka złożyła zawiadomienie o molestowaniu, Maren wciąż by żyła.

To niemożliwe. To nie może być to, pomyślałem w pierwszej chwili, kiedy dotknąłem przedmiotu w torbie. Wyjąłem go, powoli, spodziewając się, że wpadłem w następną pułapkę.

- Morderca zostanie kiedyś złapany i postawiony przed sądem. Ale co z niezliczonymi współsprawcami, którzy ponoszą winę za nieudzielenie pomocy? - zapytał Suker. - Jak matki, które nie chcą wierzyć córkom, że tata przychodzi w nocy i jest natrętny. To wcale nie jest takie rzadkie, jak się myśli. Moja była asystentka na przykład błagała matkę, żeby chroniła ją przed ojcem, lecz matka nie chciała stracić męża.

Iris, przeleciało mi przez głowę. A więc dlatego pomagała Sukerowi w jego zbrodniach.

- Ta matka jest tak samo winna jak najlepszy uczeń, który kilkadziesiąt lat wcześniej był molestowany w internacie przez nauczyciela i nie poszedł z tym na policję. A przecież gdyby to zrobił, setki dzieci po nim nie zostałyby zgwałcone. Nie jestem psychopatą, panie Zorbach. Nie jestem zły. Ja tylko wymierzam sprawiedliwość i pokazuję sprawcom, jaką winę wzięli na swoje barki wskutek własnej bezczynności.

- I dlatego przecina im pan powieki i gwałci w tym pokoju luster?

Odwrócił się do mnie.

- Otwieram im oczy i narażam na dokładnie taki sam ból, jaki z ich powodu musieli cierpieć inni.

- Pan jest szalony - powiedziałem i uniosłem pistolet. Był ciężki i zimny. Dawniej często ćwiczyłem tym modelem broni na policyjnej strzelnicy, iks razy jedną ręką rozbierałem go na części i ponownie składałem, ale teraz heckler & koch wydał mi się obcym ciałem. - Co to ma znaczyć? Po co dał mi pan tę broń?

Wyjąłem magazynek na 9 - milimetrowe pociski i zajrzałem do środka. Serce mi waliło. Był w nim tylko jeden jedyny nabój.

- Jak już powiedziałem, panie Zorbach. Nic do pana nie mam. Przeciwnie, chcę panu pomóc.

Ponownie wsunąłem magazynek i wycelowałem broń w klatkę piersiową Sukera.

On musiał całkiem postradać rozum, pomyślałem i odciągnąłem kurek.

- Niech pan uważa - próbował mnie uspokoić. - W środku jest tylko jeden nabój.

- Wystarczy na pana.

Suker zrobił krok do przodu. Stał tak blisko mojego wózka, że każdy strzał musiał być śmiertelny Nawet niewprawny strzelec nie mógł spudłować z tej odległości.

- No, śmiało - powiedział beztrosko. - Niech pan naciśnie. Ale powinien pan wiedzieć: jeśli teraz mnie pan zastrzeli, zabraknie panu kuli dla mordercy pańskiego syna. A ten właśnie czeka w sąsiednim pokoju.

Rozdział 243

Coś zapikało i jedno z niezliczonych luster wokół mnie uniosło się do góry.

Gdyby nie klawiatura elektronicznego zamka na szybie, drzwi byłyby od środka niewidoczne. Przypuszczałem, że również od zewnątrz można je było otworzyć tylko za pomocą szyfru.

Sukera nie było zaledwie parę minut. Teraz z pewnym wysiłkiem wciągnął do lustrzanego pomieszczenia granatową gumową plandekę, na której leżał człowiek.

- Alina!

Nagie ciało miało skrępowane ręce i nogi kilkoma warstwami czarnej taśmy samoprzylepnej; jeden pasek zaklejał usta. Oczy były otwarte nienaturalnie szeroko, nie ze strachu, tylko z powodu stalowych klamer, które Suker tam włożył.

Ponieważ ani się nie ruszała, ani nie wydała choćby jednego dźwięku, przez chwilę obawiałem się najgorszego, ale ulżyło mi, kiedy zobaczyłem, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada. Owładnęło mną przemożne uczucie, że muszę jej dotknąć, być blisko niej i uwolnić ją ze szponów tego potwora.

- Gdzie jest morderca mojego syna? - zapytałem, nie spuszczając oczu z Aliny.

Suker majstrował przy małym pudełku, które przypominało transformator modelu kolejki. W końcu podniósł wzrok i spojrzał na mnie.

- Och, mój błąd. Powinienem powiedzieć morderczyni. Alina? Teraz definitywnie postradał zmysły.

- Co to za brednie?

Zauważyłem, jak kurczowo trzymałem się irracjonalnej nadziei, że Suker powie mi o związku pomiędzy nim i Frankiem Lahmannem i wróci, ciągnąc za sobą mordercę mojego syna. Teraz zrozumiałem, że jedyną wspólną cechą, jaka łączyła te obie bestie, był chory umysł.

- Niech pan zostawi Alinę w spokoju. Ona nic nie zrobiła.

Suker pokręcił głową i z dezaprobatą cmoknął kilka razy językiem.

- Co mówiłem panu niedawno o istocie winy? - Włożył wtyczkę sieciową pudełka do wielofunkcyjnego gniazdka w ścianie. - O ofiarach, które są prawdziwymi sprawcami? Czy pan mnie słuchał? Kolekcjoner oczu być może wykonał ostatni ruch, który kosztował życie pańskiego

syna. Ale również tu byli ludzie, którzy znacznie wcześniej mogli zapobiec tragedii Juliana.

Majstrował przy karbowanym czarnym plastikowym wężu, który tkwił w pudełku, i jego wolny koniec próbował zamocować gdzieś za plecami Aliny.

- Ludzie tacy jak ta niewidoma leżąca u moich stóp.

- Przecież to kompletne szaleństwo! - krzyknąłem. W zdenerwowaniu zapomniałem na chwilę o pistolecie w dłoni. Teraz znów wycelowałem go w Sukera.

- Sądzi pan, że pana przyjaciółka jest niewinna? - zapytał okulista. - To ciekawe.

Zauważyłem, jak Alina poruszyła się na gumowej plandecie. Nie, nie tak. Zobaczyłem, jak gumowa plandeka się poruszyła. Niebieska płachta była dmuchanym materacem, a małe pudełko elektryczną pompką, która powoli, ale nieustannie pompowała powietrze do komór.

- Nadmuchiwane łóżko dla gości - wyjaśnił mi Suker, śmiejąc się dumnie. - Metr sześćdziesiąt na dwa; dziewięćdziesiąt dziewięć euro w telesklepie. Oczywiście nie można go porównywać do zwykłego stołu operacyjnego, ale ten byłby po prostu za ciężki na kruche płyty luster tu na dole.

Materac napełniał się równomiernie, Alina unosiła się już cztery centymetry nad podłogą.

- Trudno uwierzyć, że ta rzecz osiąga wysokość metra w zaledwie dziewięćdziesiąt sekund. Ale nie ma zmartwienia, zrobiłem pańskiej przyjaciółce zastrzyk ze środka uspokajającego, żeby nie wykonywała gwałtownych ruchów i nie spadła na podłogę.

Pomachał rolką taśmy samoprzylepnej, która nie wiadomo skąd znalazła się w jego ręce. Mimo dużej liczby luster do tej pory nie zauważyłem walizki pilota stojącej obok niego, z której po kolei wyjmował narzędzia. Alina, materac, broń w mojej dłoni, nie wspominając o pulsującym bólu za oczami osłabiły moją percepcję.

Widocznie kilka razy urwał mi się film. Myślałem, że tylko na moment przymknąłem oczy, ale kiedy znów je otworzyłem, Alina już była przymocowana do materaca dwiema warstwami taśmy samoprzylepnej.

- Zwykle środki ostrożności. Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy, kiedy pacjentka nagle się obudzi.

- Niech pan przestanie! - zażądałem. - Cokolwiek pan zamierza. Natychmiast!

Suker odwrócił się do mnie.

- Czy nie mówiłem, że powinien pan obchodzić się ostrożnie z bronią, panie Zorbach?

- Niech pan ją rozwiąże.

- Och nie. Tego na pewno nie zrobię.

Sprężystym krokiem podszedł do drzwi bez klamki i je zatrzęsął. Rękawiczki obscenicznie zapiszczały na gładkiej powierzchni lustra.

- Liczę do trzech - zagroziłem. - Jeśli do tej pory nie rozwiąże pan Aliny, wpakuję panu kulę w łeb.

- I co pan osiągnie?

Suker wskazał na Alinę, która cicho jęczała. Wyglądało na to, że środek uspokajający przestaje działać.

- Proszę nie podejmować decyzji, dopóki nie pozna pan wszystkich faktów.

Pokazał mi prawą pięść z wyprostowanym kciukiem.

- Fakt numer jeden: jeśli umrę, pana czeka to samo. Nikt nie wie, że pan tu jest. Nikt nie będzie pana szukał, a tylko ja znam szyfr, dzięki któremu może się pan stąd wydostać. - Teraz palec wskazujący wystrzelił w górę. - Fakt numer dwa: jeśli umrę, razem ze mną umrze prawda o tym, co pana przyjaciółka miała wspólnego ze śmiercią pańskiego syna. I fakt numer trzy - wyprostował trzeci palec - jeśli umrę, zabraknie panu kuli dla Aliny.

- Dlaczego miałbym jej potrzebować? - zapytałem i zacząłem się trząść. Długo nie utrzymałbym już pistoletu prosto w dłoni.

Suker podszedł do materaca, który był już do końca napompowany, i zerwał taśmę samoprzylepną z ust Aliny.

- Uważam, że sama powinna to panu powiedzieć.

Rozdział 246

- Nie rób tego - brzmiały jej pierwsze słowa. Głos Aliny był ochryply jak po wizycie u stomatologa, kiedy jeszcze działa znieczulenie. - Nie wolno ci go zastrzelić.

Pistolet miałem wciąż wycelowany w Sukera, który nadal wydawał się nic sobie z tego nie robić.

- Nie martw się, Alino. Jakoś nas stąd wydostanę.

- Nie chodzi o to, Alex. Nie wolno ci go zabić. On wie, gdzie jest Julian.

Suker, który do tej pory z większym lub mniejszym rozbawieniem przysłuchiwał się naszej wymianie zdań, roześmiał się.

- Ach, te pani paranormalne zdolności, pani Gregoriev. Czy nadal pani sądzi, że w czasie masażu shiatsu czegoś się pani o mnie dowiedziała?

Alina zignorowała go.

- To nie przypadek, że tu jesteśmy, Alex. Nie wolno ci go zabić, bo zabierze swoją wiedzę do grobu.

Suker i jego niezliczone lustrzane odbicia kiwnęły głową twierdząco. Powoli uświadamiałem sobie całą perwersyjność lustrzanego pokoju. Potęgował męki; wzmagał strach ofiar, który ginął w nieskończoności lustrzanych odbić.

- Nawet jeśli, mówiąc szczerze, nie całkiem rozumiem, do czego zmierza pańska przyjaciółka - powiedział - to koniec końców mogę jej tylko przyznać rację. Byłoby lepiej, gdyby zastrzelił pan ją, a nie mnie.

- Dlaczego? - zapytałem jedynie po to, aby szalencie mówił tak długo, aż przyjdzie mi do głowy jakiś plan. Jednak jego dalsze słowa sprawiły, że nadstawiłem uszu.

- Pana niewidoma przyjaciółka milczała. A jej milczenie kosztowało pańskiego syna życie.

Spojrzałem na Alinę.

- Przecież to gówniecznie - zaklęła. - Nie słuchaj go. On się nami bawi. Strzel mu w kolano i uwolnij mnie!

- Nie da rady - powiedziałem, dalej celując Sukerowi w głowę.

- Święta racja - potwierdził okulista. - Nieważne, jak zostaną zraniony, zawsze będę miał dość czasu i siły, żeby się stąd wyczołgać i skazać was oboje na śmierć głodową tu na dole.

Zrobił krok w moim kierunku.

- Niech pan ruszy głową, Zorbach. Czy naprawdę sądzi pan, że jestem taki głupi, aby dać panu naładowaną broń, od początku wiedząc, że mógłby pan chcieć zużyć jedyną kulę na mnie? - Wskazał na pistolet w mojej dłoni. - Tu nie chodzi o mnie ani o niewidomą. Tu chodzi o to, czy jest pan na tyle mężczyzną, żeby odkupić winę Aliny, czy sam muszę to zrobić.

- Jestem niewinna, ty chory bękarcie! - krzyknęła Alina.

- Ach tak? - Suker aż podskoczył. - A więc to nieprawda, że nie nazywa się pani Alina Gregoriev?

- Co...?

Zdecydowanie wszedł jej w słowo.

- Czy nie zmieniła pani nazwiska krótko po przyjeździe do Berlina?

- To nie pana interes.

Suker mówił, nie spuszczać ze mnie oczu.

- Była pani molestowana, prawda, Alino? Musi to pani jeszcze pamiętać, przecież to się zdarzyło nie tak dawno.

Najpierw tylko listy od nieszkodliwego wielbiciela. Potem kwiaty pod drzwiami. A w końcu obudziła się pani w nocy, a obok w pani łóżku leżał nieznajomy, czy tak?

Alina otworzyła usta, ale nie powiedziała ani słowa.

O co tu chodzi?, pomyślałem i ogarnęło mnie złe przeczucie.

- Zdecydowała pani wtedy, żeby nie zgłaszać tego faktu na policję, czy tak było?

- Bo nie mogłam niczego udowodnić.

- Bo myślała pani tylko o sobie.

- A co to tutaj ma z tym wspólnego, do cholery? - Alina znów szarpnęła więzami i Suker podszedł do materaca. Wyłączył pompkę i pochylił się nad kobietą.

- Mężczyzna, który panią molestował, dopiero zaczynał kryminalną karierę. Dzisiaj znamy go jako kolekcjonera oczu.

Krótką przerwą. Potem Alina głośno odetchnęła.

- Pan kłamie.

Ponieważ na koniec zawiesiła głos, zabrzmiało to trochę jak pytanie.

- Nie, nie kłamię - powiedział Suker. - Wiem to od samego kolekcjonera oczu. Od kogóż by innego? Pani nie powierzyłaby tej pikantnej tajemnicy nawet najlepszemu przyjacielowi, prawda?

Suker odwrócił głowę w moją stronę.

- Rozumie pan, co chcę panu przez to powiedzieć, Zorbach?

Po raz pierwszy zrezygnował z formy grzecznościowej. Przestał grać rolę wykształconego lekarza. Teraz był już tylko sobą. Ucieleśnieniem obłądu w najczystszej postaci.

- Gdyby Alina poszła wtedy na policję, wszczęto by śledztwo. Znaleziono by włosy w łóżku, zabezpieczono DNA i odciski palców. Dane, które już znajdowały się w policyjnych rejestrach. Wiedział pan o tym?

„To nieprawda” - chciałem powiedzieć, lecz z moich ust wydobyło się tylko skrzeczenie. Odciski palców Franka? W jaki sposób dostały się do policyjnego komputera?

- Tak, to prawda. Późniejszy morderca pańskiej rodziny dobrowolnie poddał się przed laty masowemu badaniu DNA. Gdyby pańska kochana przyjaciółka wtedy nie milczała, można byłoby ustalić jego tożsamość, zanim zamordował pana żonę.

- Brednie. Za molestowanie seksualne nie wsadziliby go na długie lata za kraty.

- Nie, ale psychiatra mógłby za pomocą prostego testu stwierdzić, że jest niebezpieczny, i zalecić przymusową terapię. Zgłosiłyby się inne ofiary. W każdym razie wszystko potoczyłoby się inaczej. Na pewno opuściłby miasto, a może wyjechałby z kraju. A nawet gdyby został w Berlinie, po pierwszym morderstwie policja rutynowo by go sprawdziła.

- Suker popatrzył na mnie ze współczuciem. - Seria przestępstw kolekcjonera oczu nigdy nie dotknęłaby pańskiej rodziny.

- Pan kłamie! - krzyknąłem. Potrząsnął głową.

- Niech pan tylko pomyśli o cierpieniu, któremu Alina mogła zapobiec. Te wszystkie rodziny, kobiety i dzieci... Pański syn wciąż by żył.

Wbrew mojej woli Sukerowi udało się wywołać we mnie wzburzenie. Pragnienie, aby móc zemścić się na kimś za poniesione straty, było tak przemożne, że na sekundę opuściłem broń i rzeczywiście zacząłem się zastanawiać nad winą Aliny.

Zdawałem sobie sprawę, że zostałem zmanipulowany. Zdawałem sobie sprawę, że psychopata wykorzystywał moje rany fizyczne i psychiczne. Suker przeinaczył świat, wywrócił do góry nogami pojęcie dobra i zła i zrobił z ofiar sprawców, aby usprawiedliwić swoje chore

uczynki. Nienawidziłem siebie za to, że udało mu się na tyle zaszczepić we mnie swe odrażające myślenie, że poczułem się całkowicie skołowany emocjonalnie.

- Powiedz, że to nieprawda - poprosiłem Alinę.

Czy rzeczywiście mogła zapobiec śmierci mojego syna, gdyby po prostu poszła na policję i złożyła zawiadomienie, że była molestowana?

Udzieliła mi odpowiedzi, której nie chciałem usłyszeć.

- Przykro mi. - Alina chrząknęła. - To prawda, byłam molestowana. Milczałam. Bo jestem ślepa. Bo nie mogłabym niczego dowieść.

- A więc pani uciekła - powiedział Suker tonem oskarżyciela. - Ukryła się pani pod nowym adresem i nowym nazwiskiem. Jednak w końcu kolekcjoner oczu panią odnalazł, mam rację? Czy nie miała pani już od początku nieczystego sumienia, kiedy badała go pani owego dnia przed dwoma miesiącami? Czy nie chciała pani przerwać terapii? Ponieważ czuła pani, że mężczyzna, który przyszedł do pani gabinetu, był tym samym człowiekiem, który przed laty chciał panią zgwałcić?

- Tak! - usłyszałem głośny krzyk Aliny - Tak, ale przecież nie wiedziałam, kto to był. Ani kiedy mnie molestował, ani kiedy znów się pojawił.

Zamknąłem oczy.

- Niewiedza nie chroni przed karą, moje dziecko. Gdyby kilka lat temu poszła pani na policję, Alexander Zorbach wciąż miałby dzisiaj rodzinę. I to jest pani wina.

Odwrócił się do mnie.

- Teraz może się pan zemścić, jeśli taka jest pańska wola.

Rozdział 250

Zmrużyłem oczy, wycelowałem w głowę Aliny. Suker zszedł z linii strzału i życzliwie skinął w moim kierunku.

- Jeśli ma to panu ułatwić... - powiedział. - Zaoszczędzi pan swojej niewidomej przyjaciółce nieprzyjemnego zabiegu. Właściwie chciałem usunąć powieki pani Gregoriev dopiero po przeszczepie rogówki. Ale pogmatwała wszystko, podejmując próbę ucieczki, i musi zostać za to ukarana.

Skinąłem i wstrzymałem oddech. Dystans wynosił tylko półtora metra. Nie mogłem nie trafić do celu.

- Alex, proszę - usłyszałem głos Aliny. Odwróciła do mnie głowę.

Mógłbym przysiąc, że patrzy mi prosto w oczy. Widziałem jej wewnętrzny ból, dużo silniejszy od tego, jaki powodowały klamry w jej oczach. Suker wykonał całą robotę. Alina czuła się współwinna śmierci mojego syna.

- Przykro mi - powiedziałem i ostatni raz mrugnąłem, ponieważ łzy napłynęły mi do oczu, potem nacisnąłem spust.

Rozległ się głośny huk. Odrzut był ledwie odczuwalny, a mimo to pistolet wyślizgnął mi się z dłoni. Kiedy upadł na podłogę, lustro pod mną pękło.

- Szkoda - powiedział Suker rozczarowany, jakby poważnie liczył się z tym, że strzelę do Aliny, a nie w ostatniej chwili gwałtownie skieruję broń na niego.

- Co się dzieje? - zapytała Alina zdezorientowana.

- No tak, przynajmniej teraz wiem, na czym stoję. Suker włożył maskę chirurgiczną i wygładził dłonią kitel na piersi, gdzie powinna trafić go kula.

- Naprawdę życzyłem panu, aby pan zdał ten egzamin z zaufania, Zorbach. Być może nawet bym pana uwolnił, kiedy już to tutaj się skończy.

Schylił się, wyjął z walizki stalową nerkę i postawił ją na podłodze obok materaca. Starannie wybrał skalpel z lekko łukowatym ostrzem.

Spoglądałem na zmianę na nóż w jego dłoni i na bezużyteczną broń na podłodze.

Żeby tylko nie zrobić teraz błędu.

Wiedziałem to już przed oddaniem strzału. Wydawało mi się, że z bronią jest coś nie tak. Była za lekka. Zamiast ostrą amunicją została

załadowana ślepym nabojem. Ale jeśli mój plan miał zadziałać, musiałem strzelić.

- Co pan zamierza? - zapytałem Sukera, chociaż znałem odpowiedź.

Okulista klęknął obok materaca i zbliżył skalpel do twarzy Aliny. Wyprężyła tułów, na ile pozwoliły jej więzy i miotła głową na wszystkie strony.

- Tylko zbliż się do mnie, a zagryzę cię na śmierć, ty dupku! - krzyknęła. Wydawało się, że wściekłość i rozpacz doprowadziły ją do skrajnego szaleństwa.

Suker zawahał się, potem wziął rolkę taśmy i urwał krótki pasek i ponownie zakleił nim usta Aliny.

- Kiedyś już miałem pacjentkę, która chciała uciec. Za karę ją też musiałem operować bez uśpienia. Ale... - Suker szukał mojego wzroku w lustrze - ale miałem wtedy znacznie lepsze możliwości unieruchomienia pacjentki. A więc zaczynamy, chociaż prawdopodobnie nie unikniemy następnego znieczulenia, Alino. Zobaczymy.

Skalpel ponownie się zniżył. Teraz Suker całkowicie skoncentrował się na pracy, wydawał się szukać najlepszego punktu do dokonania pierwszego cięcia, co dało mi sposobność włożenia wolnej ręki do kieszeni spodni.

- Ciii, Alino. Proszę się tak nie szamotać. Byłoby szkoda, gdyby przez to sama wbiła sobie pani skalpel w oko.

Wyjął z walizki plastikową butelkę i odkręcił ją. Zakrętka była jednocześnie pipetą, napełnioną przezroczystym płynem, którym zakroplił jej oczy.

- Niegroźny środek dezynfekujący. Przecież chcemy uniknąć zakażenia, prawda?

Suker odłożył butelkę, przyjrzał się twarzy Aliny i nie patrząc, wziął z nerki strzykawkę.

- Może podać jeszcze jedną dawkę?

- Co, do diabła...

Jak można się było spodziewać, Suker wzdrygnął się, kiedy usłyszał za sobą niespodziewany hałas, i zostawił Alinę w spokoju.

- Co to było? - zapytał. Zerwał z ust maskę i wściekły spojrzał na mnie spode łba. Ze strachu wypuścił strzykawkę, która upadła na podłogę.

Igła się skrzywiła i przez to była bezużyteczna. A więc część mojego planu się powiodła. Kiedy nie patrzył, pochyliłem się na wózku, do którego byłem przywiązany, i używając całej siły, próbowałem razem z nim wstać. Oczywiście stary grat był o wiele za duży i za ciężki, tak że nie mogłem nawet przez sekundę utrzymać równowagi, i upadłem na bok.

Teraz wisiałem w poprzek przewróconego wózka i dyszałem z bólu.

Przez chwilę myślałem, że Suker mnie kopnie, ale wtedy wściekłość znikła z jego twarzy i roześmiał się.

- Jak już mówiłem. Tak samo niesforny i porywczy jak pańska przyjaciółka. Naprawdę pasujecie do siebie.

Podszedł do drzwi, wystukał długi szyfr na klawiaturze cyfrowego zamka i wyszedł, aby, jak się spodziewałem, przynieść nową strzykawkę.

Alina, która nie umiała sobie wytłumaczyć szmerów, jęknęła zza knebla.

- Boję się, że przyniesie nową strzykawkę. Ale nie martw się. Coś wymyślę - powiedziałem z większym przekonaniem, niż wskazywało na to moje położenie: w końcu ciągle leżałem z wykrzywioną z bólu twarzą przywiązany do przewróconego wózka inwalidzkiego, a nienaładowany pistolet przygniatałem biodrem.

Nie upłynęło dużo czasu, kiedy wrócił Suker, tym razem z plastikową strzykawką w dłoni.

Zobaczył, że się obróciłem, i na widok moich bezużytecznych wysiłków uśmiechnął się jak dręczyciel zwierząt, który obserwuje kota złapanego w pułapkę.

- Oho, zrobił pan już dobre dwa centymetry, panie Zorbach. Szacunek. Wie pan co? - Wykonał zachęcający ruch w stronę uchylonych drzwi. - W tym tempie może się pan stąd wydostać już za dwa dni.

Roześmiał się, podszedł do Aliny i zrobił jej zastrzyk. Kobieta jęknęła, jakby chciała powiedzieć coś Sukerowi. Pochylił się nad nią i szepnął jej coś do ucha. Alina uspokoiła się, przestała też wściekle rzucać głową. Suker przypatrywał się jej jeszcze przez jakiś czas. Potem

odłożył napełnioną do połowy strzykawkę, sięgnął po skalpel i rozpoczął procedurę.

Widziałem, jak przymierza się do prawej powieki. Widziałem, jak z miejsca, które zranił skalpelem, wypływają pierwsze krople krwi. Widziałem jego mrugające oczy tuż za maską chirurgiczną, która zakrywała mu twarz aż do kości jarzmowej. Widziałem, że chciał zrobić głębsze nacięcie, i wrzasnąłem:

- Hej, dupku!

Nie zadał sobie nawet trudu, żeby się do mnie odwrócić. Krótko obrzucił mnie wzrokiem w lustrze, zauważył, jak po raz drugi wycelowałem w niego, i zachichotał.

- Teraz powoli zaczyna się robić śmiesznie.

Pistolet, który wyciągnąłem spod biodra i podniosłem, już od dłuższej chwili spoczywał w mojej dłoni. Ale dopiero teraz byłem gotowy na ostatni krok.

- Ostatnie ostrzeżenie. Zostaw Alinę w spokoju.

- A jak nie? - zapytał Suker i lekko się do mnie odwrócił. Na to czekałem.

Wstrzymałem oddech i strzeliłem mu w głowę nabojem, który zaledwie kilka godzin wcześniej doktor Roth wcisnął mi do ręki na Schwanenwerder, aby zademonstrować skalę obrażeń w mojej czaszce.

Suker nie żył, zanim upadł na podłogę.

Rozdział 254

- Do diabła, Zorbach, gdzie się podziewałeś przez ostatnie osiem godzin? - Stoya zaklął, ale w głosie komisarza słychać było ulgę.

Osiem godzin?

Tak długo byliśmy w rękach szaleńca? I naprawdę aż tyle czasu zajęło nam wydostanie się z pola bitwy? Pewnie tak, bo na dworze było już ciemno. Jechaliśmy z włączonymi światłami, ale w zachmurzonym zimowym Berlinie nie wskazywało to, jaka jest pora dnia. Tak samo jak zepsuty zegarek na desce rozdzielczej w samochodzie Leonarda Schliera. Być może nie był on doskonałym architektem, zanim Suker go zamordował i zainstalował się w jego domu, lecz przywiązywał dużą wagę do porządku. Kluczyki do volkswagena znaleźliśmy na specjalnie przeznaczonych do tego desce przy drzwiach wejściowych.

- Dreilinden - powiedziałem i złapałem się za nos, z którego znów zaczęła lecieć krew.

- Przy dawnym przejściu granicznym z NRD?

- Tak.

- Przy starych komorach celnych?

- Prawie. Od przejścia granicznego jedź drogą przez las na Poczdam. Na leśnym osiedlu jest tylko jeden zamieszkały dom. Zatrzymaj się dokładnie tam, gdzie kończy się zasięg komórek.

- I tam cię znajdę?

- Nie. Znajdziesz tam Sukera. Ale nie ma pośpiechu, nie ucieknie ci.

Osiem godzin, pomyślałem i poszukałem w schowkach chusteczki higienicznej.

Największą część straconego czasu przespałem. Później Alina powiedziała mi, że już sądziła, że po strzale do Sukera umarłem, ponieważ nie słyszała, jak oddycham przygnieciony wózkiem inwalidzkim. U niej znieczulenie przestało działać wcześniej, niż przeszło moje wyczerpanie, dlatego na zmianę wołała moje imię i wzywała pomocy, aż wreszcie otworzyłem oczy

- Załatwiłeś Sukera? - zapytał Stoya. Zdenerwowanie w jego głosie rosło z sekundy na sekundę.

- Tak.

- A co z Aliną?

- Jest ze mną, razem z inną zakładniczką, którą uwolniliśmy.

Po tym jak już się obudziłem, minęła wieczność, zanim centymetr po centymetrze przeczołgałem się przez lustrzany pokój.

Kiedy dotarłem do Aliny, podniosłem z podłogi skalpel Sukera, wbiłem go w materac i czekałem, aż do końca zejdzie z niego powietrze i Alina znajdzie się na podłodze obok mnie. Wtedy wolną ręką mogłem przeciąć jej więzy. Ona natomiast uwolniła mnie z rzemieni, którymi byłem przywiązany do wózka.

- Przykro mi. - Te słowa powiedziała, kiedy wziąłem ją w objęcia, ale zabroniłem jej mówić dalej. Nie zrobiła nic złego, nie było niczego, co musiałbym jej wybaczyć. Jedynymi winnymi byli Suker i Frank, nawet jeśli w swoim szaleństwie i jeden, i drugi, każdy na swój sposób, czuli się usprawiedliwieni. Pozostało tylko pytanie, dlaczego utrzymywali ze sobą kontakt i rozmawiali o Alinie. Dodatkowa zagadka, jaką trzeba rozwiązać.

- Okay, Zorbach - znów odezwał się Stoya. - Nie ruszaj się stamtąd, dopóki nie przyjadą moi ludzie. Potrzebujesz karetki?

- A jak sądzisz?

Przesunąłem komórkę do tyłu, gdzie Nicola właśnie zaczęła kasłać tak, jakby za chwilę miała wypluć płuca.

- Słyszysz to? Mała z zapaleniem płuc straciła jedno oko. Alina wygląda tak, jakby wpadła pod pociąg, a mnie dosłownie łeb pęka. Dlatego moja odpowiedź brzmi: nie potrzebuję karetki. Potrzebuję całego szpitala. I właśnie tam teraz jedziemy.

- Ja nie chcę - usłyszałem za sobą protest Nicoli. Były to pierwsze słowa, jakie skierowała do nas, odkąd ją uwolniliśmy. Suker urządził salę operacyjną w niepodpiwniczonej szopie stojącej obok domu. Pokój lustrzany znajdował się w głównym budynku, dlatego przez jakiś czas błakaliśmy się bez skutku, aż Alina przypomniała sobie, że podczas ucieczki sądziła, że puka do domu sąsiadów, gdy wydostała się z domu grozy Sukera. W rzeczywistości kiedy szła, kierując się hałasem samochodów na autostradzie, przebrnęła tylko przez rozległe podwórze.

Kiedy w piwnicy sąsiedniego budynku znaleźliśmy Nicolę, leżała odwodniona i apatyczna na stole operacyjnym. Czekanie w niepewności, sam na sam z bólem, odebrało jej wszelką nadzieję. Krzyknęła, kiedy włączyliśmy światło. Wrzeszczała, kiedy przepiłowywałem jej łańcuchy. Biła mnie po twarzy, gdy wynosiłem ją po schodach z piwnicy. Cały czas miała powieki zamknięte, chyba ze

strachu, aby nie spojrzeć prawdzie w oczy Dopóki nie wsadziłem jej do samochodu, Nicola bała się, że Suker wróci, aby pozbawić ją drugiego oka.

- Co to ma znaczyć, że ona nie chce do szpitala? - zapytałem Alinę, patrząc w lusterko wsteczne. Wzruszyła ramionami i dalej głaskała dziewczynę po głowie, aby ją uspokoić.

- Najlepiej zabierz je do Marcina Lutra - powiedział Stoya.

Do Marcina Lutra? To zajmie nam co najmniej dwadzieścia minut.

- Dlaczego mam jechać tym objazdem?

- Nie przez telefon.

Stoya był politykiem. Wystarczająco sprytnym, aby odpowiedzi formułować w taki sposób, żeby nawet człowiek z postrzałem w głowę mógł czytać między wierszami.

- Frank? - zapytałem pełen napięcia. Nie wiadomo dlaczego, tak jak raptownie poleciała mi krew z nosa, tak samo raptownie przestałem krwawić. Za to zaczęła mnie swędzieć blizna pod opatrunkiem. Najchętniej bym go zerwał.

- Przecież powiedziałem, nie przez telefon. - Stoya potwierdził moje przypuszczenie. - Powiem tylko tyle: nie bez powodu w ostatnich godzinach zapełniłem twoją cholerną skrzynkę głosową. Lepiej się pośpiesz.

Rozdział 257

Alina Gregoriev

Alina słyszała, jak coraz bardziej oddala się od nich terkotanie diesla, potem ścisnęła dłoń Nicoli.

- Poprowadzisz mnie, okay?

Nakłonienie Zorbacha, aby wysadził je tu na drodze do szpitala im. Marcina Lutra, nie wymagało zbyt wielkiej sztuki przekonywania. Alina знаła nowo wybudowane osiedle. Krótka po przeżyciach związanych z molestowaniem - które, jeśli wierzyć Sukerowi, zostały zapisane na konto Franka - postanowiła przeprowadzić się na peryferie do Zehlendorf. Czyny były tutaj stosunkowo korzystne, ale ostatecznie nie zdecydowała się zamieszkać kilometry od centrum w jednym z szeregowych domów w kształcie kostki z ogrodem wielkości ręcznika.

- A dacie sobie radę? - zapytał jeszcze na odjeździe Zorbach.

Niecierpliwość w jego głosie niewiele miała wspólnego z troskliwością. W rzeczywistości chciał jak najszybciej jechać dalej i był zadowolony, że życzenie Nicoli dało mu okazję do kontynuowania pościgu za Frankiem. Zanim samochód ruszył, buksując kołami, Zorbach obiecał jeszcze, że przyśle po nie karetkę.

- Bardzo dziękuję - powiedziała Nicola, ściskając dłoń Aliny. Droga przez ogród, którą szły, była obludzona. Na szczęście w kartonie stojącym przed pokojem luster Alina znalazła swoje ubranie i nawet włożyła perukę; mimo to brnięcie po mocno zmrożonym śniegu przypomniało jej pełne męczarni minuty kiedy uciekała boso przez podwórze. Nicola też była grubo opatulona w o wiele za duże pachnące stęchlizną swetry które kiedyś należały do Leonarda Schliera. Jej stopy kłapały w pośpiesznie zasznurowanych robociarskich butach, które architekt lubił nosić na budowach.

Wiatr ciął lodowym ostrzem gołe palce, ale Alina nie chciała puścić dziewczyny, która drżała coraz mocniej w miarę zbliżania się do drzwi domu. Minęło dopiero kilka dni od niespodziewanej wizyty, jaką złożyła jej Johanna Strom i poprosiła o pomoc w znalezieniu jej córki - ale Alinie wydawało się, że matka zostawiła jej zdjęcie Nicoli całe lata temu.

Od chwili kiedy w samochodzie Alina wyjęła z kieszeni spodni fotkę i podała ją siedzącemu z przodu Zorbachowi, aby zawiózł ją pod zapisany adres, Nicola wręcz płonęła z podniecenia.

- Nie musisz mi za nic dziękować, mała. Jestem ci to winna. Oczywiście decyzja o tym, aby nie jechać na policję ani do szpitala, była nieodpowiedzialna, lecz Alina dobrze rozumiała, jak bardzo Nicola tęskniła za matką. W końcu wiedziała z własnego doświadczenia, ani lekarze, ani proszki nie mogły wyleczyć traumatycznych ran odniesionych wskutek wielomiesięcznych tortur. Jeśli coś w ogóle mogło tego dokonać, to tylko miłość bliskich.

- Nigdy bym nie pomyślała, że mama będzie mnie szukać - usłyszała głos Nicoli. Dziewczyna była bliska łez albo może już płakała. - Że z tego powodu znów przeprowadzi się do Berlina. O Boże, zawsze sądziłam, że gównu ją obchodzę.

Dlatego nigdy nie opowiadałam jej o problemach, jakie miałam z ojcem.

Alina przypomniała sobie, co powiedziała Nicola, kiedy były więzione w piwnicy Sukera.

„...ale on na pewno cieszy się, że zniknęłam. Dzięki temu przynajmniej nie powiem nikomu, jak mnie obmacywał, odkąd się do niego przeprowadziłam”.

Kiedy próbowali wydostać się z domu Leonarda, Zorbach uświadomił Alinie, w jaki sposób psychopata, wykorzystując podstępnie założony przez siebie telefon zaufania, trafiał do swoich ofiar. Szła o każdy zakład, że Nicola też zadzwoniła pod ten numer, kiedy jej ojciec stał się zbyt natarczywy. W takim razie stało się jasne, dlaczego Suker odwiedził matkę Nicoli w hamburskim zakładzie dla nerwowo chorych i pokazał jej zdjęcie dręczonej córki. W ten sposób chciał ukarać Johannę Strom za to, że nie zauważyła oznak molestowania seksualnego swojego dziecka.

- Jak daleko jeszcze? - zapytała Alina.

- Już jesteśmy blisko - powiedziała Nicola podniecona. - Chyba jest w domu. W kuchni pali się światło.

Jeszcze kilka chwiejnych kroków, potem się zatrzymały.

- Czy możesz przeczytać swoje nazwisko na tabliczce przy dzwonku?

- Tak. - Nicola zaszlochała. - Czy mam zadzwonić? Alina przytaknęła.

- Śmiało, zrób to.

Usłyszała wysoki dźwięk dzwonka wewnątrz domu, potem odgłos przesuwanego krzesła; po nim stłumione kroki, które zbliżały się powoli.

Alinie serce o mało nie wyskoczyło z piersi. A jak musiała czuć się Nicola? Alina wyobraziła sobie pytający wyraz twarzy Johanny Strom, która z pewnością spodziewała się wszystkiego, tylko nie zaginionej od miesiący córki.

Zdawało jej się, że już słyszy krzyk. Najpierw niedowierzający - raptownie urwany, ponieważ matka najpierw przycisnęła dłonie do twarzy. Potem, po chwili grozy, znów głośny i niekontrolowany, pełen radości i gromadzonego miesiącami cierpienia, które teraz próbowało znaleźć ujście.

Niemal pragnęła zobaczyć, jak matka i córka, płacząc, stały naprzeciw siebie, zanim padły sobie w ramiona, z nadzieją i modląc się, aby to nie był sen. Jeden z tych snów, który na krótki moment je łączył, zanim znów obudzą się samotne, jak dotychczas, w ciągu setek minionych dni. Ale to pragnienie przypomniało jej Sukera, który najpierw karmił ją nadzieją, że znów będzie mogła widzieć, a potem na zawsze zatruł tę nadzieję, kiedy okaleczył stojącą obok niej dziewczynę.

Ponieważ spodziewała się ogromnego wybuchu emocji, nie była zaskoczona gwałtowną reakcją, kiedy wreszcie drzwi się otworzyły.

- Tak, o co... - Johanna Strom przerwała w połowie zdania, jak można się było spodziewać, i wydała przenikliwy okrzyk.

- O Boże. - Alina usłyszała, jak stojąca obok Nikola ciężko dyszy. Dziewczyna cofnęła rękę, prawdopodobnie aby wyciągnąć ją do matki.

- Przeprowadziła mi ją pani - zawołała Johanna. - Przeprowadziła pani moją Nicole!

W tej sekundzie Alina zorientowała się, że coś jest nie tak. Nicola drżała. Cała się trzęsła. I krzyczała. Wszystko tak, jak można się było spodziewać, a mimo to coś tu nie pasowało.

Coś tu nie gra, pomyślała Alina, zanim zastanowiła się, dlaczego w krzyku Nicoli, w przeciwieństwie do okrzyku jej matki, brakowało naturalnej w takiej chwili radości.

- W czym problem? - zapytała jeszcze, zanim całkiem straciła kontrolę nad sytuacją.

- Dlaczego mi to robisz? - Nicola wykrzyczała pytanie z rozpaczą, która była gorsza niż wszystko, co Alina usłyszała do tej pory z ust

dziewczyny. Jednocześnie poczuła mocne szarpnięcie. Silne ręce wciągnęły ją do środka i przewróciły na podłogę obok Nicoli.

- Nie rozumiem... - powiedziała Alina, próbując pojąć, dlaczego Johanna Strom nagle stała się tak brutalna.

- To nie jest moja matka - krzyknęła Nicola, kiedy zatrzasnęły się za nimi drzwi.

- Racja - zaśmiała się kobieta za ich plecami. - Ona nigdy nie wyszła z wariatkowa w Hamburgu. - Przeszła nad głową Aliny i kopnęła ją tak, że ta upadła na plecy. - Nie nazywam się Johanna Strom. Ale może pani mówić do mnie Iris.

Następną rzeczą, jaką Alina poczuła, był nóż do krojenia chleba w podbrzuszu.

Rozdział 261

Alexander Zorbach

- Przychodzisz za późno - powiedział Stoya i złapał mnie za rękę. Wyrwałem się i szybko wyszedłem z windy.

Znajdowaliśmy się na trzecim piętrze nowego budynku. Namalowana na tynku strzałka kierowała w prawo na oddział intensywnej opieki medycznej.

- Proszę cię, najpierw mnie wysłuchaj - wysapał podążający za mną komisarz. Z wielkim trudem dotrzymywał mi kroku. - Dokąd chcesz iść? I tak nie możesz już nic więcej zrobić.

- Gdzie? - zapytałem i idąc, odwróciłem się do Stoi. - Gdzie jest Frank?

Dwie minuty temu Stoya zatrzymał mnie przed szpitalem im. Marcina Lutra, aby poinformować o najnowszych ustaleniach.

- Ponieważ jesteś stroną, właściwie nie wolno mi udostępnić ci akt sprawy, Alex - powiedział, zapalając papierosa, jakbyśmy dysponowali nieograniczonym czasem. - Powiem ci tylko tyle: Nieźle go załatwiłeś. Frank próbował uciec, ale po postrzale w ramię stracił tak dużo krwi, że ostatecznie wolał zgłosić się dobrowolnie niż się wykończyć. Póływy dowłókł się do szpitala, znaleźli go leżącego bez życia przed schodami. - Stoya zaśmiał się. - Ciesz się. Już po wszystkim. Mamy tego drania.

Słyszając to, zadałem Stoi jedyne pytanie, jakie mnie interesowało:

- Co powiedział? Gdzie jest mój syn?

- Nic. Nie nadawał się do rozmowy. Próbowali go stabilizować, jednak stres i ból spowodowały zaburzenie krążenia. Próbowali go ratować. Profesor Gruenberg powiedział wprawdzie, że obrażenia...

Kiedy Stoya ze współczuciem wzruszył ramionami, zostawiłem go i odtąd biegł za mną.

- Gdzie on jest? - zawołałem i skręciłem za róg, gdzie omal nie zderzyłem się z lekarzem, który ominął mnie w ostatniej chwili.

- Hej, proszę uważać. To nie jest tor wyścigowy. Mimo że zwolniłem i szedłem teraz szybkim krokiem, dystans między mną a Stoyą wciąż się powiększał.

- Jest tu w środku? - krzyknąłem i zatrzymałem się. Wskazałem na szklane dwuskrzydłowe drzwi na końcu korytarza. Sale operacyjne I - III było napisane odblaskowymi literami na szybie z dymnego szkła.

Nie czekając na odpowiedź, nacisnąłem dzwonek obok wejścia.

- Zorbach, uspokój się, proszę. - Stoya dogonił mnie i pochylił się, zanosząc kaszlem. Trzymałem palec na dzwonku, ale drzwi się nie otworzyły. Zamiast tego z głębi korytarza nadszedł lekarz i stanął obok mnie i komisarza.

- Dokąd się pan wybiera? - Mężczyzna był niski, nalany, miał odstające uszy i zakrywającą pół twarzy brodę, co sprawiało, że wyglądał jak dorosła Myszka Miki. Niedostatek autorytetu w wyglądzie nadrabiał rozkazującym tonem głosu. - Nie może pan tam wejść. Tam się operuje.

- Jest pan chirurgiem? - zapytałem i zrobiłem krok do tyłu.

- Oczywiście. - Nacisnął włącznik w listwie na ścianie i szklane drzwi otworzyły się do wewnątrz. Wtedy popełnił błąd i odwrócił się do Stoi: - Będę pana o wszystkim informował na bieżąco.

Kiedy chciał wejść na teren oddziału operacyjnego, zastąpiłem mu drogę.

- Profesor Gruenberg?

- Nie teraz, śpieszę się. Dotknąłem jego ręki.

- Proszę, niech pan pozwoli mi iść z sobą.

- To niemożliwe.

- Proszę pana, niech mi pan da sterylne ubranie.

- Nie chodzi o to. Nieupoważnionym wstęp wzbroniony. Dla dobra pacjentów.

Chciał mnie wyminąć, ale złapałem go za kołnierz kitla.

- To nie jest pacjent, to jest morderca mojego syna - wybuchnąłem mu prosto w twarz.

- Zorbach, proszę - powiedział uspokajająco Stoya, który stał za mną. Poczulem jego dłoń na ramieniu.

- Mężczyzna tam w środku, pański pacjent, uprowadził i zamordował mojego syna, nie mogę pozwolić, żeby zmarł na stole operacyjnym, zanim nie dowiem się, co zrobił z jego ciałem, rozumie pan?

Muszę mieć pewność. Nie mogę żyć dalej, muszę wiedzieć, co stało się z Julianem, choćby to było coś najgorszego.

Chirurg odetchnął głęboko, kiedy trochę rozluźniłem chwyt.

- Tak, rozumiem pana. Ja też jestem ojcem. Ale tu jestem lekarzem. I chociaż czasem jest mi trudno, przeszłość pacjentów w ogóle nie powinna mnie interesować. Przysięga Hipokratesa zobowiązuje mnie do

ratowania życia i pan również mnie od tego nie powstrzyma. Rozumie pan?

- Już dobrze. Rozumiem.

Puściłem kitel i odsunąłem się od niego.

- Proszę odpowiedzieć mi tylko na jedno pytanie - poprosiłem, kiedy profesor chciał przejść obok mnie. - Jaka jest szansa, że Frank Lahmann przeżyje operację?

Gruenberg zatrzymał się. Zdrowotne buty zapiszczały, kiedy się do mnie odwrócił. Zobaczyłem to w jego oczach. Jak się zastanawia. Czy kłamstwem załagodzi sytuację, jeśli zagwarantuje mi, że operacja się uda? Czy raczej powinien powiedzieć mi prawdę? Wyjąłem pistolet i wycelowałem w niego.

- Na Boga, Zorbach! - usłyszałem krzyk Stoi. Kątem oka zauważyłem, jak sięga po komórkę.

- W procentach, doktorze. Jak wysokie jest prawdopodobieństwo, że się z tego wygrzebie.

- Mniej więcej trzydzieści - powiedział Gruenberg zduszonym głosem.

- Dziękuję - odpowiedziałem i skinąłem głową. - To dla mnie za mało.

I wtedy zagroziłem chirurgowi, że go zastrzelę, jeśli natychmiast nie zaprowadzi mnie do sali operacyjnej.

Rozdział 264

Alina Gregoriev

Alina leżała w kuchni na podłodze wyłożonej szorstkimi kamiennymi płytkami, a z jej ciała uchodziło ciepło.

Drżała. Czuła, jak nóż w podbrzuszu wibruje przy każdym oddechu.

„Podbrzusze.” Co za głupie określenie, pomyślała. Prawie tak samo głupie jak „choroby kobiece”.

Chciała coś powiedzieć do osoby, która się nad nią pochyliła. Poczowała jej wilgotny oddech. Ale straciła już zbyt dużo krwi i brakowało jej siły, aby zapytać, dlaczego kobieta jej to zrobiła.

- Nicola widziała moją twarz - powiedziała Iris, stojąc w kałuży krwi, i Alina pomyślała: Widocznie potrafi czytać z krwi, co właściwie nie miało sensu, lecz z drugiej strony: czy jest w tym jakaś logika, żeby leżeć tu w obcej kuchni jak zarżnięte rytualne zwierzę? - Nie mogłam pozwolić, żeby Suker mi was odebrał.

A więc to dlatego, pomyślała Alina, zadowolona, że jej myśli znów znalazły oparcie. Było jej coraz zimniej, pomimo ognia szalejącego w tej części ciała, o której jej pruderyjna babka zawsze mówiła „tam na dole”.

- Czy znowu boli cię tam na dole, skarbie?

- Och tak, babciu. Chyba muszę pójść do lekarza. Więc to dlatego Iris ją oszukała. Siedziała w jej salonie i jękając się oraz płacząc udawała Johannę Strom, a prawdziwa matka wciąż czekała w hamburskiej klinice odwykowej na wiadomość z policji.

„Iris jest sadystyczną aktorką - przypomniała sobie, co powiedziała jej Nicola, kiedy próbowały wydostać się z sali operacyjnej w piwnicy. - Kiedyś udawała uwięzioną tylko po to, żeby upokorzyć inną ofiarę”.

A dla Aliny wcieliła się w rolę zrozczonej matki.

Po tym jak Suker po kłótni rozstał się z Iris, istniało duże ryzyko, że asystentka zostanie zdemaskowana. Musiała znaleźć Nicole; oczywiście za wszelką cenę.

Ostatkiem sił Alina chwyciła nóż wbity w jej ciało i próbowała go wyciągnąć, ale palce ześlizgnęły się z drewnianego trzonka.

Pomyślała o Zorbachu i jego pomyłce. Zorbach sądził, że asystentką Sukera była Tamara i tylko przypadek zwabił go w szpony okulisty. Tak jak ja zwabiłam Nicole, nie zdając sobie sprawy, że z powrotem prowadzę ją do jej morderczynie.

- Nie chcesz swojego znaleźnego? - Alina usłyszała pytanie Iris.

Tym razem kobiecy głos nie był wspomnieniem w głowie, ale terażniejszością - która prawdopodobnie była najgorszą ze wszystkich prawd stopniowo przebijających się do jej świadomości: w tym wszystkim, co „widziała”, nie weszła w ciało Sukera, lecz w swoje własne! Teraz zrozumiała, dlaczego wizje pojawiły się dopiero po wymasowaniu Sukera, kiedy dotykała swojego obolałego ciała. To nie okulista dożywał teraz ostatnich chwil tu na podłodze, tylko...

...tylko ja sama! Umieram...

Kiedy dotarła do niej ta okrutna prawda, świat wokół zaczął wirować.

Słyszała szum własnej krwi, czuła, jak jej serce powoli przestaje bić, jakby ktoś sięgnął do jej klatki piersiowej i zatrzymał wahadło.

Ale być może zasłużyłam na to, pomyślała, podczas gdy Iris ostatni raz z niej zadrwiła:

- To było twoje zasłużone znaleźne.

Głowa Aliny opadła do przodu, broda oparła się na piersi. Ale nie spała. Powoli gasła.

Przed laty wróżka w Los Angeles za dziesięć dolarów czytała jej z dłoni i stwierdziła, że Alina będzie miała długie życie i umrze spokojną śmiercią jako stara kobieta, wspominając ludzi, których kiedyś kochała.

Chcę z powrotem dostać moje pieniądze, pomyślała Alina, której wydawało się, że wszystko, co w tej chwili czuła, było tak daleko jak nigdy przedtem.

Ale być może to tutaj rzeczywiście jest sprawiedliwą karą za moją winę. Być może, gdybym wtedy uratowała Juliana...

Nie zdążyła dokończyć tej myśli i zadać sobie pytania, czy Suker miał rację i syn Zorbacha ciągle by żył, gdyby wcześniej poszła na policję i wskazała stalkera. Nie miała już czasu, żeby zastanowić się, dlaczego wciąż wyciągała złe wnioski. Ilekroć dotykała obolałego ciała, widziała świat nie oczami Sukera, lecz swoimi własnymi. Ironia losu polegająca na tym, że dzięki spotkaniu z szalonym chirurgiem okulistą odzyska wzrok, nawet jeśli tylko po to, aby na krótką chwilę zobaczyć własną śmierć, stała się dla niej tak samo mało zrozumiała, jak uświadomienie sobie, że Suker prawdopodobnie nic nie wiedział o losie Juliana.

Nie miała już sił, aby się nad tym wszystkim zastanawiać. Na moment tylko zirytował ją banalny dźwięk dzwonka do drzwi, ponieważ uroiła sobie, że w fazie umierania nie mogą docierać do niej żadne odgłosy z zewnątrz. W każdym razie nie czuła zapachu krwi, w której siedziała, a nóż wbity w podbrzusze nadal sprawiał jej ból, choć już nie taki, jakby połknęła zwój drutu kolczastego zanurzonego w kwasie.

W zasadzie dzwonek powinien jej zasygnalizować, że przed drzwiami stała załoga karetki pogotowia, którą wezwał Zorbach, lecz jej percepcja było zbyt przytłumiona. Brzęczący alarm sprawił przynajmniej tyle, że na moment zakłócił w niej proces dobrowolnego poddawania się. Czuła, że znajduje się w stanie zawieszenia, pomiędzy ciężkim jak ołów bezwładem a przyśpieszonym biciem serca, jak gdyby w chwili zapadania w sen ktoś przystawił jej budzik do ucha. Alina pomyślała o ostatniej zmarnowanej szansie w swoim życiu, kiedy w domu Leonarda na krótko objęła Zorbacha, ale nie powiedziała mu, co do niego czuje. I nie pocałowała go.

Znów zabrzmiał dzwonek do drzwi.

Do diabła, czy człowiek nigdzie nie może mieć spokoju?, przeleciało jej przez głowę i rzeczywiście wewnętrznym okiem ujrzała obraz człowieka, z którym odbyła znaczną część swojej niewidomej drogi, a która tu i teraz miała zakończyć się w kuchni śmierdzącej krwią i brudnymi naczyniami.

Masz ochotę na coś ciepłego? - zapytał John, a Alina skinęła głową do zjawy, ponieważ ciepła właśnie jej najbardziej brakowało.

Ach, John. Zjawiasz się zawsze, kiedy cię potrzebuję. Nigdy nie była dobrą kucharką, korzystała z każdej okazji, aby się od gotowania wymigać, a teraz, kiedy stało się jasne, że już się tego nie nauczy, żałowała, że nigdy nie asystowała swojemu najlepszemu przyjacielowi, kiedy dla niej przyrządzał dania.

Nie miała pojęcia, jak długo należy gotować warzywa, jak zrobić sos z czerwonego wina albo co począć z blenderem. Do diabła, nie wiedziała nawet, w której szufladzie w jej domu znajdowały się sprzęty, którymi John zawsze przyrządzał tak smaczne...

Szuflada?

Alina otworzyła oczy. W kuchni nadal panowała ciemność, ale w niej samej pojaśniało. Było tak, jakby ktoś wkręcił żarówkę w jej świat myśli. Tysiącwatową, supersilną.

Naraz zobaczyła przed sobą coś dużego i świecącego. Zobaczyła, co stało się w tej chwili:

Iris stała przed drzwiami.

Iris by nie otworzyła.

Iris zaczęła by, aż załoga karetki pogotowia pomyśli, że to fałszywe wezwanie, i odjedzie.

Iris wróciłaby i... Szuflada!

Naraz Alina przypomniała sobie obrazy, które zagnieździły jej się w głowie, gdy uderzyła się, spadając ze stołu operacyjnego, i już wiedziała, co wydarzy się za kilka chwil:

Iris podchodzi do szajki kuchennej. Otwiera górną szufladę...

- Nicola - Alina usłyszała swój głos, przytłumiony, jakby ktoś przycisnął jej poduszkę do twarzy. - Nicola. Górna szuflada. Broń.

"Weź ją! - chciała krzyknąć. - Weź ją, zanim zrobi to Iris i wetknie ci ją w usta".

Alina nie była pewna, czy to ostrzeżenie dotarło do Nicoli. Czy je usłyszała i czy zrozumiała.

W jej wyobrażeniu dziewczyna siedziała na końcu kuchni na podłodze, oparta plecami o kaloryfer, przykuta do niego za rękę, aby nie mogła uciec. Ale być może znów się myliła i Nicoli wcale nie było w pomieszczeniu. Alina nie słyszała jej krzyków, jęczenia, kwilenia, sapania ani płaczu. Zresztą zanim odezwał się dzwonek, ledwie czuła samą siebie.

I dlatego nie była pewna, co oznaczał strzał, który rozległ się zaledwie kilka kroków od niej.

Z echem w uszach i pytaniem, czy w ogóle da się zmienić los, nawet kiedy był on znany, Alina wślizgnęła się w nigdy dotąd nieodczuwaną ciemność.

Rozdział 268

Alexander Zorbach

- Co znaczy, że to niemożliwe? - Wymachiwałem pistoletem przed twarzą anestezjologa. Po strzale do Sukera nie miałem okazji, aby załadować broń, oczywiście nie zamierzałem strzelać do niewinnego. Musiała wystarczyć groźba.

- Nie mogę tak po prostu obudzić pacjenta. Jest uśpiony. - Anestezjolog, którego łysina trochę mnie irytowała, ponieważ przypominała mi Alinę, drżał, gdy pokazał całą aparaturę, za którą był odpowiedzialny. - Już zaczęliśmy przygotowania.

- Brednie! - krzyknąłem i otwartą dłońią uderzyłem Franka w brzuch tak, że razem z nim poruszył się stół.

Stojąca za mną pielęgniarka wykorzystała sytuację i pośpiesznie opuściła salę operacyjną. Kiedy ciągnąc za sobą Gruenberga, wpadłem do środka jak bomba, układała narzędzia dla profesora. Dwaj lekarze, młodszy, prawdopodobnie asystenci, stali obok niej i niemal jednocześnie odskoczyli, jakby sam widok broni poraził ich prądem. Nie miałem pojęcia, czy wciąż tam byli. Sala operacyjna za moimi plecami sprawiała wrażenie pustej. Gruenberg pierwszy się ulotnił, kiedy go puściłem i rzuciłem się na łysego doktora.

Mój wzrok skanował nieprzytomne ciało Franka. Widziałem zamknięte oczy, przyglądałem się przykrytej opatrunkiem ranie wlotowej pod obojczykiem, spojrzałem na gołe stopy, wystające spod prześcieradła operacyjnego.

Co ty sobie wyobrażasz?, pomyślałem pełen nienawiści. Masz czelność przywlec się do szpitala i żebrać o pomoc?

Naszpikowany rurkami, które dostarczały mu pożywienia, przypominał bardziej maszynę niż człowieka.

Żebyś zdechł.

Najchętniej wsadziłbym kciuk w dziurę w jego ramieniu i poczekał na odgłos, jaki niewątpliwie się rozlegnie, kiedy tylko dostatecznie mocno szarpnę ranę.

Aparatura anestezjologiczna pozwalała mu równomiernie oddychać i pomyślałem tylko: Nie zasłużył na to. Nie powinien tutaj tak spokojnie sobie spać, gdy gdzieś tam gnije ciało mojego syna.

- Liczę do trzech! - krzyknąłem w twarz lekarzowi, na którego przeniosła się część mojej wściekłości, ponieważ nie mogłem wyładować jej na Franku.

Jeszcze nie.

- I na trzy wyrwę mu z gardła intubator.

- Wtedy nie będzie mógł oddychać. Umrze.

- Robi pan ze mnie głupka? Niech pan mu poda jakiś środek, który przywróci mu oddech i go obudzi. Nie jestem kretynem. Musi pan mieć coś na wypadek, gdyby wystąpiły komplikacje. Jestem tego pewny.

Dokładniej mówiąc, miałem taką nadzieję. Moja pewność siebie była jak broń, którą trzymałem w dłoni: wyłącznie bluff.

Kilka lat temu jeden z kotów Nicci dostał zapaści podczas usuwania kamienia nazębnego. Weterynarz wstrzyknął mu antidotum, po którym zwierzak odzyskał przytomność i znów zaczął samodzielnie oddychać.

- Okay, okay. Mogę mu coś podać. - Lekarz najwidoczniej przełknął ślinę. „Jego jabłko Adama jeździ jak winda w górę i w dół”, powiedział kiedyś Frank o naszym wydawcy. Wtedy śmiałem się z trafego określenia, tak samo jak z uwagi, że długa Gina z redakcji kulturalnej mogłaby pić wodę bezpośrednio z rynny.

Jak mogłem być taki ślepy? Jak mogłem myśleć, że jego lekceważące poczucie humoru nas łączy, przecież była to tylko część jego kamuflażu.

- Ale to nie ma sensu - powiedział lekarz, też coraz bardziej zdenerwowany Nieświadomie mrugał w takt respiratora.

- A to już moje zmartwienie.

- Naprawdę pan tak sądzi? - Lekarz wciąż miał obiekcje, mimo to trzymał już w ręku strzykawkę z odpowiednim lekiem, jak się spodziewałem.

- Jego organizm tego nie wytrzyma. Szok i zapaść krążeniowa, które potem nastąpią, zabiją pana Lahmanna.

Nie nazywaj go panem Lahmannem. Nazywaj go jego prawdziwym imieniem. Nazywaj go mordercą.

Usłyszałem za sobą stłumione głosy, zadzwonił telefon. Odwróciłem się i moje przypuszczenie się potwierdziło. Lekarze opuścili salę operacyjną, a oddział antyterrorystyczny wezwany przez Stoyę, który prawdopodobnie rozważał teraz rozmaite opcje, nie odważył się jeszcze wtargnąć do środka.

- Ile? - zapytałem lekarza, który właśnie wkłuł igłę w rurkę i ostatni raz spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

- To idzie bardzo szybko. Od chwili kiedy odzyska przytomność, zaledwie kilka sekund.

- Mam na myśli, ile będę miał czasu, żeby z nim porozmawiać.

- Minutę? Jeśli w ogóle.

Spojrzałem na dwuskrzydłowe drzwi sali operacyjnej, za którymi zrobiło się cicho. To nie jest dobry znak.

- A więc dobrze.

Przyłożyłem broń do lśniącego od potu czoła anestezjologa i brodą wskazałem strzykawkę w jego dłoni.

- No to jazda.

Rozdział 271

Nie chciałem tego.

Nie chciałem wspominać mojej matki.

Ona też leżała niedaleko stąd w sanatorium na dekompresyjnym materacu, z twarzą ukrytą pod maską do oddychania, i miała w ciele więcej rurek niż kabli w telewizorze.

Do czasu kiedy dostała udaru, który zredukował sprawność jej umysłu niemal do zera, matka była uwięziona w obcym życiu. Nie w swoim, ale w życiu naszej rodziny, któremu się podporządkowała. Jej miłością były góry, ale zawsze jeździła nad morze, ponieważ tam bardziej podobało się „jej mężczyznom”. Dzięki doskonałym wynikom egzaminów mogłaby wstąpić do służby dyplomatycznej, latać prywatnym odrzutowcem i siedzieć przy stole z możliwymi tego świata, zamiast tego wozila mnie i moich przyjaciół na obozy namiotowe rozklekotanym kombi. I zamiast widzieć swoje nazwisko w prasie, wertowała ulotki z promocjami w supermarketach dołączane do gazet. W jej świecie nie istniało „ja”, jedynie „my”. Logiczne było tylko to, aby zataić rzadką chorobę krwi, żeby nie martwić ojca i mnie, byśmy mogli zajmować się tym, co powszechnie nazywa się karierą.

I teraz, kiedy musiałem przyznać, że wszystkie jej wyrzeczenia były daremne, że na próżno poświęciła życie, ponieważ zawiodłem ją na wszystkich polach, na których można było zawieść, po raz pierwszy od długiego czasu znów pomyślałem o niej, tu w III sali operacyjnej szpitala im. Marcina Lutra, i to wydało mi się nieszczerze. Wydało mi się nie fair. Jak można walczyć o życie człowieka, który wylał swój obłąd na moje życie niczym wiadro środka chwastobójczego, z takim samym poświęceniem jak o życie kobiety, która trzydzieści sześć lat temu w bólach wydała mnie na świat? Najchętniej tu i teraz wyciągnąłbym wtyczkę, aby zadośćuczynić sprawiedliwości. Ale linia zerowa musiała poczekać. Jeszcze potrzebowałem bicia serca Franka.

- Ile ma jeszcze czasu?

- Do śmierci? - Łysy anestezjolog opuścił maskę chirurgiczną, której teraz i tak już nie potrzebował. - Oddycha samodzielnie, powoli się budzi.

Skrócone odstępy pomiędzy pikaniem monitorów kontrolnych potwierdzały jego słowa.

- Ostrzegam pana ostatni raz: jeśli teraz wyjmę intubator, a on się nie wybudzi, będzie pan odpowiedzialny za śmierć pacjenta.

Zasygnalizowałem mu bronią, że śmiało mogę z tym żyć.

- Hej, Alex.

Odwrociłem się szybko, w otwartej śluzie sali operacyjnej stał Stoya. Zdjął płaszcz i marynarkę, miał na sobie tylko podkoszulek, który opinał mu się na brzuchu. Komisarz obrócił się z założonymi z tyłu głowy rękami, aby pokazać mi, że jest nieuzbrojony.

- Mogę wejść?

- Nie - powiedziałem i skinąłem na lekarza, który wciąż się wahał.

- Rozumiem, jak się czujesz. - Stoya próbował nawiązać ze mną kontakt. Równie dobrze mógłby napisać list. Nie zwracałem na niego uwagi. Intubator wyszedł z gardła Franka z głośnym mlaśnięciem. Reakcja, jaka teraz nastąpiła, była szybka i gwałtowna. W pierwszej chwili całkiem przestał oddychać, oczy i usta rozszerzyły się jak u kogoś, kto się zakrztusił i chce zwrócić na siebie uwagę, potem się zaczęło.

Niespodziewanie wystąpiły drgawki. Naraz zaczął szamotać się jak ryba w pustym wiadrze.

- O mój Boże - usłyszałem za sobą sapanie Stoi.

- To szok - wyjaśnił lekarz.

„Mówiłem panu”, można było wyczytać w jego pełnym wyrzutów spojrzeniu. Anestezjolog obiema rękami starał się utrzymać na stole sterowane obcą siłą ciało Franka. Można było odnieść wrażenie, że ból, jeszcze niedawno powstrzymywany przez zaporę ze środków usypiających, szukał teraz ujścia.

- Zorbach, przestań, proszę - powiedział Stoya, jak gdybym potrafił to wszystko odwrócić. W przeciwieństwie do niego odczuwałem swoistą satysfakcję i mogłem jeszcze długo przyglądać się drgawkom Lahmanna. Miałem opory, aby poprosić lekarza o złagodzenie ataku Franka, ale wówczas nie wycisnąłbym z niego żadnej informacji. Mimo że nic nie powiedziałem, anestezjolog już działał i podłączył następną kroplówkę.

Po dłuższej chwili rytm impulsów sygnałów kontrolnych znów się trochę wyrównał i Frank otworzył oczy. Jego wzrok błędził dookoła.

Kiedy się nad nim pochylałem, w szklistych oczach zobaczyłem swoje odbicie.

- Gdzie jest mój syn? - zapytałem, wciąż celując z pistoletu w lekarza, żeby Stoi nie przyszedł do głowy jakiś głupi pomysł.

Frank spojrział na mnie i wykrzywił usta w przerażającym uśmiechu. Nawet w chwili śmierci kpił sobie ze mnie. Chciałem zdzielić go pięścią w młodzieńczą twarz, złapać za gardło i dusić, ale ponieważ jedno i drugie było zabronione, musiałem poprzestać na groźbach słownych.

- Jeśli natychmiast nie powiesz mi, co zrobiłeś z Julianem, wpuszczę ci do żył litr środka do czyszczenia toalet.

Uniósł prawą rękę, jego palce zacisnęły się na rękawie mojej marynarki.

- Gdzie? - zapytałem i strząsałem jego dłoń. Przełknął ślinę. Raz, drugi. Potem jego głowa opadła na bok i musiałem uklęknąć, aby go zrozumieć.

- Auto.

Głos Franka brzmiał jak głos dziecka, które wypowiada nowe słowo.

- Auto? W samochodzie? Zamrugał.

- W jakim? - krzyknąłem. - W jakim cholernym samochodzie leży?

- Przed... - Wywrócił oczami, przez chwilę widziałem tylko białka, potem jego wzrok znów pojaśniał.

- Przed...

Oddech zadźwięczał jak odgłos mokrego worka na śmieci ciągniętego po podłodze. Frank zakaszłał i wypowiedział wreszcie decydujące słowo.

Zabrzmiało to jak „lini”, ponieważ jego krtań nie mogła już wyartykułować spółgłoski „k”, ale od razu go zrozumiałem.

Kliniką.

Drań miał na myśli samochód, którym przyjechał do szpitala.

- Tu? - zapytałem, aby się upewnić, a on zamrugał. Z jego oczu popłynęły łzy.

- Gdzie? - Teraz nie mogłem się już pohamować i potrząsałem nim. - Gdzie dokładnie stoi ten zasrany samochód?

Którym przewiozłeś ciało mojego syna. Już nie odpowiedział. Spojrzałem w górę.

Spojrzałem na monitor, którego wskazania stały się nagle bardzo nieregularne.

Spojrzałem na lekarza, którego twarz zastygła i była teraz pełną wyrzutów maską.

Spojrzałem na Stoyę.

- Znaleźliście jego samochód? - zapytałem. Komisarz potrząsnął głową, potem wskazał na monitor, który dokumentował zanikające funkcje życiowe Franka.

- Masz, czego chciałeś - powiedział. - Teraz rób, co masz robić. Powodzenia.

Potrząsnąłem głową, która o dziwo już w ogóle mnie nie bolała. Kiedy Frank umierał w szoku, mój szok uwolnił mnie od bólu.

- Chodź już, Zorbach. Teraz wiesz, co masz zrobić.

- Tak - potwierdziłem, podszedłem do anestezjologa i przyłożyłem mu nienabitą broń do karku.

- Czy to nadaje się do transportu?

- Tak, oczywiście. - Lekarz pośpiesznie skinął głową. - Stół jest na kółkach, wystarczy je odblokować. Cofnąłem się o krok i dwoma szybkimi ruchami odciąłem wszystkie utrzymujące przy życiu połączenia. Przenikliwy dźwięk w jednej chwili zastąpił dotychczasowy szum aparatury. Frank znów dostał drgawek.

- Co pan zamierza?

- Musimy iść na parking - powiedziałem i zmusiłem lekarza, aby odblokował kółka. - A pan będzie nam towarzyszył.

Rozdział 275

Nie istnieje nic takiego, co mogłoby przygotować cię na widok twojego martwego dziecka.

Opuściliśmy oddział operacyjny i skierowaliśmy się do wind. Gdyby nie moi dwaj zakładnicy, któryś z policjantów z gromady prześladowców za nami na pewno odważyłby się na interwencję. Stoya widocznie chciał zakończyć tę niebezpieczną sytuację bez rozlewu krwi. Gdyby wiedział, że przytknięty do karku pistolet, którym zmuszałem lekarza do pchania stołu operacyjnego, był całkowicie bezużyteczny, osobiście stanąłby mi na drodze. Tak więc trzymał swoich ludzi na dystans, a my zjechaliśmy na parter, skąd wcześniej wszystkich ewakuowano, i przez izbę przyjęć udaliśmy się do wyjścia.

- Żyje jeszcze? - zwróciłem się do doktora Davida. W windzie zapytałem go, jak się nazywa, i teraz wiedziałem, że jego nazwisko było nie do wymówienia. Schtrokpowszjev albo jakoś podobnie, a więc zadowolilem się samym imieniem. Pocił się ze strachu i było mi przykro, ponieważ właściwie nie chciałem angażować w swoją sprawę niewinnych osób. Ale sam nigdy nie dałbym rady wywieźć Franka z sali operacyjnej, nie ryzykując, że zostanę postrzelony

- Pyta pan, czy nastąpiła śmierć mózgu? Nie, jego oczy wciąż reagują. Czy można jednak nazwać to życiem? - Doktor David wzruszył ramionami i przez przedsionek kliniki wyjechaliśmy na dwór.

Mróz zaatakował nas z całą siłą.

Mnie uderzył w pierś, ścisnął płuca, tak że trudno mi było oddychać. Jednocześnie czułem, że się kurczę, że kurczy się każdy mięsień mojego ciała, że nawet skóra czaszki się ściąga, i przez chwilę byłem święcie przekonany, że opatrunek na głowie w każdej chwili się zsunie i opadnie mi na szyję jak szalik. Doktor David, ubrany tylko w cienki kitel, natychmiast puścił metalową poręcz stołu operacyjnego, jakby się obawiał, że goła ręka do niej przymarznie.

Kiedy zatrzymaliśmy się na moment na najwyższym podeście schodów prowadzących do głównego wejścia, wydawało się, że mróz podziałął na Franka ożywczo. Znów zaczął lekko drżeć i otworzył lewe oko.

- Hej, słyszysz mnie?

Kazałem lekarzowi podnieść oparcie, tak aby pacjent mógł przyjąć pozycję pólśiedzącą.

Frank zamrugał, co mogło oznaczać aprobatę albo mimowolny odruch.

- Gdzie jest mój syn? - zapytałem i usłyszałem za sobą szum otwierających się rozsuwanych drzwi. Spodziewałem się oprawców z gotową do strzału bronią, ale wyszedł z nich tylko Stoya. Musiałem mu jakoś zasygnalizować, że nie stanowią dla nikogo realnego zagrożenia.

Oprócz Franka i siebie samego.

- Wypuść lekarza! - zawołał.

Po krótkim namyśle skinąłem w kierunku drżącego mężczyzny obok mnie, który w pierwszej chwili nie uwierzył swemu szczęściu.

- Idź! - wrzasnąłem i popędziłem go ruchem ręki. Dopiero wtedy odwrócił się, pobiegł, omijając Stoyę, i zniknął za bezpiecznymi murami kliniki.

Żeby komisarzowi nie przyszedł do głowy jakiś głupi pomysł, przystawiłem sam sobie pistolet do skroni.

- Jeden krok i strzelam - zagroziłem i znów pochyliłem się nad Frankiem. Ku mojemu zaskoczeniu jego twarz nagle nabrała całkiem normalnego, nawet przyjaznego wyrazu, a w moje myśli wdarł się głos doktora Rotha:

„On znajduje się w fazie paradoksalnej. Na pewno już pan kiedyś o tym słyszał. Śmiertelnie chorzy ludzie czują się lepiej na krótko przed ponownym pogorszeniem stanu zdrowia. Ich organizm ostatkiem sił podrywa się do życia i potem następuje koniec”.

Frank Lahmann, kolekcjoner oczu, człowiek, który odpowiadał za wszystko, za co warto było odpłacić śmiercią, odzyskał na krótko przytomność i zrobiło mi się niedobrze na myśl, że byłem od niego zależny nawet w chwili, gdy wydawał ostatnie tchnienie. Miał do wyboru, albo zabrać swoją tajemnicę do grobu, albo mi ją wyjawić.

Kiedy uniósł rękę jak cesarz, który przyjmuje hołd swoich poddanych, najpierw uznałem to za upokarzający gest, ale potem, kiedy spojrzałem w kierunku, który wskazał palcem, zobaczyłem to.

Wjazd.

Samochód.

Światło.

Po drugiej stronie ulicy stał ukośnie przednim kołem na krawężniku, co w pierwszej chwili nie rzucało się w oczy, ponieważ w tym miejscu znajdowała się budowa, przed którą pomiędzy rusztowaniami a

kontenerami bezładnie parkowały liczne auta. Mimo to samochód na wjeździe wyróżniał się spośród innych pojazdów - dlaczego, w tamtym momencie nie potrafiłem sobie tego uzmysłwić.

Rzuciłem się biegiem przed siebie, brałem naraz po dwa stopnie i upadłem, kiedy postawiłem stopę na nieposypanej części chodnika. Ulica była jedną taflą lodu. Pozbierałem się i po omacku poszukałem broni, która wypadła mi z ręki. W każdej chwili spodziewałem się strzału ostrzegawczego oraz tego, że rzuci się na mnie gromada antyterrorystów. Mogło być tak, że to Stoya każe mi się położyć na ziemi. To było bardzo prawdopodobne, ale nie usłyszałem tego.

Każdy milimetr ciała jak magnes przyciągał mnie do szarozielonej limuzyny, w której paliło się światło podsufitowe.

Ponieważ ktoś wysiadł w pośpiechu.

Ktoś, kto nie miał czasu, żeby dokładnie zamknąć drzwi.

Wewnętrzne oświetlenie było widoczne tylko wtedy, kiedy skoncentrowało się na nim wzrok, ponieważ samochód stał tuż pod latarnią.

Ślizgałem się przez ulicę jak na łyżwach ze wzrokiem utkwionym w siedzenie kierowcy, zobaczyłem ciemne plamy na tapicerce.

Poza tym zobaczyłem...

Nic.

Okrzyżłem samochód, teraz znów stałem na chodniku, patrząc w kierunku szpitala. Jediną osobą, która się do mnie zbliżała, był Stoya.

Moja dłoń znalazła klamkę tylnych drzwi. Pociągnąłem za nią, otworzyłem samochód i zobaczyłem...

Nic.

Samochód, który o dziwo wydał mi się dobrze znany, był...

Pusty.

Przynajmniej takie sprawiał wrażenie w pierwszej chwili. Nic nie widziałem, ponieważ moje oczy nie chciały przyjąć do wiadomości, że poszukiwania wreszcie dobiegły końca. Że nie patrzyłem na tylną kanapę - lecz do trumny syna.

Jak już powiedziałem: nie istnieje nic takiego, co mogłoby przygotować cię na widok twojego martwego dziecka. I nic nie wymaga większej siły niż ściągnięcie koca z tylnej kanapy, pod którą odznaczają się kształty nieruchomego ciała.

- Nie!

Opadłem na kolana przy otwartych drzwiach, przycisnąłem dłonie do skroni i wykrzychałem swoją rozpacz do wnętrza samochodu.

Proszę, nie, błagałem Boga, w którego już od dawna nie wierzyłem. Proszę, nie pozwól, aby to się tak skończyło.

Bojaźliwie, jakbym nie chciał obudzić śpiącego człowieka, wyciągnąłem rękę do koca, dotknąłem grubej tkaniny i pociągnąłem ją.

I zobaczyłem...

Juliana.

Szok był jak dłoń, która wyrwała się do przodu. Nie chciałem wsiąść do samochodu, nie chciałem poczuć śmierci, która sprawiła, że bezkrwista skóra Juliana błyszczała jak kruchy marmur. Ale nie mogłem się przed tym obronić.

Czy płakałem, kiedy ukląknąłem w miejscu na nogi?

Czy krzychałem, kiedy usiadłem przy Julianie i położyłem drżące palce na jego zamkniętych oczach?

Czy pomyślałem o naszej ostatniej przejażdżce samochodem w przeddzień jego jedenastych urodzin, kiedy dotknąłem ustami jego poszarzałych już warg?

Nie wiem.

Wiem tylko, że chciałem umrzeć, gdy zamknąłem za sobą drzwi i wcisnąłem blokadę zamka, aby być sam z Julianem. Na zawsze.

Nigdy wcześniej w moim całym życiu pragnienie śmierci nie było większe niż w chwili, kiedy wziąłem Juliana w ramiona, ukryłem twarz w jego włosach, które już nigdy nie przykleją mu się do czoła, ponieważ już nigdy nie straci poczucia czasu i nie będzie musiał biec całą drogę z boiska do domu, żeby nie spóźnić się na kolację. Tak samo jak nigdy nie poczuję słodkawego mocnego zapachu potu, kiedy oparty o mnie zasypiał przed telewizorem.

Przycisnąłem jego głowę do piersi i spojrzałem na klinikę. Ponad tłumem policjantów patrzyłem na wejście, za którym zniknął orszak lekarzy i sanitariuszy z mordercą Juliana. Wiedziałem, że już nie uda mi się go dogonić, aby być świadkiem, jak Frank wyda ostatnie tchnienie. Modliłem się, aby zmarł w męczarniach, i jeszcze mocniej objąłem syna.

Kiedy powziąłem mocne postanowienie, że już nigdy nie opuszczę samochodu, Julian zaczął kasłać w moich ramionach.

Rozdział 279

Obezwładniające.

Jakże często nadużywałem tego słowa, mówiąc o spektaklach teatralnych, filmach albo koncertach, kiedy chciałem wyrazić zachwyt nad artystami. Na widok wschodów słońca, wodospadów i innych cudów natury albo nad Nicci, kiedy przeczytałem od niej pierwszy list miłosny.

Obezwładniające.

Jakże często używałem tego słowa i przez to je dewaluowałem, ponieważ nawet w przybliżeniu nie rozumiałem jego znaczenia.

Jeśli w ogóle istniał w moim życiu moment, w którym świat się zatrzymał i ograniczył jedynie do wnętrza samochodu, to była właśnie ta obezwładniająca chwila, kiedy mój syn otworzył oczy.

„Julian” - chciałem powiedzieć.

W rzeczywistości wykrzyknąłem to słowo, włożyłem pięść do ust i kiedy zacisnąłem na niej zęby, poczułem wspaniały ból, który podobnie jak smak własnej krwi pozbawił mnie lęku, że mógłbym obudzić się z najpiękniejszego ze wszystkich snów i wrócić do koszmaru życia.

Ale nikt mną nie potrząsał.

Nie było lekarzy, którzy by mnie uspokajali na szpitalnym łóżku i tłumaczyli, że Julian jest tylko realną halucynacją, spowodowaną skutkami uszkodzenia mózgu.

Nie przestraszyłem się.

Było jeszcze gorzej.

Julian otworzył oczy, język uwiązał mu w ustach, które ułożyły się tak, aby mogły wypowiedzieć tylko jedno słowo:

- Frank.

- Wiem - powiedziałem i pocałowałem go. - Nie musisz się już go bać. On nie żyje.

Mój syn zeszywniał w moich ramionach.

- Nie żyje? - zapytał, potem zaczął płakać, a ja dziękowałem losowi za te zbawienne łzy, które, jak wierzyłem, były pierwszym krokiem do wypłukania cierpienia z jego wnętrza.

Nie, nie zwariowałem. Julian jakimś cudem wciąż żył. Nie umarł, lecz płacząc, wtulił się w moje ramiona i z wyczerpania zapadł w głęboki sen.

A mimo to najbardziej obezwładniająca euforia mojego życia trwała bardzo krótko. Trwała do chwili, kiedy usłyszałem terkoczącą wibrację. Dzisiaj jestem pewny, że alarm musiał włączać się co jakiś czas, odkąd siedziałem w samochodzie, ale wypierałem go ze świadomości i prawdopodobnie jeszcze dłużej ignorowałbym dźwięk telefonu w schowku nad radiem, gdyby mój wzrok nie padł przypadkowo na kierownicę.

Dokładniej mówiąc na stacyjkę, w której wciąż tkwił kluczyk.

Razem z breloczkiem.

Był to plastikowy ludzik w ubraniu skazańca ze stryczkiem na szyi.

Rozdział 281

- Myślę, że gra jest skończona - powiedział rozgorączkowany głos. Sygnał telefonu dochodzący ze schowka informował o czternastu nieodebranych połączeniach, wszystkie z tego samego numeru.

- Teraz, kiedy już siedzisz w moim samochodzie i oddzwoniasz z mojej komórki.

Nigdy nie zostałem postrzelony w brzuch jak mężczyzna na drugim końcu połączenia, ale to nie mogło być gorsze od ran, które w tej chwili rozdrapały we mnie jego słowa.

- Scholle? - zapytałem skonsternowany i opadłem na siedzenie obok Juliana.

- Czy... - Dotknąłem syna, który znów zasnął. Był zimny, lecz oddychał. - Czy pomagałeś Frankowi? W uprowadzeniach? W mordowaniu dzieci? Mojej żony?

- Brednie. Nikomu nie pomagałem. Frank nigdy nie miał nic wspólnego z naszą grą.

Zamknąłem oczy.

Nie. Nie, to nie może być...

- Ale on przecież się przyznał - wychrypiałem bez tchu.

Usłyszałem głośne krzyki na zewnątrz. Ktoś wzywał mnie przez megafon, żebym się poddał.

- Frank mi się przyznał! - wrzasnąłem do telefonu.

- W mailu, który każdy mógł napisać i wysłać? - Scholle się zaśmiał.

Przycisnąłem Juliana mocniej do siebie i krzyknąłem:

- Zadzwoił do mnie. Frank zmusił mnie, żebym strzelił sobie w głowę. Wtedy na statku.

- Kiedy ja stałem obok niego z rewolwerem przystawionym do czaszki twojego syna. Jedno niewłaściwe słowo, odstępstwo od scenariusza, który trzymałem Frankowi przed nosem, i skroń Juliana roztrzaskałaby się na kawałki. - Scholle zakasłał. - Ale masz rację, był nadzwyczaj przekonujący, przede wszystkim u ciebie w domu, a także dzięki środkom, którymi go uspokoiłem. Do diabła, masz pojęcie, ile te zastrzyki kosztowały?

Zamknąłem oczy, broniłem się przed wspomnieniami, które z całym okrucieństwem potwierdzały słowa Schollego.

Że głos Franka brzmiał inaczej niż dawniej, poniekąd jak po narkotykach. I że składał w zdania dziwne słowa:

„Ryba jeszcze szamocze się w mojej sieci. Jeszcze mogę przekazać policji wskazówki, jak znaleźć Juliana”.

Słowa, które miały tylko jeden cel - Ryba w sieci? Scholle! (Scholle - płaszczka, flądra, a więc ryba - gra słów.) - miały mnie ostrzec, nie narażając mojego syna.

"Wskazówki, które uratują mu życie. Zrozumiałeś?"

Nie, nie rozumiałem. Tak samo jak nie rozumiałem, kiedy Frank powiedział do mnie: „Cały Zorbach. Wciąż ten sam zawodowiec, który wszystko sprawdza. Człowiek, który zawsze wie, kiedy ma na haczyku dużą rybę, a małe płotki puszcza wolno, mam rację?”.

Niczego nie wiedziałem. Ślepy z wściekłości, nienawiści, bólu i strachu puściłem wolno wielką rybę.

- Gdzie jesteś? - Słyszałem stłumiony szum w tle, a więc przyjąłem, że jedzie samochodem. Zaczął kasłać.

Na prawo ode mnie zauważyłem jakiś ruch. Ponieważ założyłem, że policja gwałtownie wtargnie do samochodu, mocniej objąłem Juliana, którego za żadną cenę nie chciałem już wypuścić z rąk. Ale to znowu był Stoya, który zbliżył się do pojazdu, wyciągnął do mnie nieuzbrojone ręce i pokazał na siedzenie obok kierowcy.

Skinąłem głową i otworzyłem centralny zamek.

Dlaczego nie miałby wsiąść? Dopóki nikt nie zamierzał odebrać mi syna, było mi wszystko jedno. Scholle znów dostał ataku kaszlu.

- Mam mało czasu - wysapał. - To cud, że po tak ciężkiej operacji udało mi się niepostrzeżenie zwać ze szpitala, a więc nie marnuj naszych cennych chwil na pytania o miejsce mojego pobytu, którego i tak ci nie zdradzę.

Stoya ostrożnie otworzył drzwi i usiadł na przednim fotelu, w dalszym ciągu trzymając nogi na zewnątrz. Podał mi koc termiczny (widocznie zobaczył, że Julian poruszył się w moich ramionach), a ponadto słuchawki z dwiema wtyczkami dousznymi.

Najpierw nie rozumiałem, czego ode mnie chce, aż wskazał na komórkę w mojej dłoni i położył palec na ustach.

On też chce posłuchać.

Przykryłem Juliana kocem. Potem podłączyłem słuchawki i podałem wtyczki do przodu. Stoya skinął policjantom na znak, że

wszystko w porządku, delikatnie domknął przednie drzwi i razem ze swoją połową słuchawek w uchu nachylił się do nas do tyłu.

- Halo, jesteś tam jeszcze? - zapytał Scholle.

Stoya spojrział na mnie szeroko otwartymi oczami. Do dzisiaj nie wiem, co wtedy myślał, jaka rozmowa mogła być tak ważna, że mimo gróźb zmasowanych sił policyjnych nie chciałem wysiąść z samochodu.

Na pewno nie był przygotowany na to, aby usłyszeć głos swojego partnera.

- A więc to ty jesteś kolekcjonerem oczu, Scholle? - zapytałem, żeby Stoya na własne uszy usłyszał prawdę. - To ty zabiłeś wszystkie dzieci. I moją żonę?

- Tak, to ja.

Spojrziałem w oczy Stoi. W przeciwieństwie do mnie nie trzymał w ramionach nic, co mogło go pocieszyć.

- To ja jestem kolekcjonerem oczu - potwierdził otwarcie Scholle. Zachichotał. - Powiedz szczerze, czy naprawdę uwierzyliście w tę brednię o teście miłości, którą powiełał Frank, dlatego że jego półślepy brat udusił się w zamrażarce? Wierzyliście w czterdzieści pięć godzin i siedem minut, w wycięte oko, w przyznanie się do winy w mailu i we wszystkie inne głupoty? Na miły Bóg, przecież wiem, czego szukają nasi profilerzy. Czego my szukamy. Ja tylko zainscenizowałem wszystko tak, żeby podejrzenie padło na Franka.

Zamknąłem oczy i przycisnąłem głowę do czoła Juliana. Chciałem słyszeć jego równomierny oddech, a nie szalone wyjaśnienia Schollego. Mimo to pokonałem przemożną chęć odrzucenia telefonu. Siłą przerywając operację Franka i wystawiając go na śmierć, ściągnąłem na siebie winę, której już nigdy nie będę mógł naprawić. Wiedziałem, że będę musiał płacić za to do końca życia. Wyrok, jeśli nawet wydany nie przez sąd powszechny, tylko przez moje sumienie, i tak skazywał mnie na wysłuchanie całej gorzkiej prawdy.

- Frank był moim najlepszym alibi - powiedział Scholle. - Jak długo panowałem nad Frankiem, byłem bezpieczny. Teraz, kiedy Julian przeżył, on i tak ci wszystko opowie, a więc równie dobrze możesz dowiedzieć się tego ode mnie.

Stoya dał mi znak, wyjmując mały notes z marynarki.

- Zabiję cię - mruknąłem bezdźwięcznie. Słowa te ściągnęły na mnie przerażone spojrzenie komisarza. Stoya wiedział tak samo jak ja,

że Scholle znalazł się w stadium, w którym czuł potrzebę popisania się sprytem i wyższością. Sam czyn już mu nie wystarczał, musiał przechwalać się swoimi zbrodniami. Potrzebował do tego życzliwej publiczności, nie kogoś, kto mu nawymyśla, ale było mi to obojętne.

- Zamordowałeś moją żonę! - krzyknąłem. - Torturowałeś mojego syna. Zapłacisz za to.

- Aha, tak jak Frank? Nawiasem mówiąc, dobry strzał. A przecież on chciał się poddać, kiedy posłał mi kulkę w brzuch. Musiał się poczuć parszywie, kiedy wrócił do domu, a ty strzeliłeś do niego. To cud, że w ogóle dowlóknął się do mojego samochodu. Myślę, że miał już dość. Krwawił jak zarzynana świnia i na pewno zastanawiał się gorączkowo, co ma teraz zrobić. Ze zrozumiałych względów nie miał za grosz zaufania do policji. A jego mentor dopiero co chciał go zastrzelić. W takiej sytuacji człowiek traci wiarę w przyjaźń, no nie? A tak przy okazji, czy Frank jeszcze żyje?

Spojrzałem na Stoyę. Jego wyrażający współczucie wzrok sprawił, że łzy napłynęły mi do oczu.

- Dlaczego? - zadałem pytanie i nie kierowałem go do Schollego, ale do samego siebie.

Dlaczego ja? Dlaczego moja rodzina?

- Zemsta - odpowiedział lakonicznie Scholle. - Po prostu. Zwyczajnie. Moja żona odebrała mi syna. Nigdy go nie znalazłem.

- I teraz każesz cierpieć za to innej rodzinie?

- Czy ja jestem psychiatrą? - zaśmiał się Scholle. - Ale dlaczego mam być jedynym ojcem, który daremnie szuka tego, co najbardziej kocha? Tak, odczuwam satysfakcję, kiedy zabijam zdziry, które zostawiają ciężko pracujących mężów i zabierają im dzieci.

- Nicci nie zabrała mi Juliana.

- Ach tak? A kto dostał wyłączne prawo do opieki, ty mięczaku? Pomijając to, w twoim wypadku chodzi mi o coś zupełnie innego, Zorbach. Z tobą było całkiem inaczej, ponieważ byłeś najgorszym ze wszystkich ojców. Taki bezkrytyczny i pryncypialny. Uważasz siebie za kogoś lepszego, ty arogancki dupku. Każdym zdaniem, każdym spojrzeniem dawałeś mi odczuć, że jestem szumowiną. Kimś, kto torturuje niewinnych. Uważasz, że twoja zemsta na Franku była uzasadniona? No i jak się teraz czujesz, kiedy wszedłeś w moje buty?

- My dwaj nie mamy ze sobą nic wspólnego - powiedziałem, chociaż czułem, że jest wręcz przeciwnie.

- Och, czyżby? Więcej, niż myślisz. Tylko że ja mam świadomość skutków ubocznych swoich czynów. To jest jak w każdej rewolucji. Kiedy chodzi o prawdę, zawsze giną niewinni.

- Prawdą jest to, że jesteś całkiem szalony

- Prawdą jest to, że powinieneś być mi wdzięczny, i to do końca życia. Mogłem zabić Juliana, ale wtedy nie mógłbym udzielić ci tej lekcji.

Usłyszałem klakson samochodu w telefonie i pomyślałem: Ktoś trąbi, nie zdając sobie sprawy, że trąbi na mordercę mojej żony, ponieważ ten zajechał mu drogę.

- Tylko dlatego wyjątkowo złamałem swoje reguły i zostawiłem twojego syna przy życiu. Z tego samego powodu, z jakiego teraz ci to wszystko mówię. To część twojej kary. Bo kiedy poznasz wszystkie fakty, Zorbach, nie będziesz mógł sam siebie okłamywać.

Monolog Schollego coraz bardziej dopasowywał się do stanu mojego umysłu. Stawał się w coraz większym stopniu irracjonalny.

- Boże, czego się nie miałem, żeby z powrotem wciągnąć cię do gry. A ponieważ wolałeś uważać sprawcę za psychola, musiałem wymyślić coś innego, żeby wyciągnąć cię ze Schwanenwerder.

Usłyszałem szelest i uniosłem głowę. Stoya trzymał przed moimi oczami kartkę, na której było napisane SUKER. Skinąłem głową.

- Co Suker ma z tym wspólnego? Scholle znów nie dał się długo prosić.

- Miałem z nim prosty deal. On pozbył się dla mnie Aliny, a ja chronię go przed więzieniem.

- Dlaczego Alina?

- Bo była cierniem w mojej dupie. Wypaczyła naszą grę. Do diabła, czyżbym miał dzokera, który przepowiedział mi przyszłość? Musiałem ją wyeliminować, zanim przystąpiliśmy do dalszej gry. Wszystko inne byłoby nie fair. Ale przydała się, bądź co bądź obudziła cię z marazmu. Dlatego wbrew woli Stoi zwabiłem ją na Schwanenwerder i, voila, rzuciłeś się na nią jak pies na sukę.

- A potem wystawiłeś ją Sukerowi?

- Sam ją sobie sprowadził. Ja tylko trochę podkarmiłem go informacjami. Wiedziałem, że stoi po stronie ofiar przemocy.

Opowiedziałem mu więc, że kolekcjoner oczu jest poszukiwanym gwałcicielem, który już dawno wpadłby w nasze ręce, gdyby Alina wcześniej złożyła zawiadomienie o molestowaniu seksualnym.

- Dlatego zmusiłeś Tamarę do wycofania zeznań, aby Suker mógł wyjść na wolność?

Julian jęknął w moich ramionach.

- To była moja część deala. Dziecinnie proste. Wiedziałem od Sukera, jak bardzo bała się jakiejś asystentki...

- Iris!

- Tak. Przekazałem Tamarze wiadomość. Jeśli nie wycofa zeznań, Iris zabije jej ojca. Potem położyłem przed nią obrazek, który zabrałem z pokoju twojego syna. Miała zabazgrać ściany na dowód, że nagle zwariowała i jej zeznania są bezwartościowe. Człowieku, osiągnęła mistrzostwo w tym psychicznym gównie.

Krótki chichot Schollego przeszedł w kolejny atak kaszlu, co trochę przyhamowało jego potok słów. Kiedy się uspokoił, nie było już słychać szumu w tle. Wyobraziłem sobie, jak zjechał na prawo. Jak piesi przechodzą obok jego samochodu, widzą telefonującego mężczyznę i nie zdają sobie sprawy, że patrzą na seryjnego mordercę, który właśnie szydzi z najbliższej rodziny swoich ofiar.

- Powiedziałem Tamarze, że ma tak długo udawać wariatkę, aż pokażesz jej dziennik twojego syna. TRAN NIE FOK. Powiedziała ci o tym?

- Tak.

- A ty tego nie zrozumiałeś, prawda? Do diabła, to był znak, Zorbach! W ten sposób chciałem ci pomóc. Widzisz? Grałem fair. Spróbuj poprzestawiać litery, zobaczysz, co z tego wyjdzie.

TO NIE FRANK.

- No tak, jeszcze na to wpadniesz.

Stoya podsunął mi kolejną kartkę, ale ją zignorowałem.

- Dlaczego obrazek?

Wpadłem w rytm wywiadu, co było nawykiem z ostatniej pracy. Potrzebowałem odpowiedzi. Doszukiwałem się nielogicznych sformułowań, które demaskowałyby słowa Schollego jako okrutny żart po to, żebym dłużej nie musiał czuć się tym, kim byłem: mordercą niewinnego człowieka. Ale im dłużej rozmawialiśmy, tym większej nabierałem pewności, że Scholle mówił prawdę. I że nie robi tego, aby

zrzucić ciężar ze swojej duszy, ale żeby zatruć moją duszę. Tak jak wcześniej powiedział: poznanie prawdy było najważniejszą częścią mojej kary

- Upiekłem dwie pieczenie na jednym ogniu - mówił dalej. - Wiedziałem, że prędzej czy później przejdiesz koło pokoju Tamary, choćbym miał to sam zaaranżować. I co mam powiedzieć? Bingo! Kiedy zobaczyłeś jej malunki naskalne, nie musiałem cię długo prosić. Od razu pojechałeś ze mną. Nie mogłeś przypuszczać, że jedziemy do twojego domu.

Pochyliłem się nad Julianem, który znów otworzył oczy i cicho jęknął, żeby mu dać wody. Był to dla mnie znak do odjazdu.

Rozdział 288

Włożyłem komórkę do kieszeni marynarki, tak aby wtyczka nie wypadła mi z ucha, i otworzyłem drzwi samochodu. Szeroko rozwarłem je nogą, wydostałem się na zewnątrz i wyciągnąłem syna.

Stoya, który teraz nie mógł słuchać rozmowy razem ze mną, zrobił to samo co ja. Widocznie dał policjantom przede mną znak, w każdym razie utworzyli szpaler i pozwolili mi przejść z Julianem na rękach.

Zimny wiatr zatykał mi uszy. Z trudem rozumiałem Schollego.

- A propos, przykro mi za to świństwo w Dorferblick. To nie było zaplanowane. Całkowicie nieprofesjonalne, ale zdarza się, kiedy trzeba improwizować.

Spociałem się z wysiłku. Wydawało mi się, że ciężar Juliana wyrywa mi ręce, a od wejścia do szpitala dzieliło mnie jeszcze trzydzieści kroków.

- Właściwie w tym miejscu wszystko powinno się skończyć. Pamiętnik powinien rozedrzeć twoje serce, martwy pies spotęgować do nieskończoności twoją wściekłość na Franka. Potem ściągnąłbym cię na strych, gdzie przez ostatnie cztery tygodnie trzymałem w ukryciu twojego syna i Franka. Dobry pomysł, no nie? Kiedy sekcja zabezpieczania śladów opuściła dom, było tam całkiem bezpiecznie. Kto by szukał miejsca przestępstwa na już sprawdzonym miejscu przestępstwa?

Obok mnie pojawił się orszak lekarzy i pielęgniarek w towarzystwie dwóch policjantów, na wypadek gdybym jeszcze raz sięgnął po broń. Utrzymywali bezpieczny dystans dwóch metrów i podsunęli mi nosze, bym na nich położył Juliana.

- To powinno się skończyć już tam. Znalazłbyś Franka i Juliana, obu nieprzytomnych. Przy Franku leżałby mój pistolet. Idę o zakład, że byś Lahmanna zastrzelił, mam rację? Do diabła, co bym dał za to, żeby zobaczyć twoją twarz, kiedy Julian budzi się na odgłos wystrzału i opowiada ci, jak naprawdę było.

- Ale do tego nie doszło.

- Nie, ponieważ, co za idiota ze mnie, pierwszy raz przesadziłem z inscenizacją. Widzisz, Zorbach? W przeciwieństwie do ciebie otwarcie przyznaję się do błędu. Powinienem związać Julianowi nogi. Gówniarz o mało co by się uwolnił, kiedy otworzyłem drzwi do domu.

- Czy to z nim walczyłeś?

- Trzeba mu to przyznać. Twój syn ma ikrę. Musiałem zdzielić go giwerą i dopiero potem zawlokłem do piwnicy, żebyś go nie zobaczył, kiedy wejdiesz do domu.

Ktoś odciągnął nosze z Julianem. Chciałem zaprotestować i mocno chwyciłem się stelaża, ale byłem zbyt wyczerpany i upadłem do przodu.

- Na szczęście nie wszedłeś zaraz za mną i dałeś sobie trochę czasu. Gdybyś nie stracił przytomności, nigdy nie zaniósłbym cię do pokoju Juliana i nie mógłbym zaimprovizować finału.

Z dziennikiem na nocnym stoliku. Z TomTomem w wannie. I z Frankiem na strychu. Z tym że nie Frank groził Schollemu, ale odwrotnie.

- Cholera, wszystko działo się w takim pośpiechu, a w piwnicy nie było niczego, co mogłoby posłużyć za więzy, najpierw więc ukryłem chłopaka w walizce.

Frank, który nigdy nie skrzywdził mojego syna, później, mimo kuli w ramieniu, uwolnił go, potem owinął w koc, ułożył na tylnym siedzeniu i dopiero wtedy pojechał do szpitala...

- Gdybyś go tam znalazł, wcale nie byłoby źle. Najpóźniej na widok mojego samochodu stałoby się dla ciebie jasne, że zabiłeś nie tego człowieka.

Leżałem przed wejściem do szpitala, było mi niedobrze. Obróciłem się na plecy, spojrzałem w górę i zobaczyłem nad sobą grupkę policjantów, którzy trzymali broń wycelowaną we mnie. W normalnych warunkach już dawno by mnie zaatakowali, najpóźniej wówczas, kiedy nie było już ze mną Juliana. Potem dowiedziałem się, że w tym czasie technikom z oddziału antyterrorystycznego udało się włamać do komórki Schollego. Stoya wydał polecenie, żeby trzymać mnie w szachu, lecz pod żadnym pozorem nie przerywać mojej rozmowy.

- Do diabła, po próbie ucieczki Juliana wszystko wymknęło się spod kontroli. Co prawda siedziałem, jak było zaplanowane, na strychu, panowałem nad Frankiem, który mówił dokładnie to, co mu kazałem, ale nie miałem już w rękę środka nacisku. Dopóki Frank bał się, że mogę zastrzelić Juliana, trzymał się dokładnie tekstu. Własne życie najwidoczniej nie było dla niego takie ważne, toteż zdobył się na odwagę i mnie zaatakował. Kiedy zauważyłeś kamerę, na sekundę się odwróciłem, a ten ćpun chwycił moją broń i strzelił mi w brzuch.

- Niestety nie w serce - wybuchnąłem do telefonu.

- Hej, przecież już powiedziałem: przykro mi z powodu tego draństwa. Ale tak to bywa w życiu. Jest tak jak w grze. Można dokładnie wszystko zaplanować, a na końcu i tak decyduje przypadek, kiedy człowiek dochodzi do celu. I teraz ty jesteś dokładnie w tym miejscu, nie sądzisz? Tak, Zorbach. Jesteś dokładnie tam, gdzie chciałem, żebyś był.

To były ostatnie słowa Mike'a Scholokowsky'ego, jakie miałem usłyszeć. Rozłączył się. Tak po prostu. Moja kara się zakończyła.

Wtedy, kiedy przy minus czternastu stopniach leżałem na schodach przed szpitalem im. Marcina Lutra i czekałem na kolejne słowa Schollego, czułem się jednocześnie śmiertelnie wyczerpany i pobudzony. Byłem w euforii, że Julian żyje, i rozpaczałem z powodu śmierci Franka, za którą byłem odpowiedzialny. Współczułem ofiarom i cieszyłem się każdym, kto przeżył. Walczyły we mnie sprzeczne emocje.

Czułem dłonie, które mnie obmacywały, uciskały brzuch i wykręcały ręce. Czułem, jak szukano u mnie broni, po czym mnie aresztowano. Nie wiem, jak długo jeszcze, milcząc, trzymałem w dłoniach komórkę i wpatrywałem się w nocne niebo nad Berlinem.

Czasem myślę, że moja rozmowa z Schollem nigdy się nie skończyła i jeszcze dziś łapię się na tym, że mówię do niego przez telefon i grożę mu, że go znajdę i zabiję, tak jak on unicestwił na zawsze świat i niemal wszystko, co było w nim dla mnie ważne.

Rozdział ostatni

Kilka miesięcy później. Boże Narodzenie. Julian i ja ubieramy choinkę. Jeszcze nie jest do końca dawnym Julianem, ale terapia u doktora Rotha dobrze mu robi, a ciężkie przeżycia zbliżyły nas, podobnie jak weteranów wojennych, którzy przeszli przez piekło i teraz łączą ich nierozzerwalne więzy.

Dzwonek do drzwi. Alina. Jest blada. Jeszcze dzisiaj widać ślady ciężkich obrażeń, które tylko cudem przeżyła. Ekipa ratunkowa już chciała odjechać, lecz wtedy padł strzał i zaalarmowani sanitariusze na siłę sforsowali drzwi do mieszkania Iris.

John przebywa u krewnych w USA i Alina nie wie, gdzie ma spędzić święta. Biorę ją w ramiona, a TomTom obskakuje mnie z radości.

Przyniosła prezent dla Juliana. Oprawione zdjęcie Franka, którego lekarze zdołali uratować w ostatniej chwili. Nie wezmą diabli złego, widnieje pod zdjęciem, które zrobił chirurg po trzeciej udanej operacji.

Ja też dostaję prezent od Aliny. Również zdjęcie, ale czarno - białe i z widocznym ziarnem.

Ultrasonograficzne.

Łzy spływają mi po policzkach. Musiało się to stać tej jedynej nocy, kiedy spaliśmy ze sobą, zanim uwolniliśmy bliźnięta, zaledwie kilka godzin przed uprowadzeniem Juliana. Podwójny cud po ciosie nożem, jaki Iris zadała Alinie. Kiedy Julian ogląda zdjęcie, na jego ustach pojawia się uśmiech.

Siedzimy w milczeniu przy nakrytym stole, trzymamy się za ręce, TomTom leży u naszych stóp i nagle przestajemy się czuć jak weterani wojenni, którzy przeżyli bitwę, jesteśmy jak członkowie powoli tworzącej się rodziny...

Czy to chcecie ode mnie usłyszeć? Idźcie do kina.

W mojej rzeczywistości nie ma fotograficznej nasadki zmniejszającej. Moje życie nigdy nie trzymało się zasad hollywoodzkich. Tak naprawdę przez dziewięć ostatnich miesięcy mój syn nie zamienił ze mną ani słowa. Żadnego „hej”, kiedy rano stawiałem przed nim płatki kukurydziane, żadnego „cześć”, kiedy odwoziłem go do szkoły, do której od niedawna znów chodzi, co prawda tylko na trzy godziny dziennie. Dłużej nie potrafi się skoncentrować.

Doktor Roth mówi, że Julian robi postępy, i rzeczywiście już nie ssie kciuka, a moczy się co drugą noc, ale w głębi duszy wiem, że nigdy nie wybaczy mi śmierci Franka. Przez tygodnie, kiedy znajdował się w rękach psychopatycznej bestii, Frank był jego jedynym sojusznikiem, a ja go zamordowałem.

Być może doktor Roth ma rację i Julian kiedyś spróbuje mi wybaczyć, lecz ostatecznie, jestem tego pewny, nigdy się z tym nie upora. Widzę to w spojrzeniu, które posyła mi każdej nocy, na chwilę przed zgaszeniem światła. Jest to spojrzenie starego mężczyzny.

Oficjalnie czekam na proces, ale zostałem wypuszczony na wolność za kaucją dzięki talentowi adwokata. Ma on nadzieję, że sąd dojdzie do wniosku, że zostałem już dostatecznie ukarany. Moja żona nie żyje, syn ma traumę, a Alina zerwała ze mną wszelkie kontakty, od kiedy obudziła się ze śpiączki farmakologicznej i usłyszała diagnozę, że nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Rozumiem, że schodzi mi z drogi, i wcale nie jestem pewny, że tylko chwilowo, jak przypuszcza John. Bo choć to nie ja trzymałem w ręku nóż, który pokancerował jej macicę, to jednak byłem magnesem, który ściągnął na nią męki, jakie cierpi jeszcze dzisiaj.

Tak jak Julian. Tak jak wszyscy, którzy byli mi bliscy.

Jedynie John dzwoni do mnie od czasu do czasu. Jego tak samo jak mnie zżerają wątpliwości, zastanawia się, czy w tych kilku godzinach, które nam pozostały, nie powinniśmy zrobić czegoś więcej niż tylko pójść do Iris. Od niego wiem, że Alina już nie pracuje i większość czasu spędza przed komputerem na portalach wirtualnych grup wsparcia. Podobno ostatnio wygooglowała takie określenia, jak „rąbek rogówki” i „transplantacje komórek macierzystych”. Wiele spraw już przekreśliła, tylko pragnienie, żeby znów mogła kiedyś widzieć, wydaje się w niej wciąż żywe, i robi wszystko, aby je w sobie stłumić. Powiedziała Johnowi, że czuje się jak kobieta, która ma urodzić dziecko gwałciciela. Myśl, która wobec doznanych przez nią urazów jest podwójnie okrutna. Z jednej strony, pragnie życia bez ciemności. A z drugiej strony, nienawidzi sprawcy tego marzenia. John sądzi, że powinienem przejąć inicjatywę. Powiedział mi, o jakich porach Alina wyprowadza na spacer TomToma, i kiedyś już zdobyłem się na odwagę, aby pójść do parku i popatrzeć na nią z daleka. To była niedziela, bardzo spokojna, na ulicach panował niewielki ruch. Usłyszałaby, gdybym zawołał jej imię.

Ale co, gdyby się zatrzymała? Co mógłbym jej powiedzieć? Że jest mi przykro? Że adwokat uważa, że ludzkie życia, które uratowałem, równoważą moje błędy? Czy Alina, czy ktokolwiek inny może mi wybaczyć, ponieważ zostałem już dostatecznie ukarany? Myślę, że nie.

Scholle powiedział na koniec prawdę. Być może to irracjonalne, ale nie mogę sam siebie okłamywać. Nie czuję się ani trochę lepiej od niego. Niemal każdy morderca może wytłumaczyć swoje motywacje. Zamachowiec terrorysta, który mści się za los swojego narodu, wysadzając się w powietrze przed uliczną kawiarnią, tak samo czuje, że ma do tego prawo, jak szaleniec, który chce wpoić ojcom, żeby bardziej troszczyli się o swoje dzieci, dlatego je porywa, albo jak Suker, który „karał” milczące ofiary za bierność. Wszyscy ci mordercy uważają swoje czyny za usprawiedliwione i w chwili ich dokonywania nie są świadomi jakiegokolwiek winy. Tak jak ja, kiedy sądziłem, że mszczę się za śmierć syna, i kazałem odpokutować za to niewłaściwej osobie.

Chcecie, żeby ta historia tak się skończyła? Żeby moje życie pozostało zburzone i żeby Scholle po swojej ucieczce ze szpitala w Neukolln nie został ujęty?

Być może pragniecie, żeby wszystko nie potoczyło się tak źle i żeby Frank zgodnie z opinią ekspertów również zmarł bez mojej interwencji? Ach tak, i żeby Nicola nie straciła oka, i żeby Suker wyrządził jej tylko małą, możliwą do naprawienia krzywdę, zanim zdecydował, że jednak nie chce przeciąć jej rogówki?

Przykro mi, muszę was rozczarować. Ja nie piszę hollywoodzkich scenariuszy.

W końcu Nicola wciąż żyje, chociaż do dzisiaj nie potrafi sobie wytłumaczyć, skąd Alina wiedziała o broni w górnej szufladzie, dzięki czemu udało jej się uprzedzić Iris i ją zastrzelić. Znowu mieszka z matką w Hamburgu, jej rana dobrze się zagoiła, a wobec jej ojca toczy się postępowanie z powodu zmuszania do czynności seksualnych i wykorzystywania seksualnego dziecka. Mało kto zauważa w jej twarzy idealnie dopasowane szklane oko.

A jeśli to ma was uspokoić - wczoraj byłem z Julianem w sklepie zoologicznym. Doktor Roth uważał, że pies może mieć działanie terapeutyczne, w końcu mój syn jest za duży, aby bawić się pluszowymi zabawkami, choć pilnie potrzebował czegoś, co mógłby pokochać. Myślałem o szczeniaku, labradorze albo może o dalmatyńczyku, ale

Julian, który poszedł ze mną tylko dlatego, że towarzyszył mi doktor Roth, zaskoczył nas swoją decyzją. Wybrał czarnego szczura. Miałem wątpliwości. Gryzoń, który pieścił ogonem w kolorze kości słoniowej szyję mojego syna.

- Widział pan, jak Julian się cieszył, kiedy nosił go na ramieniu? - zapytał doktor Roth. W rzeczywistości była to namiastka, anielski uśmiech, jaki widzimy u niemowląt w pierwszych tygodniach życia. Nieświadomy, ale zawsze to jakiś początek. „Czas leczy rany”. - Roth zacytował ludową mądrość, kiedy pakowałem na tylne siedzenie samochodu szczura razem z klatką, podściółkę i karmę.

- Nie - odpowiedziałem. - Czas sprawia, że człowiek robi się tylko starszy

Przez chwilę Roth wyglądał tak, jakby nie wiedział, czy powinien puścić mnie samego. Ostatecznie pożegnał mnie słowami:

- Nie wolno panu tracić nadziei, panie Zorbach. Proszę spojrzeć na pańskiego syna. Proszę pomyśleć o jego czułym uśmiechu w sklepie i niech pan zapamięta: ostatecznie dobro zawsze zwycięża. Być może w tej chwili jest ukryte gdzieś w najgłębszym zakamarku jego duszy. To jest jak z piłką, którą wciska się pod wodę. Dobro zawsze wypłynie kiedyś na powierzchnię.

To było sześć godzin temu. Teraz nowy przyjaciel Juliana ma imię. Mr. Jones śpi w jego pokoju w naszym nowym mieszkaniu w Pankow, klatka stoi obok jego łóżka.

Gość, który rzuci przelotne spojrzenie na nasze mieszkanie, zobaczy obraz całkiem normalnej rodziny: krótko po północy ojciec stoi w drzwiach i przygląda się śpiącemu synowi.

Tak sielankowo. Tak normalnie. Tak fałszywie.

Nie jestem pewny, być może Mr. Jones rzeczywiście działa uspokajająco, choćby przez zapach, który roztacza wokół siebie: mieszanka drewna, ziemi i siana. Wydaje mi się, że Julian oddycha teraz trochę bardziej równomiernie, choć z mojej perspektywy pogrążonego w półmroku korytarza trudno to z całą pewnością stwierdzić.

Powoli zamykam drzwi, siadam jak każdej nocy w salonie i czekam.

Kiedy już to następuje, pozostaję jeszcze chwilę na kanapie, aby zobaczyć, czy demony tej nocy odejdą same.

Oczywiście jak zwykle tego nie robią, wracam więc do sypialni syna, który w koszmarным śnie znów wykrzykuje imię matki.

Kiedy to słyszę, myślę o doktorze Rocie. Tak bardzo bym chciał, żeby miał rację. Że na koniec dobro rzeczywiście wypłynie.

Ponieważ zło... jestem tego pewny, kiedy dotykam zlanego potem czoła Juliana, a on płacząc, otwiera szeroko oczy... zło na pewno przetrwa.

Godzinę później. Julian znów zasnął, ale jęczy w swoim mrocznym śnie. Czekałem przy jego łóżku, teraz zamierzam wyjść z pokoju, lecz powstrzymuje mnie szelest. Szczur w klatce patrzy na mnie, jakby chciał zdradzić mi jakąś tajemnicę. Otwieram klatkę i ku mojemu zdziwieniu szczur nie ucieka, kiedy biorę go do ręki. Tylko serce bije mu jak szalone pod ciepłą sierścią.

Kładę Mr. Jonesa na poduszce obok głowy mojego syna, gdzie zwierzę leży spokojnie, i w tej samej chwili budzi się we mnie złość z powodu tego gestu bezradności.

Już wyciągam rękę, aby wsadzić zwierzę z powrotem do klatki, i wtedy syn otwiera oczy. Mruga sennie, patrzy na Mr. Jonesa i kiwa na mnie. Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć. Przez krótką chwilę wydaje mi się, że słyszę, jak szepcze „dziękuję”.

Być może to tylko złudzenie, myślę, kiedy zaraz potem cicho zamykam za sobą drzwi. To nie byłby pierwszy raz, kiedy się mylę.

Podziękowanie

Jedno z najczęściej zadawanych pytań na moich spotkaniach autorskich brzmi: „Proszę powiedzieć, czy nie trzeba samemu mieć fioła, żeby napisać coś takiego?”.

Wtedy odpowiadam zawsze: „W takim razie pan/pani też musi mieć fioła, skoro wydaje pieniądze, żeby przeczytać coś takiego”.

Ale przyznaję - nieufność wobec mojej osoby jest uzasadniona. Jak człowiek, który wygląda „niczym nieudolna kopia Gunthera Jaucha” (Gunther Jauch, popularny prezenter telewizji niemieckiej i dziennikarz telewizyjny) (cytat z czytelniczki z Poczdamu) z „niesforną fryzurą, pucołowatymi policzkami i nosem jak kartofel” (cytat z "Welt am Sonntag"), wpadł na pomysł, aby pisać właśnie psychothrillery?

Pozwólcie, że przytoczę standardową odpowiedź z czasów szkolnych: „Nie wiem”.

Mam co prawda cień podejrzenia, dlaczego lubimy wygodnie położyć się na kanapie z książką o seryjnych mordercach i gwałcicielach w ręku; dlaczego w wolnym czasie zanurzamy się w najgłębsze zakamarki duszy ludzkiej: dlatego że potrzebujemy piorunochronu. Czegoś, co skanalizuje nasz prawdziwy strach, który odreagowujemy w bezpiecznych, spokojnych warunkach i po skończonej lekturze możemy go razem z książką odstawić na półkę. Ale być może jest to tylko pobożne życzenie i w rzeczywistości wszyscy mamy jakąś ciemną stronę, której musimy pozwolić się ujawnić. Ja robię to przez pisanie, Wy przez czytanie. W każdym razie potwierdziła mi to niedawno pewna psycholożka na spotkaniu autorskim w Wiedniu, to my jesteśmy ci dobrzy. To raczej o tych, którzy nie mają wentyla, a więc nie czytają thrillerów ani ich nie piszą i wszystko tłumią w sobie, powinniśmy się martwić.

Chodzi mi o wszystkich, którzy pomogli mi przekazać społeczeństwu Pasjonata oczu. Przede wszystkim myślę tu jak zawsze o Was, czytelnikach. Gdyby nie Wy, prawdopodobnie w wydawnictwie powitano by mnie słowami „Herr Fritschke”, jeśli w ogóle. Taki nagłówek przeczytałem kiedyś w jednym z licznych listów odmownych, jakie otrzymywałem, zanim w 2006 roku Droemer Knauer dał mi szansę, za co jestem wdzięczny przede wszystkim swojemu wydawcy Hansowi - Peterowi Ubleisowi i swojej pierwszej lektorce Andrei Muller.

Obecnie znajduję się pod opieką Carolin Graehl i Regine Weisbrod (nie chodzi tu o opiekę psychiatryczną, lecz redakcyjną; mała, ale subtelna różnica) i wciąż nie mogę wyjść z podziwu, jak obie potrafią udoskonalić mój rękopis. Oczywiście kochałbym Was jeszcze bardziej, gdybyście następnym razem po prostu na końcu napisały: „Lepiej już się nie da. Drukujemy”, jednak to litościwe kłamstwo z pewnością nie wyszłoby książce na dobre.

Jestem pewny, że ktoś w wydawnictwie jest od pięciu lat zły, ponieważ permanentnie o nim zapominam. Również tutaj składam ogromne podziękowanie tylko przedstawicielom całego wspaniałego zespołu z wydawnictwa Droemer, a są nimi: Christian Tesch, Kerstin Reitze de la Maza, Theresa Schenkel, Konstanze Treber, Noomi Rohrbach, Susanne Klein, Monika Neudeck, Sibylle Dietzel, Iris Haas, Andrea Bauer, Andrea Heiss, Georg Regis, Andreas Thiele i Katrin Englberger.

Tak samo jak przy Kolekcjonerze oczu również tutaj miałem duże szczęście i przyjemność korzystać z pomocnych uwag wyjątkowej grupy czytelników - recenzentów, a dokładniej mówiąc „słuchaczy - recenzentów”. Petra Klewes, Andrea Czech, Sahre Wippig, Uwe Roder, Niels Luithardt, Anke Madler, Fanny Holz, Manja Werner i Viktor Stamenovic znają świat Aliny, ponieważ są osobami niewidomymi albo niedowidzącymi. Wszyscy chętnie odpowiadali na pytania dotyczące ich życia. Szczególne podziękowania kieruję znów do Jenny Grulke, która poświęciła się i czytała na głos rękopis.

Oprócz wymienionych powyżej są jeszcze inni, którzy na moje pytanie: „Czy chcesz jeszcze raz przeczytać Pasjonata oczu?”, odpowiadali z euforią: „Jeśli to naprawdę konieczne”. Wśród nich Rainer Wieland, który licznymi uwagami tak samo ulepszył książkę jak Thomas Zorbach i mój agent Roman Hocke, który jak zawsze otrzymuje honorowe miejsce w moim podziękowaniu, ponieważ bez niego nie istniałbym jako autor. (Wszelkie zażalenia z tym związane proszę kierować bezpośrednio do agencji AVA - International.) W tym kontekście wielkie dzięki dla Claudii von Hornstein, Uwe Neumahra, Christine Ziehl i Claudii Bachmann oraz Patricka Hocke i Marka Ryana Balthasara za relaunch mojej nowej strony internetowej www.sebastianfitzek.de.

Oprócz sprzedawców książek i bibliotekarzy nie chciałbym tym razem zapomnieć o organizatorach spotkań autorskich i targów książki kryminalnej, którzy - często w swoim wolnym czasie - pracują z pełnym poświęceniem nad tym, aby autorzy tacy jak ja mogli prezentować przed Wami swoje książki.

Konsultacje medyczne znów spadły na barki mojego brata neurokardiologa Clemensa i jego żony Sabine, specjalizacja neurologia, którzy teraz pewnie żałują, że nie studiowali sinologii albo czegoś podobnego, bo wtedy nie wierciłbym im co roku dziury w brzuchu skomplikowanymi pytaniami.

Jeśli ktoś chciałby uzyskać bardziej dokładne informacje (czemuż by nie) na temat opisanej tu transplantacji rąbków rogówki, może przeczytać o tym w fantastycznej książce *Der Blinde, der wieder sehen lernte* (Ślepiec, który od nowa uczył się widzieć) pióra Roberta Kursona. A mówiąc słowami Roberta Harlana: „Za wszystkie błędy w tej książce odpowiedzialność ponoszą eksperci. Mam już dość tego, że zawsze muszę nadstawiać za was głowę”.

Sandro, dziękuję Ci, że nie usnęłaś (w przeciwieństwie do Molly, naszej suki rasy basset), kiedy musiałaś dyskutować ze mną o dziesiątej wersji mojej książki. Twoje krytyczne uwagi sprawiły, że *Pasjonat* oczu stał się lepszy (a ja bardziej wściekły, ale to już inna historia).

Dziękuję Sabrinie Rabow, która jest dla mnie kimś więcej niż doskonałą agentką prasową. Jeśli kiedyś będziecie chcieli udzielić wywiadu w telewizji albo w gazecie, zadzwońcie do niej. Choć i tak nic Wam to nie da, ponieważ Sabrina należy do mnie.

Ja sam uważam siebie za magnes przyciągający pomyłców, i z tego powodu już nigdy nie uwolnię się od Zsolta Bacsa, który jak nikt inny w Niemczech rozumie gatunek thrillerów i zawsze daje mi pomocne wskazówki, i o którym będzie jeszcze dużo słyhać jako o reżyserze filmowej adaptacji *Das Kind* (Śmierć ma 134 cm wzrostu), jestem o tym przekonany. Więcej informacji o filmie znajdziecie na przykład na Facebooku pod hasłem: „Das Kind”.

Arno Muller, Thomas Koschwitz, Christian Meyer, Simon Jager, Gerlinde Janicke, Jochen Trus, Olivier Kalkofe, Sabine Hoffmann (moja najbardziej szczerza krytyczka) - należycie do stałych adresatów moich podziękowań. Nową postacią w tym gronie jest John Katzenbach,

któremu zawdzięczam niesłychanie inspirującą i motywującą kolację w Big Window.

Wielkie dzięki Christophowi Siemonsowi i całemu zespołowi Krypteria, których Kolekcjoner oczu zainspirował do stworzenia hitu The Eye Collector, ponieważ wypuszczenie go na rynek zmotywowało mnie do ukończenia tej książki.

Po raz pierwszy mogę podziękować swojej córce Charlotte, która (przysięgam!) bez sztucznych zabiegów przyszła na świat dokładnie 10.10.10, i odtąd ciągle musi wysłuchiwać moich opowieści, kiedy daję jej butelkę. Jeszcze wesoło szczerzy się do mnie (na ile pozwala jej smoczek), ale Sandra powoli zaczyna powątpiewać, czy powinna zostawiać mnie samego z dzieckiem. (Niezła sztuczka, co?).

Swojemu ojcu dziękuję (między innymi) za to, że kiedy byłem mały, podczas spacerów po berlińskim lesie nie opowiadał mi bajek, lecz prawdziwe mrozące krew w żyłach historie, na przykład o Haarmannie i jego tasaku. Niech teraz psychologowie - hobbyści wyciągają wnioski.

Na koniec dziękuję całej rodzinie Raschke, a przede wszystkim Manueli, mojemu mózgowi, która organizuje mi całe życie. Kiedyś zajrzę do terminarza i znajdę w nim następujące przypomnienie: godzina 9.00: wdech!, godzina 9.00 i dwie sekundy: wydech!

Jej mąż Kalle, mój przyjaciel i sadysta z zawodu (czyli trener fitnessu), był kiedyś mistrzem Niemiec w boksie, dlatego wszystkie krytyczne maile z miejsca przesyłam do niego.

Ale niech Was to nie powstrzymuje, żeby do mnie pisać. Oprócz fitzek@sebastianfitzek.de znajdziecie mnie pod moim nazwiskiem również na Facebooku, Twitterze, wkw, studivz i wszystkich portalach dla singli (nick „Sollteeinwitzsein”).

Co prawda między wyjazdami na spotkania autorskie, okresami pisania i zmianą pieluch może upłynąć trochę czasu, zanim znów się zgłoszę. Za to moja odpowiedź jest przynajmniej krótka.

Mam nadzieję, że wkrótce znów coś przeczytamy.

Wasz

Sebastian Fitzek

Berlin, miesiąc kataru siennego (maj)